KALISTA

CZYLI

OBRAZ HISTORYCZNY

z III. wieku.

PRZEZ

W. O. NEWMANN,

Doktora teologii, Rektora Uniwersytetu katolickiego w Dublinie,
Przełożonego Zgromadzenia Oratorianów w Birmingahm.

przekład

Eleonory Ziemięckiéj.

W KRAKOWIE.
Nakładem wydawnictwa dzieł katolickich
Władysława Jaworskiego
1871.

80918

W drukarni Władysława Jaworskiego.

PRZEDMOWA TŁOMACZA.

Po Fabioli, która już powszechnie u nas jest znaną w dwojakim polskim przekładzie, ukazała się wkrótce w Anglii powieść w podobnym rodzaju X. Newmanna, którą dziś przynosimy czytelnikom. Lubo później wydana, nie jest ona wcale naśladowaniem pierwszéj — napisana była bowiem pierwéj od Fabioli, jak o tém dowiadujemy się z rozbioru zamieszczonego w piśmie: Le Correspondent z r. 1858 miesiąca Stycznia. Jest to owoc jednego natchnienia, jednéj dążności i podobnej siły talentu. — Jeżeli w Fabioli uderzają śmiałe i efektowne rysy obok głębokiéj treści, to znów w Kaliście jest cudne stopniowanie duchownych rozwinięć, wielka biegłość w malowaniu psyhycznych pojawów, a mianowicie stosunki tych pojawów z działaniem łaski. Obie równej wartości, równego znaczenia; lecz, o ile Fabiola zachwyca wspaniałością formy, o tyle Kalista podbija rzewną a wewnętrzną siłą; układ, całość i obrazy, wyższe są w tamtej i każdego odrazu ująć muszą, urok zaś

Kalisty działa powoli, w sposób tajemniczy jak łaska, której ona właśnie działanie opowiada.

Jakie jest znaczenie takich tworów w literaturze? Zaprawdę nie zupełnie artystyczne, a lubo dwaj ci autorowie posiadają w wysokim stopniu mistrzostwo sztuki, a Biskup Wisemann jest nawet niekiedy wielkim poetą w Fabioli, główna jednak myśl, główne znaczenie tych powieści, leży jedynie w idei, w myśli duchownej, głęboko religijnéj, która, tym pobożnym pisarzom podała pióro do ręki. — Biskup Wisemann zapowiada w swojéj przedmowie, iż zamierzono przedstawić w takiej osłonie różne epoki kościoła, aby je uczynić przystępnemi i zrozumiałemi dla ogółu, słowem, aby uwydatnić działanie religii na społeczeństwo. Dotąd zobrazowano tylko czasy męczeństwa w tych dwóch powieściach, ale zobrazowano w tak spaniały i uroczysty sposób, iż zdaje się, że cała plastyczność i przedmiotowość sztuki tak rozwinięta w naszych czasach, przyszła tu służyć wielkiemu celowi, z całém bogactwem swych środków, swego kolorytu i swéj rzeczywistości.

Przyswajając sobie te prace, korzystając z tak pięknych utworów obcéj literatury, niech nam wolno będzie rozpatrzyć się w skarbach, jakie sami posiadamy w tym przedmiocie. Oto naprzód przytoczymy znakomity Dramat Odyńca **Felicytę**, *który w niczém nie ustępuje tym kreacyom pod względem pojęć duchownych, a niezmiernie je przewyższa potęgą artyzmu. Jest to ta sama idea, to samo psychyczne stopniowanie, które właśnie stanowi największą takich utworów zasługę, gdyż przez*

to spajają się one z każdym wiekiem, z każdą epoką. Nietylko bowiem w wiekach męczeństwa dzieją się te cuda wewnętrzne, te nagłe i niepojęte przeobrażenia, jest to fakt wiecznie nowy w dziejach chrześcijańskich wiecznie trwający, i to właśnie jest przyczyną, iż ogół czujący tę prawdę tak chciwie przyjmuje takie obrazy, widzi on w nich nietylko wierne oddanie przeszłości, nietylko tajemniczą i uroczystą epokę męczeństw, ale jeszcze zarazem i prawdę obecną, wewnętrznie uznaną i stokrotnie własném przeświadczeniem stwierdzoną... Cuda łaski to jakby pieśń od Nieba idąca, która zabrzmiawszy raz na Golgocie do końca świata wtórować będzie ciężkim kolejom żywota ludzkiego, tę to pieśń dosłyszał nasz Poeta i oddał ją wiernie i z właściwą sobie serdeczną prostotą. **W Felicycie samej** *łaska odrazu wielkim zajaśniała promieniem, tam nie ma stopniowań, tam już tylko cały geniusz poety wysilił się na odmalowanie tego stanu, który pełnią zachwytu nazwać by można.*

Błosławiony! czyj duch w natchnieniu
Tak może lecieć, tak leci wzwyż!
Że świat znikomy znika spojrzeniu;
Że widzi tylko w jasném widzeniu,
Życie w wieczności, Stwórcę w stworzeniu.
Dwa ich ogniwa w wieczném zetknieniu
Duch na Niebiosach — na ziemi krzyż.
O! i na ziemi Błogosławiony!
Kto z wzniesionemi w Niebo ramiony,
Łzą skruchy tylko zabłyśnie.
Z duszy i z ciała jest on już razem

Ducha naczyniem, Krzyża obrazem
I Chrystus na nim zawiśnie.
I jak z ołtarza z nad serca Jego,
Ofiarę z siebie wzniesie na niego,
I krwią go swoją obmyje.
I stąpi za nim w śmierci otchłanie
Aż człowiek z Bogiem z martwych powstanie
I przez Krzyż w duchu ożyje.

W osobie więc Felicyty niema już nic ludzkiego tylko boska niezmierzona siła, do któréj oddania tak właściwych, tak pięknych użył tu rysów religijny Poeta. Ale za to w odrodzeniu Olimpiusza, w nawróceniu jego tak późnem, jakaż znajomość tych tajemnic wiary! żadne tu ziemskie nie działają powody, wszystkie przeminęły bez wpływu, wszystkie rozbiły sie o tę skałę pychy i zaślepienia, o duszę dumnego poganina; dopiero przy świetle łaski, one ożywiać zaczynają, dopiero wtedy on je widzi i pojmuje te cudowne wskazania życia, któremi Bóg zwykle przemawia do serca człowieka.

Ha! i jaż mógłem — ja czuć tak nikczemnie?
Ja jej dopuścić iść na śmierć bezemnie?
Ja krwią Ją moją nie zbawić od zguby?...
O! podłe serce! o! harde rachuby!
Śmieć się czuć niższym, kiedym był tak nizko
Duch Jej chcieć zmienić w myśli mych igrzysko.
Któż mi powróci, com już miał tak blizko?
Kto da moc bez Niéj, iść za Nią w Jéj drogę?...
Motłoch uwierzył — czemuż ja nie mogę?
Wszystkich ich pewnie wiąże coś do świata,

Mnie nic, a przecież — cóż mię tak przygniata?
Przecz dusza moja jako ptak bez skrzydeł,
Więźnie jak w pętach niewidomych sideł,
Że muszę jeden śród tysiąców ludu,
Ani módz wątpić, *ani poczuć cudu?*
Tyżeś jéj Boże! tak me serce stwardził,
Żem z ust miłości słowem Twojém wzgardził?
Już mam być skazan na przykład dla tłumu?
Jak marna pycha, jak czcza moc rozumu:
Że gdy sam rozum do wiary mię zmusza,
Sił wiary przezeń czuć nie może dusza?
O Felicyto! tyś ostatniém słowem
Zbawić mię w życiu obiecała nowém!
Zbaw! oto pora! bym mógł rozpacz pożyć.
Bo muszę umrzeć — lub czemś nowem ożyć.
Cóż to jest we mnie! Myśl ma, czy natchnienie!
Głos twój? czy tylko słów twych przypomnienie?
Tak! tyś téj po mnie żądała ofiary:
„Pychę rozumu zgiąć przed słowem Wiary,
„Błagać i ufać — ha! i czekać cudu,
Stało się! **ufam.**

Ufam! *jakże to słowo późno wyszło z ust Olimpiusza, a jakaż w tém powtarzamy, znajomość tajemnic ducha i przeobrażeń wewnętrznych. — Kto tego nie pojmie — kto nie wie jak łaska rozszerza naturę, jak ją zmienia odrazu — i do nieskończoności wznosi, ten nie zrozumie znaczenia chrystyanizmu, ten nie wie czem on jest względem starożytności — téj starożytności tak uczonéj, tak potężnéj, ale ludzkiej, tylko w całéj swéj potędze i w naj-*

pięknieiszych swych czynach. — Miała ona swoją wielkość, swoje zasługi — miała nawet pojęcie praw człowieka — a jéj **de iure gentium** *ów rozdział w prawie rzymskiém, który bynajmniéj nie znaczył tego, co my przez prawa narodów dziś rozumiemy, lecz przez to* **prawo człowieka** *w społeczeństwie, świadczy nawet o pięknem jéj uznaniu* **prawa naturalnego.** *Ale głoski te jakby martwe leżały na sercach, jak martwe odbiły się na pargaminie — bo światło łaski nieoświecało ich i niewprowadzało w życie, i tę to różnicę starożytności od chrystyanizmu streszcza znów ślicznie Odyniec:*

O znam ja waszą cześć Boga w naturze
W cudach sztuk waszych, w płótnie i marmurze;
Cześć pychy ludzkiéj, której Bóg widomy.
W stworzeniu Człowiek, w ludzkości Pan Romy!
Olympiuszu! o! w Imię nie tego
Boga ja mówię; — w Imię Żyjącego,
Nie w dziełach Swoich, lecz w sobie, udzielnie
Przedwiecznie, wszędzie, zawsze, nieśmiertelnie:
Co nie z Chaosu, lecz Sam z Swéj Mądrości,
Chciał i świat stworzył Słowem Wszechmocności.
Ogarnął Łaską jak niebem gwiaździstém
Przejął Miłością, jak słońcem ognistem,
I Sam jak światło w oceanów fali,
Odbił się w duszach ludzi — by poznali
Ze jest, i wdzięczni, z dzieł i łask tak wiela
Poczuli miłość i cześć Stworzyciela.

Tu jest znaczenie główne chrystianizmu w miłości i łasce jakiej on udziela, a ta potęga niewidzialna

nietylko indywidua do nieba sposobi, ale i tu na ziemi ograniczone ludzkie siły w nieskończone zamienia. Możemyż więc na innéj drodze szukać szczęścia ludzkości i szczęścia narodu. Rozwój społeczny, wzrost cywilizacyi, postęp w naukach i we wszystkiém co tylko stanowi życie towarzyskie, są to wielkie skarby, które wszelkiemi siłami pielęgnować powinniśmy. Ogromne mogą być ich skutki, ale to zawsze jeszcze niepomnożenie pięcioro chleba i pięcioro rybiąt, to nie cud wskrzeszenia dzieweczki z Naim.... a umarłych moralnie dużo, a zgłodniała rzesza pragnie chciwie słowa i chleba, a wiatr wieje i kołysze łódką społeczną i niema komu go uciszyć tam, gdzie nie płynie razem z zlęknionemi śpiący spokojnie Zbawiciel. —

Ale wróćmy do czasów męczeństwa, pomijając śliczny abrazek Lenartowicza ś. Zofia, *z którego nie oddzielić, nic osobno zacytować niemożna, przypomnimy jeszcze czytelnikom wspaniały pogląd na męczeństwo Ks. Ig. Hołowińskiego w jego pielgrzymce do ziemi świętej. Uważmy n. p. następujące ustępy jako najbardziej będące w związku z naszym sposobem zapatrywania się na ten przedmiot.*

„Lecz najwięcéj umacniało te nieprzeliczone tłumy i zapalało nawet silném pragnieniem męczeństwa, to głębokie i niczém uiezachwiane przekonanie, że Ten, dla którego gotowi byli cierpieć, nie odstąpi ich w męczarni, da siłę wytrzymania walki a nawet bóle złagodzi. Kiedy oprawcy chcieli gwoździami przybić ś. Polikarpa do słupa, odparł im spokojnie męczennik: „Zostawcie

mię tak. Ten bowiem co mi dał moc znieść męczarnie ognia, da mi także siłę abym bez waszych gwoździ mógł wytrwać nieporuszony na stosie.“ — Ś. Felicyta jęczała przy wydaniu na świat córki, a słysząc to żołnierz strzegący jéj więzienia, rzekł: — Jęczysz? a jak wytrzymasz szarpanie dzikich zwierząt? Na co mu odpowiedziała Męczennica: — „Teraz cierpię sama, a wtenczas będzie we mnie przebywał Ten, który za mnie cierpieć będzie, jak ja gotowa jestem cierpieć za Niego.“ — Ta wielka pewność nie mogła się zrodzić z niczego, ale w walce trzystoletniéj musiały być najoczywistsze dla wszystkich dowody. Jakoż w męczeńskich aktach wszędzie rozlana jest ta cudowna siła, która umacniała walczących i nam dostatecznie tłomaczy ten cichy zapał poświęcenia się dla Boga. Któż bowiem z wierzących widząc dobroci boskiéj cuda na drugich męczennikach, nie był gotów poświęcić życia dla tego Pana, który ojcowską miłością osładza walkę z boleścią. Tym sposobem same jedne cuda spotykane w aktach rozwiązują całą zagadkę i stają się rzeczą naturalną; a przeciwnie brak tej cudownej ręki Pana Boga, byłby największym cudem, bo jakżeby niezliczone tłumy, zostawione ziemskim i przyrodzonym siłom, mogły tyle wytrzymać i heroizm uczynić rzeczą najpospolitszą?

„Przeglądając Akta, postrzegamy w ogóle, że z początku męczennicy z wielką trudnością opierali się okropnym bólom i nieraz zdawali się już upadać pod brzemieniem katuszy: ale jak tylko zwyciężyli to pierwsze pasowanie się z boleścią, natychmiast widzimy wpadają-

cych jakby w stan zupełnego zachwycenia i wtedy dla nich żądło bólu tępiało a spokojnie i z modlitwą znosili katusze. Poganie i Chrześcianie nie mogli się oddziwić, że Święci wyznawcy w pośród największych męczarni żadnego jęku nie wydawali, owszem tak spokojnie rozmawiali, jakby im nic nie robiono złego. Ś. Cyprian pytającemu o boleści zadawanej śmierci w katuszach Flawianowi Dyakonowi odpowiedział: — „Ciało nic nie cierpi, kiedy umysł w niebie: ciało nie czuje, kiedy dusza pogrążona w Bogu.“ — I święty Dyakon został także męczennikiem. Tak Piotr męczennik, kiedy mu na torturze wyciągano członki ze stawów, wołał patrząc w Niebo z uśmiechem: „Dziękuję Tobie Panie mój Jezu Chryste, żeś mi pozwolił przenieść te katusze.“ — Święty Wiktor zachęcając swoich towarzyszów niewoli do wytrwania w mękach, zeznaje: „Kiedym był zawieszony na drzewie wśród okropnych męczarni, wołałem ze łzami do Pana, i nagle ujrzałem go, i usłyszałem te słowa: „Pokój tobie Wiktorze, nie bój się; a ten głos wlał mi tak wielką siłę, że wszystkie katusze miałem za nic.“ Wśród tysiąca podobnych świadectw posłuchajmy wyznania wiernych Kościoła smyrneńskiego. „Okropne biczowania, stosy, tortury; były im przyjemne i miłe, kiedy wszyscy patrzący na ich straszne męki, płakali i nie mogli tego znieść widoku. Pan bowiem Opiekun Świętych rozmawiał z nimi, łagodził katusze i niebieską pocieszał koroną.“

„Nieraz w najkrytyczniejszéj chwili, w najboleśniejszych męczarniach dawał się słyszeć głos nieziemski, wle-

wający otuchę zapaśnikom bożym. Kiedy św. Polikarp wśród wrzawy wzburzonego ludu wchodzi do Amfiteatru, wtedy usłyszał głos z Nieba: „Bądź mężny, Polikarpie, nie upadaj na duchu.“ Mając przed oczyma tę niezachwianą pewność w pomoc Boga, któréj najoczywistsze a cudowne dowody mogli codziennie widzieć w męczeństwach Świętych wyznawców, wpadali w najżywsze i najświętsze uniesienie, które zrywa wszelkie najtkliwsze uczucia doczesnego przyrodzenia. Tak żona męczennika Nikandra, najczuléj go miłująca, właśnie dla téj saméj przyczyny, lękała się, aby nie upadł w męczeństwie, i nie uległ namowom Pretora; „Strzeż się tego Panie czynić, mówiła do męża, do czego cię namawia. Niechciej się zapierać Jezusa Pana naszego, patrz w Niebo, tam go zobaczysz. On sam jest twoim pomocnikiem. Szalona kobieto, zawołał Pretor, za co ty pragniesz śmierci twego męża? Aby żył u Pana i nigdy nie umarł odpowiedziała niewiasta. Ś. Felicyta porwana razem z siedmiu synami na męczeństwo, tak się odzywa do Pretora, co ją namawiał do zlitowania się nad dziećmi. Twoja litość jest zbrodnią, twoje namawianie okrucieństwem — a potem obróciwszy się do synów rzekła: Poglądajcie w Niebo, patrzcie w górę, tam czeka was Chrystus ze swoimi Świętemi. Walczcie o waszą duszę, pokażcie się wiernym w miłości Chrystusa! I nic dziwnego, że takiej Matki najmłodszy syn Aleksander, choć był jeszcze dziecięciem, wytrwał w męczarniach, ustawnie powtarzając: Jestem sługą Chrystusa! Wyznaję go ustami a mam Go w sercu i ciągle modlę się

do Niego. Ztąd któż nie uwierzy, kiedy Euzebiusz powiada, że w czasie prześladowania Dioklecyana, mężczyzni i niewiasty, porwani jakąś boską radością, sami się na płomienne stosy rzucali.“

„Prócz téj pomocy, w czasie mąk, Bóg jeszcze często przygotowywał swoich bojowników do nastającéj walki, przez różne objawienia i widzenia; dość bowiem najautentyczniejsze pomniki otworzyć, aby się o tém przekonać. Tam, brat lub Ojciec dawniej umęczony, przepowiada walkę bratu lub synowi, tam objawienie zawczasu ogłasza rodzaj śmierci przyszłemu męczennikowi. Tak święty Polikarp z góry wiedział, że będzie spalony na stosie, a św. Cypryan cały rok pierwéj przewidywał swoją koronę. To samo Pioniusz, Hermolaus, Perpetua i mnóstwo innych. Nieraz nawet spotykamy, że Bóg dla wzbudzenia ufności między wiernymi a razem dla nawrócenia pogan i wykazania swéj potęgi, odbierał żywiołom moc przyrodzoną, tak, że Świętych ani ogień nie palił, ani mogli być utopieni.“

Posiadamy również w języku polskim i przez tegoż samego X. Hołowińskiego przełożony krótki pamiętnik Perpetuy, pisany w więzieniu na dzień przed stawieniem jéj w amfiteatrze. Nie można nic porównać z tym pomnikiem wiary, miłości i prostoty, chyba ów znany list pisany przez św. Ignacego męczennika do przyjacioł, w którym ich prosi, żeby się nie starali o jego uwolnienie, nazywając rany, jakie od lwów odbierze najpiękniejszemi różami i pragnąc ich jak najdroższych swych skarbów! Pamiętnik ten Perpetuy dokończa jakiś

naoczny świadek, mówią że Tertuljan, w taki sposób: Zajaśniał dzień ich zwycięztwa i z więzienia szli pełni wesela do amfiteatru, jakby do nieba, nie boleścią ale radością byli poruszeni. Postępowała Perpetua spokojnym krokiem, jako oblubienica Chrystusa, jako upodobana Bogu; przed świętą mocą jéj wejrzenia musiał oczy spuszczać lud natrętny. Felicita idąc cieszyła się tylko, że Bóg ją wcześnie rozwiązał i uczynił godną poniesienia męczeństwa razem ze swymi towarzyszami. Przy bramie Afiteatru chciano im włożyć zwykłą dla walczących ze zwierzętami odzież; mężczyznom płaszcz czerwony to jest ubiór ofiarnika Saturna, kobietom szaty ofiarniczek Cerery: ale się mężczyzni oparli. Dla tegośmy rzekli oddali się dobrawolnie na męczarnie, aby naszą swobodę zachować i dla tegośmy poświęcili życie nasze, aby nic podobnego nie czynić: taka nasza umowa zawarta z wami. — Niesprawiedliwość uczuła sprawiedliwość, Trybun przestał nalegać i w swoich zwyczajnych sukniach weszli do Amfitcatru. Perpetua śpiewała psalmy.

Dla niewiast była przeznaczona dzika krowa, sławna ze swojéj wściekłości. Obnażono je i narzucano tylko siatkę, lecz lud wzdrygnął się widząc dwie słabe i wynędzniałe kobiety, przeto im dano suknie bez przepaski. Krowa natychmiast rzuciła się na Perpetuę, obaliła ją na ziemię i srodze zdeptawszy pobiegła. Perpetua usiadła i zakrywała podartą w téj walce suknię; więcej na wstyd jak na ból dając baczenie; potem zebrała i związała włosy, bo nie przystało męczennicom

cierpieć z rozpuszczonym włosem, aby w swojéj chwale nie zdawały się smucić.

Pewien Rustikus Katechumen przystąpił do Perpetui i jakby ze snu ją obudził, tak dalece była w duchu i zachwyceniu, wtedy popatrzyła w około i z podziwieniem wszystkich rzekła: Nie wiem, kiedy nas do téj krowy zaprowadzą; a usłyszawszy co się stało nie wprzód uwierzyła aż jéj pokazano krwawe ślady na ciele i sukni, nakoniec rozpoznawszy Rustika, i wezwawszy brata rzekła: Stójcie w wierze, i wszyscy się wzajemnie kochajcie, a nie gorszcie się z naszéj męki.

Taka ta treść wielka cudowna a prawdziwa, służy za tło podobnym utworom jak Kalista — lub Fabiola. — Zacytowaliśmy te ustępy, raz dla okazania co mamy w naszéj literaturze pod tym względem najważniejszego — a powtóre żeby czytelnik lepiej uprzytomnił sobie epokę męczeństwa, którą poważne i świętobliwe umysły kapłanów zobrazowały w naszych czasach. — Potrzebaż dodać, iż tylko takie pióra mogą dotykać się takich przedmiotów.

A teraz — jakież jest znaczenie społeczne tych *utworów — czyż tu idzie o zachęcanie do męczeństwa? wprawdzie dopóki się nie spełni przepowiednia Zbawiciela, i nie będzie jeden Pasterz i jedna owczarnia, dopóty wielkie dzieło rozszerzania Chrześciaństwa musi mieć swoich męczenników. — Ale tu nie o samo męczeństwo idzie — tu ogólniejsza, powszechniejsza, przewodniczy idea: pobożni ci pisarze nie tylko ludy niewierne mają na celu — lecz głównie społeczeństwo chrześcijań-*

skie; oni tem stawieniem wielkich wzorów, chcą obudzić ducha ofiary, *bez którego nie ma życia, nie ma postępu, nie ma cywilizacyi. — Taką to dążnością spajają wielką i uroczystą epokę męczeństwa z epoką naszą — już nie śmierci lecz poświęcenia się potrzebującą — i w takim też duchu zrozumiejmy ich piękne prace.*

Pisałam 1. Czerwca 1858.

E. Ziemięcka.

I.

Uroczystość Astorty.

Państwo Rzymskie z III wieku nie miało w całéj swojéj rozciągłości bogatszéj i piękniejszéj prowincyi jak część Afryki prokonsularnéj, któréj Kartagina była stolicą, a Sikka jakby środkowym punktem. Miasto to główne w kolonii Rzymskiéj zajmowało wzgórze strome i dzikie, które się kończyło szeregiem pagórków dotykających, wzniosłej płaszczyzny, rozpostartéj w kierunku północno-wschodnim. Obok tych jałowych z zieloności ogołoconych, część ich południowa i wschodnia przedstawiała sprzeczność uderzającą. Rozległe łany zacienione drzewami i ozdobne różnobarwnem kwieciem dotykały szczytów Atlasu fantastycznie we mgle rysujących się kształtów gór Numidii. W około Sikki widać było ogrody, winnice, pola okryte zbożem, łąki poprzerzynane ścieszkami lub zarosłe krzakami które zdawały się być zabytkiem lasów pierwotnych; nakoniec piękne gaje dla zbytków i ozdoby

tam rzucone. Sama płaszczyzna mało bardzo wzniesiona w stosunku do gór północnych, które panowały nad miastem i skał spadzistych, zasłaniających horyzont od południa i wschodu, przedstawiała jednak przez połączenie świateł i cienia, odblaskiem słońca urozmaiconą panoramę pagórków i dolin, wyżyn i nizin, pomarańcze zaś okolicznych ogrodów, sady, drzewa oliwne i palmowe zapełniały spadzistość pagórków i głębi dolin, tworząc jakby tło obrazu.

Wśród zieloności, która się ciągnęła od zachodu ku północy nabierając coraz ciemniejszej barwy ukazywały się dwa szerokie gościńce rzymskie ciągnące się aż ku brzegom morza czerwonego, jedna w kierunku Kartaginy, dawnéj współzawodniczki Rzymu, druga w kierunku Hipony w Numidii.

Podróżny zwiedzający te miejsca mógłby wprawdzie zauważyć, iż krajobrazowi temu brakowało wody, ale rolnik mieszkający wśród tych bogatych pól, byłby mu odpowiedział, iż brak ten jest tylko pozorny, wśród gęstych bowiem zarośli kryły się skarby, których dostarczała ziemia z macierzyńską hojnością. Rzeka Brakadas wytryskująca z łona Atlasu, głębią swoją wynagradzała stokrotnie małą rozległość swego łożyska i przerzynała szybkim biegiem żyzne i bogate niwy, dążąc do morza niedaleko Kartaginy a pierwéj jeszcze okrążywszy nurtami swemi wspaniałą Sikkę. Była to największa rzeka, w którą wpadało wiele innych, ciągle zwiększając jéj wody. Liczne strumienie połączone i rozprowadzone kanałami zwilżały dalsze

okolice, a gdzieniegdzie znów wytryskujące źródła z pośród zwiru pokrywającego stopy pagórków, zasłonione były kamieniem łubkowym lub warstwą małych kamyków. Gdzie brakło źródeł i strumieni wykopano studnie głębokie niekiedy na dwieście sążni tak, że pierwsze wody, które z nich wytrysnęły, potopiły nieprzygotowanych robotników. Oprócz tych środków, któremi sztuka przychodziła w pomoc miejscowościom lub porom roku najmniej przyjaznym, niebo także dopomagało obfitym deszczem, spadającym przez całe pół roku w tych okolicach oraz rosą letnich nocy, które łagodzą skwar słoneczny palących dni Afryki. W niewielkiéj odległości od siebie — w pośród drzew i różnych zakrętów płaszczyzny, uwydatniały się Ville czyli pałacyki lub chatki. Architektura ówczesna rozwijała tam całe swoje bogactwo; każde miasteczko i każda wioska była punktem środkowym długiego szeregu budynków publicznych i prywatnych, pałaców, świątyń z kamienia lub marmuru, a częściej jeszcze z tych szerokich cegieł, które później tak wsławili Saraceni; były one robione z ziemi wyborowéj ściskanej mocno w formie, a która przez to nabywała takiej ścisłości, iż odłamy, jakie nam po dziś dzień zostały, są jeszcze tak gładkie na powierzchni, a tak ostre w swojem przecięciu, jak gdyby dziś dopiero były robione. Z dala znów, wieńcząc świątyniami i bazylikami swojemi skały i pagórki, jaśniały przy blasku słońca większe miasta Prowincyi jak Thibursikombra, Thugga, Lariba, Siguessa, Suffetula i wiele innych, a współcześnie w da-

li ukazywała się na płaszczyźnie wzniosłéj u stóp gór Atlasu kolonia Scilitańska głośna przed 50 laty męczeństwem Sperata i jego towarzyszów, ściętych z rozkazu Prokunsula za to, że niechcieli przysięgać na Geniusza Romy i jego Cesarzów.

Jeżeli teraz przeniesiemy widza naszego z Sikki o ćwierć mili ku południowo-wschodniej stronie na pagórek, na którym znajdowało się mieszkanie Ageliusza, w ówczas miasto całe stanie się dla nas jakby przysionkiem następnego obrazu. Imie jego Sicca-Teneria, pochodzące od nazwy Succoth-Benoth, co znaczy, przybytek dziewic, o którym wspomina pisarz święty jako o przedmiocie czci bałwochwalczéj Samaryi, zdawałoby się naprowadzać na domysł, iż założone zostało przez osadę Fenicką; to tylko jest rzeczą pewną, że bóstwa punickie panowały tam bez podziału. Pod murami tego miasta wznosiły się wspaniałe świątynie Herkulesa Tyryjskiego i Saturna, gdzie corocznie składano ofiary z ludzi. Gmachy te jednak religijne równie jak wszystkie budynki wewnątrz miasta, prześcigał starożytną i tajemną wspaniałością swoją gmach poświęcony czci zmysłowéj syryjskiej Astarte; kąpiele publiczne, teatr, kapitolium na wzór Rzymskiego, rozległy portyk, statua z bronzu Cesarza Sewera nakoniec, łącząc się niejako razem panowały nad ulicami ciasnemi i krętemi, które wznosiły się i spuszczały w rozmaitych kierunkach na tle pagórka. W środku była fontanna, którą wdzięczność zabobonna mieszkań-

ców otoczyła przysionkiem świętym, ponieważ była tak obfitą, iż dostarczała na minutę po kilka beczek wody.

Ze strony zaś zachodniéj, któréj w téj chwili wzrok nasz objąć nie może, skała spadzista nadawała miastu temu, kiedy nań patrzałeś w kierunku morza śródziemnego, tę postać śmiałą i uderzającą, która stanowi wdzięk Castro Dżiovani czyli dawnéj Enny położonéj w pośrodku Sycylii.

Odwróćmy nakoniec oko od tego krajobrazu, który się ciągnie w dali lub rozwija pod naszemi nogami, aby je przenieść na miejsce, w którem znajduje się kres ostateczny naszego poglądu i tam jeszcze będziem mieli czém się zachwycać. Oto jesteśmy w pośrodku bogatego folwarku, do którego należą rozległe pola i ogrody oddzielone jedne od drugich szpalerami Kaktusów i Alvesów, a u stóp pagórka, który się spuszcza ze strony przeciwnéj miastu ku jednéj z odnóg wspaniałéj Bagradas, widzisz sad obszerny przerżnięty sztucznie tysiącznemi strumykami poświęcony uprawie pięknéj i pachnącéj Henny. [1]) Gęste

---

[1]) Henna jest to krzew z rozaju Kalykantemów. Znajduje się jeden gatunek Henny sławny od najdawniejszych czasów w Afryce i Azyi. Jest to Henna z kwiatkami białemi, zwana Cyprus przez starożytnych.

Des Fontaines w swojej Florze atlantyckiej mówi, że Maurowie prowadzą handel listkami téj rośliny, która dostarcza kobietom Azyi i Afryki barwy żółtéj do malowania paznogci; w Egipcie

gałęzie palm rozkładają się ponad wodami skrapiającemi ich korzenie, rzekłbyś że wznoszą wdzięczne ramiona w niebiosa. Na szczycie pagórka zbiór jęczmienia już ukończony lub bliski końca, słychać tam tylko nieustanny i nurzący śpiew konika polnego, gorące promienie słońca wysuszają małe budki z trzciny, w których na miesiąc przedtem chłopcy z folwarku łapali tysiące czeczotek, szczygłów i innych ptaszków walczących jak zwykle o posiadanie ziarna z prawym jego właścicielem. Na spadzistości południowo-zachodniéj zasadzona jest piękna winnica utrzymywana starannie, a któréj szczepy chociaż jeszcze małe, rzucają długie cienie ku wschodowi. Niewolniki uwijają się zasłonieni od promieni palącego słońca szerokiemi kapeluszami i obcisłem ubraniem, które od pasa spuszcza się aż do kolan; obcinają niepotrzebne gałązki, które wyrosły po deszczu wiosennym i zasłaniają od skwaru słonecznego i od wiatru latorośle obiecujące owoc. Wszystko tu przypomina tę miłą i szczęśliwą porę roku, którą poeci opiewają w swoich wierszach tak pięknych lubo tak pogańskich, kiedy po ciężkich deszczach, gęstych mgłach i niepewnéj pogodzie natura objawia nanowo swoją życiorodną potęgę, i rozlewa na łono ziemi przez długie sześć miesięcy skarby życia i radości, albo raczéj jak to opisuje jeden z Bardów nowożytnych:

---

uprawiają tę roślinę jedynie dla jéj przyjemnéj woni, a kobiety, w haremach robią z niéj bukiety.

Gdy po długiém uspieniu zbudzona natura,
Ta ziemia jeszcze ciemna — niekształtna — ponura,
Stając jak gdyby naga przed okiem człowieka
Nagle swoje świąteczne stroje przyobleka;
Gdy murawy, te pyszne kobierce przyrody,
Okryły te równiny, te nadbrzeża wody,
Ustroiły pagórków rzęd w Niebo spiętrzony
Zaraz na płonnem polu krzew ledwo zrodzony,
Roznosi roślinnego życia urok cały,
I rosnąć w wieniec liściem — kwiatem okazały
Różnych odzieni barwą tryska z swego łona.
Bluszcz gęste na około rozwija ramiona,
Winna latorośl pnąc się do góry wężykiem
Życiodawczego słońca ogrzewa promykiem,
Roztacza piękne swoich owoców szkarłaty,
Ustawia swe szeregi kłos w złoto bogaty,
Świerk cały najeżony w kolce się uzbroił,
Skromny głóg jagodami opoki przystroił.
Drzewo czoło podniosło potęgą korzenia,
W jego namiocie liście błogie ścielą cienia
Drzewa, rzeki i góry uwieńczyły sobą,
I stały się okolic chlubą i ozdobą.
A tak ziemia zabrała Niebiosom skarb drogi,
Aż siedzibie człowieka zazdrościły bogi. [1])

Nagle strofa z dawnéj ody greckiéj śpiewana tonem żałośnym rozległa się po gęstym gaju przerżnię-

---

[1]) Z Miltona przekład Ignacego Badeniego.

tym ścieszką wiodącą od bramy miasta do małego strumyka, i jednocześnie młodzieniec, który się zdawał być nadzorcą folwarku, wybiegł z gęstwi drzew, i zbliżył się do robotników pracujących w winnicy; oczy jego, włosy, dźwięk głosu i rysy znamionowały Europejczyka, w całéj zaś jego postaci więcéj było skromności i nieśmiałości niż wieśniaczéj prostoty. Miał na sobie prostą tunikę czerwoną z krótkiemi rękawami, spadającemi aż do kolan w stanie ścieśnioną pasem, na nogach miał bóty zakrywające nogi do połowy; głosem słodkim i wesołym przemówił tak do jednego z niewolników:

— Ach Sansar, nie lubię twego sposobu układania gałęzi winnych, ale trudno widzę starca przekonać; nigdy nie wiążesz razem gałązek, dla tego rosną one od przypadku, rozpościerają się nieporządnie, a woły je stratują gdy w przyszłym miesiącu przyjdą pługi do orania winnicy.

Mówił do niego po łacinie, robotnik rozumiał go i odpowiadał w tymże samym języku, czyniąc jednak niektóre błędy co do akcentu i składni, jak dzisiejsi Murzyni w Indyach zachodnich, kiedy mówią po angielsku.

— Tak; tak, Panie, mówił on, ale bo po co używać tutaj pługa, motyka mogłaby go doskonale zastąpić, a w ówczas nie byłoby żadnéj obawy o winne grona, mnie głównie idzie o zakrycie kiełka liściami, aby go promienie słońca nie spaliły, to bowiem najgłówniejsze jest niebezpieczeństwo.

— Tak, odpowiedział Agelius, ale motyka nie tworzy tak mocnego kurzu jak pług i stąpanie wołu, a kurz ten jak wiesz lepiéj jeszcze osłania kiełek niż sam cień gałęzi.

— Lecz woły zbyt głębokie wyorują bruzdy i tym sposobem niszczą winnice.

— Napróżno się z tobą sprzeczać stary gaduło, który utworzyłeś sobie swoją teoryą pierwéj jeszcze niż ja byłem na świecie, rzegł Agelius tonem wesołym i przeszedł do pobliskiego ogrodzenia. Tu także lubo w inny sposób objawiała się piękna pora roku, było to ogrodzenie niewielkie, tworzące park z samych róż, już przygotowywano tam bogaty zbiór liści różanych, z których wyciśnięta esencya stanowiła sławę tych okolic; inna gruppa robotników pracowała w tem ogrodzeniu pod dozorem człowieka w średnim wieku, który spełniał swój obowiązek z widoczną swobodą. Postać jego czynna i poważna znamionowała dzierżawcę lub samego rządcę. „Zawsze przy pracy kolego, rzekł jak gdybyś był niewolnikiem nie Rzymianinem, niewolnicy przecież nawet mają swoje saturnalie a ty zawsze zajęty i niemasz nigdy chwilki dla poświęcenia naszéj dobréj, wesołéj bogini, czemuż nie korzystasz z uciech miasta.“

— I pocóż mam to czynić Panie, rzekł Agelius, czyż nie znasz maxymy starego Himpsala, że nie trzeba gonić dwóch zajęcy razem, wszystko poszłoby w zaniedbanie, gdybym ja biegał do miasta, wszak

wziąłeś mnie do swojéj służby, żebym był tu, a nie tam, czyż nie prawda?

— Dobrze, odpowiedział tamten, ale w téj chwili Cesarstwo całe, geniusz Romy, zwyczaje kraju, a mianowicie miesiąc poświęcony wielkiéj bogini Astarte wzywają cię do zabaw; przecież znasz wiersz: *Parturit almus ager* czyń więc co natura po tobie wymaga, i nie stawiaj się w przeciwieństwie ze wszystkimi.

Wyraz smutku i pomięszania malował się na twarzy Ageliusa, pragnął się wytłomaczyć, ale wolał jednak ograniczyć się na tych słowach: Wina moja zdaje mi się łatwą do uniewinnienia w służącym.

O ja znam was, odpowiedział Witrykus, was Korybantów, Frygijczyków, Żydów i jak się tam nazywacie wszyscy, tyle jest dziś religij dziwacznych, ale lepiéj powieście się na drzwiach waszego domu, jeżeli wam tak życie się sprzykrzyło, bo czy można pojąć, żeby człowiek mający zdrowy rozum utrzymywał, że zabawa nic nie warta. Kiedy ja podobam sobie tutaj, odpowiedział Agelius, lubię wieś, która ci się zdaje tak nudną, a fałszywe wdzięki miasta nie mają dla mnie żadnego powabu; wszak gusta mogą być rozmaite.

— Och nie potrzebujesz nawet iść do miasta, odpowiedział Rządca, cała Sikka wylała się na pola, gaje i nad brzeg rzeki, podnieś tylko oczy człowieku, i dozwól ogarnąć się radości powszechnéj, poddaj się natchnieniom bogini, a ona cię napełni zachwyceniem.

Witrykus mówił prawdę, obchodzono bowiem w ówczas uroczyste święto Astarty, téj sławnéj bogini Kartagińskiéj i innych miast okolicznych, któréj cześć niedawno Heliogabal wprowadził do Rzymu, a która była tém samém co Junona Urania i Aphrodyta, stósownie jak ją sobie przedstawiał filozof, polityk lub człowiek pospolity. Szczytna idealna jak Urania, pyszna i rozkazująca jak Junona, powabna i urocza jak bogini zmysłowości i uciech.

— Oto mówił sam do siebie Witrykus, syn jednego z najwaleczniejszych żołnierzy Rzymu, którego w końcu życia jakieś piekielne bóstwo pchnęło wraz z całą rodziną w jedną z tysiącznych zabobonności, które obfitują tutaj jak węże, on sam wprawdzie niedługo jęczał pod tym wpływem, ale okrucieństwo bogów okazuje się w całéj mocy na młodych jego latoroślach; dobry to wprawdzie sługa, lecz zaraza weszła w szpik jego kości i stoczy go zupełnie. Uwagi jego podwładnego były wcale innego rodzaju: „nawet powietrze tchnie dziś grzechem, mówił on, dla czegoż muszę widzieć zepsucie miasta nawet w dziełach Boga! ta słodka natura, twór Przedwiecznego, czyż ma być w zmowie z szatanem i dopomagać obłędowi ludzkiemu. O piękne drzewa, cudne kwiaty, jaśniejące słońce i to wonne powietrze, w jakiejże niewoli pozostajecie, jakże musicie wzdychać za dniem uwolnienia; jesteście niewolnikami, chociaż nie dobrowolnymi jak człowiek, a jednak któż was użyje na cel szlachetniejszy, kiedyż skończy się ten stan powszechnego obłędu który się

samém trwaniem umacnia. Czyż doczekacie się jeszcze drogie przedmioty serca mojego téj chwili tak pożądanéj! Ale zapominam o sobie wśród tego dumania, drogi niepewne tego wieczora, lud bowiem wracać będzie tłumem z swoich uczt rozpustnych.“ — W istocie przerywane dźwięki instrumentów i głosów ludzkich rozległy się w pobliskim lesie, zdawało się że pochodzą od rozpierzchniętych tu i owdzie grup spacerujących, a cienie nocy coraz mocniejsze, uwydatniały światła, błyszczące i błąkające się wśród gałęzi.

Chatka Ageliusa stała z drugiéj strony drogi, okrążającej pagórek. Aby dojść do niéj musiał on iść przez jakiś czas prosto, ale zaledwo zrobił kilka kroków, spotkał grono młodych ludzi wracających z bezbożnych i wszetecznych zabaw. Mieli oni ubranie świąteczne, jeżeli nawet warto tak nazwać ich bezwstydne stroje, a na czole i ramionach nosili godła bałwochwalstwa. Kilku było pijanych, obok nich szły kobiety w liczniejszém jeszcze gronie.

— Czemu nie poszedłeś złożyć hołdu bogini, rzekł jeden z młodych ludzi do Ageliusa?

— Tęgi chłop! rzekł drugi, ale furye mózg mu pomięszały znam się na takich.

— Na Astartę, dodał trzeci, to jeden z tych chytrych Gnostyków, już ja widziałem go z tą jego miną łotrowską, jest to jeden z psów Plutona, krewny Cerbera, nazywa się Kannibal.

Wszyscy zaczęli krzyczéć Kannibal, Kannibal;! oto nasz przyjaciel który ciebie zna, pójdź z nami i

mówiący uderzył go dość mocno po raminniu. Agelius szedł wolno swoją drogą, a na zakręcie ścieszki wyprzedził ich szybko przeskakując na drugi brzeg. Już mniemał się być spokojnym, kiedy jedna z kobiet idących zawołała: Znam cię, znam cię, ty czarowniku, czyż nie widziałam jak robiłeś znak, który jest pewnym znakiem czarów, taki sam znak czyniła moja siostra, ta nierozsądna która przystała do ich sekty. Ona też także zawsze tak robiła (tu podrzeźniała znak krzyża świętego) to chrześcianin, zamordujcie go, on nas wszystkich czaruje, przemieni w zwierzęta. — Niech go Cerber udusi, rzekła druga on pije krew, a porwawszy kamień z drogi rzuciła nim za Ageliusem. Wszyscy zasypali go słowami pogardy i nienawiści. A gdzie jest *głowa ośla, zgaście światło, zgaście światło.* [1]) Powiesić go, powiesić, na krzyżu już teraz wiemy dla czego nie poszedł do doliny razem z uczciwemi ludźmi i rozpoczęli śpiew bluźnierczy, na który wzdryga się myśl nasza, a którego tém bardziéj nie śmielibyśmy tu powtórzyć.

[1]) Wykrzykniki potwarcze, które odnoszą się do chrześciańskiego obrządku posądzanego o adcrowanie *głowy osła* i o oddawanie się największym rozpustom po *zagaszeniu światła*.

II.

Rodzina Agelliusa.

Czciciele Astarty szli daléj swą drogą, a Agelius podobnież pospieszał w swoją stronę, i w krótce dopadł swego skromnego i samotnego mieszkania. Był on starszym z dwóch synów legionisty rzymskiego, z drugiéj italskiej legii, który osiadł i ożenił się w Sicce przyjąwszy w końcu życia chrześciańską religię. Widok wytrwania kilku wyznawców Chrystusa, którzy ponieśli męki w Kartaginie podczas prześladowania Sewera, spowodował jego nawrócenie. Przeznaczony do ich strzeżenia wraz z kilku innymi żołnierzami, towarzyszył im na miejsce męki, aby wyroki władzy cywilnéj były dokładnie spełnione. Z tego to powodu nie przypadł na niego smutny obowiązek kata, od którego pomimo uczuć ludzkości jakiemi był przejęty, nie mógłby był się uwolnić. Pozostał jeszcze potém jakiś czas poganinem, nosząc w sercu wrażenie, jakie uczyniło na nim męczeństwo świętych. Po skończonych

latach służby wojskowej osiadł w Sicce, gdzie mieszkał przy kilku dobrych przyjaciołach. Ożenił się z kobietą rodem z Numidyi i żył tam z małego gruntu, którym go obdarzył rząd cesarski w nagrodę służby. Jeżeli potrzeba było doświadczeń dla rozwinięcia zarodów wiary rzuconych w jego serce, to zaiste znalazł je obficie w ciężkiém pożyciu z towarzyszką ostatnich lat swoich! W młodości może piękność tej niewiasty miałaby dla niego niejaki urok wśród życia obozowego, byłby to blask pochodni w ciemnym namiocie, ale dla biednego Strabona, przyciśnionego laty, spragnionego pokoju, złośliwa ta, przewrotna i namiętna kobieta była prawdziwym szatanem. I w istocie też oskarżano ją powszechnie o zostawanie w stosunkach z pomocą piekielną, a ona chlubiła się z tej sławy i postępowała coraz więcej w nienawiści Boga i ludzi, mogącej służyć za dowód tych posądzeń a przynajmniej upoważniającej do nich. — Im więcej dręczyła męża swojego im bardziej zagłębiała się w jakieś czarne i tajemnicze widzenia, tem więcej mąż jej szukał źródła innych pociech i skłaniał się do religii, która jedna uczy, jak czynić stosunek z tym światem niewidzialnym za pośrednictwem Nieba a nie piekła. Ciężkie te próby cisnące Strabona, łączyły cząstkę powodów ludzkich, do działań łaski, w jego zwróceniu się do chrześciaństwa; jestto z resztą rzeczą naturalną w człowieku jak on usposobionym, a mianowicie w żołnierzu. Dowiedział on się z wielką pociechą swego serca, iż przyjmując religię chrześciańską nie będzie zmuszony odnawiać

węzłów, które go tak męczyły, i że wolno mu jest przepędzić ostatnie lata życia w samotności i spoczynku. — Umarł więc chrześcianinem, a kiedy ostatni raz znajdował się na wieczerzy w zgromadzeniu wiernych, dozwolono mu wziąść przenajświętszy Sakrament do domu, aby tym sposobem mógł pożywać Ciało i Krew Pańską kilka razy przed śmiercią, a ksiądz, który mu udzielił ostatniego Namaszczenia, przyjął także wyznanie jego grzechów. Żegnając się z otaczającemi, prosił o przebaczenie wszystkich win swoich, i rozdzielił znaczne jałmużny pomiędzy ubogich. Stało to się 236 roku w czasie długiego pokoju, jakim cieszył się kościół a który nakoniec przerwanym został prześladowaniem Decyusza.

Pokój ten błogi, wydał szczęśliwe owoce dla chrześcian, liczba ich pomnożyła się w wielkich miastach i portach morskich; nabyli pewnego znaczenia równie w kupiectwie jak w administracyi rządowéj, rozszeszyli swoje stosunki rodzinne zachowując jednak zgodę z poganami. W prawdzie wstręt do imienia chrześcijanina trwał ciągle, ale osoby noszące to imie traktowane były ze względnością jaka się należy obywatelom kraju i w rzadkich tylko zdarzeniach, mianowicie podczas świąt pogańskich pojawiały się zajścia, w których nienawiść pogańska wybuchała chwilowo, jak tego widzieliśmy przykład w ostatnim rozdziale. Rozsądniejsi z pomiędzy nich, zaczęli pojmować potrzebę sprawiedliwości i tolerancyi, ale w miarę jak zmniejszała się pogarda pogan dla wyznawców Chrystusa, rosła też i

obawa wpływu tej wiary, nie ograniczając się już na obelgach pospólstwa, dążyli oni do potłumienia samego obrządku, bezbożność bowiem rosnąca klas niższych czyniła religię chrześciańską, jak to dobrze pojmowali ludzie stanu w monarchii pogańskiéj, siłą niebezpieczną, która urokiem zapału i fanatyzmu mogła przyciągnąć całe masy ku sobie.

Tak samo sądziły szkoły filozoficzne i dla tego od pięćdziesięciu lat, zajmowano się w nich wynalezieniem nowéj zasady umysłowéj i naukowéj dla oficialnego poganizmu. Ale chociaż wszystko przygotowywało nieuchronną walkę między naczelnikami religii państwa a nowym obrządkiem, który się coraz więcej rozszerzał, chrześcianie jednak tak świeccy jak duchowni indywidualnie zbliżyli się do innych członków społeczeństwa czyli do publiczności jakbyśmy dziś powiedzieli. Na zbliżenie to wpływało szczególniej usposobienie wielu chrześcian pełne obojętności, które nie gasząc wiary, ani nawet tego ognia świętego miłości, jaki szybko rozgorzałby w płomień heroizmu przy zdarzonej okazyi, w czasie jednak pokoju utrzymywało to zgubne rozwolnienie obyczajów graniczące prawie z zupełném zepsuciem.

Z jednej strony wielu przyjmowało Chrystusa z powodów ludzkich, skoro tylko ta zmiana wyznania nie pociągała za sobą ważnych strat doczesnych; z drugiej strony dzieci rodzin chrześciańskich rosły w tak wielkiém zaniedbaniu moralném i religijném, iż trudno byłoby powiedzieć, dla czego liczyły się do członków

tej boskiej religii. Małżeństwa mięszane podwajały jeszcze ten stan gorszący.

„Długi pokój wyraża się św. Cypryan mówiąc o tej epoce [1]) podał w zapomnienie zasady karności, które odebraliśmy z Nieba, każdy pracował tylko nad pomnożeniem swego majątku, nie pomnąc wcale na przykład wiernych za czasów Apostołów i na postępowanie jakie przystoi chrześcianom w każdym czasie; cała myśl ich zwroconą była ku zbieraniu bogactw i ku zadowolnieniu nienasyconej swojej chciwości. Gorliwość ducha przygasła w duchownych, wiara ostygła, miłość znikła z uczynków, a karność nie rządziła już obyczajami. Kobiety malowały się, mężczyzni farbowali włosy, brwi, brodę, jakby chcąc poprawiać dzieło Stwórcy. — Wynajdowano tysiące podstępów dla podejścia dusz prostych, stawiano zasadzki na łatwowiernych braci, oddawano na hańbę ciała chrześciańskie, zawierając małżeństwa z niewiernemi; przysięgano nadaremnie a nawet czyniono krzywoprzysięztwa; pogardzano zuchwale przełożonymi, rzucając na siebie obelgi, złorzecząc sobie wzajemnie, lub trwając w zaciętéj nienawiści Wielu Biskupów zamiast napominać drugich i stawać się dla nich przykładem, zaniedbywało sprawę boską zajmując się korzyściami doczesnemi, opuszczając miejsce swojej rezydencyi i poświęcając czas należny owieczkom, zwiedzaniu jarmarków i kupieckim frymarkom. Bracia umierający z głodu nie wzruszali ich wcale,

[1]) Vid. st. cypr. de Lapsis.

obfitować w bogactwo, było jedynym ich celem, ciągnąć nieprawe dochody z ziemi i pomnażać zysk lichwą.“

O ile ten upadek moralny równając prawie chrześcian z poganami, sprzyjał ich rozszerzaniu się w wielkich miastach, o tyle znów wpływał na zniszczenie religii po wsiach i uboższych miasteczkach, nie było bowiem komu utrzymywać kościołów i podejmować starań koło obrządku, który wymagał znacznych poświęceń. — Kartagina, Utyka, Hipona, Milewa czyli Koruba były miejscami, daleko ponętniejszemi dla duchownych, niż inne miasta afrykańskie, których nazwy barbarzyńskie dziś jeszcze przerażają ucznia teologii studiującego akta koncyliów. Powołania bywały rzadkie; stolice biskupie nieosadzone, a zebrania dawniej regularne, nie istniały już wcale. Tak było właśnie z Biskupstwem w Sycce. W czasie naszego opowiadania historya nie wzmiankuje o żadnym Biskupie, któryby spełniał obowiązki pasterskie; ostatni starzec przyjemny w obcowaniu posiadał wielką rozległość ziemi wolnéj i zajmował się głównie zbieraniem pszenicy i sprzedażą jéj na targach Rzymskich z zaniedbaniem zupełnem swych obowiązków duchownych. Pomocnik jego wsławiony za młodu zręcznością w sztuce polowania brał gorliwy udział w łapaniu lwów i panter dla amfiteatru rzymskiego, co w istocie było czynem miłosierdzia względem mieszkańców okolicznych Sikki. Dla braku księży Biskup spełniał do śmierci obowiązki Proboszcza, z czasem zaniedbano chrzić dzieci i Kate-

chumenów, wiara gasła w rodzicach, a grzeszników nikt nie zachęcał do pokuty. W ówczas kwitnęła szkoła Tertulianistów, która grozila wieczném potępieniem wszystkim wyznającym wiarę katolicką, a przez to szerzyła postrach w wielu umysłach słabych. Były także rozmaite sekty Gnostyków, do których należeli młodzi ludzie najśmielszych zdań i wyćwiczeni w rozumowaniu.

Zwolna jednak pokolenie to całe niewierne i zobojętniałe, które pozostało po pięknych dniach pierwotnego kościoła Afryki, gasło zupełnie tak, iż trudno było powiedzieć, kto stanowił kościół Sikki w 250 roku. — Nie było ani Biskupa, ani księdza, ani Dyakona, pozostał tylko stary Zakrystyan wraz z dwiema lub trzema pobożnemi kobietami, wychowanemi w zasadach religii przez cnotliwe matki i kilku niewolników trzymających się wiary chrześciańskiéj, bez jéj gruntownego poznania. Mnóstwo osób zrodzonych w katolicyzmie pozostawało w zupełnéj obojętności i w usposobieniu do zamieniania swéj wiary na pogańską, skoroby tego zażądano od nich.

W takim to świecie żył Agelius i brat jego Juba, a wkrótce zobaczymy jakie prawo miał jeden i drugi do noszenia nazwy chrześcijanina. W chwili śmierci ich Ojca, młodszy liczył około lat ośmiu, a starszy siedm, obadwa oddani zostali pod opiekę stryja, którego pobyt w Sicce był jednym z powodów, dla których Strabon tam zamieszkał; człowiek ten posiadając mały kapitał zajmował się handlem bałwanów, czyli

figur bożków mniejszych lub większych i rozmaitych przedmiotów zabobonnéj czci pogańskiéj. — Ojciec jego przybył do Kartaginy jako jeden z przybocznych ówczesnego Prokonsula, on zaś uważając niepodobieństwo zrobienia sobie pozycyi w rządzie, otworzył sklep z posążkami w Sicce. Nieznaną wówczas była owa biegłość nowożytna, która dozwala dziś jednemu miastu angielskiemu zaopatrzyć wszystkie targi wschodu pogańskiego, towarami tego rodzaju; Jukundus więc posiłkował się pracą kilku artystów, których powołał do siebie z obcych krajów; a mianowicie, jednę grecką rodzinę złożoną z brata i siostry, która przybyła z wyspy leżącéj u brzegów Azyi. Jukundus był człowiekiem łagodnego charakteru, pobłażającym dla siebie samego, ale pozytywnym i gorąco przywiązanym do obrządku panującego, który uważał jako prawo obowiązujące w kraju i jako zasadę żywotną Państwa. Lubo pełen życzliwości dla osieroconych swych synowców, nienawidził jednak z całéj duszy (co uważał za swój obowiązek) tych śmiesznych powieści o wróżkach i téj ciemnéj hypokryzyi, jakiéj według jego zdania biedny Strabon oddał na pastwę swoje dzieci; gdyby od niego było zależało, byłby zapewne zwrócił ich ojczyźnie i bogom ich ojców. Ale malce te (zwykł był mawiać potrząsając głową) niezmiernie są trudne do prowadzenia; każdy w innym sposobie. — Agelius był przekonany o prawdzie swéj wiary, Juba znów miał wstręt do wszystkich opinij religijnych nawet do poganizmu, kiedy mu go chciano narzucić. Lata nie zmieniały tego

usposobienia, pozostał Katechumenem, bo był nim przed dojściem do rozumu; ale jak z jednéj strony żadna siła nie mogłaby go była posunąć na drodze wiary, tak też równie żadna nie mogła go z téj drogi sprowadzić. Był on jak przywiązany do drzwi kościoła i widać zadowolniony z niepodległości swego umysłu. — Niepostrzeżenie jednak zbliżył się stopniowo do swojéj matki, odnowił z nią stósunki po śmierci ojca, nakoniec przyszedł do tego że w nic nie wierzył, nawet w siłę złego, i możnaby śmiało powiedzieć, iż młodzieniec ten w skutek swego sceptycyzmu, bliskim był prawie utraty władz rozumu.

Przeciwnie Agelius mając zaledwie lat sześć pragnął usilnie chrztu i okazywał gorliwość, która przeraziła ojca jego, spokojnych i obojętnych usposobień starca, nalegał aby go uczono katechizmu, i przez niego nawet biedny Biskup nie zdążył złożyć zboża swego na okręt, który je miał odstawić do Włoch. — Po chrzcie Agelius otrzymał bierzmowanie i przyjął św. Eucharystią. Ale natura dziecka jest słabą i zmienną, w miarę, jak zbliżał się do lat młodzieńczych, słabły w nim dobre usposobienia dziecinne, chociaż sachowywał jeszcze całą gorącość pierwotnéj wiary.—Nie było nikogo coby go zachęcał do gorliwości, brakło mu przykładów i napomnień, przyjaciele jego ojca ograniczyli swoją opiekę na tém, iż wyrobili mu na lat kilka posiadanie ziemi, kiórą dzierżył od rządu cesarskiego Strabon jako weteran.

Obok starań jakich wymagała ta mała własność, Agelius sprawował jeszcze inne obowiązki. Długie lata pomyślności téj prowincyi przymnożyły Sicce bogatych mieszkańców. Administratorowie, dostarczyciele żywności dla wojska, wszyscy prawie urzędnicy przyszli do znacznych majątków i pobudowali sobie domy za miastem. Wielu krajowców porzuciwszy służbę pobrało w dzierżawę dobra prywatne cesarskie, stając się przez to pół-właścicielami żyznych pól i pięknych ogrodów. Tak uczynił ten, który jak widzieliśmy używał Ageliusza do swojéj służby. Był on pierwéj w biórze kwestora czyli Prokuratora, któryto urząd wtenczas zaczął nabierać ważności. Pola jego dotykały chatki Ageliusza, przyjął go więc na swego ekonoma, jużto ze względu na zasługi Strabona, jużto że uważał w synie szczególne usposobienie do zatrudnień rolniczych.

Takiem było położenie Ageliusa w 22 roku życia jego, jakkolwiek zaszczytne samo przez się i w sposobie jakim go otrzymał, nie mogło ono jednak wpłynąć na podniesienie ducha jego i na rozjaśnienie wewnętrznych przekonań. —Zaledwie zdawał sobie z nich sprawę lubo był szczerze przywiązany do swojej wiary jak powiedzieliśmy, brzydził się występkiem i niemoralnością, w jakiéj pogrążoną była cała Sikka. Pierwszy szkodliwy wpływ mógł albo zachwiać jego cnotę, albo przerazić tak zbawiennie jego duszę, iżby poszukał miejsca bezpieczniejszego i właściwszego dla siebie. — Dotąd jednak pozostawał ciągle w tém usposobieniu, — mało znany od otaczających, którzy nawet

nie wiedzieli dokładnie jakiej był religii, lubo jego stronienie od uczt pogańskich zwracało powszechną uwagę. Nie krył się wszakże ze swojém wyznaniem, ale roztargniony świat miasta nie zadawał sobie pracy, aby je rozpoznać. Istniało wówczas mnóstwo rozmaitych obrządków osobnych, tysiące sekt tajemnych, które odrywały swoich wyznawców od czci publicznéj. W oczach ludu Rzymskiego religia katolicka była jedną z tych sekt; natura bowiem prawdziwa Chrześciaństwa uwydatniała się tylko w chwilach ważnych, kiedy magistratura publiczna nakazywała jaki akt bałwochwalczy. Wówczas to widziano jak różniła się od wszystkich opinij religijnych tém, co nazywano powszechnie szalonym i oburzającym uporem, przekładając męki i śmierć samę nad spełnienie jakiéj ceremonii wesołéj, tkliwéj, a nawet obojętnéj, którą tradycya wieków uświęciła.

III.

w Chatce.

Chatka, do któréj zdążał Agelius jak powiedzieliśmy wyżéj, była mieszkaniem z cegły o jednej tylko izbie z poddaszem i kuchnią, w podobieństwie do tego świętego ustronia, które przyjęło niegdyś Słowo Przedwieczne, będące zarazem człowiekiem z Matką swą Przenajświętszą Dziewicą i Ich opiekunem Józefem. Chatka ta zbudowaną była na pochyłości pagórka i wbrew zwyczajom włoskim podwórze tworzyło piękny trawnik. Z jednej strony rosło wspaniałe drzewo palmowe utrzymujące się pomimo oddalenia od wód, a z drugiéj grupa drzew pomarańczowych stanowiąca jakby pierwszy plan bogatego krajobrazu, który opisaliśmy w przeszłym rozdziale. Grządki ustrojone były w lilie, bakarydy koloru purpurowego i bursztynowego, pomarańczki złocone, pąsowe helidony (jaskółcze ziele) oraz w irysy prążkowate. Przy murze domu rosły granaty z karmazynowemi kwiatami, pothos czyli

jasmin gwiaździsty i grenawilla, kwiatek symboliczny cierpienia, bardzo właściwy domowi chrześcijańskiemu. Byłto niejako znak tego co zwiedzający mógł znaleźć wewnątrz; na murze bowiem widziałeś odmalowany grubo krzyż czerwony otoczony gołąbkami jak to dziś jeszcze widzieć można na pomnikach z czasów pierwotnych chrześcijańskich, pokój, jakiego oddawna używał kościół, zatarł prawie pamięć prześladowania a chrześcijanie lubo zawsze przezorni w domach swych jednak spełniali praktyki religijne tak wolno jak my je dziś spełniamy w Anglii, gdzie nie lękamy się zamieszczać krucyfiksów równie w kościołach jak w domach naszych, chociaż nie lubimy wystawiać przed oczy tłumu i ulicznéj zgrai tych świętych przedmiotów. Pod krzyżem wisiały dwa czy trzy obrazy a raczéj szkice, obraz Matki Najświętszéj nieco wykończeńszy przedstawiał Ją modlącą się a obok niéj z prawej strony Piotra św. z lewéj zaś Pawła; pod tym obrazem napisane było grubym charakterem *Advocata nostra* (Orędowniczko nasza) — jestto tytuł jaki najdawniejsza starożytność nadawała Matce Boskiéj. Na ławce leżało małe pudełeczko zawierające dwa czy trzy zwitki pargaminu, widać było, iż go używano ale z wielkiém poszanowaniem, był to bowiem Psałterz oraz Ewangelia św. Łukasza i list św. Pawła do Rzymu w starym łacińskim przekładzie, Ewangelia pokryta była piękną okładką i miała brzegi pozłacane. — W izbie widziałeś sprzęty właściwe mieszkańcowi wsi, kilka krzeseł, kilka ławek, stół, a w kącie posłanie

z liści suchych i trzciny przykryte karmazynową kołdrą; daléj były dwa młynki przymocowane do belki, zaopatrzone rączką, za pomocą któréj mełło się zboże. Stały tam jeszcze narzędzia ogrodnicze, tu i owdzie porozkładane pudełka z nasionami, naczynia z syropem przygotowanym do leczenia ukąszeń Skorpiona i równie inna roślina na ten sam cel przysposobiona zwana Anagallis z rodzaju trucizn roślinnych; ziele to wisiało u belki razem z grubą wiązką innego ziela zwanego Afsirtiphua podobną z rodzaju naszego rumianku, a a którego kwiatki mniejsze ale bardziéj pachnące, służyły za lekarstwo przeciw febrze. Wisiały tam także obfite gałązki rodzynków zwanych duracine a przy drzwiach gałązka psylionu zielonego do wyganiania małych robaczków.

Biedny Agelius uczuł głęboką sprzeczność między bezbożnym zgiełkiem, który go ścigał, a słodką ciszą, w którą wchodził w téj chwili, a jednak i ta ostatnia nie mogła napełnić jego serca spokojem, ani w chatce ani wewnątrz niej nie znajdował żadnej ulgi dla siebie. Samotny w swojém ustroniu, samotny w tłumie, nigdzie nie miał współczucia, nie miał serc, któreby biły harmonijnie z jego sercem, nie miał przyjaciół, z którymiby mógł podzielać swoje radości i swoje smutki, którzyby mu udzielili dobréj rady; dusz któreby go zrozumiały; lub przynajmniéj któreby go mogły wesprzyć i pojąć, chociażby różnego były usposobienia.

Ciężka to zaprawdę próba pozostawać w takiém opuszczeniu a jeszcze w wieku młodzieńczym; kiedy taki brak doświadczenia, a dusza ulega tak łatwo wpływom smutku i zepsucia. Jakże zbawienną byłoby rzeczą dla Ageliusa, gdyby był wstanie korzystać z dobrodziejstw spowiedzi, uważając nawet tylko naturalne skutki tego Sakramentu, a cóż dopiéro mówić o wyższych i nadprzyrodzonych pociechach, jakieby tam zaczerpnął. Lecz on dotąd nigdy jeszcze nie przystępował do trybunału pokuty, lubo kilka razy był obecnym tak zwanéj Homologezie czyli spowiedzi publicznéj w kościele.

Cóż więc dziwnego, iż biedny młodzieniec traci odwagę i zaczyna się niecierpliwić w tak ciężkich próbach i nasze serca śledzić go zapewnie będą ze współczuciem a nawet z litością szukając starannie w każdym zakątku małego świata jego towarzyskich stosunków, chociaż kilku istot, w którychby rozmowie wyczerpał cokolwiek spokoju, z któremi mógłby mieć jakąś zamianę myśli, życzeń i uczuć. — „Nikt nie dba o mnie, mówił siadając na prostéj ławie, nikomu nie jestem potrzebny, pędzę życie pustelnicze jak Eliasz lub Jan Chrzciciel, nie mając ich powołania; ale i Eliasz uczuł jak trudno być jednym przeciw wielu, a Jan zapytał się nakoniec Zbawiciela: „Tyżeś jest, który ma przyjść.“ Mamże zawsze żyć ze znajomością prawdy a nie doznać z niej pociechy, mamże należeć do wielkiéj rodziny boskiéj a nie widzieć ani jednego z jéj członków.“

Dusza jego przepełniona była boleścią, ale nagle rozważania inny zupełnie bieg przybrały i rzekł do siebie. Czemuż nie porzucam Sikki? cóż mię tu przywiązuje do folwarku mego Ojca? młody jestem, dla czegóż miejsce miałoby mię więzić, czemuż nie idę do Kartaginy, Hipony, Cyrty, gdzie chrześcijanie są tak liczni? Tu zatrzymał się tak szybko, jak szybko zaczął mówić, i dziwne jakieś uczucie, jakieś wzruszenie pomięszane z boleścią przeniknęło jego duszę... Nie śmiał już daléj rozwijać swoich myśli, ani odpowiadać sobie na własne zapytania i wpadł w jakieś głębokie zwątpienie, które potłumiło w nim chwilową prawie zdolność myślenia.

A jednak, nie trać odwagi drogi pustelniku chociaż nie jesteś bohaterem, jest ktoś, co czuwa nad tobą, lepiéj niżbyś ty sam zdołał; jest ktoś, co cię kocha więcéj niż ty kochasz sam siebie; oddaj się jego opiece, On cię widzi, On schylony jest ponad tobą jak matka czuła, i podziela twoje cierpienia. Jego anioł, który jest zarazem twoim, poddaje ci dobre myśli. On zna twoją słabość, przewiduje twoje błędy, ale trzyma cię niejako za rękę i nie wyrwiesz mu się, nie możesz mu się wyrwać. Ty zasłużyłeś przez twoją wiarę, którą tak szczerze i stale pielęgnujesz w pośród bałwochwalstwa, przez twoją czystość, która jak kwiat zachowała się w pośród zepsucia, żeby On pamiętał o Tobie w chwili smutku i znękania, a nieprzyjaciel twój nie przemoże ciebie.

Cóż znaczy ten uśmiech, który nagle rozjaśnił lica Ageliusa? była to jakby odpowiedź Ojca dziecięciu ukochanemu. Nie wiedział sam dla czego, ale chmura rozjaśniła się nad jego głową, zrobił znak krzyża św., a słodkie i ożywcze myśli napełniły jego duszę; wezwał św. Imienia Jezus, a Ono rozlało jakby balsam w jego sercu i powstał z ławki i rzucił się na kolana przed potężnym znakiem Odkupienia i mówił modlitwy wieczorne.

IV.

Dwaj Bracia.

Od niepamiętnych czasów nie modlił się Agelius tak gorąco, jak tego wieczora. Wstał nakoniec i zapalił glinianą lampkę która oświeciła pokój bladem światłem i ukazała Jubę siedzącego przy drzwiach i przybyłego zcicha podczas modlitwy brata. — Zasmucił się Agelius — już więc nie zachowa tych uczuć pokoju i rezygnacyi, które przed chwilą napełniły jego duszę i z któremi pragnął udać się na spoczynek. Niestety! na tym świecie pociechy nasze służą zwykle tylko na uzbrojenie nas przeciwko cierpieniom.

Juba, byłto młodzieniec wysokiego wzrostu, ze spojrzeniem dzikiém, cery ogorzałéj, siedział z twarzą obróconą ku pułapowi i potrząsał głową ruszając ramionami, ściskając usta i zakładając ręce na krzyż. Wszystkim tym ruchom towarzyszył śmiech głuchy i dziki zarazem,

— Ha, ha, ha! — rzekł, klęczysz Ageliuszu.

— A czemuż nie mam klęczéć odpowiedział Agelius, wszak to godzina wieczornéj modlitwy.

— Każdy ma swój sposób widzenia, rzekł Juba, ale dla człowieka bez uprzedzeń jest coś służebniczego w tym akcie.

— Nie wyznajesz więc żadnéj religii Jubo, rzekł brat z żywością.

— Może tak, może nie, odpowiedział Juba w każdym razie nie będzie to religia podła, nikczemna pełzająca, bądź pewien. —

— Ale cóż cię tu sprowadza o téj godzinie, rzekł Agelius, kto cię tu wołał?

Przychodzę kiedy mi się podoba i odchodzę tak samo; nie zdaję rachunku z czynów moich nikomu, żadnemu bogu, człowiekowi, djabłu albo księdzu, tém mniéj téż tobie — jakie prawo masz mnie zapytywać?

— Juba! rzekł Agelius, z takiém usbosobieniem nie znajdziesz ani pokoju, ani pociechy w tém życiu, nie mówiąc już nawet o życiu przyszłem.

Juba milczał przez chwilę gryząc paznokcie ze śmiechem; rzucając spojrzenie ukośne ku ziemi.

Nie pragnę nic więcéj nad to co mam rzekł, jestem zadowolony. —

— Zadowolony z siebie odpowiedział Agelius?

— A czyż potrzebuję być zadowolonym z czego innego?

— A Twórca twój, czy téż zadowolony z ciebie?

— Twórca? rzekł Juba podnosząc głowę z wyrazem wyższości. Twórcę uważam jako czyste urojenie.

— O mój bracie, zawołał Agelius, nie trwaj w téj nieszczęśliwéj drodze.

Nie trwać? któż wie czym ją zaczął; kto ma prawo narzucać mi przekonania? czyż tak powszechnie przyjętą jest ta wiara w Twórcę? któż ją wymyślił, wszak to chrześcijanie. Tak, to oni zrobili to piękne odkrycie, świat istniał jednak bardzo dobrze bez tego. A teraz — któż zaczął tę sprzeczkę, wszak ty sam?

— Gdyby i tak było, odpowiedział Agelius, ale to nie prawda; ty sam zacząłeś ją twojém przybyciem; jakiż masz interes, jakim prawem zakłócasz godziny mego spoczynku?

Nie można było dostrzedz żadnego śladu gniewu w Jubie, żadne uczucie nie miało do niego przystępu był on jak kamień. Za całą odpowiedź wskazał ręką w kierunku lasu, i wyrzekł te słowa: „byłem tam.“

Wyraz głębokiéj boleści rozlał się na twarzy Ageliusa, milczał chwilę, nakoniec rzekł: Wątpię, żebyś był u naszéj biednéj Matki.

— Owszem. I nastąpiło znów milczenie, po którém Agelius na nowo rozpoczął rozmowę. Dziwnie upadłeś Jubo w tych ostatnich latach. Juba kiwnął głową i założył jednę nogę na drugą.

— Był czas kiedy myślałem, że przyjmiesz chrzest mówił daléj brat jego.

— To był moment słabości, odpowiedział Juba, było to niedługo przed śmiercią starego Biskupa; jego dobroć ujęła mię, byłem jeszcze dzieckiem, przemówił do mnie kilka słów słodkich, które spowodowały moją chwilową powolność.

— O czemuż nie dozwolił ci Bóg pójść za tém natchnieniem!

Juba przez ten czas odzyskał swoją wyniosłość. Skoro przeszło uniesienie, rzekł, pojąłem jaśniej rzeczy, nie każdy może posiadać siłę charakteru i zdaje mi się, że na drodze logicznéj dochodzi się do zupełnie innéj konkluzyi, (tu ruszał głową to w prawo to w lewo, jak gdyby w istocie mnóstwo z niej wyprowadzał wniosków).

— Dobrze, rzekł Agelius ziewając, spragniony końca téj przykréj rozmowy; — teraz jeszcze pytam się ciebie, co cię tu sprowadza tak późno?

— Szedłem do Jukundusa, odpowiedział, ale spotkawszy Sokoth Benoth (zabawy pogańskie) w lasku przy rzece, spóźniłem się w drodze. —

Odpowiedź ta znów zwróciła ich do dawnéj sprzeczki, Agelius zbladł: — biedny bracie! cóż ty tam miałeś do czynienia?

— Chciałem widzieć świat, odpowiedział Juba, człowiek powinien go widzieć, czemuż go nie miałem zobaczyć, a jaka zabawa! jakie głupcy! jakie szaleńcy! gardzę nimi wszystkiemi; widziałem ich kręcących się w koło lub leżących jak karmne wieprze. Małpy i wieprze prawdziwe! a jednak skoro mi się spodoba

ja tak uczynię, jak inni, upiję się jak oni; wszak jestem panem mojéj osoby i nie widzę w tém nic złego.

— Nic złego! więc to nie jest złém, czynić się podobnym do małpy lub wieprza. —

— Ty nie pojmujesz zdrowo natury ludzkiéj; odpowiedział Juba z miną zadowolenia — pierwszym obowiązkiem naszym jest szukać naszego własnego szczęścia, jeśli się komu zdaje, że jest szczęśliwszym będąc wieprzem, niech będzie wieprzem; jaki ty masz umysł ciasny, powiadam ci że spróbuję skoro mi tylko przyjdzie ochota i skoro w tém zobaczę moje szczęście.

— Szczęście! zawołał Agelius, gdzież nabrałeś tak nikczemnych wyobrażeń, że możesz nazywać szczęściem takie poniżenie!?

— Ty nie rozumiesz tego, odrzekł Juba, ani nie widziałeś i nie doświadczałeś tego wszystkiego; gdybyśbył doświadczał, byłbyś więcéj wart, niż jesteś. Zabobon cię obłąkał. Wolałbym upijać się codzień, niż korzyć się tak na czworakach jak ty, czołgając się jak robak i płacząc jak pies, którego obito.

— Przysięgam ci na życie moje — ani słowa więcej. — Wychodź z tąd natychmiast, krzyknął Agelius porywając się gwałtownie, wychodź, zostaw mnie, poco przyszedłeś tu bluźnić, kto ciebie potrzebował, kto ciebie wołał? powtarzam wychodź z tąd — czego stoisz jeszcze — zachowaj te mowy rozpustne dla innych.

— Nie krzycz; jestem tak dobry jak i ty.

— Ja nie chcę uchodzić za wzór, odpowiedział Agelius, ale nie podobna przecież mięszać chrześcijanina z niewiernym jak ty czynisz.

— Chrześcijanin i niewierny, powtórzył Juba, ja myślę, że jak tylko oni się zbliżają, to jeden wart drugiego — i spojrzał badawczo na Ageliusa z widocznem przekonaniem że dotknął palcem rany, potem dodał: gdybym był chrześcijaninem byłbym nim szczerze, w przeciwnym razie byłbym uczciwym poganinem.

Lekki rumieniec okrył lice Ageliusa i usiadł jak gdyby chciał ukryć wewnętrzne pomięszanie.

— Gardzę tobą, rzekł Juba, nie masz odwagi być chrześcijaninem; bądź konsekwentnym i daj się umęczyć, ale ty nie masz tego charakteru, boisz się zawsze stryja, a do tego jeszcze dajesz się czarować tym pięknym oczom; o których znów, kiedy ci się podoba, robisz bardzo poważne uwagi. Gardzę tobą, tak, gardzę tobą i całém twojém otoczeniem — powiedz mi jaka jest różnica między wami a innemi ludźmi, wy mówicie: świat jest próżnością, życie snem, bogactwa ułudą, rozkosze zasadzką, fratres charissimi dodajecie, czas krótki, ale któż więcéj kocha świat, bogactwa, rozkosze niż wy, wy wszyscy tak samo jesteście przywiązani do świata, do bogactw, tak chciwi sławy i władzy jak ci poczciwi poganie, którzy podług was idą drogą do przepaści wiodącą.

— Co innego jest mieć sumienie, odpowiedział Agelius, a co innego słuchać jego głosu, biedny lud

ten ma także sumienie, ale pełne ciemnoty; i ty także miałeś kiedyś sumienie.

— Sumienie, sumienie! pomruknął Juba, o w istocie miałem kiedyś, tak, przypominam sobie, dreszcz przebiegał po mnie, zęby szczekały i trząsłem się, niegdyś miałem ból w nodze i kulałem na nią. Tak samo też i z sumieniem, o tak, miałem i nie jedno, i białe, i czarne, i żółte i zielone, a jedno nie było więcéj warte od drugiego — ale nakoniec wszystkie znikły i nie mam żadnego.

Agelius nic już nie odpowiedział, widać było tylko wyraźnie, że pragnie pozbyć się niemiłego gościa.

— Mówiąc serjo, rzekł znowu Juba, powiem ci, że religia była dla mnie jakiś czas jakby modą, która przeszła, była to barwa właściwa jednéj epoce mego życia, to jednak nie czyniło mię ani lepszym ani gorszym, uważam ją za rzecz przypadkową jak gładkość mego lica, która już przechodzi. To mówiąc pogładził zmizerniałe i zapadłe policzki. Postępowałem stosownie do tego uczucia, póki ono trwało, ale nie mogę go przecież przywrócić jak nie mogę przywrócić zębów, lub meszku, który pokrywał mój podbródek w dzieciństwie, czas ten już daleko w przeszłości. — Agelius milczał ciągle równie ze znużenia jak ze wstrętu. Juba spojrzał na niego znacząco i dodał powoli: ja ciebie rozumiem, mam przecięż dosyć przebiegłości, aby poznać, że pod względem religii ty nie jesteś więcéj wierzącym odemnie.

— Nie mów tak pod moim dachem, zawołał Agelius czując, że tych słów brata nie powinien zostawić bez odpowiedzi, popełniłem zapewne wiele grzechów, ale nie wyrzekłem się nigdy méj wiary.

Juba pochylił głowę: zdaje mi się że mnie oszukać nie można, ja się nie mylę, ale ty zanadto jesteś pysznym, żebyś się do tego przyznał jest to jedna z twoich małych hypokryzyj.

— Niech i tak będzie, odparł Agelius, ale skończmy już, coraz jest ciemniéj, czekać cię będą w domu. Jukundus mógłby być niespokojny, a twoi weseli przyjaciele gotowi cię napaść w drodze. Ale dla czego nie masz obówia mój przyjacielu, dodał zadziwiony, skorpiony przyczepią się niezawodnie do twoich nóg w ciemności, poczekaj, owinę je słomą.

Nie boję ja się skorpionów, które nawet Boola-Kog i Uffah szanować muszą.

To powiedziawszy wyszedł, tak obojętnie jak wszedł, idąc drogą ku miastu i mówiąc coś sam do siebie, kiedy już był daleko, zaczął nucić strofy jakiejś dzikiéj piosenki, a w przestankach poruszał głową i wybuchał szalonym śmiechem. Nie pilnując się ścieszki szedł przez łąki mokre i zarosłe przeskując lekkim skokiem wąwóz, który przedziela wielką drogę od pagórka, dążąc przyspiewywał sobie.

Nagle śpiew ten przerwał szelest pod jego nogami. Juba zobaczył gad jakiś uciekający przed nim; nie zdziwiło go to wcale, prędko wydobył z kieszeni małą figurkę metalową i szeptając do niéj jakieś taje-

mne słowa odstraszał nią uciekającą gadzinę, wszedł nakoniec na wysokość drogi, dosięgał miasta i znalazł się w mieszkaniu swego stryja, które graniczyło ze świątynią bogini Astarte.

V.

Pracownia Jukundusa.

Dom Jukundusa był zamknięty; podróżny, któryby zwiedzał jego wnętrze, byłby ujrzał najwspanialszy sklep w Sycce, prawdziwe Muzeum. Oprócz statuetek, które stanowiły główny jego handel, były tam bronzy, mozajki, klejnoty, wszystko należące do obrządku bałwochwalczego. Był to widok bardzo powabny, tysiączne kolory malowideł jaśniały w pośród błyszczących odbić złota, srebra, lub jasności alabastru, kości słoniowéj, gipsu, talku i szkła. — Sztuka i bogactwo walczyły tam o pierwszeństwo i mogły zadowolnić wszelkie gusta równie klasyczne jak barbarzyńskie, równie pospolite jak wyrafinowane, równie ówczesne jak starożytne. Tu znalazłeś proste godła potęg niewidzialnych jakie sztuka wydała w swojém dzieciństwie, a które uszanowanie dla przyszłości zachowało tajemniczy sześćjan marmurowy czczony przez Arabów; tu kolumnę wyrażającą Merkura lub Bachusa, ostrokrąg z szerokim spodem, Elogabala piramidę z Paphos i dachówkę czyli

cegłę Junony z niekształtnymi odłamami kamienia, na którym była głowa ludzka przybrana w bogate materye, jakby dla przedstawienia kształtu człowieka. Daléj ukazywały się inne przedmioty, różne od poprzednich swoją lekkością, jako to: posążki Junony, Merkurego, Dyanny i Fortuny, które można było nosić na piersiach lub u pasa; bożki domowe zwane Lares, i inne tym podobne wizerunki jak Minerwy, Westy, w ładnych framugach albo raczéj w ramkach: były także korony czyli Nimby miedziane, które chroniły głowy bogów od niedoperzy i ptaków; pierścienie z wyobrażeniem Jowisza, Marsa, Słońca, Serapisa a szczególniéj Astarte, pierścionki Bazylidyjskie, amulety z drzewa i kości słoniowéj, figurki Demonów strasznéj brzydoty, małe szkielety i tysiące podobnych przedmiotów czci zabobonnéj, słowem do jakiegokolwiek należałbyś wyznania pogańskiego znalazłbyś tam bogate skarby do wyboru; chyba gdybyś nie podzielał żadnéj z téj czci bałwochwalczéj, wówczas życzyłbym ci tam przybyć wieczór, kiedy zmrok okrywa zarówno wszystkie szczegóły téj widowni oburzającéj myśl poważną.

W téj chwili jak powiedzieliśmy magazyn ten był zamknięty i zabezpieczony ciężkiemi i mocnemi okiennicami. Zostawmy go więc na boku, a wejdźmy sienią na prawo, którędy zajdziemy do skromnéj izby z oknami wychodzącemi na podwórze i łączącéj się z drugiéj strony z salą jadalną. Jukundus pożywał tam wesoło swoją wieczerzę, a w przekonaniu, że Gracye i Muzy lepiéj ożywiają ucztę, niż wielka liczba

ucztujących, zaprosił tylko dwóch swoich przyjaciół: młodego Arystona, pierwszego swego Artystę i Korneliusza, syna wyzwolenca, rodem Rzymianina. Ten ostatni przybył niedawno do Sikki opuszczając miasto cesarskie, gdzie, spędził najpiękniejsze lata swego życia dla objęcia tu znacznego miejsca w Zarządzie prokonsularnym. Potrawy, które tam zastawiono nie wszystkie byłyby może w smaku gastronomów nowożytnych; rodzynki z Takap i daktyle z jeziora Trytonickiego, figi białe i czarne, brzoskwinie i kawony, wszystko to równie łechtałoby podniebienie Anglika jak Afrykanina z III wieku, nie pogardziłby też winem palmowem z Getulii i sokiem wyciśniętym z owocu poetycznego zwanego Melilotus z nad brzegów Syrty. Mięsa także wydałyby mu się ponętne, ale pierwéj jeszcze byłby zapewne skosztował tak zwanych tam ogonów baranich, które miały smak podobny do móżdżku; byłby także oddał słuszność rybom z Maurytanii zwanym Muges tak suszonym jak marynowanym. Ale za to byłby się wachał zapewne skosztować kotletów ze lwa chociaż pachniały jak mięso cielęce i były z najlepszego gatunku, ponieważ je upolowano w kniejach cesarskich obfitujących w najpiękniejsze zwierzęta. Gdy jeszcze jak na uzupełnienie wstrętu podano coś na kształt budyniu szkockiego, jakieś Kock-a-leeky, w téj przyprawie ponętnéj wydawało się coś w kształcie małego pieska, którego łebek schylony był ku łapom: tu wyznać trzeba, że gość nasz nowożytny jużby dłużéj nie wytrzymał i porywając się od stołu byłby pewien, że

się znajduje w jaskini jakiejś czarownicy leśnéj. Na szczęście nie było tam żadnego Bretończyka, mieli oni tego wieczora zupełnie inne zatrudnienie, jako to: malować ciało pastelami [1]) lub téż zanurzać się po szyję w bagnach. Nic więc nie zmięszało pogody wieczerzy afrykańskiéj, oraz wesołości i ożywionéj rozmowy, która naturalnie towarzyszyła téj smacznéj zastawie. Korneliusz widział roku przeszłego igrzyska tak zwane wiekowe, gdyż się co sto lat powtarzały, nie mógł się o nich nagadać, równie jak o Rzymie samym, co zresztą jest rzeczą bardzo naturalną w obywatelu świetnéj stolicy Państwa Rzymskiego, pełnym jeszcze uczuć patryotycznych, jakie uroczystość ta w nim obudziła. „O Romo! mówił, wielka Romo, ty jesteś królową świata, nic ci zrównać nie może. Tak moi przyjaciele w cudnym widoku, który się przedstawił oczom moim przeszłego roku widziałem rękojmią jéj trwałości i jéj chwałę uosobioną, my umrzemy a ona żyć będzie, mniejsza o to, można umrzeć chętnie, można wypić spokojnie napój Sokratesa, albo otworzyć sobie żyły, skoro się widziało tak świetne igrzyska. Cóż jeszcze potem może przywiązywać człowieka do ziemi? Ja sam doświadczyłem tego na sobie, życie moje odtąd jest mdłem, bo wyczerpałem najsilniejsze jego wra-

[1]) Pastella jest to rodzaj rośliny, z której wyciska się ciecz mogąca zastąpić indygo używanie pastelli należy do najdawniejszych czasów, dawniéj Bretony malowali sobie niemi ciało.

żenia.“ Tu spełnił kielich. Doskonałe, wyborne z Tauromenium zapewne. [1]) Jeszcze jeden kielich na cześć Cesarza! wychylił go do dna i mówił tak daléj: Wystawcie sobie pole Marsowe oświecone od końca do końca, płaszczyzna niezmiernéj rozległości pokryta prześlicznemi gmachami otoczonemi mnóstwem gajów, alei drzew, świeżemi trawnikami, które skrapiają wody; niczego tam nie brakuje. Jeżeli chciecie widzieć najpiękniejsze świątynie, najrozleglejsze portyki, obszerne hypodromy, łuki tryumfalne, posągi, obeliski, wszystko tam znajdziecie. Z jednéj strony zadziwiającéj piękności mauzoleum Augusta, całe wyłożone białym marmurem, a nad brzegiem rzeki, sławny tam grobowiec Adryana, z drugiéj wspaniały Panteon Agrypy, jego pyszne kolumny z Syrakuzy i jego kopuła jaśniejąca srebrnemi dachówkami, daléj wznoszą się łaźnie Aleksandra z wspaniałym ogrodem. Ach mój przyjacielu zabrakłoby mi czasu na pożywanie téj wieczerzy, gdybym wam wszystko wyliczał. Daléj jeszcze są liczne świątynie zdobiące pagórek Kapitoliński, potem następuje wysoka kolumna Antonina z przyległą bazyliką, gdzie są pamiątki autentyczne prowincyi państwa, nawet imiona ich rządzców, których każdy ma władze i przywileje królewskie. Ale wróćmy do tego, od czego

---

[1]) Wino z Tauromenium, dawne miasto Sycylii na brzegach wschodnich na wschód Etny, między Mesyną i Katuną dziś Taormine.

zacząłem, wystawcie sobie mówię tę wspaniałą płaszczyznę oświeconą, każdą taką świątynię, każdy gmach, każdy lasek jaśniejący nieskończoną ilością lamp i błyszczących pochodni. Nie, nawet bogowie Olympu nic podobnego nie widzieli. Roma jest największą z bogiń; pośród nocy wszystko tam żyło i w godzinach właśnie, w których natura wyczerpana pogrąża się w spoczynku, Rzym rozpoczynał swoje ofiary i obchodził uroczystość dziesięcio-wiekowego swego istnienia. Skoro tylko z nad brzegu Tybru, na który wylądował Eneasz i Romulus, wzniósł się płomień ze stosu ofiar poświęconych Bogu, natychmiast dziesięć tysięcy instrumentów zabrzmiało w powietrzu i rozpoczęły się święte tańce ze wszech stron na trawnikach. Chociaż stary jestem, nie mogłem się oprzeć popędowi ogólnemu, tańczyliśmy trzy nocy, połowę na zakończenie ubiegłego tysiąca, a drugą połowę na rozpoczęcie następnego. Byli tylko sami obywatele, ani cudzoziemców, ani niewolników, bo to była uczta niejako familijna, uczta wszystkich Rzymian.

— I my także należeliśmy do téj uczty, rzekł Aryston bo Karakalla dał prawo obywatelstwa wszystkim ludziom wolnym całéj ziemi. My więc także jesteśmy Rzymianami Korneliuszu.

— To co innego, odpowiedział Korneliusz. To był tylko czyn łaskawości i względności; pod pewnym względem zgadzam się na to, ale zawsze ma to tylko znaczenie polityczne.

— O niezawodnie i głęboko polityczne, chciano ostrzydz z nas wełnę i dla tego rząd cesarski zrobił nas wszystkich Rzymianami; potrzebowano poddać nas pod taksę Rzymską w poborze podatków, a to jeszcze bez żadnéj ujmy w poborze, jaki przypadał na nas, z własnych naszych krain. Podwoiliście kontrybucye, a co do tego prawa obywatelstwa to w istocie bardzo rzecz ważna, na Herkulesa! znakomity przywilej, który posiada każdy pierwszy chłopak uliczny, aby tylko miał kapelusz na głowie.

— Oh, rzekł Korneliusz, trzeba tylko było widzieć orszak, który wyszedł z kapitolium o ile pamiętam, dążąc ku cyrkowi drogą świętą, było tam mnóstwo cudzoziemców i mieszkańców prowincyi, przybyłych z czterech stron świata, a jednak żaden nie łączył się do orszaku; można tam było od razu odróżnić prawdziwą krew Rzymską, młodą krew nowego pokolenia, nadzieję przyszłości, synów Patrycyuszów, rodziny konsulów i cesarzów, mówców, wojowników i ludzi stanu.

Piękna ta młodzież rozpoczynała pochód, niektórzy jechali konno po sześciu w rzędzie, ale największa ich liczba szła pieszo; daléj szły konie wyścigowe, wozy tryumfalne i szermierze przygotowani do rozmaitego rodzaju walk; cała szkoła Gladyatorów tak mistrze jak i uczniowie wszyscy mieli tuniki różowe, najświetniejsze zbroje, podzieleni na trzy roty, szli śpiewając i tańcząc Pyrrhykę, widziano ich też podczas uczt walczących w tysiące par, tak, nie mylę się tysiące

silnych zbrojnych szermierzy występowało przeciwko sobie. O! szkoda żeście ich nie widzieli, trudno bowiem sobie to wystawić; była tam także grupa satyrów, podrzeźniająca skokami i ruchami śmiesznymi poważne tańce tych, którzy ich poprzedzali, daléj następował oddział trębaczów i ofiarników, którzy prowadzili barany, byki, przybrane w najświetniejsze wstęgi, nakoniec przewodnicy, oprawcy, wróżbiarze i heroldowie. Na wozach srebrnych lub z kości słoniowéj ciągnionych przez lwy obłaskawione lub słonie, wieziono posągi bogów. Niepobna mi opowiedzieć wam w szczegółach całego porządku pochodu, ale co przechodzi wszystko to ów Hymn wieków, ów, Carmen Saeculare [1]) śpiewany przez 27 młodych patrycyuszów i tyleż dziwic, zebranych umyślnie z najświetniejszych rodzin dla uproszenia błogosławieństwa bogów Rzymskich. A któż naliczy szeregi kapłanów wieszczbiarzy, cały zaś pochód zakończał sam cesarz.

— Zaprawdę zauważył Jukundus, jeźli wszystko co o nim mówią nie jest kłamstwem to dobrze że już umarł.

---

[1]) *Carmen saeculare.* Igrzyska wiekowe dla tego tak były nazwane, iż obchodzono je co sto lat. August wyprawiał je roku 736 od założ. Rzymu. Horacyusz napisał hymn na cześć Apolina i Dyanny, którym te uroczystości były poświęcone, dwa chóry, jeden złożony z chłopców drugi z dziewczyn, śpiewały strofy tego hymnu kolejno lub razem.

— Wszyscy cesarze są dobrzy w swoim czasie i w swoim sposobie, odpowiedział Korneliusz, Filip był dobry wtedy, a Decyusz jest dobry teraz, niech go bogi mają w swojéj opiece.

Rozumiem cię, odpowiedział Aryston, żaden cesarz nie może być złym, aż dopiero umierając, wtedy staje się winnym, a śmierć jego jest pierwszym jego złym czynem, w istocie wstydzić się tego powinien, bo szczególnym biegiem rzeczy, śmierć zamienia wszystkie jego cnoty na występki.

— Ach! nie było lepszego cesarza jak nasz Gordian, rzekł Jukundus; to mi starzec szanowny, równie za życia jak po śmierci, a jaki opiekun handlu i sztuk, jakie miał pałace i zarazem ogromne dochody; poczciwy stary, niezmiernie go żałują równie jak i jego syna; nie zapomnę nigdy chwili w której dowiedzieliśmy się że umarł, było to wkrótce po śmierci tego starego szaleńca Strabona czyli mojego biednego brata, już jest temu około lat 13. Cała Afryka go płakała, już nie będzie drugiego Gordyana.

— To już stara filozofia, rzekł Ariston, Jukundusie trzebaby ci się uczyć na nowo, czyż nie widzisz, że teraz tylko to jest dobre co jest, a to co było nic nie warte. O fortuno! ciebie mianujemy boginią, *te nos facimus fortuna, deam*, mówi jeden z poetów. Ja też piję na zdrowie fortuny Rzymu dopóki ona trwa.

— Młody jesteś, odpowiedział Korneliusz, bardzo młody a do tego jeszcze jesteś Grekiem, ludzie twego narodu nie umieli nigdy pojąć Rzymian; bo też trudno

nas zrozumieć, jest to prawie jakby osobna umiejętność, patrz na ten medal młody człowieku, to pamiątka z uroczystości, czyż nie wspaniała, przeczytaj ten napis na jednéj stronie *Novum saeculum*, na drugiéj *Aeternitati*, zawsze nowa, zawsze niezniszczona. Cesarze przemijają, Roma pozostaje, Roma miasto wieczne. Nie jestże to prawdziwa filozofia?

W istocie to jest bardzo piękny medal, odpowiedział Ariston, przypatrując mu się i podając go gospodarzowi, mógłbyś z niego zrobić amulet (tajemniczą figurkę pogańską), Jukundusie, dodał. Ale co się tyczy wieczności, to wieleby jeszcze o tém było mówić, wszak i inne państwa były wieczne przed Rzymem; dziesięć wieków, to w istocie wieczność szanowna. Rzym już jest wiecznym i może umrzeć spokojnie bez żadnéj ujmy medalowi.

— Nie bluźnij, odpowiedział Korneliusz. Rzym jest pełen życia i wróży przyszłość świetniejszą niż kiedy. *Novum saeculum*, on ma wiek orła i potrzebuje tylko odnowić skrzydła, aby znów rozpocząć swój lot na drugie dziesięć wieków.

— Ale i Egiptu początek, przerwał Ariston, ginie w otchłani wieków, jeżli mamy wierzyć temu, co mówi stary Herodot, im więcéj cofniemy się w starożytność, tém więcéj naliczymy dynastyj Egipskich. A czyż nie dochodzą nas także nadzwyczajne podania o narodach żyjących poza Gangesem.

— Powiadam ci przyjacielu, odpowiedział Korneliusz, że Rzym jest miastem królów, on od razu po-

siada tyle władców w jednym roku, ile ich liczą wszystkie dynastye Egipskie razem; czemże jest Sezostrys i jego następcy, obok cesarzów, prefektów, prokonsulów i wszelkich dygnitarzy naszych? Oto Lukullus, Cezar, Pompejusz, Sulla, Tytus, Trajan! a czemże jest ta stara piramida Cheopsa? obok amfiteatru Wespazyana? czém Teby o stu bramach w porównaniu z owym złoconym domem Nerona. Czemże najwspanialszy pałac Sezostrysa lub Ptolomeusza? — to zaledwie Villa Rzymska drugiego rzędu, jaką posiada prawie każdy obywatel Rzymski. Domy nasze zajmują niekiedy całe włóki ziemi a wysokie są jak wieża babilońska, kolumny ich są tak liczne jak drzewa w lesie, a całe zastawione posągami i obrazami, mury, brukowania, wybicia i lamperje jaśnieją blaskiem najrzadszego marmuru w tysiącznych kolorach, fontanny wody różanéj wytryskują z posadzki, a ryby pływają w około sal naszych w sadzawkach kamiennych, zanim przyrządzą je na stoły nasze; na wieczerze jadamy głowy strusie, móżdżki pawiów wątroby z leszczów, mlecze z murenów, języki ptaków, roje słowików, gołąbków i figojadków, tworzą jeden wielki półmisek, a na największe uroczystości jadamy fenixa; rądle nasze są srebrne, zastawa złotą, wazy z onyxu, a puhary z drogich kamieni; pokoje nasze wybite są materyą purpurową tyryjską, a łóżka z kości słoniowéj. Najdoskonalsze wina z Włoch i Grecyi napełniają nasze kielichy, a najrzadsze kwiaty wieńczą nam głowy. Podczas uczt grona skoczków lidyjskich lub aktorzy z Aleksandryi za-

bawiają nasz umysł i nasze oczy, matrony i dziewice rzymskie zdobią swoją obecnością stoły, myją się w mleku oślem, ubierają się przed zwierciadłami tak wielkiemi jak stawy, a jaśnieją od stóp do głów bogatemi zapinkami czyli broszami, grzebieniami, naszyjnikami; kólczyki, bransoletki, pierścionki, pasy niewypowiedzianéj wytworności, a ich obówie wysadzane kamieniami i szmaragdami, dodają blasku wspaniałéj postawie. — Mamy niewolników tysiącami ze wszystkich części świata; wszystkie najdroższe towary przychodzą do Rzymu: guma z Arabii, wonna lawenda z Assyryi, Papyrus z Egiptu, drzewo cytrynowe z Maurytanii, bronz z Eginu, perły z Bretanii, złote sukno z Frygii, cienkie tkaniny z Koss, hafty z Babilonii, jedwabie z Persyi, skóry lwie z Getulii, wełna z Miletu, płaszcze z Galii. Żyjemy prawdziwie jak naród królewski bawiąc się tylko i przechodząc od uczty do uczty przez rok cały, nakoniec umieramy i palą nas, tak palą nas na stosach z cynamonu i z kassyi w owinięciach z amiantu. Szczytny zaiste koniec świetnego życia, i dla tego to Rzymianin zasługuje, żeby go nazywać wielkim; zaszczyty idą za nami wszędzie, wszędzie jesteśmy panami. O tak! kiedy tu przybyliśmy z Włoch przyjmowano nas wierzcie mi jak pół-bogów.

— Któż wie, rzekł Ariston, czy kiedy Rzym sam nie zgorzeje na stosie cynamonu i kassyi, i czy szanowna matka Roma z całym swoim bronzem korynckim i ze swymi szkarłatami i dziećmi swoimi, nie zgorzeje na stosie pogrzebowym? — Czyż nie taki był

koniec Babilonu, kiedy Persowie osuszyli ich rowy nieprzebyte. Tu przerwało rozmowę wejście kilku niewolników Jukundusa, którzy przynieśli inny zapas wina, większe kubki i wazę napełnioną śniegiem z Atlasu.

VI.

Sprzeczka polityczna.

Korneliusz nie zważał na słowa Greka. — Łowy na dzikiego zwierza, odparł, o! te łowy godne takiéj uczty, wartoby je widzieć Arystonie. Było to widowisko godne samych bogów! dwadzieścia dwa słoni, dziesięć panter, tyleż hyen, — zwierząt nowego rodzaju, które znacie tu już zapewne, dziesięć wielbłądo-lampartów [1]), jeden hipopotam, jeden słoń, że pominę resztę. Wyobraźcie sobie cyrk zasadzony na prędce drzewami i zamieniony w ogród pełen różnego rodzaju zwierząt, a obok tego Getów i Sarmatów, Celtów i Gotów, którzy mieli iść w zapasy z dzikiemi zwierzęty.

— Ha Gotowie, odparł Aryston, ci ludzie dali wam się nieraz we znaki, a kto wie czy na tém ko-

---

[1]) Zwano dawniéj girafy wielbłądo-lampartami cameleopard z tąd że podobne są kształtem do wielbłąda a siercią do lamparta.

niec, bo przyszło dziś do pretora uwiadomienia że przebyli Dunaj.

— Tak, będzie z niemi robota, rzekł Korneliusz, już nam nieraz zaleźli za skórę, i jeszcze zalezą—cóż w tem dziwnego. Samnitowie i przyjaciele nasi Kartagińczycy i Jugurta, i Mitrydat tak samo dali się nam we znaki. Będzie wojna i cóż w tém nowego? wojna! czyż to nowość dla Rzymu? — I wyciągnął rękę w górę, jakby podniósł toast biesiadniczy.

— Gotowie dokuczają wam i zmuszają was do okupu, odparł Aryston, a wy zowiecie to fraszką. Niebezpieczny to gość, który kołacze do drzwi, dopóki mu nie wypłacą haraczu, nie łatwo go uspokoić. A potem przykład tych barbarzyńców udziela się jak zaraza i niedawno rozeszła się wieść, że Karpowie [1]) wymagali tychże samych warunków.

Czyż przystoi Majestatowi Romy, brudzić ręce krwią takiego robactwa, rzekł Korneliusz, dosyć dla niéj zbyć ich pogardliwym datkiem.

— Dla tego to wasza Roma wytacza z nas krew arcy- majestatycznie, odparł Aryston, aby miała ich czém zapłacić. My nie tacy niebezpieczni jak oni. Nam skarga tylko pozostała i nic więcéj! mówię to bez obrazy twojéj Korneliuszu, ani Cesarza twego, ani wielkiéj Romy. My nie bawimy się w politykę na seryo — gra-

---

[1]) Karpowie czyli Karpi był to lud europejski osiadły w Sarmacyi, zamieszkiwał częścią góry Karpackie ku źródłom Dniestru. Ich kraj odpowiadał dzisiejszej Galicyi.

my tylko w szachy i *cottabę* [2]). Wirgiliusz radzi wam, abyście przebaczali ludom poddanym, a walczyli z uporczywemi.

„Parcere subjectis et debellare superbos.“

Ale wy zmieniliście obyczaj — głaszczecie Gotów a ciemiężycie biedne Afrykany.

— Afryka mogłaby także podnieść głowę —przerwał Jukundus, który dotąd słuchał w milczeniu popijając wino — wyraźny dowód w Tysdrusie. Dobra to była nauka dla chciwych poborców, przekonali się, że posuwając gorliwość za daleko mogą napotkać ostrze sztyletu zamiast trzosa.

„Słowa te ściągały się do powstania w Afryce, skutkiem którego upadł Maxymin, a wyniesiony został Gordyon, gdy właściciele ziemscy w okolicy uciskani srogiemi zdzierstwy, uzbroili poddanych, zamordowali cesarskiego namiestnika, i podnieśli chorągiew powstania w jednem z miast pobliskich.

— Bez obrazy Korneliuszu, rzekł Aryston, powtarzam, że ani ty, ani nieśmiertelna Roma, nie wyjaśniliście nam, dla czego władza wasza tak nam cięży. Słyszałem nieraz że w Rzymie, kto umiał wymyślić nowy podatek, opływał niebawem w złoto. Wespazyan czynił co mógł. — Ale dziś położyliście cło na dym z kominów naszych, na cień odbity od ciał naszych, a Pescenniusz zagroził nam, że wkrótce mamy opłacać powietrze, którém oddychamy. Gdybyśmy chcieli po-

[2]) Cottabe, ulubiona gra starożytnych.

bawić się w zagadki, położyłbym jednę. Kto jest ta co pożera własne członki i kosztem ich staje się nieśmiertelną? Ha! Gotowie zaświadczą nam o téj nieśmiertelności.

— Gotowie, rzekł Jukundus, zapalając się rozmową — Gotowie! o nie bójcie się tych ludzi, ale dodał skłaniając znacząco głowę, uważmy raczej nasz własny kraj; większe podobno niebezpieczeństwo grozi nam wewnątrz niż zewnątrz.

— On chce mówić o pretorjanach, rzekł Korneliusz do Arystona, przyznaję, że tam było parę zajść nieprzyjemnych, mieliśmy zagadnienie do rozwiązania— ale dziś sprawa już skończona i pewny jestem, że się nigdy nie odnowi. Tak, powtarzam śmiało — rządy pretorjańskie przeminęły na zawsze. — Owo morderstwo dwóch cezarów było wielkim błędem równie jak najohydniejszą zbrodnią z ich strony, to téż odtąd zgubili się sami w opinii świata.

Dziś już nie boję się pretorjanów.

— Nie mówię ja o pretorjanach, ani téż o Gotach rzekł Jukundus, dajcie mi oto broń starą — starożytne zasady Romy, a przełamię zabójczą kosę Saturna. Dopóki żołnierze iść będą pod godłem staréj chorągwi, póki wierni będą starym bogom, póki nie przepomną odwiecznego hasła, póki czcić będą fortunę Romy; dopóty przysięgam wam nie ma się czego lękać. Ale gdy puścimy się nowym torem, gdy szydzić będziemy z religii, gardzić Jowiszem, Marsem, Romulusem i Au-

gurami, mieć w poniewierce Ancylje [1])! wtedy ani widowiska, ani gry, ani słonie, ani hyeny, ani hippopotamy, słowem nic nas nie uchroni od niebezpieczeństwa. Nieszczególny to pomysł żołnierzy naszych, że odziali Filipa purpurą.

Ale on już nie żyje! to mówiąc podniósł głowę i oparł się na ręku.

— Ład powróci niebawem, rzekł Korneliusz, zobaczycie sami.

— Ten Filip chciał być reformatorem, dodał Jukundus, zniweczyć to co nazwał ohydą. Ohydą, wiara nasza ohydą! ale bądź co bądź chciał ją zniweczyć. I dla czegoż? Otóż w tém cały węzeł. Dla czego? Czyż to dla kogo tajemnicą? Otóż dodał grzmiącym od gniewu głosem, duchem jego przeklętym, podżegaczem do złego, był ten siwy bezbożnik Fabjan. Fabjan chrześcijanin. Co do mnie, cierpieć nie mogę reformy.

— I my także chcieliśmy ją od dawna zaprowadzić odparł Korneljusz, ale nikt z nas nie wiedział jak działać. Aleksander probował jéj przed dwudziestu laty; a filozofowie zawsze ją mieli na oku.

---

[1]) Ancylja była to mała tarcza, uważana za świętą; zachowywano ją w Rzymie w świątyni Marsa, do niéj to według wiary ludu przywiązaną była potęga Cesarstwa. Tradycya mówiła, że Ancylję otrzymał z Nieba Numa Pompiliusz; straż nad nią trzymało dwunastu kapłanów. Aby tém pewniéj ocalić tę tarczę od porwania, Numa kazał ukuć jedenaście podobnych.

— Niechaj bogowie porwą i filozofów i chrześcijan rzekł Jukundus z mocą. Nie ma wyboru między nami, chyba to, że chrześcijanie są to jeszcze plugawsze zwierzęta, ale tak jedni jak i drudzy podkopują najpyszniejszy gmach polityczny, jaki ziemia kiedykolwiek wydała. To też nasz Aleksander nie budzi we mnie żadnego uwielbienia.

— Dzięki w imię filozofii, odrzekł Grek.

— Dzięki w imie chrześcijan, dodał Juba.

— Brawo! przewybornie! — zawołał Jukundus. Piękne wyrzekłeś słowo. I on chce uchodzić za chrześcijanina.

— Mam do tego prawo gdy mi się podoba, rzekł Juba, mam prawo być chrześcijaninem.

— Prawo! o zapewne że je masz, odparł Jukundus. Ha! ha! prawo! Niechaj cię Jowisz wspiera, mój chłopcze! masz je sto razy powtarzam! Jak zarówno masz prawo powiesić się na pierwszéj lepszéj gałęzi.

— Jestem panem mego życia, rzekł Juba. Mój ojciec był chrześcijaninem, sądzę więc, że ode mnie tylko zależy, abym poszedł jego torem, gdy uznam tego potrzebę.

— Od ciebie zależy, gdy uznasz tego potrzebę, powtórzył Jukundus, tak nie inaczéj mój ty pyszny mule. Tak, zostań chrześcijaninem moje dziecko, jak był nim twój szalony ojciec, idź jak on do kapłana ich tajemnic; niech naplwają na ciebie, obnażą cię z szat,

zanurzą w wodzie [1]), najédz się mózgu i szpiku niemowląt, ukorz się przed ich osłem i wyucz się niedorzecznych czarodziejstw ich sekty. A potem bądź obwiniony przed sądem, wtrącony do więzienia, rozszarpany na torturach, lub rzucony dzikim zwierzętom na pożarcie, a nakoniec zstąp do Tartaru, jeźli Tartar istnieje, drogą jaką sobie obierzesz. I komuż tém zrobisz krzywdę, chyba sam sobie mój kochany.

— Nie boję się takich trzpiotów jak ty, potrzeba na to głowy trochę lepszéj.

Juba wstał z zachmurzonym wzrokiem, i jak to już widzieliśmy w innéj okoliczności, skłonił głowę pomrukując przez zęby.

— I ja tobą gardzę nawzajem!

— Zdajesz mi się trochę za srogi dla chrześcijan, Jukundusie rzekł Aryston. Słyszałem od nich samych, że ich zabobony zbawiłyby Rzym, gdyby je powszechnie przyjęto. Utrzymują oni, że stara religia przeżyła swój czas, i dłużéj trwać nie może, iż trzeba nowéj siły, aby zachować Państwo, a wiara ich właśnie odpowiada potrzebom epoki.

— Żądam jedynie od tych gadzin, aby nas zostawili w pokoju, odparł Jukundus. Czyżeśmy sobie bez nich nie dali rady? Czyśmy działać nie umieli, nim się do nas nie wiedzieć z kąd przybłąkali? Zuchwalcy! jak gdyby żydzi albo Egipcyanie mogli nam

---

[1]) Zastósowanie szydercze do obrzędu Chrztu świętego.

w czém dopomódz, gdy Numa i Sybilla nic już działać nie mogą. Oto ostatnie słowo moje: Niech Roma zostanie wierną saméj sobie, a nie ma potęgi, któraby ją skruszyła; jeźli zaś przeciwnie naruszy w czémkolwiek swoją wiarę, wtedy za nic nie ręczę. Roma tylko może sama siebie pogrążyć w otchłań zguby. Pomnijcie, co wyrzekł stary Horacy: *Suis et ipsa Roma viribus ruit.* (Roma upada własnym ogromem). Słowo jego było prorocze. Jeźli skona, to pod ciosem własnéj ręki.

— Zgoda na to, rzekł Korneliusz, tak zapewne, wprowadzać nową wiarę, to nikczemna zdrada. Niech nas bogowie chronią od takiéj niewdzięczności.

Oni to uczynili nas wielkiemi, i stanowią żywotną siłę odwiecznéj Romy. Ale nie ma podobieństwa abyśmy o tém zapomnieć mogli. Decyusz nie zapomni tego, przekonamy się w krótce, może jutro dodał tatemniczo.

— Ależ nie pojmuję, czemu tak was przestraszają chrześcijanie? rzekł Aryston. Czy dla tego, że mają własną opinią? Czemuż nie lękacie się kretów i niedoperzy? wiele było takich szaleńców przed niemi i wiele będzie w przyszłości, zostawić ich spokojem a znikną pomału, lecz mów tylko, mówże o nich, chciej ich tłumić, a rozrodzą się niewątpliwie.

— Rozrodzą się? zawołał Jukundus — podniecony zarówno winem jak i nienawiścią — rozrodzą się? O tak oni się rozrodzą. Rozmnożą się jak skor-

piony, których po dwudziestu z jednego lęże się gniazda. Już dziś roją się w okolicy, więcéj ich niźli żab w błocie, niż koników polnych na łąkach. Gdzie rzucisz okiem wszędzie ich napotkasz, wtedy nawet, gdyś pewien, żeś od nich daleko. Rodzą się w powietrzu jak ćmy owadów roznoszących zarazę, a wiatr rozmiata ich jakby chmury szarańczy. Nikt nie jest od nich bezpieczny, każdy dziś chce być chrześcijaninem, o tak, to prawdziwa zaraza! Wielki Jowiszu! aż okropnie pomyśleć że ja sam, tak, ja sam mógłbym zostać chrześcijaninem, nawet o tém nie wiedząc? Klnę się niebem i ziemią! to zgroza niesłychana! O tak Jukundusie — dodał z wzrastającem uniesieniem, tak jest mógłbyś zostać jednym z ich grona, pomimo własnéj woli i wiedzy! O przyjaciele moi, zlitujcie się! Tak jest, mocą ich czarów możecie mnie widzieć zmienionego w bydlę, pojącego się krwią, zamkniętego w grobie za życia — mimo całéj ku nim nienawiści, przez jeniusz Romy, trzeba wymierzyć cios stanowczy. Powtarzam wam, nikt dziś nie jest bezpieczny. Szukasz przyjaciela i znajdujesz go w ciemnéj i pustéj izdebce z włosem roztarganym, w poszarpanéj szacie. Jakiż powód téj boleści: Oto syn jego został chrześcijaninem! — Dzień twego ślubu wyznaczony, czekasz na oblubienicę, ona nie przybywa. — I czemu? Oto nie chce już ciebie, bo jest chrześcijanką. — Kędyż jest młody Nomentanus? kto go widział? Jestże na Forum, na Marsowym polu, w cyrku, albo w łaźni? Czy go zaraza umorzyła? czy przepalił głowę na słoń-

cu? Bynajmniéj. Chrześcijanie go opanowali i oto rzecz cała. Wszystko im dobre, czy to młody, czy stary — bogaty, czy ubogi, matrona w lektyce, czy niewolnica która ją ciągnie, skromna dzieweczka, czy Lydja z Termow, wszystko staje się ich pastwą. Zaufanie znikło; dziś trudno polegać na kim. Idę do mego krawca Nergala i mówię, potrzebuję nowéj tuniki. Stary obłudnik kłania się posługuje, żywo otwiéra skrzynie, rozkłada towary, zwyczajnie jak każdy kupiec. — A jednak mówiąc między nami to chrześcijanin, przebrany w szatę krawca. Nie mają nawet właściwéj sobie odzieży. Gdybym był cesarzem kazałbym im nosić osobne znaki, włożyłbym im obręcz na szyję, przyprawiłbym lisi ogon, albo ośle uszy. Wtedy przynajmniéj moglibyśmy przy spotkaniu rozróżnić przyjaciół naszych od wrogów.

— Mogłoby to być niebezpieczném, rzekł Korneliusz, zanadto przyjacielu bierzesz chrześcijan do serca, za wielką nadajesz im wagę. Jeszcze obecność do nich nie należy a ty już przyszłość dajesz im w dziedzictwo. Téj właśnie im brakuje.

— Jeźli Jukundus raczy zważyć moje słowa, rzekł Aryston, przekona się wraz ze mną, że chrześcijanie są dziś na drodze upadku. W tém mieście było ich niegdyś mnóstwo, dziś zaledwie pozostało ich kilku. Przez ostatnie półwieku liczba ich zmniejsza się widocznie, dziś przestali być groźnymi. Chcesz że wiedzieć jakim sposobem ożywićby ich można. —

Oto ogłoś nowy edykt cesarski, prześladuj ich, stawiaj przed sądem. Ale jeżeli chcesz, aby zmarnieli sami przez się, jak suche liście jesienią — to najlepiéj daj im pokój, zostaw ich samych sobie. —

— Trudno zaprzeczyć, rzekł Korneliusz, że się rozszerzyli w Italii, wzrośli w liczbę i bogactwa, ośmielili się nawet wchodzić z nami w związki. — Zarazili zwłaszcza wyższe społeczeństwo, trzeba będzie kiedyś oczyścić się z nich, ale bez próżnéj trwogi, jakbyśmy uczynili z plugawem robactwem.

Czciciele bogów stoją górą — chrześcijanie w mniejszéj są liczbie, odrzekł Aryston, pozwólcie łączyć się im nawzajem, a mocniejsi pochłoną słabszych. W krótce posągi bogów pojawią się w chrześcijańskich kaplicach, a uczciwi ludzie kupować będą nasze obrazki— nie prawdaż Jukundusie?

— Dobrze, odparł gospodarz, ochłonąwszy z gniewu. Gdyby tylko piękne oczy twéj siostry mogły zwrócić Ageliusa z błędnéj drogi, udowodniłbyś czynem twoje słowa.

— Ha rozumiem cię, rzekł Korneliusz poważnie, zaczynam widzieć jasno. Nie pojmowałem czemu tak nasz gospodarz silnie obstaje przy dawnym stanie rzeczy w starym Rzymie. Otóż nowe dziś zdobyłem doświadczenie: w samém cesarskiem mieście wielce się nieraz zbudowałem w tym względzie. Ilekroć widziałem, że kto powstaje z szczególnym zapałem przeciw tym fanatykom, bądźcie pewni, że się pod tem kryje

osobisty interes. Był między innemi mąż wielce szanowny, dzisiejszy kapłan Jowisza, którego bardzo ceniłem. Długo nie rozumiałem, dla czego człowiek tak rozsądny i światły jak on, mógł tak dziwnie obawiać się Chrześcijan. Razu jednego miał przeciwko nim mowę w senacie, w któréj domagał się, aby ich bez wyjątku skazano na tortury. W krótce wydała się zagadka; córka jego chciała zostać chrześcijanką, postanowiła nie malować twarzy, i nie bywać w amfiteatrze. Jakaż boleść dla biednego starca! A potém cóż wam powiem o szanownym Patratusie: jakież to on dawał wieczerze! sam Lukullus mógłby ich pozazdrościć, a jednak ilekroć miał do czynienia z chrześcijanami, żądał zawsze pośrednictwa liktora. A wiecież dla czego? Oto żona i syn znieważali go w obec świata uczęszczając na zebrania chrześcijan. Ale co do mnie jestem zdania Cezara Decjusza, trzeba z tém raz zakończyć. Jakkolwiek nie są tak groźni, jak się zdaje ci nikczemnicy, rażą nas jednak w oczy.

Tu klepsydra, która znaczyła godziny na pobliskim placu, przestała sypać piasek, na znak, że noc wkrótce się zakończy. Juba wyszedł już do ciemnéj izdebki, służącej mu za sypialnię; zdjął sandały, rozpiął pas, obwinął w koło szyi węża, z którym się nigdy nie rozłączał i zaczął mocno chrapać. Jukundus wychylił ostatni toast, Korneliusz pożegnał go, Aryston powstał także, a gospodarz odprowadziwszy ich do drzwi, zapłacił zwykłą daninę libacjom, z głową

odurzoną winem, zasiadł na powrót w pokoju wyobrażając sobie, że Aryston siedzi zarówno przy stole.

To moje dziecko, mówił ten — Agelius jest umiarkowanym chrześcijaninem, nie obstaje przy swojem jak brat, którego widzisz. Ojciec jego — to rzecz inna — nie mówmy o nim lepiéj. On już nie żyje, niech furje ścielą mu łoże. Jakiż to nędzny ród! Ich kapłani! jacyż to brzydcy ludzie! poznałem jednego w Kartaginie, gdym jeszcze był młodym. Nie miał najmniejszego podobieństwa do naszych wspaniałych kapłanów Izydy, chodzących w bieli, rozsiewających wonie kadzideł i wiosennych kwiatów. Ci ludzie umieją żyć lepiéj niż ten ponury obłudnik. Czarny był jak murzyn z Etjopii, suchy jak Saracen, i nigdy nie patrzał ci prosto w oczy. Nieszczęśliwiec wolał ponieść śmierć za religię, niż rzucić szczyptę kadzidła — na ołtarzu Jowiszowym. — Jowisz, oto mój Bóg, bóg wspaniały, czysty, wyświeżony i uczesany, oni wszyscy dobrzy, o tak wszyscy bogowie dobrzy. Naprzykład Bachus, oto mi doskonały bożek, choć trochę trzpiot i zdrajca. Jest także Ceres, Pomona, Muzy i Astarte jak ją tu nazywają, one wszystkie dobre; i Apollo; choć cokolwiek za bardzo dopieka nam o téj porze, i zanadto razi nas strzały swemi. Niedawno przez niego dostałem mocnéj gorączki! O życie! — to skarb nieoceniony. Uczułem to wtedy zwłaszcza, gdy byłem tak blizko Plutonowéj dziedziny.

Życie już nie powraca, to jak woda rozlana — próżno chciałbyś ją zebrać w naczynie.

Życie z nas przechodzi w żywioły — wiatr roznosi je na cztery strony świata. O! jest w tém coś, czego ja przeniknąć nie mogę, i czego wszyscy filozofowie zbadać dotąd nie umieli...

Zamyślił się chwilę i ciągnął znów daléj: Życie zmysłowe, — o to wielkie kryterjum świata. Zapytaj sam siebie; czyliś wyciągnął z życia, to wszystko co ci dać mogło? Nie przestaję powtarzać tego młodemu pokoleniu. Zdarzyło się nieraz, żem nie umiał korzystać z życia jak należy. O bogowie! gdybym je mógł rozpocząć na nowo, ileżbym w niém poprawił. Dziś wieczór n. p. należało być oględniejszym. Te przeklęte gruszki! trzeba było wiedzieć, że nie warto jeść ich tyle. Skopowina była nie zła; gołąbki także dobre, żuraw, sarna; lecz czyż słusznie się tak oskarżam?

Umilkł, zamyślił się chwilę i wstał rozmarzony, na pół senny, pogasił wszystkie światła, wyjąwszy małéj lampki, z którą poszedł do sypialni. Wszystko próżność! dodał zwolna i poważnie, wszystko próżność! — jeść i pić oto rzecz cała. Gdyby nie to, czyżby warto było służyć bogom? Bo i czemże jest sława? czemże chwała i potęga? Dymem i niczém więcéj. Myślałem nieraz, że wieprz to jedno prawdziwie rozumne zwierze. Bylibyśmy szczęśliwsi może, gdybyśmy byli wieprzami. Oni bez trwogi oczekują śmierci, dla tego to zapewne te ropuchy chrześcijań-

skie wcale nie jadają ich mięsa. Używać spokojnie i mądrze bez krzyków sporów i nadużycia, oto cała mądrość. Życie takie krótkie... Zasnął powtarzając te słowa, których prawdzie nikt zapewne mu nie zaprzeczy.

VII.

Prześladowanie.

Nazajutrz rano podczas, gdy Jukundus zajęty był oczyszczaniem z kurzu posążków, rozsuwaniem ich na półkach i ustawianiem nowych, które mu właśnie przynieśli rzemieślnicy; Juba chodził po sklepie i śmiał się po cichu z małych bożków, patrząc jak jedne marszczą brwi, drugie pląsają w około niego.

— Nie szydź sobie z tego Anubisa, rzekł stryj, to robota boskiéj Kalisty.

— Boskiéj — ha to dla tego zapewne, odrzekł Juba, że wydaje takie mnóstwo tych djabełków.

— Widzę że te bożki podobne trochę do ciebie, odparł Jukundus. Kto wie Jubo, czy Kalista nie kocha się w tobie.

— Młodzian według zwyczaju skinął głową z wyrazem obrażonéj dumy.

— I czemuż, odparł, kochaćby mnie nie miała? tak dobrze jak kogo innego.

— Czemu? bo jesteś za piękny — czy za brzydki, aby ręka artysty mogła z ciebie co zrobić. Nie z każdego drzewa można wystrugać strzałę. Lepiéjby było, gdyby chciała przerobić twego brata.

— I on zarówno jak ja nie potrzebuje przerabiania, rzekł Juba, mogę cię zapewnić stryju, że nie jest chrześcijaninem.

— Co mówisz, zapytał Jukundus, oglądając się wkoło, Agelius nie jestże chrześcijaninem?

— Bynajmniéj, odparł Juba, możesz mi stryju zawierzyć. Wymawiałem mu to wczoraj wieczór, on sam się przeistoczył. Namawiaj go, błagaj, męcz go, chłoszcz, weź w jarzmo a stawi ci opór, będzie wierzgał lub uciecze, ale dozwól mu działać według woli, nie zważaj nań wcale, okaż się obojętnym, a powróci spokojnie i zasiądzie między twemi posągami. Kalista łatwą ma sprawę; poprowadzi go zwolna gdzie zechce. Zrobi dla niej to, czegoby dla nikogo w świecie nie zrobił.

— To najlepsza wiadomość jaką zasłyszałem od śmierci twego starego ojca, o tak, najlepsza niewątpliwie. Jeżeli prawdę mówisz Jubo, dam ci wspaniały upominek, w chwili, gdy twój brat złoży upominek Cererze. O! będzie to uciecha, kiedy nasz młody rolnik pohula sobie na jarmarku. Ha, ha, on nie jest chrześcijaninem! brawo mój Jubo! daruję ci Apolina, żeby cię nauczył ogłady, albo Merkurego, żeby ci pożyczył rozumu.

— O tak, rzekł Juba, onby nie myślał o Kaliście, żeby miał głowę zajętą swymi świętymi i aniołami.

— Zapewne, odparł Jukundus — wreszcie czemużby nie miał wielbić pięknéj Greczynki, równie jak swoje mumje, trupie głowy i szkielety, których nie mógbym wystawić tu obok Anubisa i Skarabea.

— Moja matka mniema, że ta dziewczyna inną jest jak my myślimy, rzekł synowiec.

— Mniejsza o to, mniejsza o to, odparł Jukundus, niechaj to będzie druga Phrynée albo Lais, to mnie wcale nie obchodzi, tém łatwiéj przyjdzie jéj zamienić Ageliusa na człowieka.

— Ależ matka myśli, że Kalista zwraca się w inną stronę, to dziwna rzecz, nie prawdaż? dodał złośliwie, rad, że może dokuczyć stryjowi.

— Hę co? zawołał Jukundus, patrząc nań z ukosa jakby mówił: I do czegoż on zmierza?

— Jeżeli mam wyznać prawdę, odrzekł Juba smutno, już ja myślałem o niéj, i nie rozumiem dla czego, gdybym chciał, mniejbym do tego miał prawa od Ageliusa. Mniemałbym nawet, że stara matka moja zechce mi trochę dopomódz; żądałem od niéj jakich czarów lub jakiego cudownego napoju, abym mógł przynęcić Kalistę z domu brata do bliskiego gaju na tańce. Gurta przystała na to, nienawidzi bowiem Kalisty, nienawidzi jéj śmiertelnie, naprzód dla tego, że piękna (choć matka inaczéj utrzymuje), powtóre że greczynka, a wreszcie lubi upokarzać nazbyt dumne

dziewczyny. Przygotowała więc jakiś okropny urok, tu Juba rozśmiał się na głos; o tak, najokropniejszy ze wszystkich. Użyła do niego wina, mléka, krwi, mąki, wosku, starych gałganów, bogów Numidyjskich i Punickich, a do tego słów takich, że trzeba być czarownicą lub barbarzyńcem, ażeby je wymówić, to wszystko pomięszała jeszcze z mnóstwem innych rzeczy. — Trzeba ją było wtedy widzieć, gdy z włosem rozczochranym i zaiskrzonemi oczyma z twarzą ohydną biegała w około kociołka. Na takie zaklęcie zdawało się, że i księżyc i mléczna droga nawet gotowe spaść z nieba. Wszakże urok nie działał na Kalistę, nie przyszła na tańce do gaju. Matka wpadła w zapalczywy gniew i zaklinała się, że Kalista musi być chyba chrześcijanką.

Jukundus stał osłupiały. Przez Herkulesa! zawołał, jeżeli nie przeszkodzimy, gotowa go poprowadzić złą drogą i począł przebiegać pokój w różnych kierunkach.

Juba z swéj strony nucił półgłosem piosenkę:

Gurta czarownica,
Choć chromie na nogę,
Przy świetle księżyca
Wybiera się w drogę.
Z kulą na ramieniu
Tam bieży wesoło
Gdzie w cisowym cieniu
Tańczą siostry w koło.

Tymczasem Jukundus przyszedł do siebie z bolesnego wrażenia, jakie sprawiły na nim słowa Juby.

— Przestałbyś miauczyć, zawołał — stara Gurta zazdrości Kaliście, wiém o tém od dawna, nazwa chrześcijanina lub chrześcijanki jest najohydniejszą z całego jéj słownika, u niéj bowiem znaczy toż samo, co żmija albo ropucha. Widzę teraz wszystko jak na dłoni: Kalista, boska Kalista, ulepi co zechce z naszego wosku, jéj wdzięki zamienią go w Wertumna, pokaże się, która z dwóch bieglejsza czarownica. Nowy Cesarz dopomoże, niemniéj także jéj urok musi działać.

— Jakto, czyż się co nowego gotuje? zapytał śmiejąc się Juba.

— Czy się co gotuje mój chłopcze? o tak mogę cię zapewnić, odparł Jukundus: pokrzyczą oni dobrze. Jeżeli łagodne środki nie pomogą, można dodać jedną z trzech ingredjencyj, albo miecz, albo tygrysa, lub nakoniec zapaloną głownię.

— Strzeż się stryju, nie naglij rzeczy z Ageliusem, rzekł Juba. Nie groź mu, weź go raczéj za słabą stronę on ma serce miękkie.

— Pogróżki użyję w ostateczności — odparł stryj, ale postawię się dopiero na ostatnim planie obrazu, żeby pierwszy lepiéj uwydatnić, — kto wie, może Agelius sam powróci.

Stało się w rzeczy saméj tak, jak zapowiedział Jukundus: nowy cesarz miał wprowadzić nową politykę, nowa era miała się otworzyć dla chrześcijaństwa.

Dotąd chrześcijanie byli raczéj ofiarą wściekłości ludu, niżeli zawiści Cezarów. Neron wprawdzie kazał ich męczyć przez samą miłość okrucieństwa, ale urzędnicy i filozofowie choć często wachający się i zmienni, po większéj części poglądali na nich pogardliwem okiem. — Przesąd kapłanów pogańskich i ludu wołającego bezustannie: *Chrześcijanie lwom na pożarcie!* głównym był dotąd wrogiem nowéj wiary. To też lubo niekiedy srogiem było prześladowanie, wszakże wykonywano je bez planu, zazwyczaj chwilowo i w niektórych tylko miejscach. Następnie wyjąwszy kilku wyskoków, spokojność panowała przez ostatnie lat pięćdziesiąt. Tak pomyślny stan wypływał ztąd, że wielu z cesarzów panujących podówczas, skłaniało się widocznie ku chrześcijaństwu, o ile sprężyste rządy pięciu dobrych, imperatorów, jak ich zwyczajnie zowią, bywały niekiedy okrutne dla chrześcijan, o tyle następcy ich nieświadomi tradycyi, nie znając ducha starożytnéj Romy jako cudzoziemcy, wspierali nową religię. Mówią nawet, że oblubienica Komoda, równie jak mamki Karakalli były chrześcijankami. Nikczemny Heliogabal zamiłowany we wschodnich zabobonach osłabił wpływ istniejącéj hierarchii i tolerował wiarę, która pochodziła z Palestyny. Cnotliwy Aleksander jego następca, był raczéj filozofem niźli mężem stanu i stosownie do systematu zjednoczenia synkretyzmu, jaki przyjął, umieścił w własnéj kaplicy, pośród bogów i bogiń, obrazy Abrahama i Chrystusa. To, co mówią o cesarzu Filipie, stwierdza jeszcze bardziéj

nasze słowa, i poważne świadectwa przekonywają, że był chrześcijaninem, i w istocie musiał dawać mnogie dowody łaski chrześcijaninom skoro takie mniemanie upowszechniło się w państwie. To też chrześcijanie zaniechali wszelkiéj trwogi, wyszli z katakumb, budowali jawnie kościoły, a lubo w niektórych miejscach, jak np. w Afryce cierpieli przez zetknięcie się z poganami, wszelako rozproszyli się na wszystkie strony świata. Wbrew temu co powiedział Celsjusz na sto lat przed tém, że słaby umysł tylko może się spodziewać, iż połączy, trzy części ziemi, węzłem wspólnéj religii, ta wspólna wiara katolicka miała już niezachwiane podwaliny, a cesarstwo przyjęło zasadę dotąd niesłychaną w dziejach. Trudno było przeczyć faktowi, a urzędnik Rzymski czuł, że ma obok siebie współzawodnika. Mimo to co historya mówi pobieżnie o rządach Cezarów, i o ich rozprężeniu, błądzi, kto mniema, że gmach państwa nie był silnie podparty tradycyą i współdziałaniem mężów niepospolitéj zasługi. Była to epoka prawników i polityków, którzy przewidywali coraz jaśniéj, że aby chrześcijanie nie obalili państwa, należy im iść drogą wskazaną przez Trajana i Antonina.

Zaledwie Decjusz przyodział się purpurą, natychmiast ustanowił w obec kościoła tę krwawą politykę, którą w pięćdziesiąt lat po nim, Dyoklecjan miał do najwyższego doprowadzić stopnia. Decjusz wstąpił na tron w końcu 249 roku a 20 Stycznia następnego roku, święty Fabjan biskup Rzymski otrzymał już koronę męczeńską. Rządy jego apostolskie przetrwały

czternaście lat, co jest niesłychaną rzeczą w tych czasach; a obiór jego nastąpił skutkiem cudownych wyroków Opatrzności, która w pierwszych wiekach tak widoczną okazywała opiekę nad kościołem. Fabian przybył do Rzymu, chcąc uczestniczyć przy obiorze następcy świętego Antera. Wtedy ujrzano gołąbkę jak siadła na jego głowie, skutkiem tego całe zgromadzenie powstało, i zmusiło go do przyjęcia papiezkiego tronu. Sprowadziwszy z Sardynii relikwije świętego męczennika Pontjana, poprzednika swego, i skłoniwszy do wiary znaczną część Galii, święty biskup zbliżał się do grobu w ciszy i ukryciu tak, jak przepędził większą część żywota, ale w tych czasach nie umierali papieże na łożu śmiertelném jak pospolici ludzie, tak więc i Fabianowi przeznaczył Bóg, aby rozpoczął nowy zastęp męczenników, jako najwyższy pasterz kościoła. Wkrótce pojawił się edykt, nakazujący ostateczną zagładę imienia i religii Chrystusowéj. Był on wymierzony do prokonsulów i innych rządców prowincyi; dawano w nim jako powód usprawiedliwiający, że cesarze Decjusz i syn jego, postanowiwszy zapewnić trwały pokój poddanym, przekonali się, że nie zdołają dopełnić tego z powodu chrześcijan, którzy mając bogów rzymskich w śmiertelnéj nienawiści, ściągają tém samém niezliczone klęski na ziemię. Pragnąc też przedwszystkiem uspokoić zagniewanych bogów cesarstwa, wydają rozkaz nieodwołany zobowiązujący każdego chrześcijanina bez różnicy stanu płci i wieku do składania im ofiary. Ktokolwiekby odmówił,

ma być wtrącony do więzienia i wystawiony na próbę lub umiarkowaną karę. Ci którzy się poddadzą panującéj religii, mają otrzymać nagrodę; w przeciwnym razie mają być topieni, paleni żywcem na stosie, rzucani na pastwę dzikich zwierząt, wieszani na drzewach; słowem skazani na śmierć w jakikolwiekbądź sposób. Ten edykt odczytano w obozach pretorjańskich, przylepiono na kapitolu i rozesłano po całem cesarstwie przez rządowych gońców. Zagrożono surową karą zwierzchnim władzom każdéj prowincyi, jeżeli postrachem i mękami nie zwrócą chrześcijan do pogaństwa.

Święty Fabjan, jakeśmy wyżéj powiedzieli, pierwszą był ofiarą prześladowania. Półtora roku minęło a nie naznaczono po nim następcy na Apostolską stolicę. W ciągu dwóch następnych miesięcy spalono żywcem w Smyrnie świętego Pionjusza, a świętego Nestora ukrzyżowano w Pamphilii. W Kartaginie nastąpiła chwilowa zwłoka z powodu nieobecności prokonsula. Święty Cyprian, Biskup tego miasta, korzystając z owéj przerwy, schronił się w miejsce bezpieczne. Pospólstwo złączywszy się wraz z rządem, szukało go usilnie, i w cyrku krzyczało na gwałt. *Cypryan na pożarcie lwom.* Trwoga powszechna opanowała chrześcijan i przez chwilę więcéj było osób gotowych zaprzeć się wiary, niż dość odważnych, aby ją śmiało wyznawać. Rzekłby kto, iż przepowiednia Arystona spełniła się dosłownie, że chrześcijaństwo traci przewagę nad umysłami wyznawców swoich, że wrogowie jego mogą zaniechać gwałtów, a dać mu skonać własną śmiercią.

W ten więc sposób urzędnicy Rzymscy o ile mogli, postanowili działać w mieście Sicce. Chrześcijanie nic tu złego nie czynili, nie występowali jawnie ze swą wiarą, wreszcie za mało ich było w mieście, aby mogli wzniecić zaciętość pospólstwa, lub spowodować konieczne wdanie się magistratu. Nieobecność prokonsula Kartaginy zachęcała jeszcze do téj drogi i usprawiedliwiała odwłokę; tym więc sposobem, lubo jesteśmy już w środku 250 roku, lubo edykt od kilku miesięcy był w Rzymie ogłoszony, lud w Sicce jakeśmy już spostrzegli, nie wiedział co się dzieje w świecie politycznym, przewidywał tajemnie to, co inne miasta wykonywały już od dawna.

Związki ze stolicą państwa trudne były i opóźnione, a ciekawość publiczna pozbawiona *częstszego żeru*, spoczywała dość niedołężnie. Tym sposobem da się wytłómaczyć, co na oko wydaje się dziwném zjawiskiem, a co przecięż istniało rzeczywiście w mieście Sicce w lecie 250 roku.

Za naszych czasów, rzeczy inny zupełnie wzięły obrót. Dzienniki, drogi żelazne, telegrafy elektryczne, zastępują miejsce gońców cesarskich. Gdyby starożytni posiadali te środki, wyroki postanowione w Rzymie, w przeciągu kilku sekund odbrzmiałyby na krańcach państwa; w takim razie dla niezwłocznego ich wykonania, zapytanoby senatu Kartagińskiego przez deputowanego z Siccy albo Lariby, lub którego z pogan, [1])

[1]) Rzymianie zwali niegdyś *Pagani* wszystkich cywilnych, którzy nie służyli w wojsku, czy to pochodzili ze wsi czy z miasta, wy-

czy prawda jak chodzą wieści między ludem, że edykt ogłoszony był w Rzymie przeciwko chrześcijanom, i jakie postanowienia uczyniły władze prowincyi. Wtedy kolonia Sicca musiałaby tłómaczyć się z opieszałych działań lub też wystąpić energiczniéj.

Wiele było powodów, które skłaniały urzędników tak rzymskich jak afrykańskich do powolności w działaniu, nim ich wypadki znagliły do ostrzejszych kroków. Wszyscy bez wątpienia, tak w ogóle jak pojedynczo, nienawidzili chrześcijan, i pragnęliby jak najrychléj zakończyć z nimi w krwawy sposób; ale sami nie wiedzieli od kogo zacząć sprawę. Gdyby mogli byli pojmać naczelnych pasterzy kościoła, pastwiliby się byli nad nimi z upodobaniem, ubijaliby ich jak osy tém zapalczywiéj, że trudno ich było dosięgnąć. Owi biskupi składali w ich mniemaniu garść ludzi, równie szkodliwych jak nikczemnych; nie ukazywali się jawnie, nie wystawiali na śmierć, ale chodzili przebrani a najczęściéj ukrywali się na pustyni. Wszakże

---

raz *paganus* stał w odwrotnym stosunku do wyrazu *miles* (żołnierz), późniéj gdy chrześcijanie zaczęli się mnożyć w mieście Rzymie, garnąc coraz nowych wyznawców pod chorągwie Chrystusa, i staczając codzienne walki za wiarę, zwali się żołnierzami Chrystusa; nazwali *pagani* tych wszystkich, którzy nie walczyli bronią ducha w imie chrześcijańskiéj wiary. Tego wyrazu poczęli w tém znaczeniu używać: Tertulian, św. Cypryan, św. Augustyn i inni, późniéj nadano nazwę pogan mieszkańcom włoskich miast, którzy wyznawali dawną wiarę i tworzyli osobne stronnictwo.

pocóż wielcy dostojnicy państwa, mieli brudzić ręce krwią niedołężnéj rzeszy, starców i nędzarzy, dzieci i niewiast, nieznanych nikomu, żyjących na ustroni — bez związku z Rzymem i Kartaginą? Cóżby ztąd komu przyszło, żeby ci biedacy stracili życie na stosie lub szubienicy?

A potem niebezpiecznie było puścić cugle namiętnościom ludu; ktoby go zdołał powstrzymać? Rozhukane pospólstwo pogrążyłoby miasto w otchłań zguby.

W prawdzie zabobonna i ciemna większość mieszkańców, wszelkich klas społeczeństwa, przesiąkła cała przesądem, powzięła zaciętą nienawiść przeciwko chrześcijaństwu. Obok antypatyi wypływającéj z zupełnéj różnicy w pojmowaniu obowiązków życia przez chrześcijan i pogan, którąby już była dostatecznym powodem do prześladowania; był jeszcze i ten, iż wiele jednostek szukających znaczenia na Rzymskim dworze, ubiegało się o urzęda i nagrody. Co więcéj, osobisty interes powodował mnóstwem pogan ciągnących korzyści z panującéj wiary. Były na przykład wielkie instytucye czyli zakłady publiczne, trybunały, szkoły grammatyki i retoryki, gabinety filozofów, czytelnie, teatra, amfiteatra, targowiska; słowem z rozmaitych powodów, wszyscy przeciwni byli chrześcijaństwu, kto wie, myśleli oni gdzie się chrześcijanie zatrzymają w postępowym pochodzie, gdy ich raz poruszymy „*Quieta non movenda* (nie budź kota śpiącego) takie było na prowincyi godło urzędników zarówno afrykańskich jak imperatorskich; tym ściślej trzymali się téj zasady, że

to były czasy burzliwe, a wicher wzniecony niebacznie, mógł się łatwo przeciwko nim obrócić. Wreszcie Decjusz nie był nieśmiertelny; w ciągu ostatnich dwónastu lat, ośmiu cezarów padło ofiarą, i nikt nie wiedział czy następca Cezara nie obierze systematu Filipa, i nie weźmie za złe tym, którzy zamienili ów systemat na krwawą politykę.

Na téj drodze roztropnego umiarkowania utrzymywały ich jeszcze osobiste względy. Trybunały Rzymskie, magistraty miast, naczelnicy ustanowionéj religii, prawnicy, filozofowie, słowem wszyscy — prześladowaliby chętnie chrześcijan, ale nie mogli się zgodzić w wyborze ofiar swoich. Byliby się porozumieli chętnie, jak mówiliśmy wyżéj, w mordowaniu przewodników sekty; nie stawialiby nawet oporu, gdyby dla okazania swéj gorliwości mogli byli pochwycić kilku cudzoziemców albo niewolników, którzyby służyli za przykład. Ale trudno było zacząwszy raz prześladowanie, czynić jakieśkolwiek wyjątki, a wielu z nich miało krewnych i przyjacioł, tak pomiędzy chrześcijanami jak zarówno między sektami zbliżonemi do chrześcijaństwa, np. Marcjonitów, Tertuljanistów, Montanistów i Gnostyków, których lud odróżnićby nie umiał.

Za pierwszym okrzykiem *w imie bogów Romy!* wojna byłaby wypowiedzianą, tak wszelkim religiom tolerowanym, jak równie wyłączonym z pod prawa a nieszczęśliwy czciciel Izydy lub Mitry, musiałby odpowiadać w braku chrześcijan. Duumwir miejscowy własną córkę wygnał niedawno z pod dachu rodzicielskie-

go za to, że przyjęła chrzest św.; ta córka uciekła do Vakki. Kilku dekurjonów i urzędników w Sicce, wielu zamożniejszych mieszczan, o których mówiliśmy poprzednio, kilku pomocników pretora znajdowało się w podobném położeniu. Sam wielki kapłan Eskulapa miał ukochaną żonę, która jakkolwiek milczała dopóki rzeczy stały na zwykłéj stopie, wyrzekła jednak stanowczo, że gdyby tylko przedsięwzięto groźne kroki przeciw jéj religii, wyznałaby natychmiast, że jest chrześcijanką, i zamiast kadzenia bogom, zalałaby wodą ognisko ofiarnicze; pomijając nawet przywiązanie małżonka, podobny czyn mógłby zachwiać powagę kapłana, a ponieważ był słabowity i skłonny do apopleksyi, kto wie czy sam Eskulap zdołałby go utrzymać przy życiu.

Takież samo uczucie wstrząsało naszym poczciwym Jukundusem; kochał on synowca, ale nie ubliżając mu tem, powiemy, że więcéj jeszcze cenił osobistą sławę; jakkolwiek też bolałby widząc Ageliusa wystawionego na łup jakiéj pantery z okolicznych lasów, lub powieszonego za nogi jak rogacza na targu, więcéjby jednak cierpiał nad rozgłosem, jakiby ztąd wyniknął, niźli nad rzeczą samą. Przyszłość gniewała go i trwożyła zarazem; czuł, że nie rozumie synowca, a raczéj nie wiedział, jaką drogą z nim postępować; znał dobrze, iż go nie łatwo prowadzić i wewnętrzne miał przekonanie, że Juba nie mylił się mówiąc, iż najsroższą nawet pogróżką nie wskóra nic z bratem. Uważał on wpływ Kalisty jako najpewniéj prowadzą-

cy do celu, postanowił więc jak najmniéj działać osobiście, ale rozbudzać w sercu i w wyobraźni Ageliusa, skłonność do pięknéj Greczynki i ztąd pomyślnych oczekiwać skutków. Co do twierdzenia Juby, że Agelius nie jest w sercu chrześcijaninem, uradowany Jukundus nie śmiał temu dowierzać; obiecywał sobie jednak, że to łatwo może nastąpić, niech tylko słońce Grecyi zaświeci nad głową młodziana, a pierzchną niebawem gęste mgły wschodniego zabobonu.

W takiem usposobieniu umysłu, stary kupiec posążków dnia jednego po obiedzie, zostawiwszy sklep pod strażą niewolnika, wybrał się do domu synowca, aby przekonać się naocznie o stanie jego uczuć, aby ukazać mu Kalistę jako wędkę, i zobaczyć, czy téż Agelius da się na nią ułowić. Nie było czasu do stracenia, edykt bowiem miał być lada dzień ogłoszony, a wówczas rozpocząć się miały klęski, a — którym trudno byłoby zaradzić.

VIII.

Filozofowie i Retory.

Jukundus więc ruszył w drogę, pragnąc zbadać serce synowca, i poruszyć wszystkie sprężyny do spełnienia zamierzonego celu. Droga wypadała mu koło świątyni Merkurego, przerobionéj wówczas na szkołę chłopców, dotykającéj do gmachów akademickich. Jakkolwiek Jukundus nie zaniedbał wychowania synowców, nie był jednak gorącym zwolennikiem literatury i umysłowego wykształcenia. Mniemał, że nauki łatwo obałamucają umysł, i nie wielką przykładał do nich wagę. Retorowie i filozofowie (według niego) nie wiedzieli sami czego się trzymać, ani na czém się oprzeć. Nie mieli gruntownego przeświadczenia o zasadach, które utrzymywali, nie znali tych, które zbijali. On tymczasem znał dokładnie własne swe stanowisko, a lubo wyrazy *wiara* i *wiedza* nie wchodziły do jego słownika religijnego, mógł jednak wyłożyć bez zająknienia swoje w tym względzie zasady. Trzymał się istnie-

jącego stanu rzeczy, tradycyj rzymskich i ustanowionych praw państwa; ale co do sofistów i deklamatorów greckich utrzymywał toż samo, co niegdyś starożytny Katon, że grecy nadzwyczaj są biegli, niezrównani pod względem sztuk pięknych, nikt im nie sprosta w pędzlu, dłucie i kielni, słowem w każdéj ręcznéj pracy; o literaturze ich nie wiele wiedział wyjąwszy poezyi. Nie mógł im jednak przebaczyć, czemu obalali dawne zasady, nie umiejąc zastąpić ich innemi; czemu byli tak zmienni i dziwaczni w upodobaniach swoich, że niepodobna im było zawierzyć. Sokrates ich patryarcha, czemże był, jeśli nie przestępcą, zbrodniarzem, skazanym przez sąd na wypicie cykuty. Byłaż to śmierć chwalebna? godny protoplasta rodziny filozofów? Platon i Xenofon słusznie postąpili, rzucając na ten wypadek zasłonę tajemnicy; ale rzecz pozostała przecież taż sama. Daléj idzie Anaxagoras wygnany z Athen za buntowniczą naukę i Diogenes posądzony o bezbożność równie jak chrześcijanie. Tenże sam stan rzeczy utrzymał się w czasach późniejszych; widziano tam szaleńca Apolonjusza, który przebiegł cały świat w około, następnie przed pięćdziesięciu laty, Apuleusz sąsiad greków, człowiek wysokiego znaczenia i rodu, ale zwolennik ich filozofii, został czarnoksiężnikiem i udawał, że ma dar czynienia cudów. Inni odstąpili od nich i rzucili się w chrześcijaństwo, jakby własną dziedzinę. Tak uczynił Minucjusz współczesny Apuleusza i przyjaciel jego Oktawius; potém Ceciljus, który został nawet kapłanem nowéj sekty i

odwrócił mnóstwo ludzi od religii porzuconéj przez siebie. Nakoniec jeden z nich Tasciusz Cypryan z Kartaginy, który był zarówno retorem, sprawił także nie małe w świecie zamięszanie. Jukundus miał więc jedyny powód trwogi względem Kalisty, nie dowierzał jéj ztąd że była greczynką.

Przechodząc mimo świątyni usłyszał dźwięk metalowéj blachy, zwykłe hasło skończonych nauk; obrócił się zasępiony w stronę portyku i ujrzał znanego dobrze dwódziestoletniego młodziana, który prowadził za rękę małego chłopczynę o połowę młodszego. Chłopczyk niósł na ramieniu książki, kajety i inne przybory szkolne.

— No! Arnobie — zawołał — jakże postępuje retoryka? Czy myślisz dostać się do kratek, czy na profesorską katedrę? Co to za chłopczyk, czy to twój brat młodszy?

— Ulitowałem się nad biednym malcem, odrzekł Arnob. Oj ci nauczyciele szkolni, to doprawdy plemię dzikich ludzi. Dosyć sam wycierpiałem już za siebie, to też *miseris sucurrere disco*, umiem się litować nad témi biedakami, których trzymają pod twardą dyscypliną. Kazałem wyjść malcowi z domu przyjaciela naszego Rupiljusa, i wziąłem go pod swoją opiekę. Jakże się obszedł z tobą? mów chłopcze.

— Obszedł się jak z niewolnikiem, albo chrześcijaninem, odrzekło dziecko.

— Zasłużył sobie na to, pewien jestem, rzekł Jukundus, wygląda jakoś na małego trzpiota i ladaco.

Wart Get Bretona, mówi przysłowie. Piękna mi rzecz nauka! Patrz jak ukształciła tego malca! Oj to młode pokolenie! sam nie wiem doprawdy, dokąd świat zajdzie na téj drodze.

— Opowiedz nam co ci zrobił nauczyciel.

— Prawda, rzekł chłopiec, że ja pierwszy spsociłem przeciw niemu, ależ dobrze on mi za to zapłacił.

— A co? czy nie mówiłem, odparł Jukundus — tęgi z niego chłopiec, ale i mistrz nie gorszy, gotówbym iść w zakład.

— Naprzód, rzekło dziecię, wykrzywiłem się na niego, a on zdjął sandał z nogi, i uderzył mię i wybił mi ząb.

— Dobrze, zawołał Jukundus, to sprawiedliwość według Pytagoresa. Zaleukus, nie postąpiłby lepiéj. Gdy usta grzeszą, niech usta odnoszą karę.

— Potem ciągnął daléj chłopiec, rozmawiałem podczas nauki z towarzyszem, a Rupiljus włożył mi knebel w usta i musiałem siedzieć z nim przez całą godzinę.

— O to istny Radamant! zawołał Jukundus. I śpiewałeś zapewne piosneczkę, nie wydając głosu istnie jak posąg Memnona?

— A potem, że nie umiałem Wirgiliusza, zdarł mi koszulę z pleców i ochłostał na dobre.

— Wybornie, odrzekł Jukundus, wyrył ci *Arma virumque* na pacierzowéj kości.

— Później wykradłem mu obi ad — ciągnął chłopiec, a on uwiązał mnie za głowę, i trzymał dwa dni o głodzie.

— Chcesz zapewnie powiedzieć, zagadnął Jukundus, że ci scisnął gardło z obawy, żebyś nie połknął z parę kwart świeżego powietrza.

— O nakoniec, rzekło dziecię, za to żem nie przyniósł pieniędzy, przymocował mię do szubienicy i powiesił mię *in terrorem*, abym służył drugim za przykład.

— Wtedy wszedłem do klasy, rzekł Arnob, smutno biedaczek wyglądał; odciąłem więc powróz, zapłaciłem należytość i zabrałem go z sobą.

— I masz teraz wychowanka — rzekł Jukundus.

— Jeszcze nie, odparł Arnob, będzie jeszcze jakiś czas uczęszczać do szkoły tego starego wilka. Trudno przebierać między niemi, bo wszyscy podobno jedno warci. — Ale będę miał na niego oko i wykieruję go na człowieka. To chłopak pojętny — nie prawdaż Firmiuszu? dodał zwracając się do dziecka — ma rękę biegłą jak na swój wiek; bieglejszą niż ja, com się dotąd nie nauczył pisać po łacinie. A potém cóż mam robić? I ja także kształcę się na profesora, bo w Rzymie nie należy gardzić katedrą profesora.

— Na czyje uczęszczasz kursa, zapytał obojętnie Jukundus.

— Jedyny jesteśczł owiek w Sicce, który podobne może czynić pytanie. Jak to? nie znasz więc wielkiego Polemona z Rhodu, przyjaciela Plotina, wychowanka

Theagenesa ucznia Thrasylla, słuchacza Nikomaka, który należał do szkoły Sekundusa, doktora Neo-Platonistów? Nie spostrzegłeś więc w Sicce, obecności Polemona najsławniejszego i nanieznośniejszego z ludzi? Zowią go boskim Polemonem, wyrocznią, cudem świata. Wszyscy się za nim ubiegają. Nie mógłbym mieć żadnéj nadziei powodzenia, gdybym nie uczęszczał na jego prelekcye; choć pewien jestem, że nasz mały Firminiusz w niczémby mu zapewne nie ustąpił. To prawdziwy kwiat natury ludzkiéj; przybywa przed portyk, w lektyce z cedrowego drzewa, ze srebrnemi ozdobami pokrytéj lwią skórą. Niewolnicy niosą go, a tłum przyjaciół otacza jakby prokunsula. Ubrany zawsze arcywytwornie: płaszcz ma z najpiękniejszéj białéj wełny podbity purpurą, włosy utrefione i namaszczone drogiemi olejkami, palce jego błyszczą od pierścieni, i wydają woń podobną do Idaljum. Ledwie że stopy postawi na ziemi, rozlega się głośny szmer powinszowań i oklasków. Nie zatrzymuje się ani chwili; ulubieni uczniowie otaczają go w około i prowadzą w tryumfie na katedrę. Gdy zegar wybije godzinę, zasiada w milczeniu, prowadzi wzrok roztargniony po tłumie, lub też wlepi go w mur przeciwległy i mówi sam do siebie, podczas gdy szmer uwielbienia rozlega się po przestrzeni. W danéj chwili jeden z uczniów, jakby herold duumwira, woła na cały głos. Milczenie panowie, milczenie! Oto boski Polemonie, mylę się, on inny

ma jeszcze tytuł: *Niewyczerpany* — tak jest: *Niewyczerpany*, mówić będzie! Cisza następuję głęboka, głos czysty i mierzony jakby głos wyroczni, daje się słyszeć wreszcie: Powiedzcie mi panowie proszę, mówi Polemon, co istniało naprzód, czy jaje, czy kura? Wtedy daje się słyszeć cichy szmer pomięszanych głosów, który zwolna zamienia się w dysputę; poczém następuje znowu religijne milczenie. Po kwadransie czasu herold powstaje i przemawia do saméj wyroczni. — Duchu niewyczerpany — rzecze — muszę ci wyznać, że nikt w całym gronie nie czuje się zdolnym rozwiązać zagadnienia, które łaskawie rzucić nam raczyłeś. — Tu nowa cisza a nakoniec nowa sentencya hierofanta. Co było naprzód jajo czy kura? Jajo poprzedziło kurę jako konieczna jéj przyczyna, kura poprzedziła jajo jako konieczna jego przyczyna. Grzmot oklasków odpowiada na te słowa, zamęt powstaje w tłumie, wielbiciele jedni przeskakują przez drugich, a profesor wzdragając się niby przez skromność, dozwala się nieść na ręku z katedry, pomiędzy zdumionych słuchaczów. Lubo słowa Arnoba odpowiadały przesądom Jukunduśa, on jednak obwiniał młodego przyjaciela o przesadę, wreszcie jak wiemy Jukundus nie był zwolennikiem żadnéj krytyki ściągającéj się do ustanowionngo porządku.

Wyrzekł kilka słów o mądrości wieków przeszłych, o należnem dla władzy uszanowaniu, o instytucyach Romy, i magistracie w Sicce.

— Nie szukaj nowości, rzekł do Arnoba, oddaj codziennie libacją Jowiszowi, drugą jenjuszowi Cezara, a świat niech sobie idzie drogą swoją.

— Ależ nie wymagaj odemnie, abym wierzył w to wszystko, co nam prawi ten człowiek, dla tego, że go przysłały dekurjony — rzekł Arnob. Otóż ten Polemon uczy nas, że Proteusz jest uosobieniem materyi, a minerały i rośliny składają jego trzodę; że Prozerpina jest żywotną siłą, a Ceres wyobrażeniem ciał niebieskich, że są duchy ziemskie i duchy ponadziemskie. A jego doktrynę o treadach, monadach, stopniowaniu bogów, jakżeż zdołam ci wyłożyć!

— Hm, mruknął Jukundus, nie mówili oni tego, gdym ja chodził do szkoły; idź za moją radą chłopcze — trzymaj się się jeniuszu Romy i Cezara.

— Ależ ja nie wierzę ani w bogów, ani w boginie, ani w Cezarów, ani w Rzym, rzekł Arnob, nie przypuszczam żadnéj filozofii, ani żadnéj religii, ile ich tylko jest na świecie.

— Jakto, zawołał Jukundus, nie wyprzesz się przecie bogów twoich naddziadów?

— Moich naddziadów! powtórzył Arnob, ja ich wcale nie mam. Nie jestem zapewne afrykaninem, nie jestem Kartagińczykiem ani Fenicijaninem, ani Chanejczykiem, ani Numidem, ani też Getulem. Jestem w połowie Grek a w połowie sam nie wiem co doprawdy. O mój stary przyjacielu! ty należysz jeszcze do dawnych szczęśliwych czasów. Co do mnie ja w nic nie wierzę. Bo i w cóż wierzyć nareszcie? W koło

nas taki panuje wir najdziwniejszych pojęć, że niewiadomo co wybrać z tego zamętu.

— Ha otóż to nowe pokolenie, zajęknął boleśnie Jukundus, rzeczywiście nie wiem co z was będzie, gdy my starzy zejdziemy z widowni. Któż wie może zostaniecie chrześcijanami!

— Arnob rozśmiał się na głos. Co do mnie mogę cię uspokoić w tym względzie, mój kochany. Doprawdy dzielnyby był ze mnie chrześcijanin! pięknebym miał widzenia rozciągnieny na kole, albo w ciemnym zamknięty lochu! O nie lękaj się o mnie, lepszy ja użytek myślę wyciągnąć z życia. Zdaje mi się że fortuna, zaszczyty i uciechy warte są, aby ich nie lekceważyć. Bynajmniej ja nie chcę gonić innych celów.

— Dobrze chłopcze, zawołał Jukundus, brawo! Zostańże przy swojém. Wyznam! że zrazu bałem się o ciebie, ale teraz zupełnie jestem spokojny. Zostaw na boku widzenie, dociekania, wnioski, fantazye i wszystkie niebezpieczeństwa nowości, bo z nich wypływa tylko coraz większy zamęt.

— Nie, nie! odrzekł młodzian, jam nie taki dziki, jak mniemasz Jukundusie; wprawdzie nie wierzę w stare bogi, ale urodziłem się w ich czci, to téż w ich czci umrzeć pragnę.

— Wybornie! zawołał Jukundus z uniesieniem, zachwycasz mię.

Dzielny z ciebie chłopiec, otóż młodzian według mego serca, miałbym wielką ochotę przybrać cię za syna.

— Nie wierzę ani słowa, ciągnął Arnob w to wszystko co nam prawią kapłani, bo i któżby im wierzył? Oni sami nie wierzą w siebie, nie wierzą ani w Jowisza, ani w Junonę, ani w Astartę, ani w Izys. Ale gdzież nam szukać czego lepszego? A potém na co mam szukać dobrego lub złego w ludzkiéj sferze? Nikt nic nie wie, a życieby mi zbiegło próżno na gonieniu za niepodobieństwem. Nie! wolę raczéj pozostać tu, gdzie jestem; gdybym chciał iść daléj, strwoniłbym czas na próżno; widzisz więc, że żyję sam dla siebie i dla jenjuszu Romy.

— Dobra to zasada, rzekł zachwycony Jukundus, ależ doprawdy, to rzecz niepojęta, w takim jak ty młodzianie. Zkądżeś zdobył tyle zdrowego rozsądku mój przyjacielu? znałem cię dotąd bardzo mało, lecz muszę wyznać, że jesteś prawdziwie rozumnym młodzieńcem. Zapewniam cię, wyborne masz zasady. Takiéj młodzieży mało, za naszych czasów; winszuję ci z całego serca, wysokiego pojęcia i zadziwiającéj mądrości. Ktoby się był tego spodziewał? Prawdę mówiąc miałem cię zawsze w podejrzeniu, lecz okazałeś się szlachetnie, jakim jesteś. Wybornie, ja nie żądam żebyś wierzył w stare bogi, skoro wierzyć nie możesz, ale masz obowiązek mój drogi, obowiązek względem Rzymu, wspierać go i bronić od napaści. Ha! dodał śmiejąc się zmienionym głosem, daliby bogowie, gdyby jeden chociaż z moich młodych przyjacioł miał te same wyobrażenia.

I w obawie, czy zbyt wiele nie powiedział, zatrzymał się nagle. Chcesz zapewne mówić o Ageliuszu? zapytał się Arnob — ale gdy o tém mowa, dodał po cichu, czy wiesz jakie pogłoski rozeszły się w Kapitolium? Mówią, że Rzym nowe przedsięwziął plany względem chrześcijan, postępuje według nich i z wielkiém powodzeniem; już ich nie karzą śmiercią, przynajmniéj w téj chwili, ale wtrącają do więzień i biorą na tortury. Dziwna rzecz, jak wielce zrzeka się swych błędów.

— Niech ich furje porwą! zawołał Jukundus, powinniby wyczerpać wszystkie swoje męki, wyłączam jednak mego biednego synowca. — Więc oszukują kata, porzucają swe bezbożne wyznania; nikczemne węże ulękły się pogróżki. A jednak, dodał z powagą, radbym, żeby te groźby mogły także poruszyć Ageliusa, lękam się tylko, czyby go jeszcze nie utwierdziły w uporze. Och! ten upór chrześcijański, Arnobie, dodał skłaniając głowę, to istny dopust bogów, rodzaj *nympholepsyi*.

— To nie potrwa, rzekł Arnob, wierz mi, szał już przeminął bezpowrotnie. Dziwna rzecz jednak, że to trwało trzy wieki; mówią, że w wielu miejscach, po ogłoszeniu edyktu, chrześcijanie nie czekali wezwania, ale sami rzucili się tłumnie do świątyń i składali bogom ofiary. Magistrat musiał wyznaczać im dni kolejne, a który się z nich upamiętał, sam potém namawiał drugich, aby poszli w jego ślady. Mnóstwo się téż poddało tych *mistyków i ezoteryków*.

— Jeżeli tak rzeczy idą, rzekł Jukundus, niechże Agelius ma się na baczeniu. Inaczej sekta może go opuścić, zanim on ją opuści. Sam chrześcijanizm wprzód się upamięta, niźli on przyjdzie do rozumu.

— O! nie lękaj się o niego, rzekł Arnob, znałem go jeszcze na ławach szkolnych. Dzieci różnią się między sobą, niektóre są szczere i zuchwałe, ale już to są dusze z charakterem i działają z własnego popędu; mówią z całą swobodą, i jak małe orlęta podlatują w górę. Inne zaś nieśmiałe, spokojne, bojaźliwe, lękają się działać według woli. Agelius nie mógł się nigdy otrząsnąć z tego fałszywego wstydu i zachował ślad jego widoczny. Mógłby go jednak pokonać i nie dziwiłbym się wcale, gdyby oswobodziwszy się nakoniec wpadł w przeciwną zupełnie ostateczność. Ujrzysz go może niezadługo światowym hulaką i rozrzutnikiem.

— Wyborną czynisz wróżbę — rzekł Jukundus, dobrze więc! rad jestem, że przeczuwasz, iż zaniecha w końcu swoich dziwacznych fantazyj. Nie sądzę wreszcie, żeby te zasady głęboko się wszczepiły w jego serce. Postąpił kilka kroków w milczeniu, a potem zatrzymał się nagle.

— To dziecię, rzekł, ma wiele dowcipu, nie prawdaż Arnobie? Mogłożby mi posłużyć w razie potrzeby. Czy zna Ageliusa.

— Czy go zna? nie inaczéj, odparł Arnob, wie doskonale drogę do jego domu. Nie ma dnia, żeby

nie wybiegł za miasto. Zna dokładnie najkrótsze i najskrytsze ścieżki mało komu wiadome.

— Jak mu imie? zapytał Jukundus.

— Firmjusz, odrzekł Arnob, Firmjusz Laktancjusz.

— A więc Firmjuszu, zagadnął Jukundus, gdzie przepędzasz cały dzień? mów chłopcze.

— Rano i po obiedzie w klasie, odparł Firmjusz, w południe spię zwykle pod portykiem, wieczorem sam nie wiem gdzie, a w nocy izdebce Arnoba.

— A czy potrafisz zachować tajemnicę, gdyby ci ją powierzono? zapytał Jukundus, i sprawić się z danego ci zlecenia.

— Obszedłbym się z nim gorzéj niż Rupiljus, gdyby się nie wywiązał, rzekł Arnob.

— Zgoda! — zawołał Jukundus, i dając im ręką znak na pożegnanie, wyszedł z miasta, a oni udali w inną stronę.

IX.

Chore serce.

Agelius krzątał się gorliwie koło gospodarstwa podczas gdy nieprzyjaciele chrześcijańskiéj wiary usiłowali wplątać go w sidła równie jak i jego współbraci.

Gdy przemyślano nad tém w cesarskiém mieście, w domu prokonsula i w municypalności, gdy Jukundus łamał sobie głowę jakimby sposobem przywieść go do upamiętania, on tymczasem niewinny przedmiot tylu intryg, zajmował się żniwem, chował zboże po lochach, cegielniach, dystyllował wodę różaną i chodował winnice. A pracował tak z podwójnych pobudek: naprzód wiedziony uczuciem obowiązku, a potém czując, że w pracy znajdzie tarczę przeciwko sobie samemu, obronę od próżnych myśli, chęci i marzeń pewny środek na zwątpienie i rozpacz. Zapewne wyda się dziwnem czytelnikowi, człowiek który szczerze mienił się chrześcijaninem mógł żywić nadzieję, iż ukołysze swoje serce

na łonie poganizmu. Ale i czemużby Agelius nie miał być chwilowo niestałym jak to się zdarza chrześcijanom i za naszych czasów, a kto wie czy go nie łatwiéj usprawiedliwić niż dzisiejszych.

Jakoż ci rzeczywiście nie bywają nigdy narażen na próbę takiéj samotności i wypływające z niéj pokusy, jakie nasz młodzian znosić musiał; nic téż dziwnego, że unikając od własnych myśli, szukał roztargnień w rzeczywistości. Wychował się w owéj szkole przerobionéj ze świątyni Merkurego, o któréj mówiliśmy w poprzednim rozdziale, wśród powszechnego zepsucia, uszedł jednak od zarazy, bałwochwalstwa i grzechu, nie zawarł przyjaźni z żadnym ze szkolnych towarzyszy, nie wiedział nawet czy miał koło siebie chrześcijan, ale za to zniósł wiele od dzieci pogańskich, łakomych, kłótliwych i najnieznośniejszych w obejściu. Tu odbyte nauki rozwinęły jego umysł, dały popęd do zastanowienia się nad religią, słowem, nauczyły go myśleć. Ale stopień ten wykształcenia, mogący starcowi być pociechą w samotności, dla młodziana stawał się tylko źródłem niepokoju i zamięszania — mnóstwo bowiem zasad cisnęło się do głowy jego, wymagające niezwłocznéj odpowiedzi, mnóstwo uczuć pragnęło ukojenia. — Agelius nie wiedział sam czy owe domysły, dręczące obawy i zaciekania, jemu tylko były właściwe lub też plagą powszechną; daremnie odtrącał je od siebie. Obdarzony wyższem pojęciem, chciwy był nauki, zwłaszcza że w jej źródle nie ugasił jeszcze pragnienia, a łaska Boża odwróciła od niego swój przeczy-

sty strumień w dniach niespokojnéj i burzliwéj młodości.

W takich to chwilach dwoje młodych Gregów brat i siostra w równym wieku prawie z Ageliusem przybyło do Sikki na wezwanie Jukundusa, który potrzebował ich pomocy w handlu swoim. Agelius za bliższém poznaniem znalazł w nich to, za czém dotąd uganiał się daremnie. Żadne z nich nie było zapewne wyrocznią mądrości, ani źródłem nauki filozoficznéj, ich wiek i zwykłe zatrudnienia nie dopuszczały tego, ani wymagały. Gdyby młodzian szukał wyroczni, zwróciłby oczy w inną stronę, lecz on pragnął pojęć odpowiednich swoim, a te znalazł w rodzeństwie młodych Greków. Dowiedział się rozmawiając z nimi, że wszystkie niemal zagadnienia, które na uważał za niedocieczone, roztrząsano już w szkołach greckich. Znalazł gotowe niektóre rozwiązania, poznał on jakiéj osi obracają się ludzkie wyobrażenia, dokąd prowadzą, i na czém są oparte. Zaczął lepiéj pojmować stanowisko chrześcijańskie w świecie myśli, zrozumiał jak je uważają obrońcy innych wyznań i filozofowie. Tym sposobem poznał gruntowniéj bieg logiczny myślenia, nie wiedząc o tém postąpił znacznie w badaniu sił własnych.

Nie koniec na tém, Agelius za pośrednictwem nowych przyjaciół stanął w krótce na wysokim szczeblu nauk światowych i filozofii. Poznał historyę obcych krajów mianowicie Grecyi, jéj bohaterów i mędrców, poetów i filozofów. Aleksander i państwo Macedońskie,

żydzi, a naostatek wielkie podboje Rzymu, wszystko to stanęło mu wyraźnie przed oczyma.

Nauka równie zazwyczaj bywa zajmującą dla ucznia jak dla nauczyciela. Agelius ile przyjmował od drugich, tyle też oddawał im nawzajem. Młode rodzeństwo greckie lubo nie zbyt gorliwe w sprawie religii, ciekawe było jednak zasad chrześcijańskich i słuchało młodego przyjaciela z cierpliwością nie skłaniając się wyłącznie na stronę żadnego wyznania. Lubo spory jakie niekiedy powstawały między innemi, nie zmieniły niczyjego przekonania, korzystne były jednak, albowiem rozbudzały umysł i podniecały współzawodnictwo. Agelius miał szerokie do mówienia pole, nie dotykając najświętszych tajemnic swéj religii, czuł wreszcie że swobodna rozmowa z towarzyszami, nie nadweręża w niczém osobistéj jego wiary. Co więcéj, cieszył się nadzieją, że ich wkrótce ujrzy na prawdziwéj drodze, pełen prostoty i niewinności, łatwo temu wierzył; a lubo żyjąc w czasie obfitym w wypadki, powinien był czuwać nad sobą bezustannie, nie mógł jednak przypuścić, aby przyjaciele tak mili i rozumni, połączeni z nim węzłem szczerego współczucia, mogli w głównych życia zasadach być z nim w najzupełniejszéj sprzeczności.

Aryston i Kalista dziwnie umieli przytém uprzyjemnić samotną ustroń Ageliusa. Młoda greczynka głos miała dźwięczny i biegle potrącać umiała strony liry. Improwizowała z łatwością, a każde słowo ody lub epopei stosownie do znaczenia swego odbijało się w wy-

razistych jéj rysach. Opiewała nieraz, jak światowa Penthea i dumny Hypolit dowiedli własnym przykładem, o ile cnota ludzka bezsilną jest, gdy walczy przeciw potędze bogów, jak czysta Djanna objawiła się pasterzowi Endymionowi, nie zaś wielkim ani mędrcom świata, ukazywała Tithona małżonka Aurory jako uosobienie tych, którzy roztrwonili młodość w mniemaniu, że trwać będzie wiecznie, a przyszedłszy do starości rozprawiają o młodych latach i nudzą drugich opowieścią swych miłostek i czynów, jak owe koniki polne, których życie przechodzi tylko w pieśni [1]).

Te same alegorje, które Polemon deklamował z katedry, a które Arnob tak surowo osądził, przenikały do głębi serca Ageliusa, płynąc przez usta uroczéj greczynki; umiała przytém wybornie deklamować; nieraz gdy rozprawa słabnąć poczęła, skłaniając się do prośby obecnych, odgrywała rolę Medei lub Antygony z mocą i prawdą niezrównaną, talentem bowiem swoim Kalista przewyższała o wiele maski występujące na deskach teatralnych. Oboje z bratem bywali Edypem i Antygoną, Elektrą i Orestesem, Kassandrą i chórem. Raz między innemi chcieli odegrać sztukę Menandra, ale Agelius miał wstręt do komedyi, choćby najpiękniejszéj i najlepiéj odegranéj. Kalista mogła przedstawiać Thais równie dobrze jak Ifigeniją, ale Agelius nie słuchałby jéj z równém upodobaniem. Są w nas pewne instynkta i uczucia, dziwnie delikatne, które

[1]) Bakon.

działają w duszy naszéj jakby pierwotne zasady, a które starte raz, nikną bezpowrotnie, i tylko wpływ cudowny przywraca je niekiedy. Gdy ludzie żyją w stanie natury, gardzą temi uczuciami i rychło zacierają w sercu ich barwę, postradawszy je, człowiek przepomina że je znał kiedyś: trudno mu jednak ich dowieść, jak wielu innych prawd zasadniczych, dla tego to powszechny sceptycyzm, zaprzecza nawet ich realnego bytu. Grecy, czy to przez żywość umysłu, czy przez namiętne ukochanie piękna, postradali te niebieskie wpływy, prędzéj od innych narodów. Gdy powstawała w tym przedmiocie rozprawa pomiędzy Ageliusem i młodemi jego przyjaciołmi, Kalista zwykle milczała; ale Aryston dziwił się nie pomału, że młody chrześcijanin tak surowém okiem patrzał na zwyczaje, które w jego mniemaniu nic nie miały w sobie zdrożnego. Rysy jego przybierały wtenczas wyraz szyderczy, a cień smutku padał na oblicze Ageliusa; wszakże młody Grek zanadto był słodki i łagodny, żeby chciał przemocą naginać drugich do swego przekonania, przypisysał on dziwacznéj religii przyjaciela, jego chorobliwym przesądom; i prosił nawet siostry, żeby zaniechała owych koniecznych przedstawień, które chwilowo mąciły pokój i wywoływały sporne zdania.

Te stosunki przyjazne utrzymywały się od kilku miesięcy o ile czas na nie pozwalał. Parę razy młode rodzeństwo odwiedziło dom Ageliusa, najczęściéj jednak pomimo wielkiego wstrętu do miasta, Agelius przebiegł wąskie i ludne jego uliczki, dążąc do mieszkania przy-

jaciół. I cóż w tém dziwnego, że młodzian nie znający świata, pojmujący życie z pięknéj tylko strony, nie dosłyszał tajemnego głosu, który go ostrzegał i skłaniał do unikania pogaństwa nawet w najponętniejszéj jego formie, i cóż dziwnego, że w téj okoliczności żywa nadzieja, nadzieja młodzieńcza usuwała w oczach Ageliusa przeszkody, i wskazywała mu w nawróconéj Kaliście, chrześcijańską małżonkę? Nic już nie dodamy na jego usprawiedliwienie, a jeżeliśmy nie zdołali złagodzić winy, musimy go oddać na łaskę a raczéj na surowy sąd czytelnika.

Gdy to opowiadamy, Jukundus tymczasem odbył rozmowę z synowcem, pochwyćmy i my jéj wątek, aby nie stracić ciągu powieści. Stryj nakierował zręcznie słowa do drażliwego celu swych odwiedzin. Okazał w tém wiele taktu i poruszył wszystkie poetyczne sprężyny jakie tylko znalazł pod ręką. Przeszedł nieznacznie od obrazu natury, jaśniejącéj obecnie pełnym blaskiem, do poglądu moralnego i społecznego, który miał niebawem zająć umysł Ageliusa.

Mówił naprzód o winnicach, o ich uprawie z powodu karłowatych szczepów rozsadzonych przed domem. Ztąd przeszedł do winnych latorośli najpospolitszych w Afryce, o długich i pnących gałęziach, późniéj wspomniał o ogromnych krzewach włoskiego winogradu, jak okrążają pnie odwiecznych drzew, w swoje zielone uploty. Ztąd przytoczył Horacego, który mówi o zgodzie wiązu i winnéj latorośli i znalazł się nagle

na właściwym sobie gruncie. Serce Ageliusa biło na gwałt, gdy stryj począł mu przedstawiać swoje zamiary odpowiadające tajemnym jego chęciom.

— Mój drogi Ageliuszu, rzekł Jukundus, byłaby to wyborna sprawa. Wprawdzie co się mnie tyczy, nie myślałem nigdy o małżeństwie, znać nie było to w mojem przeznaczeniu i nie miałem ku temu skłonności. A potém ojciec twój nie dał mi zachęcającego przykładu w tym względzie. Z tobą zupełnie rzecz inna, żyjesz tu bowiem samotnie w sposób dziwny i oderwany od świata. Może lepiéj żebyś zamieszkał w Sicce, znalazłbym ci właściwe zatrudnienie, a radbym szczerze mieć cię przy moim boku, gdy się zestarzeję. Wszelako myślę, że upłynie jeszcze jakiś czas, nim stary Charon zabierze mnie do swéj łodzi; choć mówiąc między nami, i ja równie jak ty mój Ageliuszu nie przywiązuje wiary do tych bredni. O nie! zapewniam cię.

— Myślę drogi stryju, rzekł Agelius, że mnie może obwinisz o nierozwagę ale i...

— Tak, tak w tém cały węzeł pomyślał Jukundus, a potém rzekł na głos: Nierozwaga moje dziecko, kto mówi o nierozwadze, któżby cię śmiał nazwać nierozważnym? Wyście oboje zrodzeni dla siebie Ageliuszu, ona wyobraża miasto, a ty wieś, ona taka zręczna, tak ponętna i światowa, ty znów tak świeży, obyczajów prawdziwie arkadyjskich. Całe miasto mówiłoby o was.

Tego właśnie wcalebym nie pragnął, rzekł Agelius. Wyznaję, że gdyby myśl o Kaliście nie zgadzała się z moją religią...

— Zapewne, zapewne, przerwał Jukundus, który stosownie do rady Juby miał się na baczeniu, aby nie obrazić miłości własnéj Ageliusa. Ależ kto o tém wie, że byłeś chrześcijaninem? nikt się ani domyśla. Wszyscy pewni, gotówbym iść w zakład, żeś poczciwy chłopiec jak i oni, że czcisz bogi i nie wdajesz się w takie brednie. Zawszem tak przed światem utrzymywał: mniemam więc, że gdybyś oddał libacyą Jowiszowi i zapalił jutro szczyptę kadzidła na ołtarzu Cezara, niktby w tém nic nadzwyczajnego nie widział i aniby kto pomyślał, że to czynisz po raz pierwszy, przypuśćmy na chwilę, że niemasz nic więcéj do zwalczenia.

Agelius zmięszany był i upokorzony, Jukundus spostrzegł to, ale nie odgadł powodu.

— Drogi stryju — rzekł młodzian — czynisz mi wymówkę.

— Bynajmniéj, odparł Jukundus z zaufaniem, nie ma w tém ani cienia wymówki, bo i jakieżbym miał do niej powody? Nie od razu przychodzimy do mądrości, ja miałem moje wady, ty możesz mieć swoje. Rzecz prosta, że z wiekiem przywiążesz się bardziéj do istniejącego stanu rzeczy. Małżeństwo, samo nawet przygotowanie do małżeństwa, czyni człowieka rozsądniejszym. Byłeś trochę uparty to prawda— poszedłeś za własną wolą — ale ot zwyczajnie, igraszka dzie-

cinna i nic więcéj, sam to wyznasz w danéj okoliczności. Rozważ dobrze nasamprzód jaki rodzaj małżeństwa myślisz zawrzeć, małżeństwo rzymskie jak sądzę, ale i tu są nie małe różnice.

Już tu przyjęta zasada w świecie, że praktyka różni się od teoryi; Agelius marzył o celu, nie zastanawiając się nad środkami, wyobraził sobie Kalistę chrześcijanką, i mniemał, że będzie mógł zaślubić ją spokojnie, skoro tylko kościoł postanowi formy i rytuały tyczące się tego sakramentu. Zastanawiał się już nad tém nieraz, ale w inny sposób, niżby stryj jego pragnął.

Nasamprzód, ciągnął daléj Jukundus, bywa małżeństwo przez *konfarreacją* [1]). Wszakże ściśle mówiąc to wyszło już z użycia. Upadło z obyczajami starych patrycyuszów, ceremonja wprawdzie pozostała, ale duch religijny przestał ją już ożywiać. Co do mnie mój drogi nie radzę ci tego ceremoniału. Musiałbyś zabić wieprza, wyjąć wnętrzności i żółć ofiarować Junonie. Dodajmy do tego ogień, wodę, kadzidło, tyle innych rzeczy; o! doprawdy to za wiele zachodu. W tym względzie zgodzimy się, pewien jestem. Odłóżmy więc na bok małżeństwo religijne.

---

[1]) U Rzymian z troistéj formy małżeństwa, ta była najuroczystszą i najzupełniejszą, która ustanawiała równość pomiędzy małżonkami. *Konfarreacia* polegała na ofiarowaniu pszennego placka przez młodą małżonkę. Ten obrzęd wyszedł ze zwyczaju za cesarzów.

Potem idzie małżeństwo przez *koempcią*, czyli pewien rodzaj tranzakcyi handlowéj. W tym razie strony obie kupują się nawzajem, jedno staje się własnością drugiego, każdy widzi rzeczy po swojemu, ale ja wyznam szczerze, nie chciałbym być ani kupionym ani sprzedanym. Wolę pozostać panem samego siebie, a wszystko co się odwołać nie da, budzi we mnie wstręt i podejrzenie. Bo i pocóż oddawałbyś się na zawsze dziewczynie, którą znasz tak mało. O! niech cię to nie dziwi, wszyscy dziś są mego zdania. Przypuszczam jeszcze, żeby kupić dziewczynę, ale się jéj zaprzedać — to zupełnie rzecz inna. Sam nawet nie wiem czybyś ją mógł kupić. Jako obywatel rzymski masz prawo pojąć tylko rzymiankę, a nie jestem pewien czy Kalista posiada ten tytuł. Wprawdzie Karakalla nadał od razu prawo miejskie wszystkim wolnym przybyszom z jakiegobądź kraju; ale ta ustawa nigdy nie weszła w obyczaj. Miałbyś wiele trudności z przełamaniem praw zwyczajowych; a wreszcie jak tu dowieść że jest wolną. Moje dziecię muszę wszystko wypowiedzieć na twoje dobro, choć widzę, że nie rad jesteś ze mnie. Pragnę szczerze widzieć cię połączonym z Kalistą, bądź tego pewien, ale trudno płynąć przeciw wodzie, nie podobna zmienić rzeczy według woli. Prawa rzymskie pozwalają ci pojąć ją w małżeństwo, ale tylko w sposób przezemnie określony, nigdy zaś inaczéj. Trudna rada! prawo musi pozostać prawem. Mówię tu w przypuszczeniu, że jest wolną, lecz kto zaręczy, że w obliczu prawa nie okaże się niewolnicą? O! nie zrażaj

się tém, ta śliczna istota nic nie straci, ani zyska na osobistéj wartości, jakiegokolwiek okaże się jéj stanowisko, mówię to dla twego dobra.

A teraz powracam do rzeczy:

Jest jeszcze trzeci rodzaj małżeństwa, najwłaściwszy dla ciebie. Zowie się małżeństwem *ex usu*, czyli *ex consvetudine*. Ztąd jest ze wszystkich najkorzystniejszy, że nie wymaga żadnéj ceremonii i najmniéj wkłada obowiązków. W takim wypadku mężczyzna i kobieta zostają małżonkami z czasem na mocy przedawnienia. Nie chcesz w mieście narobić hałasu; tym sposobem unikniesz mowy ludzkiéj. Dość na tém że ją weźmiesz do domu swego, a jeźli dobrze wam będzie razem, zostaniecie małżonkami; jeźli nie, dodał podnosząc ramiona w górę, nie ma w tém nic złego — wolni jesteście oboje.

Agelius siedział pod cieniem winogradu; na te słowa powstał z miejsca, wyciągnął ręce ku niebu i zajęknął boleśnie.

— Posłuchaj mię — posłuchaj moje dziecię — zawołał Jukundus, chcąc jak najprędzéj wyjaśnić to, co uważał za powód wzruszenia synowca, posłuchaj mnie chwilkę Ageliuszu. O! mój drogi, sam doprawdy niewiem jak postępować z tobą. I cóż się stało, ja przecież nie krzywdzę Kalisty bynajmniéj, nie przypuszczam nawet myśli, abyś ją miał kiedykolwiek opuścić, chyba w razie gdybyście oboje pragnęli zerwać ugodę. Nie, ależ to dla niéj sprawa nader korzystna, ty jesteś Rzymianinem, masz posiadłość i stanowisko

w świecie; ona cudzoziemka bez posagu, nikt nie wie zkąd przybyła, słowem nikt jéj nieznа. Nie może czynić trudności i pewien jestem, że gotowa bez żadnych warunków połączyć się z tobą.

O mój dobry — mój kochany stryju! O Jukundusie, Jukundusie, zawołał Agelius, być że to może? czy mnie własne uszy nie mylą? czegoż ty wymagasz odemnie? i umilkł, a z piersi jego stłumione wydzierało się łkanie. Czyż podobna, zawołał po chwili, abyś mi w dobréj wierze radził związek, któregoby małżeństwem nigdy nazwać nie można?

— Mylisz się zupełnie, rzekł z powagą Jukundus, widać że nie znasz świata. Zastanówże się dobrze, radziłem ci ten tylko trzeci rodzaj małżeństwa, *contubernium*, jak je zowią prawnicy. Niesprawiedliwym jesteś dla mnie Ageliuszu, chciałem uprzątnąć ci zawady, powinieneś działać według zwyczajów przyjętych w społeczeństwie, trudno tworzyć dla siebie świat oddzielny. Przedstawiłem ci dwie, czy trzy drogi, odrzucasz wszystkie, żadna ci nie dobra, i czegoż ci potrzeba? Sądziłem, że nie lubisz próżnych ceremonij, że gardzisz pospolitym obyczajem. Ależ skoro chcesz możesz postąpić po staremu. Zabijże barana, czy wieprza, zamieś ciasto, zapał łuczywo, zaśpiewaj sobie weselną piosenkę, zaproś nakoniec kapłana. Rób, co chcesz, ożeń się według religijnych obrzędów, jeźli taka twoja wola.

— O Jukundusie, odparł biedny młodzian, do tegożem przyszedł? I umilkł nie mogąc mówić z powodu głębokiego wzruszenia.

Jukundus uczuł w sercu gorżki żal do synowca, pragnął on szczerze ułatwić mu wszystko, a mimo usiłowań potrącał co chwila o nowe niepojęte trudności. To też gniew jego wzrastał coraz bardziéj. „Szalona głowa!“ powtarzał sobie w duchu. — Nieraz wystawiano mu zacięty upór chrześcijanina; teraz miał przed oczami dokładną jego próbkę, przekonany był, że jakiś chorobliwy jad wszczepił się w krew młodziana i nawskróś go przeniknął. Wszak mu za trudy inna należała zapłata; przyszedł tu z domu szlachetném wiedziony uczuciem, mając wyłącznie na celu dobro Ageliusa.

— Niechże go furje porwą! — pomyślał — skoro tak chce, co mi szkodzi, że go powleką na śmierć jako chrześcijanina, że go powieszą jak psa, lub wrzucą do ciemnicy jakby zdechłego szczura, co mi szkodzi, że go pożre hyena w amfiteatrze w obec całego miasta, lub że krucy szarpać go będą na krzyżu, w progach domu mego. Niewdzięczny pies! Mamże się troszczyć jego losem! mnieć to ani ziębi ani parzy. Nikt nie wyrzecze ani słowa przeciw Jukundusowi, każdy mu rękę poda, on nie będzie cierpiał za cudze winy. Mogęż go ocalić gwałtem, gdy sam tego nie żąda, przedstawiłem mnóstwo rad i sposobów, a on odrzuca wszystkie i umyślne stawia trudności, wszystkiemu winna ta niegodziwa pycha. Nie mógłby gorzéj postąpić, gdybym szukał z nim kłótni i wyrzucał mu że jest chrześcijaninem. Alem ja unikał wszelkiego

zadrażnienia. To prawdziwy Typhon lub Encelad co do pychy. Dałby sobie obciąć uszy, byleby raz skończyć z chrześcijaństwem; pragnie szczerze posiąść Kalistę; niechże ją pomienia za religię; w innym razie prędzéjby gotów dać się żywcem odrzeć ze skóry, niż powiedzieć: wyrzekam się wiary mojéj! Niechże teraz zbiera to co zasiał; nie powiem więcéj ani słowa — chce niech sam ma litość nad sobą.

— No Ageliuszu, czas mi odéjść, rzekł powstając Jukundus.

Agelius ze swéj strony pogrążony był w myślach; cierpiał na tém, że obraził stryja. Wdzięczny mu był za troskliwą opiekę, za nieskończone względy, za szczere przywiązanie, okazywane mu od dzieciństwa; a wreszcie oceniał dobrą stronę jego charakteru. Jemu to winien był ukształcenie i uczciwe stanowisko. Nie mógł zatem przenieść jego gniewu, drżał przed nim, lecz nie widział na to żadnéj rady. Jukundus nie pojmując bynajmniéj, ani przeczuwając instynktem głównych zasad wiary chrześcijańskiéj, przez zbyteczną gorliwość, sam o tém nie wiedząc, stracił wszelki wpływ nad umysłem synowca, potrącili się nawzajem w nader bolesny sposób i obadwaj równie cierpieli. Agelius jako młodszy powinien był uczynić pierwszy krok do zgody; pragnął tego, lecz sam nie wiedział jak zacząć. Wreszcie oprócz przywiązania do Jukundusa inne jeszcze powody zachęcały go do tego.

Kalista w rzeczy saméj miała nad nim wielką władzę, rozmowa ze stryjem otworzyła mu oczy i dała mu poznać, że nawrócenie młodéj Greczynki było niezbędnym do małżeństwa warunkiem. Rzecz prosta, że nie mógł zaślubiać jéj póki była poganką. — Rzymianin miał prawo pojąć Rzymiankę, ale Rzymiankę, lecz nigdy pod żadnym pozorem, bez poniżenia stron obu, nie mógł zawierać małżeństwa z Greczynką.

Gdyby się nawróciła, oboje przeszliby pod prawa kościoła katolickiego. Ale mógłże się spodziewać tak szczęśliwego wypadku? Czyż Kalista dała mu kiedy tę nadzieję, choćby przelotnym słówkiem? Zręczna dziewczyna mogła odgrywać rolę Alcesty, śpiewać piękne wiersze Kleanta, improwizować hymny na cześć wiosny, lub rozprawiać o *Pulchrum et utile*, nie mając żadnéj skłonności do chrześcijańskiéj wiary? Głos jéj słodki i spokojny, postać szlachetna, rysy pełne wyrazu, układ przyzwoity i ogładny, byłyż to niewątpliwe zapowiednie łaski niebieskiéj? O tak! biedny Agelius był pod urokiem i dla tego szukał środków pojednania.

— Po twojém milczeniu Jukundusie widzę jasno, rzekł młodzian, że nie rad jesteś ze mnie; ty jednak byłeś zawsze tak dobrym. A więc niedorzeczność moja sprawiła to nieporozumienie. O tak! nie inaczéj, błagam cię, przebacz wszystko cokolwiek mogło cię razić w mém postępowaniu — bo serce moje nie jest

bynajmniéj niewdzięczne. Za młody jestem, abym umiał patrzyć dobrze na rzeczy i przewidywać wszelkie ich następstwa. Nie myślę taić, że kocham szczerze Kalistę, im więcéj ją widuję, tém ją bardziéj oceniam. Sądzę, że gdybyś chciał zwierzyć się Arystonowi, mógłbym nie długo pomówić z nim otwarcie.

Jukundus żywy był z natury, ale uspokajał się łatwo. Ujęty zaufaniem synowca zaczął go chwalić w oczy.

— Otóż to teraz rzekł — mówisz jak chłopiec rozsądny. Dobrze mój Ageliuszu pomówię z Arystonem skoro tego żądasz i wystawię mu rzecz całą. Wspomnę o prawie przedawnienia. No i czegóż się krzywisz? Chcę mówić, że roztrząśniemy sprawę ze wszystkiemi szczegółami, porozumiemy się łatwo, zapewniam cię a potem ty z nim naradzisz się znowu. Oprowadźże mnie teraz po polu, pokaż mi z czém się pochwalisz przed narzeczoną. To doprawdy piękny kawałek ziemi! Pamiętam jak namówiłem ojca twego, aby go zadzierżawił. Mówiłem ci już w jakiéj okoliczności.

Podczas gdy bawił w Kartaginie — ciągnął daléj, sam nie wiedząc co począć, zdarzyło się, że dobra Julii Klary wystawiono właśnie na sprzedaż. Były to ogromne posiadłości, otrzymała je w podarunku od ojca. Stary Didjusz, który był cesarzem przed mojemi czasy, przywdziawszy purpurę, oddał córce wszystkie ziemskie posiadłości. Ale niedługo cieszyła się

niemi. Sewer skonfiskował wszystkie na własną korzyść. Te dobra tak są rozległe w Afryce, że jak wiesz pozostają pod zarządem osobnego intendenta To też nie sprzedawano ich od razu, a dawni dzierżawcy pozostali przy prawach. Markus Juwencjusz zadzierżawił znaczną ich część, graniczącą z własnemi jego dobrami, ale gdy nie mógł zapłacić należytości, postanowiono wypuścić je na nowo. — Dowiedziawszy się o tém dałem znać bratu Strabonowi do Kartaginy, on udał się natychmiast do dawnego swego dowódzcy, który mu chętnie dopomógł, i ugoda stanęła.

Powiadam ci szczerze nie ma tak pięknego kawałka ziemi w Afryce, mam nadzieję, że otrzymam przedłużenie dzierżawy. O mój Ageliuszu, byleby tylko nie posądzono cię, że jesteś złym Rzymianinem. Otóż więc uspokój mnie w tym względzie, zanim się rozłączymy.

Doprawdy, nie poznaję się w tem miejscu od ostatnich odwiedzin. Jakież ty zaprowadziłeś ulepszenia! Ta altanka prześliczna, brak w niéj tylko Apolina lub Djanny, ale zaczekaj no chwilę, czemu chodzisz tak spiesznym krokiem? No, otóż ja ci daruję piękny posąg, który ci niezawodnie przypadnie do smaku. — Nie chcesz go? Mniejsza o to, przepraszam bardzo przepraszam. Jakiż to świat dziwaczny! Ale cię podobno oderwałem od robotników.

Nagle powstrzymał się w gniewie, a ułożywszy rzeczy jak można było najlepiéj, stary poganin wrócił do miasta.

Rozstając się z Ageliuszem, zapewnił go, że wszystko wykieruje pomyślnie, tak, że przed końcem miesiąca, będą mogli obadwaj porozumieć się z Arystonem.

X.

Kalista.

Nadszedł nareszcie dzień, który Agelius przeznaczył na odwiedziny Arystona. W miarę jak rosły jego obawy, powiększały się też w przekonaniu jego trudności stojące na przeszkodzie jego zamiarowi. Kalista nie była jeszcze chrześcijanką i nie podobna było przypuścić, żeby samo oświadczenie jego pociągnęło ją do téj wiary, a sumiennie mówiąc czyż takie przejście byłoby do pożądania? Agelius jednak nie chciał zatrzymać myśli na tych przeszkodach, owszem oddalał pamięć ich od siebie, aby już więcéj z niemi nie walczyć, on nie ożeniłby się z poganką; wprawdzie nie widać w niéj dotąd tego dążenia, ale on jest tego pewien. — Jednakże, chociaż Agelius starał się koniecznie przekonywać swój rozum temi powodami, nie mógł przecież uspokoić w sobie sumienia; walka wzmagała się w nim codziennie i już żałował prawie, że prosił stryja aby uprzedził Arystona. Ale rzecz już

była zrobioną, trzeba było albo się cofnąć albo iść daléj; mniemał więc, że najwłaściwiéj będzie zastósować się do rady stryja oczekując jak też druga strona stawi się do tego żądania. I w istocie czyż mógł szczerze pragnąć, żeby się rzeczy inaczéj obróciły? Chcąc odwrócić swoje uczucia od Kalisty, musiałby przestać ją widywać; miałże więc dobrowolnie cofnąć się do samotności i osierocenia w jakiém żył dotąd i stracić sposobność téj słodkiéj zamiany myśli, którą znalazł w towarzystwie młodego Greka i jego siostry? Z tych więc wszystkich powodów łatwo wnieść możemy, jak niespokojném było serce Ageliusa, kiedy się zbliżał do mieszkania Arystona; nie chciał jednak przyznać przed sobą samym, że w zamiarach jego było coś złego, wmawiał w siebie, że Kalista zostanie chrześcijanką i na téj słodkiéj ułudzie zatrzymywał myśl swoją umyślnie. Nie potrafiłby zdać sprawy, na czem opierała się ta nadzieja, zdawało mu się tylko, że Kalista miała duszę zbyt piękną, aby mogła długo pozostać poganką, może ufał w tym jakimś nadprzyrodzonym wpływie, który działać mógł na jéj umysł, dość że wszystko mówiło mu wyraźnie, iż w młodéj téj dziewicy musi zrobić się jakieś wyższe przeobrażenie; czuł w sobie dziwne dla niéj współczucie, które nie zdawało mu się być czysto ludzkiém, a które było tém dziwniejsze że się różnili zupełnie religią. Kiedy jeszcze nadzieja spotęgowała tę piękną i świetną ułudę — unosiła się ona śmiało bujając w atmosferze młodości.

Skoro jednak minął schody marmurowe, które wiodły go do miasta przy blasku porannych promieni, kiedy ujrzał wspaniały rząd budynków ozdabiających pagórek, uprzytomniło mu się mimowoli zepsucie tam panujące, a sumienie ostrzegało głośno; iż nie powinien zawierać stosunków z mieszkańcami jego, owszem uciekać daleko od téj pogańskiéj siedziby; czyż bowiem nie wiedział z doświadczenia, że skoro w nią wejdzie, natychmiast niebezpieczeństwa otoczą go w około, że będzie musiał czuwać nad sobą starannie i uzbrajać się przeciwko tysiącznym przedmiotom, które mogą się stać dla niego powodem wstrętu, przerażenia lub pokusy. — Wchodząc do takiego miasta jak Sikka, jakże łatwo pojąć żal apostoła na widok miejsca oddanego bałwochwalstwu, jakże łatwo zrozumieć dlaczego ów ksiądz, o którym mówił Jukundus, szedł z głową schyloną i z wyrazem pełnym goryczy i smutku przez wesołe i burzliwe ulice Kartaginy. Dotąd przeprowadzaliśmy tylko tamtędy indywidua pogańskie, dzieci lub dorosłych jak np. Jukundusa, Arnoba, Firmjusa, teraz wstępuje tam chrześcijanin z sercem i nadziejami chrześcijańskiemi.

Na szczęście kochany czytelniku dziś już nie możemy sobie wystawić nawet całéj téj masy zgubnych wpływów jakie ciężyły wówczas nad każdém miastem podległém Rzymowi pogańskiemu. Apostoł nazywa język *„ogniem, światem nieprawości, członkiem nieposkromionym i jadem śmiertelnym;“* a te nazwy jego mogą

zaprawdę równie być zastosowane do podłych myśli uzmysłowionych w rzeczywistości dla oka jak wyrażone są w mowie dla ucha. Biedny Ageliuszu! cóż cię sprowadza dziś rano do miasta, zapewne jaki ważny i nagły interes, inaczéj nie szedłbyś tak śmiało przez te ulice i nie obchodziłbyś tak tych portyków pośród przedmiotów, które ci się przedstawiają co chwila, to w godłach, to w napisach, to w obrazach nietylko gdzieniegdzie, ale nawet na najpiękniejszych budynkach równie jak w najnędzniejszych chatkach, w gmachach publicznych jak mieszkaniach prywatnych, na wielkich placach i w zakątkach ulic, w bazarach i w sklepach, na drzwiach domów i w dziełach sztuki najprostszych i najwykończeńszych. Jestto jakby orszak nieodłączny szatana i Beliala, skutek panowania zepsucia i bałwochwalstwa, którego oczy poczciwe ani znieść, ani uniknąć nie mogą. Gdziekolwiek się obrócisz wszędzie ten sam widok w sądach policyi na prawo, w koszarach na lewo, w tłumie około świątyni, w pochodzie ofiarników z ofiarami, postępujących przy dźwięku muzyki rozpustnéj, w głośnych rozmowach ludu na rynku, wszędzie potrafią cię dosięgnąć, otoczyć i zranić publicznie i bezwstydnie, to pod pozorem religii to w imie hołdu składanego naturze, słowem przez tysiące powodów, których jako chrześcijanin wyrzekłeś się i które cię naturalnie wstrętem przejmują. A nie myśl, żeby to się tylko działo w pewne dni lub w pewne pory roku, jest to tradycya nieustanna wielu wieków, jestto prawdziwa prawowierność pokoleń, które

po sobie następowały. Mówi podanie, iż w odległych czasach ludność mieszkająca nad brzegami morza śródziemnego, zmuszoną była wypędzić większą część mieszkańców z powodu ich oburzającéj nieprawości. Wygnańcy ci wsiedli na okręta i przeprawili się na brzeg południowy, zkąd postępując stopniowo posunęli się ku środkowi i zaludnili zielone płaszczyzny i urodzajne wzgórza Afryki, w któréj pobudowali miasta. Sikka była jedném z takich, założona przez ludzi zepsutych, obfitowała w występki wszelkiego rodzaju, które się rozkładały przy słońcu jak wąż świetnéj barwy lub lampart centkowany, niewstrzymane żadną siłą, ani boską, ani ludzką, w swoim strasznym wzroście. Pośród to tego zepsucia żyli pierwsi nasi ojcowie w wierze i na téj to widowni, nie biorąc w niéj jednak żadnego udziału, ukazuje się dziś Agelius uchroniony dotąd od jéj wpływu swoją wiejską zaciszą.

Już dosięgnął domu a raczéj skrzydła, ku któremu dążył; stoi on na końcu miasta w punkcie najbardziéj spadzistym skały, panując nad płaszczyzną i górami położonemi ku północy. Mieszkańcy jego Aryston i Kalista zajęci są swoją zwykłą pracą t. j. modelowaniem lub rzeźbieniem, malowaniem lub złoceniem rozmaitych przedmiotów, które mają służyć na ozdobę świątyń lub kaplic domowych religii panującéj. Jukundus przedstawił Aristonowi życzenie Ageliusa i dowiedział się, iż tak jak pierwéj wnosił, Kalista domyślała się tego od dawna. Wie ona dobrze co się dzieje, dodał młody Grek, ale widocznie unika o tém

wzmianki dopóki się nie porozumi z Ageliusem. W czasie robory Aryston dotknął umyślnie tego przedmiotu.

— Agelius ma przyjść tu dziś rano rzekł, czy nie zgadujesz Kalisto co go tu sprowadza?

— Myślę, rzekła Kalista, że jeśli to jest prawda, co mówią, że chrześcijanie mają znów być prześladowani, to Agelius chce kupić sobie u nas jaką obronę, może kilku małych bożków.

— Masz ty za nadto rozumu kochana siostrzyczko, żebyś mogła nie wiedzieć jaką boginię on tu chce nabyć. Kalista śmiała się nic nie odpowiadając. Tylko nie bądź zbyt okrutna względem niego, uwij mu wieniec zanim przyjdzie, jest to bardzo przyzwoity młodzieniec, ale przytém skromny i potrzebujący zachęcenia.

— On sobie sam poradzi, rzekła Kalista.

— Wierzaj mi, że on wcale nie jest do pogardzenia jako kochanek, mówił daléj brat i byłoby to w istocie zasługą względem bogów, gdybyśmy go mogli wyprowadzić z jego zabobonów.

— Nie musi on być wielkim chrześcijaninem, jeżeli się kocha we mnie, rzekła Kalista.

— A możeszże o tém wątpić, czyż dla mnie tu tak często przychodzi?

— Już mnie męczą te wszystkie stosunki, odrzekła i daléj malowała w zamyśleniu, jakby walcząc z chęcią wypowiedzenia myśli, które ją zajmowały. Nakoniec pochylona ciągle nad robotą mówiła tonem spokojnym. Był czas kiedy moja imaginacya i uczu-

cia znajdowały pewien urok w tych hołdach licznych wielbicieli, ale teraz już mi się to sprzykrzyło — znudziło.

— Znudziło? powtarzał Aryston. I do czegoż cię ten zły humor doprowadzi, już zbyt długo trwa ten napad. Czegoż ty pragniesz, czyż możesz się już dziś wyrzec młodości? zostaw te smutki chorym i starym; tak młoda i już znudzona? przecież powinniśmy przyjmować rzeczy w porządku jak nam jej dają bogowie. Jak się zestarzejesz będziesz może pragnąć młodości; dziś to, a jutro co innego, na wszystko jest właściwy czas. Używaj życia, dopóki możesz. To mówił pracując; nagle zatrzymał się, a obracając się do Kalisty z dłutem w ręku rzekł daléj: Pamiętasz starą Lezbi, z trzęsącą głową i drżącemi członkami (tu zaczął przedrzeźniać staruszkę) jak ona często mi powtarzała: „Synu baw się pókiś młody.“ O ja téż słuchałem jéj wiernie i nie pominąłem żadnéj sposobności; przez tę starą niewolnicę, mówiła prawdziwa filozofia, Ezop nie jest nawet tak jasny, a Epiktet daleko mniéj praktyczny. —

Kalista zaczęła spiewać cichym głosem:

Wybrzeża téj rzeki przebiegam strwożona:
Co straszne otacza królestwo Plutona;
Chłód mroźny z bram śmierci na czoło me wieje,
I żegnam na wieki ułudną nadzieję,

I liczę spłowiałe porosty nad rzeką,
I ścigam bieg fali daleko — daleko!...
I słyszę plusk wioseł, gdy łódka pomyka
Srogiego Charona, cieniów przewoźnika.

— Ach! mówiła daléj, nie tyle tu idzie o żal jak o strach; więcéj młodość ma powodów do lękania się niż starość do żałowania, przyszłość cięższą jest niż przeszłość, słodycz życia nie wyrównywa okropności śmierci; bolesno jest człowiekowi opuszczać świat boży.

— Kalisto kochana, odpowiedział Aryston, co mówisz? nigdyż cię nie opuszczą te czarne myśli? Chiałbym cię zawieść do Kartaginy, tam miałabyś więcéj zajęcia i patrzałabyś na brzegi morza, którego wody są przeźroczyste i burzliwe zarazem, ja zaś byłbym tam retorem a ty dopomagałabyś mi w utrzymywaniu szkoły.

— O śliczne światło boskie! mówiła daléj Kalista, jakby ciągnąc myśl swoją. Jakaż to strata, jakżemi bolesno myśleć, że cię kiedyś stracę zupełnie. Jak byłam w domu lubiłam często czuwać noc całą, oczekując poranku z utęsknieniem i wzywając głośno bożka dnia. Pierwsze jego promienie były dla mnie jakby winem rozkosznem, jakby kubkiem chioskiego napoju, i byłam tak zachwycona jego widokiem, iż lękałam się, żeby mnie nie uniósł jak Semelę. O jakże wznosił się wspaniale ponad górami, potém spoczywał chwilkę na śnieżnych szczytach Olimpu jakby w błysz-

czącéj świątyni, oświecając płaszczyzny Frygii. O świetne bóstwo z promiennym warkoczem! ty jesteś przedmiotem mojéj adoracyi, jeśli Kalista może co adorować na świecie, ale w téj chwili nie jestem do tego zdolna, czuję się zmęczoną.

— Tak, odrzekł brat, w istocie to skutek odmiany klimatu, już tu niema tego powietrza przeźroczystego, tego nieba jasnego, już tu nie wieje ten powiew świeży i łagodny, ani też morze toczy swe bałwany. Afryka nie jest Grecyą, oto cała przyczyna Kalisto, to tęsknota za ojczyzną.

— Być może, rzekła, ja sama nie wiem co mi jest, tu są tak szkodliwe rosy, tak męczące upały, straszne zwierzęta i bagna niosące zarazę.... Ta rozległa płaszczyzna gęsto zaciemniona, jakby jaki tajemniczy labirynt męczy mnie samém swojém bogactwem, krzewy tu obfite, rośliny wysokie i piękne, ścieszki wydeptane a jednak ja nie mogę, znaleźć mojéj drogi i czuję się zmęczoną, na tym pagórku tylko cokolwiek wolniéj oddycham. O jakże Grecya jest różną od tych okolic! Grecya ze swoim widnokręgiem zakończonym górami, których koloryt jasny i łagodny łączy się z lazurem Nieba.

— Ależ droga Kalisto przerwał jéj brat, przecież nie mieszkamy w tych lasach ciemnych i przerażających do których nikt nie radziłby ci się zbliżać ale w najwznioślejszym punkcie Sikki, a jeżeli ci potrzeba gór, zdaje mi się że te, które otaczają nasz horyzont są dość wysokie.

— A ludzie, ludzie! mówiła daléj, jeszcze gorsi niż wszystko, gdzież geniusz naszéj pięknéj ojczyzny, gdzie inteligencya, gdzie jéj gracye i szlachetna postawa? tu serca są tak czarne jak brwi, a uśmiechy tak przewrotne jak żmije leśne, krajowcy fałszywi i bez litości nie znają co to radość, rozrywka i wesołość, miłość ich to wściekłość raczéj, a zemsta jedyną rozkoszą.

— Dla każdego najpiękniejszy kraj własny, rzekł Aryston, ale już jesteśmy tutaj, przywyknienie staje się drugą naturą; skoro tu dłużéj pomieszkasz, miejsce to stanie się dla ciebie nową ojczyzną, wszak z czasem ludzie przywiązują się nawet do ciemności najdalszych stron północy. Bretonowie, Cymerjanie, Hiperborejczycy nie widzą nigdy słońca, które jest Bóstwem twojém, a wszakże tu mamy je w całéj świetności, czemuż więc gardzić jego darami?

— Słońce Grecyi jest światłem, odpowiedziała Kalista, słońce Afryki jest ogniem, ja nie wielbię ognia.

— Ja myślę, że Styx i Phlegeton nawet stają się z czasem znośnemi, dodał brat Kalisty, jeżeli tylko jest Styx i Phlegeton jak nam opowiadają poeci.

— Zimny i ponury Styx to północ, rzekła Kalista, palący Phlegeton to południe, a Grecya jasna i słodka to pola Elizejskie, i znów daléj rozpoczęła swoje improwizacye:

Gdzie wyspy wybranych, ach! widzę ich zdala,
Z poszmerem Egejska opływa je fala.
Gdzież spokój Elizu? uroczy, głęboki
W dolinie zwilżonéj czystemi potoki,
Tam wzgórza, przez modrą powietrza zasłonę
Wysoko się piętrzą, skał szczyty zjeżone.
Gdy promień słoneczny ułożył ich łono,
Zrzuciły ze wzgardą tę szatę zieloną,
Co żółknie na wietrze, a płonie na spieku;
Ich barwy niezmienne od wieku do wieku.
Czarownéj ich krasy, czas tknąć się nie waży,
Bo stoją odważnym i wolnym na straży.

— A teraz zejdź trochę na ziemię, rzekł Aryston przerywając, chciałbym istotnie pomówić z tobą spoważnie o Ageliusie. Kocham tego chłopca, pomimo jego mizantropii, muszę więc utrzymywać jego stronę. Czy ty go kochasz lub nie, to mniejsza, ale to jest pewna, że on ma kieszeń dobrze zaopatrzoną i będzie to istotna przysługa względem bogów Grecyi, względem niego i względem siebie saméj, jeżeli będziesz przychylną dla niego. Okaż mu przynajmniéj przez jakiś czas życzliwość, a potém jak się nim znudzisz, pojedziemy do Kartaginy, jedno twoje spojrzenie wyniszczy w nim do reszty te szały chrześcijańskie, które już i tak bardzo osłabły.

— Nie jest to nic tak złego być chrześcijaninem, odpowiedziała Kalista, jeśli to, co słyszałam o nich, jest prawdą.

— Na wszystkich bogów z Olimpu, rzekł Aryston, wstając z gniewem to już nie do zniesienia, stworzona jesteś na udręczenie tych, którzy cię otaczają. Szalone dziecko! co ci jest? czemże zasłużyłem na ten twój zły humór, czemu tak sprzeczną jesteś ciągle z mojem zdaniem i dla czego coraz trudniejsze z tobą pożycie?

— Myślę, że gdybym została chrześcijanką życie stałoby mi się znośniejszém.

— Znośniejszém! znośniejszém! powtórzył on. O bogowie, toż byłoby znośniejszém mieć Styxt i Tartar, furje i węże na tym świecie równie jak i na tamtym, cierpieć wewnętrznie i zewnętrznie, nienawidzić siebie samego i być nienawidzonym przez wszystkich ludzi, prowadzić życie osła i umrzeć jak pies, to byłoby znośniejszem! Ale słyszę kroki Ageliusa na schodach; Kalisto, droga Kalisto, okaż się godną siebie, miej rozsądek!

Ale Kalista nie słuchała tego rozsądku, którego brat jéj uważał się być uosobieniem, i śpiewała daléj témi słowy:

I czemżeś Afryko? tyś łożem z opoki,
Gdzie szumi i kipi Phlegeton głęboki!
A czemże te brzegi tonące w chmur cieniu,
Gdzie w wiecznéj tęsknocie i w wieczném milczeniu
Tłum duchów ponury, bez barwy, bez ciała
Nad ziemią tumanem unosi mgła biała.

To Albion! gdzie skały poważnym szeregiem
Wśród szumu fal morskich bieleją nad brzegiem,
Jak duchy grobowe czatują na straży;
To Albion! ojczyzna żeglarzy. [1])

Tu zatrzymała się, spuściła oczy i pogrążyła się w pracy i zamyśleniu.

[1]) Piękny przekład tych improwizacyj zawdzięczamy Pani Sewerynie Pruszak.

XI.

Oświadczyny.

Jest to istotnie chwila uroczysta pod wszelkiemi względami i wymagająca wielkiéj mocy duszy, kiedy człowiek oddaje się dobrowolnie z ciałem i duszą na całe życie pod opiekę drugiego, i taką jest właśnie, z zachowaniem wszakże uległości jaką winniśmy Twórcy w chwilach ślubów małżeńskich. Zdarza się niekiedy, iż ją przechodzimy bez obawy i bez głębokiego namysłu; lecz uważana przedmiotowo i w największéj liczbie wypadków, jest to przedsięwzięcie tak straszne, iż natura zdaje się cofać przed jego następstwami. Kiedy chrześcijanin zwiąże się ślubem religijnym na całe życie, to przynajmniéj oddaje się temu, który jest doskonałością samą, z reszta uważając nawet to oddanie się pod względem czysto-ludzkim, człowiek znajduje w urządzeniu zakonném, w pewnych warunkach ściśle urządzonych, zabezpieczenie przeciw tyranii swoich przełożonych. Ależ jakąż rękojmię mieć

może oddając się tak bez warunków i granic, [1]) jak własność absolutna stworzeniu słabemu, ułomnemu i to jeszcze nie na jakiś czas, ale na całe życie. Umysł się mięsza na myśl takiej ofiary i pragnie aby religia uświęciła i pobłogosławiła ten związek, instynktem zgaduje, iż albo trzeba żeby związek ten był rozwiązalnym, lub żeby strony zawierające go otrzymywały sakramentalną siłę do zachowania go nienaruszonym. *Sic me Deus adjuvet.* Tak mi Boże dopomóż. Słowa te towarzyszące wszelkiéj przysiędze są tu najniezbędniéj potrzebne.

Ale biedny Agelius zamierza zawrzeć zobowiązanie nadludzkie, bez nadludzkiéj pomocy i to jeszcze w społeczeństwie, w którém opinia publiczna zastępująca w pewnym względzie religię, dostarcza powodów do osłabienia tego związku, miasto go wzmocnić. Ma zaś on być zawartym z osobą, która niczém nie dowiodła nigdy, że pojmuje ważność małżeństwa. Nie można się więc dziwić, iż pomimo jego prostoty, żywości uczucia i słodkich złudzeń, im więcéj myślał o skutkach swego postępku, tem więcéj go się lękał, im więcéj zbliżała się chwila, w któréj miał mówić z Arystonem, tém mniéj czuł w sobie odwagi.

---

[1]) Zdaje mi się, iż pobożny pisarz cokolwiek tu zanadto się wzniósł — i w naturalnym bowiem porządku są granice poddania się wzajemnego — są wskazania praw wzajemnych i prawości dla małżonków — lubo i to pewna, że tylko łaska Sakramentu i błogosławieństwa boskiego może wskazanie to utwierdzić, zachować i uświęcić. *Przypisek tłumacza.*

Walka ta wzrosła do najwyższego stopnia, kiedy wstępował na schody; i gdyby nie był pierwéj zapowiedział swojéj bytności, byłby niezawodnie wrócił do siebie odkładając na czas długi spełnienie swoich zamiarów względem Kalisty, jednakże w téj chwili nawet, skoro tylko myśl jego zwróciła się ku niéj, znikły wszelkie wahania i obawy w obec zwycięzkiéj piękności tego obrazu, jak znikają mgły przed słońcem; a skoro się ujrzał w jéj obecności, rzekłbyś że jakiś tajemniczy urok spływał z niéj na jego serce, stał przed nią nie śmiejąc oddychać, jakby porwany jakąś czarującą siłą.

Jednakże niech czytelnik nasz nie myśli, aby w III. wieku naszéj ery, układy i porozumienia jakie zajść mogły między Kalistą i Ageliuszem odbywały się tak poetycznie i z tą wspaniałą romantyką, w jaką przybrały te stosunki późniejsze czasy rycerstwa. — Wyszukane formy i wyrażenia nie znane były wówczas, chrześcijanin miał zbyt wiele prostoty, a poganin za mało istotnéj delikatności, aby sztuka kochania mogła się tam rozwinąć, jak my ją dziś pojmujemy. Kiedy Agelius wszedł do pokoju Arystona, ten chodził jak wiemy rozgniewany na siostrę, jednakże pospieszył rzucić się w objęcia przyjaciela, uściskał go a spoglądając miną znaczącą winszował mu, że tak dobrze wygląda.

— Nigdym nie widział, rzekł, tyle ognia w twoich oczach i tyle wymowy na ustach; zdajesz się jakby nowym duchem przejęty, — postanowiłeś więc już

ostatecznie zerwać z twoją samotnością? ja nie pojmuję w istocie jak mógłeś wytrwać w niéj tak długo?

Agelius tymczasem uspokoił się cokolwiek, ale nie śmiał jeszcze spojrzeć na Kalistę.

— Nie żartuj Arystonie, rzekł wesoło, przyszedłem jak wiesz mówić z tobą o twojéj siostrze, przyniosłem dla niéj bukiet kwiatów, jest to dar najpiękniejszy, jaki wymyśleć mógłem, a raczéj to nie mój, lecz dar roku świeżo zaczętego, są to pierwiosnki czyli kwiaty wiosny, tak piękne i wonne jak ona sama.

— Złożymy je w ofierze naszéj Palladzie ateńskiéj, do któréj artyści szczególne mają nabożeństwo, a mówiąc to obrócił się jakby chciał istotnie poprowadzić Ageliusa przed statuę bogini, która była umieszczona w niszy z drugiéj strony pokoju.

— Moje zamiary są poważniejsze, Arystonie, wybierałem te kwiaty z największą starannością jedynie w celu ofiarowania ich twojéj siostrze, *ona* zapewne nie przypuści, abym mógł mieć inny cel. Gdzie idziesz? mówił daléj, widząc, że przyjaciel jego bierze kapelusz.

— Ponieważ tak nietrafnie tłómaczę twoje intencye, myślę więc że możesz się zupełnie obejść bezemnie. Przedstawiaj sam swoją sprawę, a ja tymczasem pójdę posłuchać nowin, jakie mi opowie stary Droman, zanim słońce zbliży się ku południowi. To mówiąc rzucił na siostrę spojrzenie na wpół błagające a na wpół sarkastyczne i poszedł do balwierza na Forum.

Agelius położył kwiaty przed młodą dziewicą zajętą malowaniem. Czy przyjmiesz te kwiaty Kalisto? zapytał.

— O jakże one są piękne! odpowiedziała, daj mi je i wzięła bukiet z rąk jego, rozpatrując się w nich z uwagą. To róża rumieniąca się, rzekła poważnie, lilija wspaniała, królewski gwoździk, złocone moly Homerowskie, purpura amarantowa, zielony mech, dyozanthos i nakoniec skromna wonna lawenda, prawdziwe godło Kalisty.... Ale wkrótce te kwiatki powiędną i staną się jeszcze bardziéj podobne do niéj.

Tu zatrzymała się przez chwilkę a spojrzawszy żywo na Ageliusza mówiła daléj: miałam niegdyś niewolnicę, która należała do twojéj religii, urodzona w rodzinie chrześcijańskiéj stała się moją własnością po śmierci swego pana. Nie widziałam nigdy ani pierwéj ani potém nikogo, coby do niej był podobny; nie troszczyła się o nic a jednak nie była ani ponurą, ani smutną, ani twardego serca, umarła wcześnie w mojéj służbie. Na krótki czas przed śmiercią miała sen szczególny, widziała dużo cieniów świetnych w bieli, jakby godziny, które otaczają tron boga dnia, miały wieńce z kwiatów i mówiły do siebie te słowa: i ona także odbierze dar swój. W istocie wzięły ją za rękę i poprowadziły ku pięknéj bardzo damie, tak wspaniałéj jak Junona, a tak słodkiéj jak Aryadna z twarzą tak promieniejącą, iż one same wydawały się jak Etjopki przy niéj. Pani ta miała również koronę z kwiatów na głowie, tak błyszącą jak gwiazdy na niebie, albo drogie kamienie z Azyi, przynajmniéj o ile mogłam zrozu-

mieć z opowiadania Chiony. Ta piękna bogini, albo ten anioł jakbyście wy powiedzieli, rzekła do niéj: „droga moja! oto dar od syna mego dla ciebie. On przysyła ci przezemnie różę czerwoną za twoją miłość, lilję białą za twoją czystość; fijołki purpurowe, które zdobią twój grób i palmy zielone, które tam rosną.“ Czy w takiej myśli dajesz mi te kwiaty Ageliuszu, żebym mogła stanąć obok Chiony?

— Kalisto! jest to najgorętszém życzeniem mego serca a zarazem najżywszą moją nadzieją, iż kiedyś odbierzesz taką nagrodę i świetniejszą jeszcze.

A przyszedłeś zapewne aby mię nauczyć twojéj religii i usposobić mię abym mogła umrzeć jak Chiona? rzekła młoda dziewczyna. Daruj mi, ale mi się zdaje, iż ofiarujesz mi te kwiaty raczéj na urnę pogrzebową, niż na wieniec ślubny?

— Szczególném zdarzeniem oba te cele łączą się w mojém sercu. I tak jak spodziewam się i pragnę otrzymać przez moje modły od Boga, żebyśmy mieli oboje jednego Pana w niebie tak również rachowałem na to, że jedne uczucia, jednakie widoki i jedno mieszkanie połączy nas na ziemi.

I powiedziałbyś słówko za twoim panem, a dwa za sobą, nie prawda? odrzekła.

— Właśnie dla tego, że przeczuwałem, czém mogłabyś być dla mnie, pojąłem, ile Pan mój dla ciebie może uczynić i ty wzajemnie dla niego. Kalisto, nie używaj twéj zwykłéj zręczności przeciw mnie, nie żądaj zbyt subtelnego rozbioru moich uczuć, pozwól mi

raczej wypowiedzieć ci spokojnie stan mego umysłu o ile zdołam, i posłuchaj mię cierpliwie.

Schyliła głowę na znak zezwolenia, a Agelius mówił daléj: Od pierwszéj chwili naszego poznania dostrzegłem tak szczególnego a ścisłego związku między tobą a mną, między wszystkiemi naszemi myślami, iż trudnoby mi było uwierzyć temu, gdyby mi kto inny opowiedział o podobnym zdarzeniu i tém dziwniejszą wydaje mi się ta harmonia, że tak oddaleni jesteśmy od siebie przez religię, obyczaje i wychowanie; trudno mi wytłómaczyć ci to Kalisto. Wprawdzie niezgadzamy się w wielu najważniejszych punktach, a jednak istnieje najzupełniejsza zgodność w naszym sposobie uważania rzeczy, w naszych wrażeniach, w przedmiotach, które nas głównie zajmują i we wnioskach jakie z rozważeń naszych wyprowadzamy; zgodni jesteśmy jeszcze, gdy sądzimy co jest wielkie a małe, a mianowicie zgodni jesteśmy w sposobie czucia naszego. — Kiedy rozmawiam z moim stryjem lub z moim bratem, nie rozumiem ich i oni nie rozumieją mnie także; żyjemy w zupełnie różnych sferach, i chociaż jestem z nimi, nie przestaję być samotnym; przeciwnie, z wielkiém mojém podziwieniem, widzę zupełną zgodę w słowach naszych, kiedy z tobą rozmawiam. Cóż więc dziwnego Kalisto! iż przypisuję to jednéj i téj saméj przyczynie i wierzę, iż ta sama ręka Pana wyryła jednakie rysy w duszach naszych; cóż dziwnego że sądzę, iż Ten, który uczynił nas tak podobnymi, stworzył nas także jedno dla drugiego i że te same wpły-

wy tajemnicze, które mi z jednać mogą względy twoje, zdołają doprowadzić również ciebie do uwielbienia mojego Pana i ukorzenia się przed Nim.

Łzy zabłysły na chwilę w oczach Kalisty, ale wkrótce wstrzymała swoje wzruszenie, jeźli to w istocie wzruszeniem nazwać można, i odpowiedziała z żywością: — Mistrz twój Pan twój, a gdzież on jest, cóż ja wiem o Nim? powiedziałżeś mi co kiedy o twoim Panu? Domyślam się tylko, że to jest jakaś nauka szczególna, któréj nie jestem godna poznać. Bywałeś tu nieraz, mówiliśmy o wielu rzeczach, a jednak o Panu twoim wiem tyle, jak gdybym ciebie nie znała, wiem że umarł, wiem że chrześcijanie nazywają Go żyjącym, i myślę że musi zamieszkiwać jakąś wyspę błogosławioną, a kiedy zapytałam się raz ciebie o to, odwróciłeś zręcznie rozmowę na inny przedmiot. — Mówiłeś ze mną o waszem prawie, o waszych obowiązkach, o tém co uważasz za dobre i co jest wam zakazane jako złe, mówiłeś mi o kilku pisarzach waszej sekty i o żydowskich którzy ich poprzedzili. Ale jeżeli to prawda, co mówisz, że mamy jedne potrzeby i jedne pragnienia, cóż uczyniłeś dotąd, żeby je zadowolnić? cóż uczyniłeś dla tego Mistrza i Pana, ku któremu zamierzasz mię prowadzić? Nie, mówiła daléj wstając, te potrzeby i pragnienia, które upatrujesz we mnie, ty użyłeś na swoją własną korzyść, nie zaś na korzyść Jego, rozwijałeś je, pielęgnowałeś je, ale zawsze tak jak gdybyś był ich twórcą i ich przedmiotem. Mówisz, że wyznajesz jednego Boga a odrzucasz wszyst-

kich innych i teraz jeszcze utrzymujesz, że ręka, że cień niejako tego Boga jest na moim umyśle i na mojém sercu ale któż jest tym Bogiem, jak i gdzie On istnieje? O Ageliuszu! tyś stawił go między mną a sobą i użyłeś Go jako środka, aby łatwiéj dosięgnąć celu.

— O Kalisto! rzekł Agelius głosem wzruszonym, byłożby to prawdą i czyż mię słuch mój nie myli, że ty istotnie chcesz poznać kto jest prawdziwym Bogiem?

— Nie! nie łudź się, zawoła z uniesieniem, ja tego nie pragnę, ja nigdy nie mogłabym należeć do waszéj religii; o bogowie! jakże jestem zadziwiona; myślałam, że każdy chrześcijanin podobny jest do Chiony, że żaden nie może być obojętnym: sądząc po niéj, zdawało mi się, że pierwszą myślą chrześcijanina jest zawsze pragnienie dobra drugich jak gdyby serce każdego z nich tak było pełne szczęcia, iż tylko pragnie podzielić się niém z drugiemi, a tu oto widzę chrześcijanina, który zamiast w sobie samym znajdować szczęście, szuka go we mnie, przychodzi do mnie, do mnie Kalisty, biednéj polnéj rośliny, słabéj trzciny, wystawionéj na wszystkie wiatry i pochylającéj głowę pod palącemi promieniami słońca, i we mnie chce znaleźć poparcie dla swego szczęścia. Naprożno mówi mi o swojém szczęściu, ponieważ go nie ma dla siebie, jakżeby go mógł mnie udzielić! ja myślałam że chrześcijanin jest wyższy nad czas i wypadki, a to nieprawda. Niestety! zbyt jeszcze jestem młodą, abym mogła

pojąć całą siłę téj maxymy, którą powtarzają mędrcy w końcu życia: wszystko próżność i ułuda. O Ageliuszu! jakże żywo biło moje serce, kiedym się raz pierwszy dowiedziała, żeś ty chrześcijanin, przypomniałam sobie tę, którą utraciłam, moją ukochaną Chionę, zdawało mi się, żem ją odzyskała w tobie, że między wami istnieje jakiś tajemniczy stosunek i spodziewałam się, że ty powiesz mi coś więcéj daleko o téj dziwnéj sile, któréj pragnę, a którą ona miała. Ty różniłeś się zupełnie od innych moich wielbicieli, a chociaż milczałeś, chociaż napróżno czekałam, żebyś o tém do mnie przemówił, mniemałam ciągle, że to była ostrożność, bojaźń, nakoniec przezorność bardzo naturalna w sekcie prześladowanéj. Ale jakże smutnie się zdziwiłam, kiedy poznałam, że ty myślisz o mnie, o mnie saméj jak tylu innych, że ty masz dla mnie te same uczucia jakie inni mieć mogą, że ty pragniesz mnie, nie twego Boga, że ty siebie samego masz na widoku nie Jego. Był czas Ageliuszu, że i ja mogłam adorować ciebie, ale teraz zniszczyłeś to usposobienie we mnie adorując mnie.

Nie zwykłą to zaprawdę jest rzeczą, żeby kobieta była obrażoną takim rodzajem uwielbienia, jakie okazywał Agelius Kaliście. Zasmucił się biedny młodzieniec i uczuł się mocno upokorzonym, ale tyle było głębokości w tym żalu jego przyjaciółki, tyle prawdy w jéj wymówkach, taki one znajdowały oddźwięk w jego sercu i sumieniu, iż nie mógł być obrażonym ani też zachowywać dla niéj jakąkolwiek niechęć; ona wypowiedziała tylko myśli, które go dręczyły cały ranek.

Jukundus nie pojął jego walki i pogodził go niejako z sobą samym na chwilkę. Ale Kalista wiedziona dziwném przeczuciem okazała się surowszą a przecież miłosierniejszą dla niego.

Nastąpiła długa przerwa w ich rozmowie a raczéj w poufnych zwierzeniach greczynki; oboje pogrążeni byli w głębokich rozmyślaniach, nakoniec ona zaczęła znów w ten sposób:

— A więc religia Chiony jest tylko marzeniem, a ja wierzyłam przez lat cztéry, że ona jest rzeczywistością. Ależ prawda wszystko jest próżnością, ja myślałam, że jest co więcéj ponad to co widzimy, lecz myliłam się i znów jestem na nowo z mémi nieskończonemi pragnieniami, z sercem, które się wyrywa ze mnie i w oczekiwaniu na ten nieznany mi przedmiot, który obejmie panowanie nademną, nie mogę żyć nie mając na czém się oprzéć, na czém spocząć, nie wystarcza mi ten stan obojętny, który filozofowie nazywają mądrością, a moraliści cnotą; nie mogę poświęcić się czci zimnego księżyca, którego promienie mrozem mnie przejmują; nie mam żadnego pociągu do tego wspaniałego grona dziewic, które Rzym mieści pod opieką Westy; mnie potrzeba czegoś do kochania, bo miłość to moje życie. Czemu przyszedłeś do mnie Ageliuszu z zaletami pospolitemi, cóż ty możesz mi przynieść ponętniejszego nad to, co oczy moje widziały w mojéj ojczyznie, czyż twój głos jest więcéj męzki, czyż dźwięk jest bardziéj harmonijny, jak te dźwięki, które brzmiały w około mnie od dzie-

ciństwa? Maszże ty ten dowcip, który ożywia towarzyskie zebranie, lub też ten uśmiech wesoły, co oświeca i rozgrzewa jakby blask słońca oświecający i rozgrzewający ciemną grotę, lub przeźroczysty strumień. Jednéj tylko rzeczy mogłam się spodziewać od ciebie, jednéj lepszéj nad wszystkie, ale to tylko już złudzenie. Znów na nowo wtrąciłeś mię w mój smutek, w moją samotność i w raniące wspomnienia..... Ach biedny, biedny Agelius, ale to nie jego wina, nie w jego to mocy, mówiła daléj sama do siebie jakby pogrążona w boleści, nie — nie w jego mocy, bo cóż on dać może nie mając nic. Zaprawdę on także pragnął coś kochać i nie mógł nic lepszego znaleźć jak Kalistę, a im, memu bratu i Jukundusowi zdawało się, że ona powinna postąpić z nim jak z innymi.... Nie mieli żadnego względu na mnie! — tu łzy jéj płynęły obficie i nie wstrzymywała się w swojem wzruszeniu. — Oni tylko jego mieli na celu, ja myślałam że on doprowadzi mnie do czegoś wyższego, a oni chcieli mię zrobić narzędziem jego *poniżenia*, dodała załamując ręce. Ależ w istocie czyż ja warta jestem więcéj, czyż zdolna jestem do czego innnego, jak do życia, do jakiego mnie zmuszali dotąd.

Tu pogrążyła się w największéj boleści, karmiąc się niejako uczuciem swego poniżenia i upodlenia, zdawało jéj się, iż nigdy już nie znajdzie celu, któryby mógł odpowiedzieć jéj pragnieniu, potrzebom jéj inteligencyi i serca.

Agelius ze swojéj strony dręczony był zupełnie innemi uczuciami: zadziwienie, wyrzuty sumienia i upokorzenie walczyły w nim na przemiany; ona przedstawiała naturę jeszcze nieodrodzoną i użalającą się niejako nad sobą; on zaś naturę nieodrodzoną lecz upadającą i znękaną wyrzutami. Nakoniec biedny młodzieniec zdobył się na te słowa:

— Kalisto! lubo mimowolnie stałem ci się przyczyną smutku i grozy, ty jednak oddałaś mi dobrém za złe i wyświadczyłaś mi prawdziwe dobrodziejstwo. Tak, teraz znam się lepiej niż pierwéj, a ten, który uczynił ciebie narzędziem miłosierdzia swego nademną, nie zapomni wynagrodzić cię stokrotnie; już tylko słówko jedno powiem ci za sobą a raczéj nie tyle za sobą samym, jak za Panem moim. Nie myśl wcale ażeby religia chrześcijańska nie była taką jaką sobie wyobrażałaś. Tak, Kalisto, ona w istocie odkrywa nam Boga obecnego zawsze, który napełnia wszystkie uczucia naszego serca zachowując je w czystości. Ja służę Panu, mówił daléj rumieniąc się ze skromności i z zapału razem, służę Panu, którego miłość jest mocniejszą jak wszystkie miłości stworzone. Niech Bóg wspiera moją słabość, ale zapewniam cię, że nigdy nie postało nawet w myśli mojéj kochać ciebie tak jak kocham jego; teraz jednak poznaję, że jesteś przeznaczoną dla Jego miłości, Jemu więc ciebie polecam. On jest twoim prawdziwym Panem, a ja nigdy nie powinienem być jego współzawodnikiem i teraz już tylko ze względu na Niego cieszyć się będę tobą.

Chociaż nie jestem godnym zbliżyć się do ciebie, będę szedł z dala, pójdę za tobą Bóg wie gdzie, może aż do więzienia, może aż w szranki razem z tymi, którzy wyznają Zbawcę ludzi i nie lękają się ponieść mąk i śmierci dla imienia Jego. Teraz zaś żegnam cię, zostawiam cię pod Jego opieką i pod opieką świętych męczenników. I pospieszył ku drzwiom nie śmiejąc już spojrzeć na Kalistę.

XII.

Zbawienne Wyrzuty Sumienia.

Pierwsze chwile żalu podobne są do gorączki, w któréj spoczynek jest niepodobny, pragnienie dręczy gwałtownie, na przemiany przejmuje gorąco i zimno, marzenia są przerażające, słowem rozprzężenie zupełne. W takim to stanie był właśnie Agelius.— W obecności Kalisty usiłował rozmawiać spokojnie i starał się nie okazać swego wzruszenia, ale skoro tylko znalazł się sam, stracił wszelką władzę nad sobą i wpadł w stan najzupełniejszego zwątpienia. — Szereg obrazów, równie strasznych jak w gorączce a bardziéj prawdziwych przedstawił się jego myśli, przypomniał sobie, jak szczególną łaską nieba w pierwszych latach dzieciństwa policzony został do społeczeństwa chrześcijańskiego, widział jak wiele ludzi otaczających jego młodość pozbawionych zostało tego dobrodziejstwa i wyrzucał sobie niewdzięczność swoją za dar tak wielki, uczuł jak wiele po nim spodziewać się mogli chrze-

ścijanie, a jak mało dotąd spełnił ich nadziei. Przyszła mu na myśl przypowieść o drzewie figowém, które nie rodziło owoców, a jakiś głos zdawał się pytać go czy nie zasłużył na to, ażeby się na nim spełniła ta przypowieść i pytał się siebie samego, czem istotnie w postępowaniu swojém różnił się od poczciwego poganina? W onczas to porównywał Kalistę z sobą, uznając iż ona lepszy uczyniła użytek z małéj cząsteczki udzielonego sobie daru, niż on *z wielu talentów*; zdawało mu się, że Tyr i Sydon świadczą przeciwko niemu w osobie młodéj greczynki, albo raczéj czuł, iż w niéj spełnia się zapowiednia Zbawiciela, że obcy przychodnie zajmą miejsce na uczcie w królestwie bożem, a naturalni dziedzice pójdą na bok. Osoba, którą on właśnie powinien był wtajemniczyć w naukę poznania siebie i żalu za grzechy, pierwsza naganiła mu jego egoizm i wyrzucała mu brak prawdziwéj miłości. Jéj bolesno było, że ten, który miał sposób podniesienia jej z grzechu i niewiadomości, nie chciał podać jéj ręki; dała mu uczuć, iż mając dość energii do starania się o jéj serce dla siebie, nie miał jéj wcale w pociągnięciu jéj duszy ku Bogu. Jeźli ona dojdzie kiedy do prawdy, nie jemu to będzie zawdzięczać, a chociaż przepowiedział jéj nawrócenie, mógłże być pewnym, że się spełni ta przepowiednia? Czyż on właśnie nie ominął najlepszéj dla niéj sposobności, wszak sama wyznała, iz już dziś nie żąda tego, czego pragnęła przedtem; wprawdzie mówiła to ze smutkiem, ale stanowczo i z taką właśnie siłą, z jakąby mogła była

trzymać się prawdy, a jeżeli umrze niewierną, nie będzie to jéj winą? I takążto była miłość którą on miał dla niéj?

A sam dla czegóż żył? jakiż cel sobie założył? czyż dla tego żyje na ziemi, aby sadzić kwiaty i pielęgnować drzewa? jestże to czas zabawiać się winnicą lub pieścić widokiem drzew oliwnych, jak drugi Eljasz żyje wśród ludności pogańskiéj. Czyż tak postępowali święci? jakież są jego dobre uczynki? czemuż się oszczędza, czemu kryje? czemu życiem swojem nie daje świadectwa prawdzie, może tego żąda po nim opatrzność, może dla tego ochroniła go od wielu nieszczęść i chorób, żeby mu zostawić sposobność świętego męczeństwa, ileż tysięcy śmierć jego mogłaby nawrócić, a w ich liczbie może byłaby Kalista, a krótkie jego cierpienie mogłoby jéj wieczność szczęśliwą zapewnić.

Oprócz Kalisty było jeszcze wiele innych osób, które miały prawo do jego miłości. Gdyby był tak żył, jak powinien, byłby miał wpływ na wuja swego, a przynajmniéj byłby rozwinął w nim uszanowanie dla wiary i imienia chrześcijańskiego, i Jukundus nie śmiałby go był plątać (bo także wyraźne były jego zamiary) w to grzeszne położenie. Pobożność jego byłaby zapewne działała chociaż zwolna na serce tego starca, i z czasem wydałyby zbawienny owoc.

Brat jego znów pogardzał nim, w istocie bowiem dał mu powód do sądzenia, iż nie jest szczerym chrześcijaninem, że jest apostatą, (tu Agelius nie mógł wstrzy-

mać jęku boleści) apostatą wiary, która jest jego życiem i najwyższém dobrem. Czemuż nie ogłosił się otwarcie chrześcijaninem? ale jeszcze czas na to; mówią że nowy cesarz zamyśla prześladować jego religię; niech on więc będzie pierwszą jego ofiarą, niech go zaprowadzą wraz z innymi stokroć lepszymi chrześcijanami do amfiteatru, gdzie puszczą na nich dzikie zwierzęta, on wszystko przyjmie, on się żadnéj męki nie lęka, i Kalista dowie się o tém i pozna, że on nie jest tym podłym apostatą, którego w nim podejrzywała.

Tu zmienił się bieg jego myśli. Kalista, mówił do siebie, Kalista! I po cóż myślę o niéj sposobiąc się na męczeństwo, onaż to ma pobudzać moją gorliwość, i czyż pochwała téj śmiertelnéj istoty ma być całą moją nagrodą, a czyż pozyskam niebo, usiłując podobać się pogance? A jednak do kogoż się odwołać? na czyjém sercu oprzeć, jestże aby jedna istota szczerze mi sprzyjająca? kto mnie orzeźwi, kto poradzi? O mój Ojcze, zmiłuj się nademną, nad biedną owieczką przelęknioną i zabłąkaną daleko od trzody, poranioną cierniem. Dla czegóż tak jestem sam na świecie bez pasterza i przewodnika, czyż nie dla tego, że osiadłem w Sicce? czemuż nie przeniosę się raczéj do Kartaginy, Tagastu, do Madaury, Hyppony? nie powinienem żyć w takiem oddaleniu od braci moich chrześcijan; za wiele mam prostoty, abym mógł rozpoznać podstępy świata.

Tu znów inna myśl ogarnęła jego umysł, przejmując go pomieszaniem i obawą — oni zrobili na mnie zasadzkę, mój wój i Aryston, a Kalista wyrwała mnie z niéj wspaniałomyślnie. Mówiąc to, czuł ile jéj był winien i zarazem jak niebezpiecznem było dla niego zatrzymywać się nad tym obowiązkiem wdzięczności. Przynajmniej modlić się za nią pragnę — wszak mu to było dozwoloném, ona go wyzwoliła, ona zerwała sieć, którą go chcieli uwikłać przyjaciele, ona odrzuciła jego miłość dla tego, aby on serce swoje ofiarował Bogu. Odtąd już dość dla niego będzie powtarzać jéj imie przed obrazem Przenajświętszéj Dziewicy jego Orędowniczki. Oby ta druga Ewa, która przyniosła zbawienie światu, tak jak pierwsza sprowadziła śmierć, chciała zachować imie Kalisty i zamieścić je w księdze życia.

Nadeszła godzina południowa, a Agelius miotany témi myślami błąkał się jeszcze po ulicach, to stając nagle jakby w odurzeniu, to idąc bez myśli gdzie go oczy niosły. — Osoby, spotykające go spoglądały na niego z zadumieniem, mając go istotnie za obłąkanego. Ogień palących promieni nie mógł się porównać z gwałtownością palących go myśli, ani ze wzburzeniem krwi jego krążącéj z gorączkową szybkością w żyłach lubo upał zewnętrzny powiększał jeszcze ten stan wewnętrznego rozstrojenia. I już dosięgnął Forum, kupcy kryli się w barakach, lub pod cieniem swoich koszów. Najuboższa klassa ludności żyjąca rozmaitym przemysłem i okruchami targu, krążyła gdzieniegdzie lub téż

na podobieństwo zwierząt nieruchomie siedziała, póki jéj głód z cienistych kątków nie wywołał. Tu znów mogłeś widzieć amatorów opium na wpół odurzonych, dzieci w łachmanach prawie nagie, chłopcy rzeźnicze lub zamiatacze świątyń, leżeli rozciągnieni przy wejściu jaskiń wydrążonych w skale lub też pod łukiem tryumfalnym albo pod kolumnami świątyni Herkulesa lub nakoniec we drzwiach sklepów. Żebracy grzali się przy słońcu leżąc na ziemi bez obawy wyziewów szkodliwych lub gwałtownego gorąca, które może sprowadzić konwulsye a nawet śmierć straszliwą. Cała ta ludność różnobarwna spoczywała tam obojętnie spoglądając okiem na wpół uśpioném na przechodniów i z taką samą też obojętnością widziała tam przechodzącego młodzieńca, na którego czole tylko kamienne serca pogańskiego tłumu, mogły nie dojrzeć przerażającéj walki. Już mijał ich prawie, kiedy nagle wyrwały go z zamyślenia słowa wyrzeczone przez kilka osób razem: „Ot jeszcze jeden, nie wiele wprawdzie na nim zyskać można, ale ten bogatszy od innych, bo też i nie liczni są w Sicce. Nagle jeden z nich zawołał: baczność! baczność młodzieńcze. Furje idą przed tobą a Parki poprzedzają, spojrzyj tam na cesarza wysoko, jak patrzy na ciebie okiem niechętném i surowém.

Była to alluzya do posągu Sewera na koniu umieszczonego przed bazyliką po prawéj stronie.

Słowa te zwróciły uwagę Ageliusza i spostrzegł kartę przybitą do podstawy pomnika. Był to edykt cesarski zawarty w tych słowach; Cnejus Trajan De-

cjus August; i Quintus Herennius Etruskus Decjus Cezar; cesarze niezwyciężeni i pobożni za wspólną zgodą oznajmują:

„Z powodu wielkich dobrodziejstw jakie nam bogowie wyświadczyli, i uważając iż ich władzy winniśmy zwycięztwo otrzymane nad nieprzyjaciołmi, równie jak zdrowe powietrze i obfitość owoców ziemi; uznając, tychże bogów za naszych dobroczyńców i rozdawców wszystkich darów rzeczypolitéj,

„Postanawiamy, ażeby wszyscy poddani nasi wszystkich klas państwa wolni i niewolnicy, wojskowi, i cywilni złożyli bogom ofiary i ukorzyli się przed niemi w hołdzie adoracyi.

„Ktobykolwiek śmiał okazać się nieposłusznym naszemu boskiemu rozkazowi, który ogłaszamy wspólnie, rozkazujemy aby był obciążony kajdanami i poddany rozlicznym mękom.

„Jeźli tym sposobem wróci do posłuszeństwa, będzie obsypany zaszczytami przez nas, ale jeźli pozostanie w oporze, będzie naprzód męczony a następnie albo zetną mu głowę, albo rzucą go w głąb morza, albo oddany na pastwę ptakom i psom.

„Najgłówniéj prześladowanemi będą zwolennicy sekty religii chrześciańskiéj.

„Pozdrawiamy was, żyjcie szczęśliwie!“

Starzec w bajce wzywał śmierci i śmierć się ukazała; nie chcemy przez to utrzymywać, iż Agelius mówił od niechcenia i bez intencyi, kiedy przed chwilą pragnął, aby mu się nastręczyła sposobność oddania

życia za wiarę, a jednak widok jaki uderzył jego oczy, nie mógł zapewne uspokoić wzburzonego serca młodzieńca, zachwiał się i osłabł. Słowa edyktu błyszczały przed jego okiem, ale jemu się zdało że litery napisu były w słońcu a słońce w jego mózgu. I padł zemdlony na bruku. Otaczający go nie ruszyli się z miejsc swoich; patrzyli tylko obojętnie i z ciekawością zarazem, czy powróci do przytomności.

Agelius nie wiedział jak długo tam leżał, kiedy się otrzeźwił, jeźli to można nazwać otrzeźwieniem, wstał z trudnością i oparty o piedestal posągu odetchnął chwilkę w cieniu. Wówczas ogarnęła go gorąca chęć wrócenia do domu, a ta chęć dała mu prawie nadludzką siłę. Zdawało mu się iż jest obowiązkiem jego wyjść co prędzéj z Sikki, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, dążąc tylko do swego mieszkania. Ale tu znowu inna myśl mięszała to przedsięwzięcie. Dla czegóż uciekał przed prześladowaniem? czyż nie powinien przeciwnie stawić czoło przed nieprzyjaciołmi a przynajmniéj nie kryć się przed nimi i czekać końca z rezygnacyą? Myśl ta tak nim zawładła, kiedy przechodził ciasne uliczki prowadzące od pagórka ku bramie miasta, iż musiał usiąść na kamieniu przed sklepem aby rozważyć, czy nie było jego obowiązkiem oddać się natychmiast w ręce władzy. Chwilka ta spoczynku przywróciła mu pokój, co przypisał przedsięwzięciu jakie uczynił złożenia świadectwa wierze, i ożywiony tą myślą spieszył daléj do domu.

Poza miastem znów padły na niego palące promienie słońca, które mu utrudniły wejście na górę gdzie stała jego chatka. Stary niewolnik wychowany w domu ojca jego, i chrześcijanin jak on wyszedł naprzeciw niemu. Widok ten wzruszył go na nowo i padł zemdlony na ziemię.

XIII.

Powrót do Boga.

Skutek oświadczenia Ageliusza, w którym Jukundus tak ważny brał udział, i smucił i cieszył go jednocześnie. Naprzód kontent był, iż niekorzystny obrót rzeczy nie wyniknął wcale z winy Ageliusza, który owszem ze swojéj strony zrobił co tylko był powinien. Jukundus widział w tém zupełne potwierdzenie przypuszczeń jakie czynił o usposobieniu umysłu tego młodzieńca, zdawało mu się, iż nie ma potrzeby obawiać się Ageliusza, a lubo nie podobna mu było rachować na przywiązanie jego do istniejącego porządku rzeczy, w całym tym jednak biegu wypadków poznał w nim roztropność, która mogła budzić zupełne zaufanie. Wątpliwą przytem było rzeczą, czy dziewczyna tak pełna kaprysów i fantazyi jak Kalista, mogła kogo uszczęśliwić. Wprawdzie dowiodła ona swojem postępowaniem, iż do chrześcijaństwa nie ma żadnéj skłonności, ale możnasz ufać zręcznéj i pełnéj

podstępu greczynce? Prędzéj czy późniéj mogła się zamięszać w jakie towarzystwo tajne, których tak pełno było w owych czasach i wciągnąć w nie młodego człowieka równie słabego jak niedoświadczonego a przynajmniéj odciągnąć go od wuja i poddać swojéj woli. Nie chciał on teraz badać już dlaczego odmówiła mu swojéj ręki; może uważała go nie dość bogatym, lubo i z drugiéj strony nie mógł zaprzeczyć sobie Jukundus, że połączenie Ageliusza z Kalistą byłoby niezmierną rękojmią przeciw jego zabobonnemu zamiłowaniu chrześcijaństwa, pod tym względem nie był on wcale spokojny, mianowicie od czasu, jak zapowiedziano nowe prześladowanie. Wprawdzie nie objawiło się ono jeszcze dotąd żadnym aktem publicznym, oprócz edyktu ogłoszonego w Sicce; zawsze jednak trzeba się było spodziewać, iż wiele ofiar padnie na dowód gorliwości wykonawców rozkazu cesarskiego, a chociaż okrucieństwa spełniane w Kartaginie i innych miejscach, mogły starczyć za spokojną Sikkę, zawsze jednak bezpieczeństwo o tyle tylko miało rękojmi o ile lud nie burzył się jeszcze przeciw wyznawcom obcéj religii. Na szczęście mało było chrześcijan bogatych w Sicce, ale w liczbie ich prawie pierwsze miejsce trzymał Agelius, o niego więc szczerze lękał się Jukundus, lękał się spełnienia na nim słów Juby, który utrzymywał, że brat jego w razie wypadku okaże się równie upartym i wytrwałym, jak dziś jest miękkim i obojętnym. W skutku więc tych trosk i przewidzeń, Jukundus postanowił wykonać plan od dawna ułożony.

Dopóki edykt cesarski nie pociągnie za sobą żadnych prześladowań, Agelius pozostanie na wsi, bo te zatrudnienia wiejskie są mu dobroczynną osłoną, ale skoro tylko burza nadejdzie Jukundus ściągnie do siebie siostrzeńca i strzedz go będzie w własnym domu. Ufał on, iż młodość i niedoswiadczenie młodzieńca dozwolą mu zawsze bronić go zwycięzko przed wszelkiemi władzami, czy to cywilnemi czy wojskowemi z powodu jego zasad religijnych, a gdyby i to nie było podobném, wówczas obiecywał sobie wyprowadzić go potajemnie z miasta. Bez żadnego skrupułu zamierzył uroczyście zapewnić władze, iż Agelius nie był chrześcijaninem, tylko że miał pomięszanie zmysłów, czyli pewien rodzaj manii, sprawiającéj w nim konwulsye na widok wszelkiego publicznego obrządku. Wprawdzie ojciec jego był bezbożnym, ale dla czegoż syn miałby być karany za występki ojca, raczéj należą mu się względy z powodu zasług jego matki, która wysoko była cenioną w okolicach Sikki jako biegła w czarnéj magii i zarazem znana z przywiązania do rządu, któremu nieraz pomogła w wyszukaniu chrześcijan. Taki to plan ułożył Jukundus zanim dowiedział się o chorobie Ageliusza i wówczas nie pospieszył natychmiast do niego, aby go nie posądzano, że jest w zmowie z siostrzeńcem. Aryston ze swojéj strony nie wziął również do serca postępku Kalisty, nie obchodził go tak bardzo, a kiedy widział ją powolną na wszelkie inne życzenia zostawił jéj w tym względzie zupełną wolność. Kalista nawet sama mało się zdawała

dotknięta tym wypadkiem. Wstrząśniona w swoich nadziejach nie tyle już lekceważyła postępowanie brata poddając się spokojnie swemu przeznaczeniu. Wprawdzie w rozmowie z Ageliuszem widzieliśmy w niéj piękne bardzo uczucia, ale one nie stanowiły zwykłego tła jéj myśli, świat ją męczył, lecz pozostawała jego niewolnicą, a wrażenie jakie na niéj uczynił Agelius, utwierdziło ją w tém przekonaniu, iż nie znajduje się na ziemi przedmiot godniejszy od innych naszéj miłości, iż próżném jest marzeniem szukać dóbr po za światowych a ponieważ życie nasze tak krótkie, trzeba korzystać z niego jak można najlepiéj według słów Arystona.

Ale cóż się stało w pośród tego wszystkiego z Ageliuszem? On biedny nie prędko przyjdzie do opamiętania się. Wierny sługa zaledwie z trudnością zaniósł młodzieńca do chatki, gdzie go złożył na łóżku. Biegły w rozpoznawaniu chorób miejscowych, chociaż widocznie zanosiło się na coś ważniejszego, puścił mu krew, przygotował zioła leczebne, zostawiając resztę naturze. Niebezpieczeństwo było wielkie, ale młodość jest pełną życia, poczciwy więc sługa nie tracił wcale nadziei. Z początku chory nie miał żadnéj przytomności, gorączka dręczyła go mocno, nakoniec jednego poranku wychodząc cokolwiek z marzeń chorobliwych, z oczami zamkniętemi jeszcze, zaczął przypominać sobie, który był dzień tygodnia a mianowicie, kiedy nadejdzie niedziela, w tym bowiem dniu miał zwyczaj odmawiać niektóre szczególne modlitwy, psal-

my, i łączyć się w duchu z oddalonymi braćmi. Naprożno jednak usiłował przypomnieć sobie ostatnią niedzielę; poznał, że to musiało być dawno, bardzo dawno, nie mógł bowiem zapamiętać dnia, w którym ostatni raz znaczył na kiju — jak miał zwyczaj — dni ubiegłe i niktby tego nie zdołał mu powiedzieć, chyba Apar, jego niewolnik. Biedny młodzieniec łamał sobie głowę nad tém zadaniem, które go tak dręczyło, iż nakoniec musiał je całkiem porzucić.

Był to jednak jakby pierwszy symptomat powrotu do zdrowia. Odtąd spał spokojnie przez dni kilka i zaczął przychodzić stanowczo do przytomności; pamięć wróciła mu powoli jak jutrzenka, zapowiadająca dzień; przypominał sobie wszystkie przyczyny i okoliczności ostatniego pobytu swego w mieście, a wspomnienia te obudziły w nim naprzód zdziwienie a następnie smutną pewność. Przedstawiło mu się w Forum, potém widział w pamięci ów edykt, a wzruszenie poważne i przejmujące, napełniło jego duszę, tak iż musiał na teraz odsunąć od siebie te przedmioty.

Wracając coraz więcéj do zdrowia usiłował się znów przenieść myślą w ten dzień pamiętny, ale nie mógł żadnym sposobem zebrać szczegółów, pamiętał tylko bardzo niewyraźnie, iż go dręczyło pragnienie, i że jak mówi psalmista *transivimus per ignem et aquam*, przeszliśmy przez ogień i przez wodę. Otworzył oczy i obejrzał się w około, był u siebie, poznawał to, przy jego łóżku siedział ktoś, ale on rysów jego nie mógł rozróżnić; nie mogąc wstać dla osłabienia, aby mu się

bliżéj przypatrzyć czekał cierpliwie, tém bardziéj, iż wątłość sił czyniła go obojętnym na wszystko. W tém głos jakiś przemówił do niego; czy lepiéj ci synu?

Kto jesteś? rzekł żywo Agelius.

Osoba mówiąca nachyliła się nad jego uchem i wyrzekła słodko kilka świętych imion. Agelius byłby wstał z uszanowaniem, gdyby był mniéj osłabiony, lecz nie mogąc tego uczynić zagłębił się jeszcze bardziéj w pościeli pod wrażeniem mocnego wzruszenia.

Nie dopytuj się o nic więcéj, rzekł nieznajomy, chwal tylko Boga, jak ja czynię, na teraz dość ci tego co wiesz, nakazuję ci to dziś pod posłuszeństwem.

Głos mówiącego był poważny, wdzięczny, spokojny i pełen powagi. Agelius nie potrzebował przymuszać się do zwyciężenia swojéj ciekawości, dźwięk tego głosu uspokoił go, a tajemniczość otaczająca nieznajomego napełniła umysł młodzieńca myślami pełnemi słodyczy i dźwięku; zresztą nie było tu żadnéj tajemnicy co do głównego punktu, gdyż Agelius był pewnym, że zostawał pod opieką księdza chrześcijańskiego. Nieznajomy odmówiwszy naprzód modlitwy z książki, którą nosił przy sobie, zaczął się zajmować staraniem około chorego, skropił octem twarz Ageliusza i cały jego pokój, potém posilał go zwolna chłodzącemi owocami, oganiał muchy natrętne i czuwał, aby chory leżał wygodnie. Powietrze sypialni zwróciło także jego uwagę, rano i wieczór otwierał okno i zamykał je znów starannie, podczas palących pro-

mieni słońca. Sledząc go wśród tych wszystkich zatrudnień Agelius miał sposobność dobrze mu się przypatrzyć, Był on wzrostu średniego, postać miał kształtną, a ubiór jego stanowiła tunika szara, jaką nosili wieśniacy lub niewolnicy, twarz więcéj okrągła jak owalna, włosy czarne, lubo już cokolwiek bielejące wierzch zaś głowy był łysy lub téż zdradzał postrzyżenie stanu duchownego, broda krótka koloru mocnociemnego, ale ponad wszystko uderzały jego oczy blado-niebieskie lub szaro przeźroczyste, które jaśniały jak drogie kamienie.

Od czasu jak się zbliżyli, ksiądz odmawiał niekiedy krótkie modlitwy z chorym jak n. p. Ojcze nasz lub ustępy z psalmów, późniéj, kiedy już Ageliusz mógł dłużéj rozmawiać uderzyła nadzwyczajna delikatność obejścia w księdzu; było ono pełne słodyczy i szlachetności; naturalność jego, skromność i swoboda dozwalały mu mówić rzeczy surowe, niekiedy nawet i twarde, bez obrażenia, przelęknięcia i zniechęcenia słuchacza, o sobie mówił bardzo mało, chociaż niekiedy w biegu rozmowy wykrywały się niektóre szczegóły jego życia, powiedział że się nazywa Cecylius, a Aspar za każdém wejściem do pokoju, chciał rzucić się do nóg jego i całować jego obówie, ale on mu tego nie dozwolił.

Agelius przeciwnie znajdował niejako ulgę mówiąc o sobie i opowiadając Cecyliusowi własną historyę łącząc do tego swoje uwagi i obraz swoich uczuć. Niekiedy nawet mówił sam do siebie jakby nie żąda-

jąc odpowiedzi, innym znów razem zwracał się wyraźnie do nieznajomego. Raz po długiem milczeniu zapytał go się nagle: czy można chrzcić się dwa razy? a kiedy ksiądz odpowiedział mu przecząco, Agelius zauważył, iż lepiéjby było żeby w chrzczono w godzinę śmierci; kwestya ta dodał, nastręczała mi się często, a nie miałem dotąd komu jéj przedstawić. Cecylius odpowiedział: Ale zkądże możesz być pewien, iż byłbyś wstanie otrzymać ten Sakrament w ostatniéj godzinie, mogłoby równie zabraknąć wody jak kapłana, lub obojga razem, a wówczas cóżby się z tobą stało moje dziecko? a potem zkądże wiesz że go będziesz pragnął, możeszże zaręczać za twoją wolę? korzystaj z okazyi, *carpe diem*, przyjmij dar Boga póki jest czas.

— Jest to tak wielkie dobrodziejstwo, rzekł Agelius, że chciałoby się zatrzymać jego skutki w całéj pełności, aż do przejścia w drugie życie, a to prawie niepodobna jeźli długi czas przedziela chrzest od śmierci.

— Należysz więc do tych, rzekł Agelius, którzyby chcieli odebrać Stwórcy prawo jakie On ma nad ich życiem, aby tylko w ostatnich chwilach ujść podszeptów złego. Agelius nie odpowiedział; Cecylius więc mówił daléj t. j. że pragniesz używać tego świata a zarazem odziedziczyć wieczność, nie prawda?

— Nie wiem jak ci odpowiedzieć ojcze, myśl moja się mięsza, mam głowę jeszcze słabą, ale po

chwili dodał: po chrzcie jest rzeczą tak straszną, już go drugi raz zmyć nie można, a przytém grzeszyć przeciwko łasce chrztu jest tak wielką Boga obrazą.

— Ale przez chrzest, rzekł ksiądz, Bóg staje się twoim Ojcem, twoim jedynym Bogiem, przedmiotem twego uwielbienia i twojéj miłości, czyż chciałbyś się pozbawić tego wszystkiego przez całe twoje życie, czyż chciałbyś żyć bez Boga?

Łzy popłynęły po twarzy Ageliusza, oddech zatrzymał się prawie w piersiach jego, nakoniec rzekł wyraźnie i z rzewnem uniesieniem: Nie.

— Myślę, rzekł Cecylius po chwili, iż więcéj lękasz się sądu Boskiego i kary, niż śmierci saméj.

— Wprawdzie mój Ojcze, odpowiedział chory, nie mam prawa rachować na miłosierdzie boskie, a jednak dotąd nigdy nie lękałem się piekła, chociaż powinienem był się lękać, dziwna jakaś ufność prowadzącego mnie zawsze Boga, oddala tę obawę.

— Lękasz się jednak surowości sądu, rzekł Cecylius, bo dla czegoż innego chciałbyś, żeby chrzest odłożono aż do ostatnich dni.

— Ja nie powiedziałem, że chciałbym, tylko żądałem objaśnienia.

— Cóż wolałbyś Ageliuszu, czy żyć bez Boga na tym świecie, czy cierpieć na tamtym?

— Bóg niech będzie moim udziałem w tém i w przyszłém życiu, odpowiedział Agelius z łagodnym uśmiechem, jeżeli będę w mękach i On tam ze mną

będzie. Uciszył się przez kilka godzin i zdawało się że spi, ale nagle rozpoczął rozmowę w te słowa: Nie miałem jeszcze lat sześć, kiedy mnie ochrzczono i cieszę się mój Ojcze, iż podług twego zdania nie było w tém nic złego. Nie mogę ci wypowiedzieć mówił daléj co uczułem w téj chwili, była to jakaś niewypowiedziana gorącość ducha, odtąd nie miałem ani jednéj chwili podobnéj nie pamiętam jak to wyraża nasz Zbawiciel, zdaje mi się *novissima pejora prioribus* [1])

Następnego dnia tak daléj rozwijał swoje rozumowania, gdyż myśl jego zdawała się ciągle zajętą tym przedmiotem:

Wiosna życia mojego już przeszła a lato nie przychodzi, więcéj jeszcze powiem; wiosny nawet nie było, dzień zaledwie jeden nie zaś pora roku, pojawił się i zniknął, a teraz gdzież jestem? wiosna już nigdy nie wróci, a jabym tak chciał szczerze na nowo rozpocząć życie.

— Dziękuj za to Bogu, odpowiedział Cecylijus, że lubo zaniedbałeś się cokolwiek, nie odstąpiłeś jednak nigdy kościoła, nie zaparłeś się nigdy swego Boga.

Agelius płakał gorzko. O mój ojcze rzekł: *Erravi sicut ovis quae periit* [2]), mało już brakowało, że-

---

[1]) Mateusz XIII, 45. — I bywają ostateczne rzeczy takiego człowieka gorsze niżeli pierwsze.

[2]) Błąkałem się jak zgubiona owieczka. (Psalm 118, 186).

bym Go się nie zaparł przynajmniéj przez czyn zewnętrzny. Nie jestem ci znanym, nie możesz wiedzieć jaki wypadek zaszedł świeżo w mojém życiu, a ja już nie śmiem mówić o nim, serce moje tak jest ściśnione. O mój Ojcze, nie wiem nawet jak mam żałować za to, tak nie śmiem odnawiać w sobie tych wspomnień, bo one same już są grzechem.

[3]) Nie lękaj się dziecko moje, odpowiedział ksiądz gdybyś nawet przeszedł przez ogień, woń jego nie zostanie na tobie, kiedy działamy w duchu pokuty, łaska Boga prowadzi nas bez niebezpieczeństwa, pośród myśli i słów, które w każdym innym razie byłyby szkodliwemi.

— Ach prawda! rzekł Agelius — przypominam sobie Katechizm, pokuta, to nowa łaska mój ojcze, to deska zbawienna po chrzcie, mogęż na nią rachować?

— Nie masz jeszcze na to dość sił, odpowiedział Cecyljus, jeźli Bóg dozwoli ci wrócić do zdrowia, zrobisz rachunek z całego twego życia, i przedstawisz go Panu, a On przez władzę mi udzieloną, oczyści od wszelkiéj zmazy, dziękuj Mu tylko, że cię dotychczas zachował.

Słowa te były prawie zbyt wielką pociechą na siły chorego, nie mógł wstrzymać łez najżywszéj radości.

---

[1]) Puer meus noli timere si transieris per ignem, odor ejus non erit in te.

Innego dnia siedząc na łóżku przypatrywał się rękom swoim, na których łupiła się skóra, to samo uczuł na ustach, a widząc że i włosy mu wypadały, rzekł z uśmiechem: *Renovabitur ut aquila juventus mea* [1]).

Cecyljus odpowiedział jak zawsze textem świętym, który w wielkiéj części był nowością dla Ageliusa: *qui sperant in Domino mutabunt fortitudinem, assument pennas sicut aquilae* [2]) *sursum corda!* Powinieneś lot swój rozpocząć Ageliuszu.

Sursum corda! zawołał tenże, znam te słowa są one jakby moi starzy przyjaciele, gdzież ja ich słyszałem, nie mogę sobie przypomnąć gdzie, ale błąkają się one w pośród moich pierwszych wspomnień, jednak serce moje mój Ojcze nie wznosi się do góry. lecz przylgnęło do ziemi. Muszę ci wszystko opowiedzieć, muszę ci mówić o téj, która opanowała serce i oddzieliła je od jego prawdziwéj miłości; ale ja nie śmiem o niéj mówić, żebym się nie zgubił, wstydzę się wyznać ci, że ona jest poganką.

Niech Bóg zlituje się nad moją duszą, ale przyjdzie on do mnie, nie pociągnąwszy jéj do siebie. *Investigabiles viae ejus* [3]).

Po kilku chwilach milczenia znów tak mówił: mój Ojcze, mam zamiar zupełnie poświęcić się Bogu

---

[1]) Młodość moja odnowi się jak młodość orła. Psalm CII. V.

[2]) Izajasz, XLI, 31.

[3]) Do Rzym. XI, 33. Drogi jego są niedościgłe.

z pomocą Jego łaski, ja się oddam Jemu, a on będzie moim, nikt już nie stanie między nami, ale niestety to biedne serce!...

Odłóż swoje postanowienie na ten czas, kiedy będziesz mocniejszy, łatwo je tworzyć podczas choroby, teraz powinieneś naprzód [1]) zdać sobie sprawę z koniecznych wydatków!!

Agelius umiechnął się, znam ten wiersz pisma, ojcze, rzekł i zacytował text święty! Jeźli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści Ojca swego, i matki, i żony i dzieci, i braci i sióstr, jeszcze też i dusze swojéj, nie może być uczniem moim [2]).

Innym razem rozmawiali o męczennikach.

— Męczennicy, rzekł żywo Ageljus, och przypomłnam sobie jak mówiąc o nich Biskup nasz podeszły wiekiem, wykładał znaczenio drugiego chrztu i nazywał go chrzestem krwi, dodając: „Oby dusza moja była z męczennikami.“ O mój Ojcze, czyż chrzest taki nie mógłby równie jak pierwszy zmazać wszystkich.

---

[1]) Łukasz XI, 4, 28.

[2]) — Łukasz XIV, 26. Tekst ma dwojakie znaczenie — raz odnosi się do czasu, w którym żył Zbawiciel — gdyż istotnie ten tylko mógł stać się jego uczniem i wytrwać w niebezpieczeństwie, który oderwał się od wszystkiego — następnie odnosi się do powołania na życie zakonne — czynimy tu tę uwagę — gdyż w wieku naszym z ustępu tego czyniono nieraz zarzut jakoby chrystjanizm przeciwny był miłości godziwéj i węzłom rodzinnym.

Teraz Cecyljus uśmiechnął się radośnie, a oczy jego zajaśniały jak safiry niebieskiéj Jeruzalem; zdawał się być jakby obrazem człowieka, co podług wyrażeń poety, będąc przeznaczonym stawić czoło jakiemu wypadkowi strasznemu, do którego niebo przywiązało wielkie następstwa przyjazne lub szkodliwe dla rodu ludzkiego, jaśnieje wyrazem szczęścia jak kochanek światła i natchnienia.

Wkrótce jednak odzyskał władzę nad sobą powtarzając słowa z Ewangelii św. Jana (XIII 36): *quo ego vado non potes me modo sequi; sequaris autem postea.* Dokąd ja idę nie możesz teraz za mną iść, ale potém pójdziesz.

XIV.

Pasterz i Wilk.

Często powtarzały się podobne rozmowy i trwały coraz dłużéj, póki Agelius nie zaczął wychodzić z mieszkania. Jednego wieczora ksiądz wraz z wiernym sługą wyprowadzili go na świeże powietrze sadzając w obec wspaniałego krajobrazu osłonionego długim cieniem gór okolicznych za któremi kryło się słońce; powietrze przeniknione było balsamiczną wonią, a jasny koloryt nieba ku zachodowi odbijał od ciemnych barw zmrokiem zaległéj krainy. Pszenica i jęczmień już były sprzątnięte, grochy tylko spóźnione stały jeszcze na polu, drzewa oliwne i kasztany okryte były owocem, figi kilka razy zaopatrzyły już targi, a winne grona czekały tylko upałów słonecznych następnego miesiąca, aby odpłacić dojrzałością starania gospodarzy. Widok ten miał pewną swoją godność moralną przez związek z pożywieniem i dobrym bytem człowieka, a nieokreślona cisza wieczoru okrywała go jak-

by szatą. Urok tego krajobrazu nie mógł być obojętnym dla chorego, który przez tak długo leżał na łożu boleści. Agelius przyglądał mu się milcząc i płacząc, był to dla niego prawdziwy powrót do życia, prawdziwe zmartwychwstanie. Odtąd wychodził co wieczór, czując się coraz zdrowszym i zbliżając się wyraźnie do zupełnego powrotu do zdrowia.

Raz, długo karmiąc wzrok przecudnym widokiem uczuł w duszy prawdziwe zachwycenie i rzekł: *mansueti haereditabunt terram* [1]). Ci tylko prawdziwie radują się pięknością natury, którzy uznają jéj Twórcę, każde tchnienie powietrza mówi mi tajemnie jak Bóg jest dobrym.

— A cały ten zachwycający widok, odpowiedział Cecyljus jest zaledwie cieniem piękności wiecznéj naszéj ojczyzny, w któréj nie ma ani zwierza drapieżnego, ani jadowitego gadu, ani grzechu. Ja to bardziéj jeszcze jak ty powinienem się zachwycać tym wdziękiem natury, żyjąc bowiem w mieście widzi się tylko dzieła człowieka, tak często zepsuciem napiętnowane. Bóg wynagrodził mi moją ucieczkę z Kartaginy tym wdzięcznym krajobrazem, w którym obecność jego tak jest widoczną.

Poganin wielbi te wszystkie twory, jak gdyby były Bogiem samym, rzekł Agelius, ja pojąć nie mogę, jak można zapomnieć o Bogu w obec dzieł jego.

---

[1]) Psalm 36, 11. Ziemia stanie się dziedzictwem łagodnych.

Cecyljus milczał zrazu i westchnął, potém rzekł: dla tego że byłeś zawsze chrześcijaninem Ageliuszu.

— A ty mój Ojcze, czy nie byłeś nim zawsze, zapytał Ageljus, ależ i w takim razie ty zasłużyłeś na tę łaskę, która mi darmo była daną.

Ageliuszu! rzekł ksiądz, łaskę tę odbierają wszyscy darmo, i wtedy tylko możemy na nią zasłużyć, kiedyśmy ją już otrzymali. Musiałeś jednak mieć swoje zasługi, bo inaczéj dla czegoby była tak wielka różnica między tobą a twoim bratem.

— Cóż wiesz o nas, zapytał z żywością Agelius.

Nie wiele, odpowiedział Cecylius. Przed czterema laty chcieliśmy ożywić cokolwiek ducha chrześcijańskiego w tych okolicach, przynieść jaką pomoc kościołom w prokonsulacie, a mianowicie osadzić biskupstwa wakujące. Nie powiodły nam się nasze zamiary, ale mieliśmy przynajmniéj sposobność dowiedzenia się o chrześcijanach tu przebywających. Ja właśnie byłem wysłany w tym celu i wówczas to mówiono mi o tobie i o twoim bracie. Teraz kiedy grożące prześladowanie zmusiło mię do ucieczki, przypomniałem sobie twoją chatkę i tajamnicę, lękając się równie przyjaciół jak nieprzyjaciół, przybyłem tutaj.

Myśl twoja mój Ojcze była bardzo szczęśliwą, tu w istocie możesz mieć schronienie spokojne, w tém ustroniu nic nie budzi ani podejrzenia ani zamieszek, w czasie żniwa przybywa tu mnóstwo cudzoziemców z gór, łarwo więc możesz być policzony do ich liczby, brat zaś mój pojechał do Kartaginy z ładunkiem zbo-

ża, lubo prześladowanie sprowadziło cię tutaj, ale Bóg dał ci robotę mój ojcze, przyprowadziłeś do owczarni zbłąkaną owieczkę, potém dodał po krótkiém milczeniu, już zdrów jestem, czy nie mógłbyś mię spowiadać dziś wieczór?

— Chętnie, odpowiedział Cecyljus, nie wiem jak długo jeszcze zabawię. Czekam na powrót mojego wiernego posłańca z listami; już trzeci dzień jak pojechał, a jednak jestem przekonany, iż nie rozdzielimy się na długo; pocóż tu byś pozostał, powinieneś raczéj przyjść do mnie, ja cię przygotuję i poślę do Sikki, ażebyś zebrał i wrócił do owczarni tę rozproszoną trzodę.

Agelius obrócił się i oparł z radośnym uśmiechem na ramieniu księdza.

Ja się śmieję mój ojcze, ale nie z lekkości, lecz z radości i podziwienia, że tak dobrze sądzisz o mnie. i ja miałem takie marzenia, ale nie niepodobna żeby się kiedy one spełniły, przy osłabieniu teraźniejszém, czyż mogę myśleć o czém więcéj jak o zbawieniu mojéj duszy?

— Zbawisz ją ratując duszę innych, mógłbym ci jeszcze więcéj powiedzieć mój synu, gdybym myślał, że to ci może być użyteczném.

— Ależ mój Ojcze, mam tak słabe, tak niewieście serce, zawołał Agelius, cóż zdołam sam z siebie uczynić, nie mając wcale natury bohatera.

— Virtus in infirmitate perficitur [4]), rzekł ksiądz. Czy sam będziesz działał, czy raczéj jako narzędzie innego, nie wiem ale zawsze myślę, że koniec nas obudwóch będzie podobny, tylko twój nastąpi długo późniéj po moim.

— Mniemasz więc mój Ojcze, że umrzesz daleko prędzéj odemnie? rzekł Agelius.

— Zdaje mi się że już wrócił mój posłaniec. Ktoś wszedł potajemnie do ogrodu a przynajmniéj drogą, którą się zwykle nie chodzi.

W istocie przybył gość do nich, jak uważał Cecylius, ale to nie był jego posłaniec, lecz Juba, który zbliżył się do Cecyliusza przyglądając mu się z ciekawością jakby zajęty niezmiernie tym widokiem. Cecylius wzajemnie spojrzał mu bystro w oczy i rzekł do Ageliusza: to twój brat.

— Co cię tu sprowadza Jubo? zapytał Agelius. Miałem zajęcie w dalekich ztąd stronach, a za powrotem dowiedziałem się żeś chory. Czy to jest twój stróż w chorobie? rzekł patrząc surowo na Cecyliusza, a potém dodał: to ksiądz chrześcijański.

— Czyż wszyscy znajomi Ageliusza mają być chrześcijanie? zapytał Cecylius.

— Oh! zapewne że nie koniecznie. Znajomi! on ma znajomość jedną bardzo przyjemną, niewinną, słodką, zupełnie innego rodzaju, a potem ma jeszcze i in-

---

[4]) do Koryntyan XII, 9.

ne n. p. moją. Twoja mój przyjacielu nie wyrówna im, ale zapewne zrobiłeś co mogłeś.

— Jubo! rzekł jego brat, jeźli masz do mnie jaki interes mów i kończ; bo nie mam dosyć sił na sprzeczanie się z tobą.

— Interes? rzekł Juba — mógłbym tu znaleźć dużo ważnych gdybym chciał; lecz że to ksiądz chrześcijański, to więcéj niż pewna.

Cecylius spojrzał na niego wzrokiem tak pełnym pokoju i życzliwości, iż Juba odwrócił oczy z pewnym rodzajem rozdrażnienia.

— Jeźli jestem księdzem, rzekł tamten, to mam prawo powołać cię do siebie, jako jedno z moich dzieci.

Juba zadrżał i odpowiedział pogardliwie: Mylisz się ojcze, udaj się do tych, którzy do ciebie należą, jam człowiek wolny.

— Mój synu, rzekł mu na to Cecylius, jesteś Katechumenem, powinieneś więc postępować a nie zaś cofać się.

— Zkąd wiesz o mnie? rzekł Juba. On, ci chyba powiedział?

— Postać twoja, układ twój, głos mówią dosyć, nie potrzebuję pytać się nikogo; przed kilku laty słyszałem o tobie, a teraz widzę cię.

— I cóż widzisz we mnie? rzekł Juba.

— Widzę pychę pod formą cielesną, depcącą wiarę i przekonanie, rzekł Cecylius.

Juba rozśmiał się, jeźli można nazwać śmiechem wykrzyk towarzyszący dzikiemu i pogardliwemu wyrazowi twarzy: co wy dusze niewolnicze nazywacie pychą, ja nazywam godnością.

— Ty wierzysz tak jak ja w Stwórcę nieba i ziemi, rzekł ksiądz, ale dobrowolnie i z namysłem stawiasz się w przeciwieństwie z nim.

Juba odpowiedział z tym samym szatańskim uśmiechem: bo jestem tak samo wolny w moim stanowisku jak on jest w swoim.

— Chcesz powiedzieć, że wolno ci czynić złe i ponieść za to karę, odrzekł Cecylius.

— Możesz to sobie nazywać złém i karą jak ci się podoba, rzekł Juba, ale ja nie uznaję za złe tego, co on nazywa złém. A jeżeli mnie ukarze, to dla tego tylko, że jest mocniejszy.

Ksiądz milczał przez chwilę, z obu stron nie było żadnego wzruszenia. Dziwnie było widzieć ich tak spokojnych a tak przeciwnych sobie, rzekłbyś Michał Archanioł, i jego przeciwnik.

— Wewnątrz ciebie, rzekł Cecylius, jest coś, co mówi tak jak ja; ten głos wewnętrzny staje po stronie twego Stwórcy i oskarża cię —

— To On wlał ten głos we mnie, ale ja postaram się go wyrzucić z siebie, rzekł Juba.

— Wówczas i sprawiedliwość i władza będą z Jego strony odpowiedział ksiądz.

— Nie będę ani pochlebiał, ani czołgał się, rzekł Juba, zostanę sam panem i władcą swojéj duszy, chcę

każdą moją siłę mieć pod swojem panowaniem, nie wprowadzę w siebie podziału przez niewolnictwo.

Cecyljus znów milczał, nakoniec rzekł: moje serce a raczéj mój Twórca ostrzega mię że straszny sąd zawieszony jest nad tobą; czyń pokutę moje dziecko póki czas.

— Opowiadaj twoje proroctwo niewiastom i dzieciom, rzekł Juba, co do mnie gotów jestem na wszystko, nikt mnie złamać nie może.

Ageliusz zbyt był słabym aby się mógł mięszać do takiej rozmowy. Ojcze mój, rzekł w końcu, nie wierz mu on tylko tak mówi. Juba łepsze ma w gruncie uczucia, odejdź mój bracie, my ciebie tu nie potrzebujemy.

— Ageliuszu mój, nie lękaj się, mowa taka dla mnie nie jest wcale nowością, żyłem dość długo, abym mógł nie znać świata; nieraz spełniając moje obowiązki z wytrwaniem, słyszałem podobne bluźnierstwa, znałem nawet człowieka, który w czynach urzeczywistnił złe myśli i złe słowa swoje, zaparł się Boga oddał złemu i wydał braci swoich na śmierć; żył długo, w późnym dopiero wieku zachorował i nawiedziłem go; wówczas przedstawiłem mu obraz dobrego pasterza, opisałem napróżno usiłowania biednéj owieczki chcącéj się odosobnić, jéj wstręt nierozsądny do pozostania w owczarni i gwałtowny zamiar przedarcia się przez płoty cierniem najeżone, przedstawiłem mu ją poranioną, skrwawioną i nakoniec uwięzioną w tych cierniach prawie bez życia, wtedy opowiedziałem mu jak

pasterz dobry z narażeniem się na rany od tych cierni, uwalnia ją i niesie na rękach swych do owczarni. Bóg ma pewne czasy oznaczone, wszechmocność Jego użyła tego obrazu za narzędzie swéj łaski, odstępca został wzruszony. Oto widzisz, rzekłem mu, co w miłosierdziu swojém daje ci Pan w zamian za twoją nienawiść. On chce ciebie mieć choćby go to najwięcéj kosztowało. Nie będę opowiadał szczegółowo wrażenia jakie ten obraz na nim uczynił, ale oto skutek w kilku słowach. Nawrócił się, odprawił publicznie pokutę, pojednał z kościołem przed samém prześladowaniem i otrzymał koronę męczeńską przed dziesięciu dniami.

Juba słuchał tego opisu jakby gwałtem zatrzymany. Skoro ksiądz skończył, wstał nagle i zaczął mówić szybko wbrew swemu zwyczajowi, a wśród tego zasłaniał uszy rękami.

Przestań, przestań, mówił, nie dodawaj już nic więcéj, ja ich nie zdradzę, nie, to nie potrzebne, djabeł sam zrobi swoje dzieło; patrz, mówił daléj biorąc rękę Cecyliusza, wskazując na część lasu położoną od strony wiatru, księże, ty jesteś jeden z tych, którzy umieją przepowiadać przyszłość drugich a ślepi są na swoją własną, czytaj ją, wszak to tak łatwo, wpatrz się starannie w przyszłość — i mówiąc to wskazywał ku stronie lasu, gdzie widać było w pośród gęstych liści, odbicie wód stawu lub bagna. Rozmaite wody to sączące się z pod zwiru, to wynikłe z mgły nocnéj zgęszczonéj spływały do jaskini napełnionéj szczątkami roślin przeszłorocznych i przemieniały się zwolna

w czysty strumień, a brzegi jego zaścielala gęsta warstwa massy, którą można nazwać przechodową, ponieważ z roślinnéj jaką była piérwéj, zamieniło się na ognisko życia i jakby łoże dla owadów. Chmura a raczéj mgła gęsta zalegała horyzont, a z téj chmury wychodził dźwięk ostry, nieharmonijny, jakby gwizdanie lub świegotanie dziwnego rodzaju. Były to skazówki jasne dla mieszkańców tamtych krajów; oto niebezpieczeństwo straszniejsze niż sam edykt cesarski, niż oskarżyciel prokonsularny, a przecież ja na to wcale nie wpływałem. I odszedł brzegiem pagórka znikając zwolna przed ich okiem. Agelius i gość jego spojrzeli na siebie z przerażeniem. To szarańcza rzekli po cichu wchodząc do mieszkania.

XV.

Szarańcza.

Plaga szarańczy najsroższa może ze wszystkich, nawiedzała prowincye państwa Rzymskiego, rozciągające się od Atlantyku do Etjopu, od Arabii do Indyi, od Nilu i morza Czerwonego do Grecyi i północnych krańców Azyi mniejszéj. Historya wspomina czasy, w których te owady niszczyciele, czarną spadały chmurą na Lombardyą z poza morza śródziemnego a na Polskę z poza Euxynu. —

Gatunki szarańczy wyradzały się stosownie do miejsc które pustoszyły. — Jedne pokolenia następowały po drugich podobne wprawdzie kształtem lecz w inne uposażone przymioty jak czytamy w prorokach starego zakonu. Bochart naliczył do dziesięciu gatunków szarańczy. Zwykle pojawiają się w marcu, wszakże niekiedy ociągają się aż do czerwca i to właśnie zdarzyło się w czasach objętych naszą powieścią. Każdą gromadę składają myryady pojedynczych owadów

których liczba przechodzi wszelkie pojęcie; krople deszczu lub ziarnka piasku na dnie morza, mogą tylko iść z niemi w porównanie. Ztąd powstało u wschodnich ludów przysłowie, które często napotykamy na stronnicach pisma świętego. Liczny zastęp najezdników mianują *chmarą szarańczy*. Zwykły one lecieć tak ściśniętą kolumną, że bez przesady powiedzieć można, iż zasłaniają światło słoneczne. Ztąd nawet pochodzi arabska ich nazwa. A gdy spadną na ziemię grubemi ją pokrywają warstwy.

Ten ostatni rys stwierdzony jest dokładnie opowieścią pisma świętego o siedmiu plagach egipskich, które wypowiadają ich niszczącą potęgę. Roje much i komarów, a do tego grad zabójczy, pierwszemi były plagami, szarańcza przyszła potém, aby do końca spełnić dzieło zniszczenia. Albowiem nietylko zboże na polu i owoce w sadach, ale nadto liście drzew leśnych, młode gałązki i odrośle, tudzież miękka kora stawały się pastwą nienasyconego jéj żarłoctwa. Widywano nawet jak w braku innéj strawy ogryzała słupy drewniane koło drzwi i okien. Szarańcza tak wszystko niweczy z gruntu, że po jéj przejściu nic już nie zostaje do zniszczenia, podobna do Harpii, która śliną swoją plugawi wszystko czego dotknie. Brudna wilgoć, która pokrywa każdy niedoniszczony przedmiot, ma własność jadowitéj trucizny, a jak niektórzy twierdzą przepala wszystko w popiół. Wreszcie jakby na domiar, gdy nie ma już na czém wywierać swéj wściekłości, pada trupem, a konając, przekazuje ludziom

ostateczne niejako przekleństwo, albowiem składą jadowite miazmy, rozkładające się nagle, zarazę morową zaszczepiając w powietrzu i tym sposobem śmiercią samą stokroć sroższą zadają ludziom klęskę, niżeli niegdyś życiem.

Taką jest szarańcza, którą starożytni kacerze przyłączali jako wymowny dowód istnienia jakiegoś sprawcy złego na świecie. Pisarz jeden arabski wyrażając ku niéj narodową nienawiść, tak określa jéj postać: „ma ona mówi łeb koński, oczy słonie, szyję byczą, rogi jelenie, pierś lwią, brzuch skorpiona, skrzydła orle, lędźwie wielbłąda, nogi strusie, a ogon wężowy.“ —

Otóż czarne chmary szarańczy spadły na piękną okolicę, którą opisaliśmy z takiem upodobaniem. Rój wskazany palcem przez Jubę wzrósł do takiego stopnia, że zdawał się jedném zgęszczoném ciałem i zaległ w mgnieniu oka przestrzeń czworoboczną dwustu metrów. Wszakże była to dopiero przednia straż ciągnących zastępów, które wychodziły coraz nową nawałą z wyżéj opisanego bagniska, a która unosząc się w powietrzu jakby groźne chmury, rozciągała się w górze tworząc czarne sklepienie a potém spadała na bogatą żyzną równinę. Nakoniec te niezliczone a złowrogie ćmy poruszyły się i rozpoczęły srogie dzieło zniszczenia gasząc całkiem światło dzienne.

Jak przystało na narzędzia kary Bożéj, zdało się, jakby te czarne tumany nie miały własnéj woli i na skrzydłach wiatru niesione, pędziły na północ w stronę

Sikki. Chwilę wstrzymane w powietrzu, spuszczały się nieznacznie ku ziemi, podczas gdy nowe tumany nadciągały górą i nowemi opadały warstwy. Zalegały już przestrzeń dwunasto-milową a szum ich skrzydeł słychać było na sześć mil. Niekiedy promień słońca przedarł się przez żyjącą chmurę, i odbłysnął w drżących skrzydłach owadów. Nakoniec szarańcza pokrywszy ziemię, podobną się wydawała do grubych płatów żółtawego śniegu; i przysłoniła żywym kobiercem a raczéj śmiertelnym całunem pola i ogrody — łąki i winnice, gaje palmowe, oliwne i pomarańczowe a nawet i cieniste dąbrowy. Tam gdzie nie miała żeru, leżała nieruchoma lub też posuwała się wytrwale naprzód w nadziei, że napotka nową pastwę. Tu i owdzie padało krocie trupów, zastęp jednak szedł daléj, nie oglądając się na mało znaczące straty. Zbite massy owadów napełniały głębokie parowy i jary, zawalały drogi podróżnym i marniały na miazgę pod kopytami koni i stopami przechodniów. Ale daremnie całe legiony niszczały po drogach, lub tonęły na dnie rzek stawów i strumieni, daremnie biedni włościanie na widok groźnego nieprzyjaciela, kopali spiesznie studnie i rowy i napełniali wodą, lub niegaszonem wapnem, daremne to były trudy; szarańcza spadała nową kolumną a szafując hojnie życiem jednostek gasiła ogień i zapełniała doły miljonem nowych trupów i tym sposobem uprzątała drogę niezliczonym hufcom postępującym w jéj ślady. Szły one zawsze prosto szereg za szeregiem, nie wstrzymując się nigdy, nie zbaczając z raz wytkniętéj dro-

gi, i rozpostarły się czarnym szlakiem ponad okolicą bujną i zieloną, tam gdzie jéj dotąd plaga nie dotknęła. Przed nią powiedziećby można słowy proroka, był jeszcze raj rozkoszny, za nią głucha pustynia. Nic nie ustraszało tych okrutnych zastępów; przełaziły przez mury, parkany i płoty, zalegały ogrody podwórza i domy. — Czy to gdzie w leśnéj ustroni zasadzono na próbę jaki osobliwy gatunek winnych szczepów, dla uchronienia ich od wichrów afrykańskich, a te latorośle wijąc się po gałęziach wysmukłych topoli kampańskich, bujały tak wysoko, że robotnicy w czasie winobrania z powodu niebezpieczeństwa wymawiali sobie oprócz zapłaty stos pogrzebowy, kilka stóp ziemi na mogiłę. Otóż szarańcza dosięgła tam gdzie ani grom ani wicher afrykański dosięgnąć nie był w stanie, znikła nadzieja winobrania, pozostały tylko nagie badyle bez owoców i liści. — Były znów inne winnice mniéj osobliwe, ale hodowane z troskliwem staraniem. Tu już gałęzie uginały się pod ciężarem dojrzewającego winogradu, jeszcze miesiąc a bogaty zbiór opłacić miał hojnie długie i mozolne zabiegi właściciela. Aliści na każdym liściu, na każdym gronie, rozsiadła się szarańcza i w godzinie zniweczyła ślad ludzkiéj pracy. — W głębi lochów i cystern potrząśniętych suchą słomą, rolnicy przechowywali świeżo pożętą pszenicę afrykańską, ową sławną pszenicę, któréj jedno ziarnko wydaje od dziesięciu do stu niekiedy łodyg i na każdéj łodydze, rośnie po parę grubych niskorzędowych kłosów. Te zapasy przeznaczono już dla mieszkańców Rzymu, lecz sza-

rańcza uprzedziła stołeczną ludność nie przebierając w płonach; tak jak zniszczyła wspaniałe winnice i oliwne gaje, z równą chciwością rzucała się na wązkie zagony zasiane rzepą, cebulą i dynią, które stanowiły całą chudobę ubogiego i miały go wyżywić z rodziną aż do następnych zbiorów. Słowem, nic nie ocalało od zniszczenia, ani zagroda wieśniaka, ani wspaniała willa Dekurjona rzymskiego. Piękne ogrody pełne rumianych wisien, płoniejących śliwek, brzoskwiń i moreli w mgnieniu oka zmieniły się w pustynię. Nieraz bywało podczas gdy domowi niewolnicy jedli wieczerzę w kuchni, nieprzyjaciel tymczasem wpadł do piwnic, i splądrował w nich ogromne zapasy jabłek, gruszek, i cypryjskiéj oliwy.

Szarańcza pociągła nakoniec ku miastu Sikka, wdarła się na mury, przekroczyła je, rozlała się jakby groźna powódź po ulicach i rynkach, przez drzwi i okna dotarła do komnat mieszkalnych, nie pojedynczo ale w bojowym szyku. Ogołociła z liści i kwiatów kosztowne rośliny i krzewy, myrty, pomarańcze i granaty, gwoździki, róże porozstawiane w wazonach wśród wspaniałych dziedzińców i galeryj. Nie dosyć jeszcze na tém, roje brzydkich owadów rozłażą się po białych marmurowych ścianach, zalegają gzymsy i lamperje. Rzucają się na salę jadalną, podczas uczty włażą do srebrnych mis i puharów i plugawią czego pożreć nie mogą. Niezaspokojeni użyciem ruszają coraz daléj, tajemny instynkt trzyma je w ścisłem zespoleniu, jak pszczoła w około królowéj matki. Zaścielają całą prze-

strzeń ulic i placów miejskich, jakby różnobarwna mozajka w różnobarwne utkana wzory. Dostają się wreszcie na targ, pożerają chleb i owoce, napełniają sklepy piekarzy i pasztetników: wszystko pustoszą i niszczą i idą zuchwale naprzód, nie troszcząc się o życie, pewne wszędzie zwycięztwa i łupu.

Przeszła nakoniec plaga, ale nie prędko przeszły jéj smutne następstwa; mieszkańcy miasta poczęli obliczać poniesione straty. Właściciele okolicznych wsi zarówno jak i miejscy przekupnie, srodze ubolewali nad klęską; mniejsza już o to, że wieś postradała uroczą piękność, lecz co gorsza, nadzieja zysku upadła, a cena produktów podniosła się bez miary. Jak tu wyżywić mnogą ludność? gdzie szukać ziarna? zkąd brać melony, figi, daktyle, winne jagody, warzywa i ogrodowiny dla ubogiego ludu? Obywatele zamożniejsi daremnie przemyślali czém zapłacić podatki cła i daniny przynależne Rzymowi? Czém wyżywić bydła przeznaczone na ofiary bogom i na stoły bogaczów; połowa pionów zniszczała w okolicy: już nie zdążają do miasta niewolniki na obładowanych mułach, wołach, nie wiodą na rzeź rogatego bydła ani tłustych baranów. Wszelki ruch ustał w mieście, głuche milczenie spadło na Forum, wszystkie oblicza zasępiły się i pochmurniały. Znać bogowie opuścili miasto mszcząc się za jakieś wielkie a tajemne przestępstwa. Napad szarańczy wprawdzie zdarzał się już nieraz, nigdy jednak nie nastąpił w porze tak spóźnionéj. Kto wie czy nie znieważono któréj świątyni bogów nieczystym

obrzędem, lub nie popełniono jakiéj zbrodni wołającéj o zemstę?

Ale niebawem nowa plaga stokroć sroższa przyszła w ślady za pierwszą; plaga szarańczy jak mówiliśmy wyżéj stawała się najczęściéj powodem morowego powietrza. Włościanie okoliczni usiłowali gdzie mogli niszczyć je ogniem i wodą; ale rzekłby kto, że złowrogie owady postanowiły wyrządzić ofiarom swoim wszelkie złe możebne, albowiem ledwo że się oddaliły o dwadzieścia mil od miasta, osłabły nagle, i pochłonąwszy całe bogactwo pól i winnic, padły skutkiem przesytu zamieniając w własny cmentarz spustoszone przez siebie obszary. W zamian za wydarte ziemi płody przekazały jéj spuściznę własne trupy cuchnące i zatrute. Była to klęska nagła i nieprzewidziana, albowiem szarańcza kierowała pochód ku śródziemnemu morzu jakby zarówno z wielkiemi zdobywcami ziemi po przeciwnych jego brzegach chciała szukać nowych do ujarzmienia światów.

Ale czy ją uderzyła nagła zmiana atmosfery, czy też przyszedł na nią czas opłacenia długu, dość, że w jednéj chwili stała się pastwą ziemi. Chwała jéj znikła, wszystko dla niéj zmieniło się w próżność próżności: zgniła a powietrze zarażone było jéj zgnilizną, albowiem żyła w pysze i zuchwalstwie, [1])

---

[1]) Joël u 20. Et ascendet foetor ejus, et ascendet putredo ejus, quia superbe egit.

Ochydne roje zalegały trupem bagniste zarośla a zabójczy wyziew powstający z ich rozkładu unosił się z głębi zielonych moczar, z cienistych dolin, z rowów (bruzd i przekopów), słowem, ze wszystkich miejsc naznaczonych ich przejściem z opustoszonych pól i zburzonych winnic. Zatruty wyziew niebawem zaraził powietrze. Rolnik uczuł, że nowa plaga zawrzała nad głową, plaga nieograniczona przestrzenią, którą wróg splądrował, ale szerząca się we wszystkich kierunkach, niby na skrzydłach wiatru, roznoszona w około; rolnik mówię spostrzegł z przerażeniem, że srogi mór nawiedził okolicę! Wolny od zwykłéj pracy około ziemi, zajął się gorliwie usunięciem plagi śmiertelnéj: ale trudy były daremne; próżno kopał doły i układał stosy z łuczywa, aby zniszczyć zaraźliwe szczątki szarańczy; owe doły i stosy miały pochłonąć własne jego ciało wraz z trupami nieprzyjaciół. Ciemięzcy i ich ofiary spocząć mieli razem w jednym grobie, spłonąć w jednym ognisku. Śmierć powołała robotnika przy pracy, a okropna klęska szerzyła się coraz daléj. Nowy napad zagroził miastu, trwoga rozerwała wszystkie węzły społeczne, gromady chłopów niewolników równie jak dozorców i właścicieli ziemskich poczęły się garnąć do miasta szukając w niem ocalenia przed głodem i zarazą.

Zatrwożeni mieszczanie więcéj jednak okazują mocy ducha, postanawiają trzymać przybyszów na wodzy, zamykają bramy, rozstawiają straże, zaprowadzają środki ostrożności. Ale napływ zwiększa się coraz bar-

dziéj tłumy wciskają się gwałtem do miasta jak woda przez szczeliny okrętu, jak światło przez szpary okiennic; wszelkie zabiegi bezskuteczne, powietrza ujarzmić niepodobna, morowa zaraza bierze górę, wybucha z całą gwałtownością w brudnych zaułkach miasta.

XVI.

Morowa zaraza i głód.

„O nieszczęśliwi śmiertelnicy zgięci ku ziemi nie widzicie rzeczy niebieskich!“ wołał niegdyś wielki pogański poeta [1]) lecz z pobudek dalekich od prawdy. Co do nas, jeźli ubolewamy nad losem ludzi, to dla tego, że nie umieją wytłumaczyć sobie według myśli bożéj owych tajemniczych znaków, które w danym czasie Bóg nakreśla na niebie. Mane, Thecel, Phares nieraz wypisane bywa na sklepieniu niebios, a nikt nie posiada zdolności ani siły, aby wyczytać owe pełne tajemnic słowa, i ludzie zamiast udać się do Daniela proroka, który zwykł rozmawiać z aniołami bożymi, szukają gdzieindziéj tłumaczy, ufając raczéj Magom i Chaldejczykom. Takie było w téj chwili położenie nieszczęśliwych mieszkańców Sikki; na pół gło-

---

[1]) Persius Satyra 2.

dni, otoczeni morem, domagającym się coraz to nowych ofiar, ciśnieni napływem okolicznéj ludności, która niegdyś zaopatrywała ich targowiska w żywność, nie mogli pojąć, że głównym powodem plagi były właśnie ich przestępstwa, popełnione przed obliczem Stwórcy. Nie mogli dopatrzeć karzącéj ręki, nie mogli zrozumieć, że prostém rozwiązaniem zagadki były słowa proroka: „Nawróćcie się i czyńcie pokutę [1]). Oni przeciwnie, zwrócili oczy na swoje czcze bałwany i na ofiary należne niby tym bałwanom, oni mniemali że najpewniéj ujdą srogiéj klęski utrzymując kłamstwo i gubiąc tych, którzy wzbraniali się postępować ich śladem. —

Tak więc plaga dopuszczona jedynie na ich dobro, skutkiem uporczywéj ślepoty obróciła się na większe ich potępienie.

Forum, zwykłe zbiegowisko wszystkich próżniaków miejskich, stało się tezaz gniazdem głodu i zarazy. Ludzie krzepcy a bezczynni, niewolnicy wyzwoleni chwilowo skutkiem okoliczności, młodzież zepsuta i wyuzdana bez przytułku ani schronienia, obozowała od świtu do nocy, zalegając tłumnie wnętrza portyków przedsionki świątyń i targowe baraki. Nieustający napływ coraz to nowych przybyszów zwiększał codziennie owe tłumy różnoplemiennéj ludności osiadłéj tak w mieście jak w okolicy. Zwierzchność policyjna nie

---

[1]) Convertimini et agite poenitentiam. (Ezech. XVIII, 30).

zdołała stawić czoła nadużyciom, a załoga wojskowa przedstawiająca potęgę rzymską, lubo gotowa zawsze działać bezstronnie czy to przeciw magistratowi, czy przeciw miejscowéj ludności, nie stawała po żadnéj stronie trzymając się wyłącznie odpornego stanowiska. Węzły społeczne rozprzęgały się widocznie, wszystkie żywioły polityczne wypowiadały sobie wojnę, a pod wpływem klęski powszechnéj, każdy żywił w piersi niechęć ku bliźniemu w braku wyraźnie określonego przedmiotu wspólnéj nienawiści i zemsty.

Przerwano wszelkie religijne obrzędy, przestano badać wnętrzności ofiary; błagalne modły i rozlane krwi zdroje okazały się bez żadnego skutku. Kapłani przytém dostrzegali powszechnie, że zwykłe wieszczby, nowe tylko zapowiadały nieszczęścia; w jagnięciu zamiast wątroby znaleziono obce potwórne jakieś ciało; wieprz pożarł kwiaty, któremi go zwieńczono w ofiarę; cielę ugodzone morderczym ciosem zamiast upaść na miejscu obiegało w koło świątynię zostawiając za sobą krwawe ślady.

Zrozpaczony lud uciekł się do czarów i guseł. Z wszystkich stron przyzywano stare niewiasty, spełniano najdziwaczniejsze zaklęcia i najohydniejsze obrzędy. Pokopano doły na ustroniu i składano w nich ofiary bóstwom piekielnym. Amulety, pierścienie, tabliczki, gwoździe, kamyki, kości, pióra, napisy efezkie i egipskie, weszły w powszechne użycie, podtrzymywały słabą nadzieję i zajmowały myśl ludzi przerażonych obawą i przyszłą niedolą.

Inni szukali sroższego jeszcze roztargnienia. Wrzały nieustannie spory, tak pomiędzy ludem, jak zarówno między urzędnikami miasta. Spory tak rozliczne i gwałtowne, że żadne pióro niezdolne ich skreślić. Tu naczelnik wojska zanosił skargę do władzy, że obóz nie ma chleba od sześciu dni; obwiniony urzędnik zwalał winę na dostawcę, ten zaś tłomaczył się brakiem koni i bydląt, które mu padły w drodze. Poborcy rzymscy wywłaszczali ziemskich właścicieli, gdy ci nie mogli dostarczyć zboża na potrzebę rzymskiego ludu. Goniec za gońcem przynosił z Kartaginy coraz gwałtowniejsze pogróżki a lubo szarańcza spustoszyła pola, stodoły i spichlerze, trzeba było wysyłać ziarna ostatek. Chłostą wyciskano daniny z rąk zgłodniałego ludy a biedni Afrykanie jakkolwiek nieświadomi łaciny pojmowali przecie, że śmierć czeka ich w razie oporu.

Lecz ci ludzie uporczywego i na pół dzikiego charakteru, gardzili tą pogróżką odpowiadając, że śmierć o tyle jest karą, o ile życie jest dobrodziejstwem.

Dzierżawca jednego z dekurjonów, dzierżawiący ziemię w okolicy, tak wystawiał niedolę swoją przed pełnomocnikiem dziedzica. Co z nami będzie? mówił, połowa niewolników wymarła, ci którzy ocaleli, słabi i wycięńczeni z sił, nie mogą w żaden sposób pracować. Teraz właśnie czas na strzyżkę owiec, trudno mi zaręczyć czy oddadzą daninę z wełny; pszczoły mają się wkrótce roić, należałoby podebrać miód i oddzielić wosk od patoki. Mamy zbiarać kwiat rumianku i nalewać go oliwą. Mamy obrywać grona z dzikiego wi-

na, przecierać je przez przetak i zaprawiać miodem. Mamy sadzić kapustę, siać kolendrę na zimę, robić ser, suszyć na słońcu cegłę i dachówkę, a nie mamy rąk do roboty. Biedny dzierżawca nic temu nie winien, gniew bogów przyczyną wszystkiego. Intendent farbiarni cesarskiéj żalił się zarówno nie widząc nigdzie ani śladu owadków wydających farbę, szarańcza bowiem pożarła te owady a raczéj rośliny potrzebne do ich życia. Gdy wkoło brzmią skargi i zażalenia, na miejskiém forum coraz to większe powstaje zamięszanie: „Chleba, chleba! wołają niespokojne i zgłodniałe tłumy. Chleba — wina na Cererę i Bachusa! woła młody legionista wychodząc ze sklepu na półpijany po całonocnéj biesiadzie. Rozsuńcie się, zróbcie nam miejsce wy nędzni Afrykanie ulepieni z błota, podobniejsi do małpy niż do człowieka, wasza obrzydliwa postać razi nam oczy i porusza wnętrzności.

Tłum nie postąpił ani kroku, spoglądał tylko ponurém okiem na puklerz legionisty, jedyną część rycerskiego przyboru, jaki zachował po biesiadzie. Powierzchnia tarczy biała z srebrną gałką w pośrodku, otoczona potrójném kołem purpurowém, świadczyła że należy do trzeciéj legii włoskiéj zwanéj *Tertiani* konsystującéj w Afryce, od czasów Augusta. „Nikczemni mięszańce z podwójnym językiem — ciągnął daléj, po co wam żyć na świecie, chyba po to aby uprawiać ziemię dla Rzymian panów waszych, *Romanos Dominos rerum.* [1])

[1]) Rzymianie władcy świata.

— Dziś skończyła się praca w polu, a więc służba wasza nie potrzebna, precz ztąd, padajcie sobie jak muchy, topcie się w wodzie, bo i cóż nam po was! Nie włóczcie próżno trupów waszych przed oczyma obywateli rzymskich, tych kwiatów ludzkiego rodzaju. Wy nie ludzie, ale małpy wyrodzone, dlatego to zaraza czepia się was. Krew inaczéj wre i kipi nam w żyłach, jakby świeże mleko w kryształowéj czarze, pod tém gorącém niebem, wino zbytecznie ją zapala a jednak wychylę pełny puhar na cześć wielkiéj Romy, albowiem jak mówi stary Horacy: *Nunc est bibendum.* [1]) A więc precz rozstąpcie się.

Tłum złożony po większéj części z wieśniaków i ludu nie rozumiał łaciny: wszyscy jednak pojęli o co idzie, gdy żołnierz uderzył pięścią w twarz jednego z nich, który zastąpił mu drogę, a ten go sztyletem. Lud rzucił się tłumnie na napastnika, on zaś nasrożył brew, wystawił obie pięści, skoczył w bok, a oswobodziwszy się z pod nacisku, głośnym okrzykiem dał hasło towarzyszom rozpusty. Kilku z nich wybiegło z szynków; lud sypnął na nich gradem kamieni, i padliby niewątpliwie ofiarą, gdyby nie uciekli w cwał do świątyni Eskulapa na Forum. Tłum pobiegł za nimi, kapłani usiłowali zamknąć podwoje przybytku, walka powstała sroga, bunt wybuchnął w całéj okropności.

---

[1]) Teraz trzeba pić.

Instynkt zachowawczy, pierwszém jest prawem człowieka; kapłan Eskulapa drżąc o bezpieczeństwo pysznych gmachów, pewien że zbuntowany tłum żąda tylko chleba, wystąpił naprzód, zgromił go za bezbożność i przedstawił, jak nierozsądnie było szukać pożywienia w progach świątyni, gdy tymczasem po drugiéj stronie Forum jest dostatek chleba w pierwszych piekarniach miejskich.

Dość jednego słowa, aby wprawić w ruch rozhukane tłumy. Wrzaskliwa zgraja zwróciła się nagle w stronę wskazaną, gdzie był rzeczywiście ogromny skład ziarna i wszelkiego rodzaju żywności. Sklep wprawdzie nie był w téj chwili dobrze zaopatrzony, piekarz bowiem jako człowiek oględny, nie chciał zbyteczną wystawnością rozłakomiać głodnego pospólstwa. Napastnicy jednak nie dali się oszukać; jeden z nich zawołał na głos, że kupiec w własnym interesie usunął zboże z targu i zapełnił niém całe składy. Na te słowa tłumy obległy dom piekarza, porozwalano piece, porąbano młyny, rozszarpano wszelkie zapasy; piekarz ledwie że uciekł z życiem porzuciwszy całe mienie na łup rozpasanéj tłuszczy. Uzuchwalony tém pierwszém powodzeniem tłum, ruszył na nowe wyprawy.

Wszakże dotąd wzburzone pospólstwo nie miało stałego planu działania. Kilku z nich szukając więcéj zboża w składzie piekarskim, wpadło do stajni obok domu, znalazłszy tam osła obracającego młyńskie koło odprzęgli go i wyprowadzili na ulicę. Było to piękne bydlę, żywe świadectwo kwitnącego handlu pie-

karza. Osły są w ogóle piękniejsze w Afryce niżeli w krajach północnych, lecz ten odznaczał się między afrykańskiemi. Jeden z przewódzców siadł nań, a otoczony orszakiem pierwszych, jak błędny rycerz puścił się na przygody. Naprzód objechał w koło Forum, zwołując lud nędzny i schorzały, nowe zgraje ulicz-ników, kobiet pijanych, niewolników chłopstwa, to przez ciekawość, to z próżnowania, to znów w nadziei łupu powlekło się za nim. W miarę jak postępował coraz daléj, w miarę jak wieść o buncie biegła w jego ślady, ci wszyscy którzy mieli jaką posadę lub stanowisko, tak urzędnicy, jak kupcy, tak dzierżawcy, jak domowi niewolnicy wielkich rodzin, wszyscy mówię usuwali się z widowni. Afryka! — Afryka! był to jedyny okrzyk zbuntowanego tłumu — otóż jak mówi starożytny pisarz, taki okrzyk, w takiéj okolicy zapowiedział, że lud przedsiębierze plan nowy i nie cofnie się przed jego wykonaniem.

Nagle podczas pochodu daje się słyszeć ryk straszny i przeraźliwy. Dobiega on z baraku cesarskiego sługi, który bezustannie z Afryki wysyła dzikie zwierzęta, przeznaczone do rzymskich amfiteatrów. Niedawno właśnie zdobył przepysznego lwa, który w téj chwili siedzi majestatycznie w klatce i pogląda na lud przez żelazne kraty. Lud wstrzymuje się i przypatruje nawzajem dzielnemu królowi puszczy, którego wspaniała postać góruje dziwnie nad ludzkiém znikczemnioném plemieniem, podczas gdy zgraja ciśnie się zewsząd i popycha, głos przenikliwy daje się słyszeć w tłumie: „Chrześcijanie na pożarcie lwom — Chrześ-

cijanie na pożarcie lwom.“ Głuche milczenie nastąpiło po tych słowach: „zdało się, że srogi okrzyk zaparł oddech w piersi wzburzonego ludu, chwila upłynęła a po tém tenże sam głos powtórzył: „Chrześcijanie na pożarcie lwom!,“ tysiące głosów jakby złowrogie echo odbrzmiało na przestrzeni Forum tém okropném hasłem. Cel został wreszcie wytknięty, wszystkie myśli skierowały się do jednego punktu; lud znalazł w końcu niewątpliwą przyczynę swych nieszczęść, przedmiot swéj nienawiści i zemsty. „Chrześcijanie na pożarcie lwom!“ powtórzyło całe miasto, powtórzyły okoliczne włości, powtórzył wszystek lud i kapłani. Z tym okrzykiem połączono inne: Niech żyje Cesarz! niech żyje Decjusz! On dawno czynić to rozkazał. Oto edykt, czemuż go nie wykonano? śmierć urzędnikom, śmierć chrześcijanom; śmierć chrześcijanom! Niech żyje wielki Jowisz! precz z bezbożnikami!

Ledwie że z miejsca ruszyli, nagle spostrzegli osła: „Oto bóg chrześcijan — zawołali, patrzcie, oto bóg chrześcijan! Zrazu chcieli oddać biedne bydle na pożarcie lwu lub téż zabić go na ofiarę bogom; po namyśle jednak postanowili zmusić chrześcijan do oddania mu czci jako bogu swemu; i w tym celu przystroiwszy go dziwacznie w błyskotki i dzwonki, pędzili go na czele orszaku.

XVII.

Chrześcianie wydani Lwom na pożarcie.

Gdy tłum obiegłszy rynek powrócił przed dom nieszczęśliwego piekarza, zwiększył się do tego stopnia, że nie mogąc się pomieścić w Forum, zaległ okoliczne ulice. Wkrótce jednak przyszło na myśl przewódzcom, że wątpliwą jest rzeczą, czy są chrześcijanie w Sicce, a w razie gdyby byli, nie łatwo może przyjdzie wynaleźć ich kryjówki. Słuszna to była uwaga, to też kilka godzin zbiegło im na wahaniu i namyśle. Ale trudności podnieciły wściekłość zapamiętałéj tłuszczy. Nakoniec po długich sporach, naradach i przekleństwach, po prawdziwie piekielnéj wrzawie, tłumy rozbiegły się wśród krętych ulic miasta, i pędziły bez celu oglądając się w lewo i prawo w nadziei krwawego łupu. Gwałtownym ruchem chciały poskromić rozhukane namiętności nim pierwszy lepszy wypadek otworzy im bieg swobodny.

Był to okropny dzień dla spokojnych mieszkańców miasta, stokroć okropniejszy niżeli to wypowiedzieć można, bo nie sama tylko nienawiść podniecała wyuzdane pospólstwo — głód i zaraza jeszcze dodawały mu bodźca. Przerażeni urzędnicy pozamykali się w domach, mały oddział wojsk rzymskich, nie chciał trwonić sił chowając je na własną obronę, a nieszczęśliwi odstępcy, których była dość znaczna liczba zaparłszy się wiary i oddawszy cześć bogom, porozwieszali u drzwi swoich nikczemne godła pogańskie, aby odwrócić burzę, przeciw któréj apostazja nie była dostateczną rękojmią. Za tym przykładem poszli gnostycy i inni sekciarze. Tertulianiści tylko czy to przez dumę czy z zasady, okazali większą odwagę.

Trzebaby na to spiżowego głosu, o jakim mówi Homer, lub też czarodziejskiego pióra Walterskota, aby policzyć i skreślić rozliczne postacie i grupy składające ów nikczemny tłum. W miarę pochodu wzrastał on i nabierał dziwnych odcieni, których zrazu mieć nie mógł, ograniczając się w szczuplejszym obrębie w Forum. Zamknięto główne przybytki religijne, ich naczelnicy nie chcieli łączyć się z pospólstwem. Kapłani Jowisza, Merkurego, Jeniuszu Romy, Hierofanty, Izydy, Minerwy, Junony i Eskulapa, patrzyli na to powstanie ludu z trwogą i obrzydzeniem; lud też nie ku nim zwracał swoje hołdy. Wielka świątynia Astarty, gniazdo bezpraw i rozpusty nie ustępujące podziemnym sklepieniom Forum, odwieczne obrzędy dziwaczne i tajemnicze sięgające czasów punickich, nowe

zabobony przeniesione z Syryi i Frygii, oto były przedmioty godne czci, znikczemnionych tłumów. Przedstawiciele owych ognisk zepsucia i rozpusty, łączyli się z tą bezecną zgrają i nadawali jéj dziwną cechę okrucieństwa. Motłoch próżniaczy i zgłodniały, nikczemni żebracy, którzy karmili się resztkami ofiar, kuglarze i skoczkowie uliczni, śpiewacy i lutniści karczemni, rozpustnicy różnego wieku, dzieci półnagie i pijane, murzyni rodem z Atlasu, srodzy równie jak ochydni dla oka, dozorcy dzikich zwierząt z amfiteatru, gromady okolicznych wieśniaków, których bojaźń zarazy doprowadziła do szalu, wszystko to łączyło się razem pod hasłem wspolnéj nienawiści. Tu niesiono pogańskie godła świątyni punickiéj, a zagorzalcy w łachmanach strawieni głodem i rozpustą, niby widma grobowe, wyprawiali w koło jakieś dziwaczne pląsy. Tam bachantki śpiewały chórem sprosne i wrzaskliwe pieśni swoje. Za niemi postępował wielki kapłan Saturna punickiego pożerca dzieci, rodzaj Molocha spragniony krwi chrześcijańskiéj. Równie jak podrzędni jego towarzysze miał na sobie szatę barwy ognistéj odpowiednią krwawym obrzędom. Była także garstka fanatycznych wyznawców Cybeli czyli bogini syryjskiéj, przybranych w różnobarwne wstęgi i szmaty jedwabne; twarze mieli pomalowane, włosy długie spadały im na ramiona z pod okrągłego turbana. Szli na samym czele orszaku, godni w każdym względzie tego przodownictwa; zobaczywszy biednego osła piekarskiego wsadzili nań swoją

boginię. Niektórzy z nich przygrywali na lutni, drudzy bili w cymbały, inni wyprawiali pląsy z przeraźliwym okrzykiem, podrzucając głowę konwulsyjnie, inni nakoniec biczowali się sami.

Taki obraz przedstawiała ta tłuszcza, przebiegająca kręte ulice miejskie. Wśród bezustannéj wrzawy połączonych głosów dawał się słyszeć co chwila donośny okrzyk, któremu przywtarzała chórem cała rzesza: Chrześcijanie na pożarcie lwom! Chrześcijanie na pożarcie lwom!

Żaden chrześcijanin nie pojawiał się jednak; wściekłość szaleńców nie miała na kim wywrzeć się z całą siłą, brakło jéj godnego przedmiotu.

Nagle ktoś wspomniał starą chrześcijańską kapliczkę i cały tłum podążył ku niéj co siły. Oddawna już budynek ten poświęcony niegdyś pobożnym modłom, zmienił zupełne przeznaczenie; w téj chwili obrócono go na skład beczek i kadzi. Nikczemny zakrystjanin, który od wielu lat porzucił obrządki prawdziwéj wiary, mieszkał jeszcze przy kaplicy, jako stróż bednarskiego składu. — Zbuntowane pospólstwo wynalazło go, wywlekło na ulicę i stawiło przed osłem, na którego grzbiecie przytwierdzony był posąg bogini i wymagano aby jéj oddał cześć boską. Nikczemnik uległ przemocy, ukorzył się przed osłem, uczcił boginię, uczcił jeniusz Cezara, ale prześladowcy pragnęli krwi ludzkiéj i to niezwłocznie. Nim odstępca zdążył

uczynić zadosyć wymaganiom, tłum stratował go nogami i odesłał po zapłatę do piekieł.

Drugie morderstwo popełniono na Tertulianiście, który stał we drzwiach sklepu naznaczonego znakiem krzyża. Gdy tłum zbliżał się ku niemu, człowiek ten wystąpił spokojnie, strącił z osła posąg bogini, a pogruchotane szczątki rzucił w oczy tłumom. Lud stał chwilę w osłupieniu, aż w końcu wybuchnął wściekłym gniewem. Kobiety rzuciły się na nieszczęśliwego zagorzalca, poszarpały go paznogciami i zębami, powaliły na ziemię zanurzonego w krwi potokach.

W wyższéj i bogatszéj części miasta, dokąd tłumy zbliżały się, właśnie mieszkała wdowa po Duumwirze, który za życia wyznawał wiarę chrześcijańską. Czcigodna ta matrona była zarówno chrześcijanką, wpływy jednak młodych przyjaciół ochroniły ją dotąd od prześladowania. Żyła usunięta od świata, zajmując się wyłącznie wychowaniem dzieci i kształcąc je o ile możność pozwalała w zasadach prawdziwéj religii. Oddalała je od wszelkich złych wpływów, od wszelkich niebezpiecznych towarzystw, otaczając je cnotliwymi niewolnikami i ucząc rzeczy potrzebnych do zbawienia. Wszystkie były ochrzczone; niektóre z nich w braku księdza, matka sama własną ochrzciła ręką, a stósownie do wieku, miały bowiem od siedmiu do trzynastu lat, wszystkie pięcioro dziatek postępowało coraz daléj ścieszkami prawdy i światła. Przed kilku laty mąż jéj będąc prezydentem trybunału na Forum nara-

ził się jednemu przestępcy i ściągnął śmiertelną nienawiść przeciw sobie.

Chwila zemsty nadeszła, przestępca korzystając z pory odkrył nikczemnym towarzyszom mieszkanie chrześcijańskiéj rodziny, nie mógł im się lepiéj przysłużyć. Rozhukana zgraja napadła dom wdowy, mimo jéj łez i błagań wydarto jéj biedne dzieci, a gdy najmłodsze objęło się rękoma nie chcąc żadną siłą odczepić się od niéj, nieszczęśliwa matka padła bez życia u nóg nikczemnych oprawców. Pięcioro niewinnych dziatek prowadzono w tryumfie, była to największa zdobycz dnia tego! długo radzono nad ich losem, nakoniec postanowiono oddać dziewczęta bogini Astarte — chłopców zaś obrzydłym czcicielom Cybeli.

Zemsta nad chrześcijanami stała się głównym hasłem buntu; ale rozpasana tłuszcza liczyła nie mniéj na rabunek a w tym względzie chrześcijanie nie mogli nasycić ich chciwości. Na początek zburzono sklep piekarza, teraz zaś motłoch wdarł się do arystokratycznéj części miasta, zawistném okiem poglądając na mieszkania bogaczów. I niebawem poczęto krzyczeć: Chleba! Chleba! miotając przytém srogie pogróżki na chrześcian. Przewódzcy kołatali na gwałt w zamknięte podwoje pałaców i wdzierali się przez mury otaczające szerokie dziedzińce. Lud rozjątrzony głodem i pragnieniem podzielił się na bandy i domagał groźno pożywienia, rzucając się na wszystko, pochłaniając bez

wyboru chleb, wino i owoce. Była to nowego rodzaju szarańcza, nie mniéj groźna od pierwszéj.

Domy poborców padły naprzód łupem, chciwi grabieży niewolnicy domowi, zamiast bronić swych panów, łączyli się z ludem i wywierali przeciw nim długo tajoną nienawiść. Między innemi oblężono dom jednego z członków kuryi [1]), który był równie kapłanem Jowisza.

Był to człowiek zamożny i powszechnie lubiony, nie prześladował nikogo, nie chcąc sam narażonym być na prześladowanie. Tolerował chrześcijan, miał nawet jednego z nich pomiędzy niewolnikami. Onym chrześcijaninem był Grek, biegły w sztuce kuchennéj za co posiadał względy pana swego, który nie oddałby go za żadne pieniądze. Życie jednak przekładał nad dobry obiad, a dla ocalenia okrętu nowy ten Jonasz miał być w morze wrzucony. Towarzysze z pośpiechem wypchnęli na ulicę nieszczęśliwego chrześcijanina i zamknęli drzwi za nim. Człowiek ten w średnim wieku poważnego oblicza, spokojném okiem patrzał na rozhukaną tłuszczę, która jak mrowisko obległa go w koło. I jakaż byłaby przyszłość jego, gdyby dłużéj trawił dni w służbie ziemskiego pana? Miałby dostatkiem jadła i napoju, dopóki w pierwotnéj krzepkości i sile

---

[1]) Kurje w organizacyi miast municypalnych były to stowarzyszenia obywateli poza obrębem uprzywilejowanéj klasy, posiadających po dwadzieścia pięć morgów ziemi.

byłby zdolnym do posług; chłosty i batogi otrzymałby w zapłatę za pierwsze przewinienie, a nakoniec w starości dostałby chleb łaskawy jak koń zużyty w boju. Dziś czegóż spodziewać się może? Oto za bolesną lecz przelotną chwilę skonu otrzyma palmę męczennika i wieczne ubłogosławienie przed obliczem Tego, któremu poświęci swój żywot: „Na pożarcie lwu!“ zabrzmiały głosy w tłumie: „Niech się ukorzy przed osłem — lub ze lwem stoczy walkę!“ I przywleczono go przed osła, rozkazując by mu czołem uderzył. Nieszczęśliwy podniósł oczy ku niebu, przeżegnał się krzyżem świętym, wyznał Pana swego, a motłoch okrutniejszy od lwa z amfiteatru, rozszarpał go na części.

Nastąpiła chwila spoczynku, lecz po niéj groźniejsza stokroć wybuchnęła burza. Nie każda rodzina mogła ofiarą chrześcijańskiego niewolnika okupić się ludowi. Rozpoczęły się srogie gwałty i łupieztwa; obywatele wysłali po zbrojną pomoc do Kapitolu i obozu. Ale Rzymianie odprawili gońców, mówiąc, że dość mają do czynienia z obroną biór i gmachów rządowych. Radzili wszakże, aby pod jakimbądź pozorem wyprawić za miasto rozhukaną tłuszczę; tymczasem magistrat mógłby obmyśleć stanowcze środki, a zamknąwszy bramy miasta zmusić buntowników do układu. Już nowe oznaki wściekłości objawiać się poczęły w tłumie, gdy głos jakiś zawołał: Agelius chrześcijanin! Agelius czarownik! Agelius na pożarcie lwom! Daléj do domu Ageliusza! daléj za południowo-zachodnią bramę! Dziki wrzask odpowiedział chórem na te słowa: Za

danym popędem lud jak rozhukana fala morska rzucił się gwałtownie ku przedmieściu i przekroczył bramy. Wieszcze słowa Juby spełnią się niebawem, szarańcza sroższą klęską spadnie na dom brata, niźli edykt cesarski, niźli magistrat miasta. Zachód słońca nie wstrzyma groźnéj burzy.

XVIII.

Ojciec i Syn.

W krajobrazie, który rozważaliśmy z taką przyjemnością w około chatki Ageliusza, kiedyśmy zaczynali naszą powieść zupełna zaszła zmiana. O! jakże smutno jest przypatrywać się zniszczeniu, które zastąpiło miejsce najpiękniejszych nadziei! nie chcemy też długo zatrzymywać się nad tym żałośnym przedmiotem. Na niebie równie jak wtenczas, nie ma żadnéj chmury, słońce postępuje w swoim milczącym biegu jak gdyby mu chodziło tylko o dojrzałość ziarn i owoców przeznaczonych dla człowieka, ale światło jego promieni stało się bezużyteczne, ziarna i owoce zniknęły i ludzi już nie ma, którzyby je zbierali i spożywali. Straszny cień zaległ na pięknym krajobrazie i zmienił jego postać. Dla bacznego oka zdawało się jak gdyby ogień spalił całą powierzchnię objętą tym cieniem i pozbawił ziemię jéj naturalnego stroju; nic nie pozostało, ani jedna róża, ani jeden gwoździk, ani jedna pomarańcza

ani najmniejszy kwiat pomarańczowy, ani gałązka oliwna, ani jedno grono winne, żadne proste ziele nawet; ogrody, łąki, winnice, sady, wszystko to zamiast błyszczeć jak dawniéj pięknością kolorów, przedstawiało tylko jednę ciemną barwę popiołów; tu i owdzie wznosiły się dymy ze stosów szczątek palących się roślin zgniłych i zatrutych, z któremi zmięszane były massy zdechłéj szarańczy oraz kości zwierząt i ludzi, którzy padli ofiarą morowéj zarazy. Najstraszniejsze najście hord barbarzyńskich Wandalów lub Saracenów, które w przyszłości miały niszczyć te okolice, nie mogły straszniejszego zrządzić spustoszenia.

Niewolnicy znanego nam folwarku Wariusza zajmowali się smutnie nową pracą, to jest oczyszczali kląby, winnice i pola tych zeschłych i pogniłych liści i gałęzi, ktore tak piękną na wiosnę jaśniały nadzieją. Był to właśnie ów ranek pełen wypadków, których bieg opisaliśmy w poprzednich rozdziałach. Agelius kierował robotą pracowników, kiedy nagle przystąpił do niego młody jakiś chłopiec: „jestem przysłany od Jukundusa, rzekł, on potrzebuje ciebie, natychmiast masz pójść ze mną drogą, przez którą cię przeprowadzę; a na dowód że to co mówię jest prawdą, przysyła on ci tę kartkę, życząc wśród tych strasznych klęsk najlepszych darów Bachusa i Cerery. Agelius wziął tablicę [1]) i poniósł ją na drugą stronę drogi gdzie pra-

[1]) Tablice były deseczki z drzewa pokryte lekką warstwą wosku, na któréj starożytni pisali rylcem.

cował Cecyljus w sukniach niewolnika, list zawierał te słowa:

Jukundus do Ageliusza: „Spodziewam się że możesz już chodzić, wątpię żebyś mógł pozostać długo spokojnym w twojéj chatce, mamy tu od rana powstanie przeciw chrześcijanom, w skutek którego mógłbyś być i ty poszukiwanym. Jeżeli więc nie chcesz widzieć Styxu lub Tartaru, idź gdzie to dziecko cię zaprowadzi nie pytając o nic.“—

Agelius pokazał kartkę księdzu. Nie jesteśmy tu już bezpieczni mój ojcze, rzekł, gdzież się udamy, pójdźmy razem, czy możesz mię zaprowadzić do Kartaginy?

— W Kartaginie nie jest bezpieczniéj jak w Sicce, odpowiedział Cecyljus, tu jesteśmy w środku kraju i mamy przed sobą wiele dróg, przez które możemy uciekać, kiedy przeciwnie tam mielibyśmy tylko morze przed sobą; przytém w Kartaginie znany jestem od wszystkich, a tu nie tylko że mię nikt nie zna, ale zarazem mogę jeszcze wiedzieć, co się dzieje w Prokonsulacie i w Numidyi?

— Cóż jednak zrobimy? zapytał Agelius? tu nam pozostać niepodobna, ty zaś mój Ojcze, nie możesz się odważyć iść do miasta, a przecież trzeba nam się gdzieś udać, ale gdzie?

Ksiądz zastanowił się na chwilkę, a potém rzekł: trzeba nam się rozdzielić.

Łzy zalały oczy Ageliusza.

— Chociaż tu jestem obcym, mówił daléj Cecyljus, znam lepiéj okolice Sikki niż ty, który się tu urodziłeś. W północnéj stronie miasta jest sławne schronienie dla chrześcijan i wiem z pewnością, że wielu z nich skryło się tam w téj chwili unikając przed wściekłością nieprzyjaciela, pospieszą tam zapewne i nasi bracia z Cyrthy i Kuruby, jedyna tylko pozostaje trudność jak się tam dostać, nie przechodząc Sikki.

— Pójdźmy razem, rzekł Agelius.

Cecyljus zdawał się być zmięszany i zanurzony w myślach, ale wkrótce wracając do przytomności rzekł stanowczo: Nie, trzeba się rozdzielić na czas niedługi; nie wątpię, że stryj twój będzie miał nad tobą opiekę. On ma tak silne wpływy, im bardziéj będziemy oddaleni od siebie tém więcéj dla nas bezpieczeństwa, ale wkrótce połączymy się, przepowiadam ci to. Idź więc za tym małym posłańcem, ja pójdę do miejsca, o którém ci mówię.

— O mój ojcze, rzekł młodzieniec, jakże się tam dostaniesz, boję się o Ciebie.

— Nie lękaj się niczego, odpowiedział Cecyljus, bądź spokojny, powtarzam ci, jest to czas próby, ale godzina moja jeszcze nie nadeszła. Kilka lat tylko zostaje mi do życia, ty zaś masz ich daleko więcéj przed sobą. Bóg mi przyjdzie na pomoc, chociaż nie wiem w jaki sposób. Idź Ageliuszu, zostaw mię mojéj własnéj pieczy.

— O mój ojcze! zawołał ten ostatni, moja jedyna na tym świecie podporo, którą mi Bóg zesłał w największéj potrzebie; ojcze mój, któremu winienem wszystko, trzebaż cię koniecznie porzucić! Człowiek świecki — mamże opuścić księdza — młodzieniec mamże opuścić starca! Wprawdzie ja to jestem bez opieki, ciebie otaczają aniołowie, a ja jestem jeden tylko sierota; daj mi przynajmniéj twoje błogosławieństwo, aby złe nie wzięło góry nademną.

— Nie klękaj, rzekł ksiądz, zwróciłbyś bowiem uwagę otaczających nas, powiem ci raczéj gdzie będziesz mógł mię znaleźć. Tu następujące dał mu objaśnienie: Idź, mówił mu, drogą ku Tibursikombrze aż do trzeciego słupa milowego, potém uczynisz tysiąc kroków, poczém zmówiwszy siedm Ojcze nasz idąc, znajdziesz na prawéj stronie swéj drogi człowieka, który ci da dalsze objaśnienie. Idź, niech cię Bóg wspiera, nie będziemy długo rozdzieleni — i dał mu swoje błogosławieństwo.

— Ten stary bardzo śmiało się z tobą obchodzi, rzekł młodociany posłaniec, za którym szedł Agelius, czy on należy do twoich niewolników?

— Zkąd ci prawo czynić mi tak zuchwałe pytanie? odrzekł Agelius.

— Mówią, że chrześcijanie sprowadzili szarańczę przez swoje czasy, rzekł Firmius, takie bowiem było imie posłańca, i z tego powodu jest okropny krzyk w Forum, mówią powszechnie, że i ty jesteś chrześcijaninem.

— Bo lud twój nie ma nic lepszego do roboty, jak trudnić się sprawami bliźniego.

— Albo raczéj jesteś tak łagodnym, odpowiedział Firmius, kto inny bowiem na twojém miejscu byłby mię uderzył już za to, ale wy jesteście cierpliwi i znosicie obelgi z poddaniem. Arnobius mówi, że twój ojciec był chrześcijaninem.

— W naszych czasach syn niekoniecznie jest takiéj religii jak ojciec.

— To prawda, odpowiedział Firmius, ale chrześcijanie pochodzą z Egiptu, a tam równie jak wszelkie zajęcie jest dziedzicznem, jak syn żołnierza jest zawsze żołnierzem, tak zapewne i syn chrześcijanina jest chrześcijaninem.

— Chrześcijanie, o ile wiem, rzekł Agelius, nie należą wyłącznie do żadnego narodu lub kraju, wyznając religię, która całą ludzkość uważa za jednę wielką rodzinę dążącą do nieba.

— Chrześcijanie, rzekł młodzieniec, nigdyby byli nie wznieśli wielkiego państwa Rzymskiego, Cezar, Marjusz, Markus, Brutus, Kamil, Cyceron, Sylla, Lukullus, Scypion, nigdy nie byliby chrześcijanami. Arnobiusz mówi, że to zbiór ludzi podłych, którzy się nie śmieją ukazać publicznie.

— A ty widzę chciałbyś być bohaterem, rzekł Agelius.

— Ja będę adwokatem, odpowiedział Firmius, lubiłbym być tak wielkim mowcą jak Cyceron, żeby ludzie zgromadzali się dla słuchania mnie.

Szli ciągle wzdłuż wału, który oddzielał folwark Waryusza od folwarku jego sąsiada, kiedy nagle Firmius, który poprzedzał Ageliusza, wszedł w gaj rozciągający się aż do wąwozu zakończającego pagórek, który dotykał Sikki. Potém szli ścieszkami ubocznemi, aż nakoniec stanęli przed murami miasta. Prowadzisz mię tam gdzie nie ma wejścia, rzekł Agelius. — Jukundus polecił mi sprowadzić cię drogą skrytą, odpowiedziało dziecko — śmiejąc się, ty wiesz lepiéj odemnie dla czego; ta droga dobrze mi znajoma.

W istocie w murze był mały otwór, a cegły i kamienie leżały tak luźnie, iż można było je wyjąć; była to widocznie dróżka tajemna, jaką zna często młodzież szkolna. — Przeszedłszy to wejście, Agelius ujrzał się w ogrodzie, albo raczéj w małém i zaniedbaném ogrodzeniu. Milczenie panowało w około jak gdyby wszyscy mieszkańcy tego miejsca opuścili go, ale zdala słychać było wielką wrzawę pokazującą, że coś nadzwyczajnego dzieje się w mieście. Przewodnik rozkazał Ageliuszowi, aby szedł jak najprędzéj za nim nie zwracając uwagi niczyjéj — i prowadził go tak przez rozmaite małe uliczki, aż znaleźli się w obec zbuntowanego ludu. W téj chwili właśnie kończył się napad na sklep piekarza, zdawało się iż krócéj i bezpieczniéj będzie przejść Forum niż spotykać się z ludem po ulicach. I tak téż uczynił Firmius, szedł ciągle przed Ageliuszem i kiedy uwaga ludu zwrócona była na inne miejsce, oni tymczasem szczęśliwie przebyli Forum, potém szli znów równie ostrożnie jak

pierwéj, i nakoniec stanęli u drzwi tylnych domu Jukundusa.

— Przypomnij mnie stryjowi twojemu, rzekł Firmius, już skończyłem jego polecenie, musi on pamiętać o mnie, widzieliśmy się na uczcie zwanej Augustales [1]) i znikł.

Tymczasem Cecylius rozważał z niespokojnością jaka droga najpewniejszą była dla niego, wiedział iż powinien iść, ale trzeba było czekać ciemności, kiedy drogi publiczne staną się wolne, a cień nocy okryje podróżnych. Do téj chwili pozostawał zamknięty poza Sikką; w górach była jaskinia do któréj chronili się chrześcijanie. Od czasów pierwszego prześladowania w Afryce żadne miejsce niezdawało się tak przyjazne bezpiecznemu zebraniu; żołnierze Krzyża mogli tam kryć się lub wychodzić spokojnie stosownie do tego jak wzmagała się lub zmniejszała wściekłość tych nieprzyjaciół; nie tylko bowiem jaskinia ta znajdowała się w pustyni, do któréj przystęp był trudny i przerażający dla umysłów zabobonnych, które ją za schronienie złych duchów uważały, ale jeszcze dotykała ona miasteczka w pobliżu którego zbiegały się drogi do Hypony i do Kartaginy. Jedna odnoga rzeki Bagradas spławnéj w tém miejscu dozwalała łódkom dosięgnąć lasu, gdzie schronienie było bezpieczne i zkąd udać

[1]) Były to święta ustanowione w Rzymie na cześć Augusta podczas których obchodzono pamiątkę zakończenia wojny przez niego.

się można do Madory, Vakki lub innych miast, od strony zaś południowéj grota ta panowała nad obszerną płaszczyzną rozciągającą się aż do stóp Atlasu. Na odgłos prześladowania wielu Dyakonów i innych duchownych oraz świeckich, ze znakomitych rodzin, zbiegło się do téj jaskini. Nigdzie więc lepiéj Cecylius nie mógł dowiedzieć się o sprawie chrześcijan i żadne miejsce nie ułatwiało mu tak stosunków z dalszemi krajami poza morzem leżącemi. Tam też właśnie dążył on kiedy choroba Ageliusza zatrzymała go w chatce młodzieńca. Słuchając natchnień wewnętrznych chętnie opóźnił swą podróż dla udzielenia mu pomocy równie fizycznéj jak duchownéj.

Ale jakże teraz dostać się do tego miejsca? Droga prowadziła przez Sikkę, lecz w okolicznościach obecnych niepodobna ją było przebiegać, musiał więc iść wąwozem, który się rozciągał z téj strony miasta, a potém zwracając na lewo, przejść szeroką płaszczyznę pola Marsowego, które dotykało Sikki, tam dopiero na prawéj stronie wznosiła się góra z owemi spadzistemi skałami, które opisaliśmy powyżéj, a które otaczały Sikkę od północy. Miał więc przed sobą kilka mil ciężkich i górzystych, po których dopiéro droga staje się łagodną i przystępniejszą dla podróżnego. Zaprawdę było to przedsięwzięcie tém bardziéj trudne iż trzeba było je spełnić wśród ciemności nocy przed brzaskiem jutrzenki, a do tego nie znał wcale miejsca, tylko musiał się kierować podług wskazuwek, które lubo były dokładne, zawsze jednak niedostateczne.

Gdyby jednak zdołał to wykonać przed świtem byłby już bardzo zabezpieczony, pozostawało mu tylko potém iść wzdłuż samotnych gór, a potém wrócić się na drogę Sikki do pewnego miejsca, gdzie wiedział iż chrześcijanie czekali zawsze na swoich ze światłem.

Taki był jego plan, a nie mogąc poddać go pod sąd drugiego, pobożny nasz wyznawca zamknął się w chatce poświęcając ostatnie te godziny, które w niéj miał przepędzić na rozmowie z Bogiem, od którego jedynie oczekiwał ratunku. Modlił się za święty kościół katolicki rozrzucony po całym świecie, a teraz prześladowany prawie powszechnie, za państwo Rzymskie jeszcze nienawrócone, którego potęgi piekielne używały za narzędzie przeciwko wierze, modlił się za Prokonsulat, za Numidją, za Maurytanię, za Afrykę za zgromadzenia chrześcijańskie, które się tam znajdowały, o odwrócenie obecnéj próby i o siłę i wytrwanie dla tych, którzy są na nią wystawieni; modlił się za swych przyjaciół osobistych, za swoich penitentów, za tych których nawrócił, i za swoich nieprzyjaciół; za dzieci, katechumenów i Neofitów, za tych, którzy zbliżali się do kościoła i za tych, którzy go opuścili, lub mieli opuścić, za wszystkich odszczepieńców, aby na Jego łono wrócili; opłakiwał liczne grzechy popełnione dotąd w świecie lub mające się popełnić i przepraszał za nie Boga pokornie. Zaledwie rozpoczął sprawować swoje obowiązki w Kartaginie przed czterema laty, a już tam zwrócił jego uwagę powtórny czyn zgorszenia

który skaził swięty kapłaństwa charakter. A jakiegoż upadku wewnętrznego dowodził ten czyn gorszący, a w ogóle jakież osłabienie wiary, jakie zwątlenie ducha chrześcijańskiego okazywały się w apostazyach tak często kościół ówczesny zasmucających. Modlił się też najgoręciéj, aby zgromadzenie wiernych zostało zbudowane i ustalone przykładem świętych męczenników a przewidując proroczym duchem dwa smutne następstwa, skoro prześladowanie się skończy, raz w zbytniem pobłażaniu, drugi raz w zbytniéj surowości względem tych, którzy się słabemi w wierze okazali, błagał Boga z gorącością odpowiednią darowi przewidzenia jakim był obdarzony, aby wszystkie te rany kościoła mogły być jak najrychléj zagojone. Następnie zwrócił całą swoję uwagę na stosunki ze świętym kościołem rzymskim, którego naczelnik padł świeżo ofiarą męczeństwa. Nie był to wprawdzie wypadek nowy i niespodziewany na stolicy Piotra, gdzie wszyscy następcy księcia apostołów szli jego śladami tak jak on poszedł za śladami króla i wzoru męczenników; co było zasmucającém dla wiernych, to że od pięciu miesięcy stolica ta została opróżnioną; wtenczas myśl jego zwróciła się do Fabiana [1]) ostatniego pasterza, który już przebył tę straszną próbę mającą przynieść tak wielkiéj liczbie chrześcijan życie lub potępienie, i polecił się gorąco modłom ś. męczennika na godzinę, w któréj mu przyj-

[1]) Święty Fabian posłał św. Dyonizyusza i jego towarzyszów opowiadać Ewangelię w Galii.

dzie podobną odbywać walkę. Rozmyślał nad dziełem rozpoczętém przez Fabiana, i błagał o pomoc dla pozostałych jeszcze z siedmiu apostołów, których tenże Papież posłał do Galii, a z których już niektórzy otrzymali koronę męczeńską. Prosił Boga, aby mógł nadejść dzień, w którym nietylko miasta téj pięknéj krainy, ale jeszcze bogate jéj pola i błyszczące pagórki usłyszały głos misyonarza, tak samo modlił się za Brytanią [1]), aby dzieło innego Papieża św. Eleuthera uwieńczone już powodzeniem, rozciągnęło się zarówno ku czterem morzom, kraj ten oblewającym; potém modlił się za sąsiednią wyspę zachodnią jeszcze w cieniach pogaństwa pogrążoną, za niezmierne kraje Germanii i za całe obszary wschodniéj Europy, aby tam także to święte imie, które jedynie może zbawić, zostało przyjęte i uczczone z wiarą chrześcijańską.

---

[1]) Za Anglią już za czasów Apostołów wiara chrześcijańska dostała się do téj wyspy, ale panujące zabobony potłumiły wkrótce jéj czystość, wtedy Bóg, mówi błogosławiony Bede, natchnął myślą jednego księcia uczynienia się Apostołem dając mu tak silną chęć rozszerzenia wiary w téj oddalonéj części świata, że ją nad chwałę korony przeniósł, książę ten imieniem Lucius posłał do Rzymu uroczyste poselstwo prosząc Papieża Eleuthera o gorliwych duchownych, którzyby y nauczali jego poddanych, odprawiali święte tajemnice i udzielali sakramentów św. Papież przyjął to poselstwo z największą radością i posłał wielu duchownych do wielkiéj Brytanii.

Następnie uwaga jego zwróciła się na Rzym i Włochy całe, na męczeństwa, które nastąpiły po męczeństwie św. Fabiana; dwóch Persow [1]) poniosło już koronę męczeństwa w téj stolicy cesarstwa, Maxymiusz również padł ofiarą, a Felix pozostawał w więzieniu w Noli. Azya mniejsza, Syrya, Egipt dostarczyły obficie ofiar prześladowaniu, i wzywając ciągle modlitw chrześcijańskich i świętéj ofiary za tych, którzy jeszcze na niebezpieczeństwo byli wystawieni. Babylas biskup Antiochii téj drugiéj z porządku stolicy episkopalnéj chrześcijańskiéj, poniósł męczeństwo w tém mieście. Tu Cecyljus odwołał się do wstawienia św. Męczennika, gdyż zwolnienie w wierze zaczęło się objawiać w Antiochii grożące najsmutniejszemi następstwami. Biskup Aleksandryi, która stanowiła jakby trzeci podział czyli Patryarchat kościoła św. Dyonizyusza, został wygnany jak również wygnanym był ze swego biskupstwa on sam Cecylius. Posłaniec, który przyniósł mu tę wiadomość z Kartaginy, dowiedział się także w Aleksandryi, że Grzegórz apostoł Pontu, inny uczeń Originesa zmuszony był również uciekać przed prześladowaniem, sam zaś Origines ten pracowity, uczony i gorliwy doktór swego wieku, był właśnie wówczas zajęty zbijaniem pism jednego epikurejczyka nazwiskiem Celsa, a prześladowanie nie zawisło nad głową tego mędrca. Cecyljus modlił się z szczególną gorliwością, aby umysł tak wielki i szczytny zasłoniony został od

[1]) Abdon i Sennen.

fałszywych doktryn, które zagrażały wówczas Antiochii, prosił Pana o oddalenie od niego tych złudzeń niebezpiecznych i zasadzek, któreby go mogły pozbawić świetnego dziedzictwa w niebieskiéj ojczyźnie. Donieśli mu także, iż kilku młodych ludzi z Egiptu uciekając przed gwałtownością prześladowania ukryło się w pustyni wewnątrz kraju. Jeden z nich zwał się Paweł, żyli oni tam w umartwieniu i modlitwie, sposobem tak cudownym odbierali w walkach swoich pomoce i pociechy z nieba tak szczególne, iż od nich można liczyć nową erę w historyi mistycznéj kościoła.

Nakoniec pamięć jego zwróciła się na Ageliusza i na wszystkie te ukryte powody obawy, których ludzie zajęci jedynie zewnętrzną postawą kościoła, nie domyślali się wcale, — modlił się za Ageliusza i za jego rodzinę, za upartego i tak dziwnego usposobienia Jubę, za Jukundusa i za Kalistę. Oby ta Kalista mogła osięgnąć błogosławiony cel... który zdawał się jéj być przeznaczony! Ale drogi Przedwiecznego nie są podobne do dróg naszych i często ci, którzy się nam zdają najbliżsi Jego, są najbardziéj od niego oddaleni. Przenikniony tą prawdą sw. kapłan złożył wszystko w ręce Boga, z błogiem przekonaniem, iż modlitwami swemi przyłożył się ile mógł, do pomyślnego biegu wypadków.

Takie to uwagi zajmowały go przez wiele godzin po zamknięciu się w chatce jak powiedzieliśmy. Klęcząc długo przed krzyżem, w końcu rozsunął tunikę swoją na piersiach i wyjął małe pudełeczko złote, któ-

re miał zawieszone na szyi. W tém pudełeczku starannie zamkniętém znajdował się Swięty nad świętymi, jego Pan i Bóg, ta boska obecność była jego wsparciem i przewodnikiem w trudnych podróżach, jego radością i pociechą w przygnębiających trwogach. I tę całą tajemnicę pogody jego duszy i męztwa, pełnego ufności, postawił (cymboryum) na małym stole, przy którym klęczał, i wkrótce utonął w głębokiem rozpamiętywaniu i serdecznych modłach.

XIX.

Działanie łaski.

Pobożnemu kapłanowi godziny ubiegały rączo na modlitwie i nie wiedział nawet wiele ich przeszło podczas jego świątobliwego zajęcia. — Słońce już miało się ku zachodowi kiedy nagle hałas jakiś u drzwi przerwał jego rozmyślanie; szybko schował święty skarb swój, składając go znów na swojém miejscu i wstał — drzwi się otworzyły a w progu stanęła kobieta.

„Nie ma tu więc Ageliusza, rzekła patrząc na kapłana. Była to młoda osoba, wzrostu wysokiego, pełna gracyi, miała na sobie tunikę bawełnianą żółtą spadającą aż do nóg, spinki w kształtach małych sztyletów utrzymujące jéj ubiór na namionach, które się ukazywały z pod lekkiego płaszcza zarzuconego niedbale, mogły zarazem służyć do obrony w przypadku jakiéj napaści, a postać jéj jakkolwiek pełna wdzięku kobiecego miała zarazem tyle męzkości w sobie, iż można było wierzyć, że potrafi użyć téj broni w po-

trzebie. — Twarz jéj rysów regularnych i pięknéj cery bladą była w téj chwili, ale nad wszystko zajmował w niéj spokój dziwnie wspaniały i majestatyczny. — Jest spokój płynący z niebieskiéj radości, jest spokój nieczułości, jest spokój rozpaczy i jest spokój śmierci, ale inny jeszcze spokój malował się na rysach nieznajoméj, która przerwała samotność Cecyljusza. Był to spokój rzeźby greckiéj, w którym odbijała się dusza pełna cudnych widzeń geniuszu, działająca pod wpływem mocnéj woli; nie dostrzegłbyś tam żadnego śladu bojaźni, lubo skromność nie odstępną była od tego męztwa. — Zachodzące promienie słońca padały na jéj suknie koloru bursztynowego, która jaśniała jakby w promieniach, rzekłbyś, że przybraną jest w ową płomienną zasłonę, którą poganie nakrywali głowy młodéj dziewicy w dzień ślubu, i oczekującéj na przybycie swego narzeczonego — bożka dnia. Spojrzała na Cecyljusza najpierw z zadziwieniem, potém z trwogą, i rzekła: Obawiam się czy nie należysz do ludzi jego wiary, jeżeli tak jest, korzystaj z téj chwili, o świcie mógłbyś się już dostać w ręce nieprzyjaciół uciekaj póki czas.

— Jeżeli ja jestem chrześcijaninem, odpowiedział Cecyljus, czemże jesteś ty, która się zajmujesz naszym losem, czyż dla tego przebyłaś tak długą drogę z Sikki, aby ostrzedz obcego tobie?

Cudzoziemcze! odpowiedziała, gdybyś był widział co ja dziś widziałam, słyszał co ja dziś słyszałam, nie dziwiłbyś się że pragnę uchronić od podobnego losu najnędzniejsze nawet stworzenie na ziemi. Tłum okru-

tny spragniony krwi chrześcijan szerzy w mieście straszne zamięszanie, najmniejsze słowo może go pociągnąć do chaty Ageliusza. Ale jego tu nie ma — gdzież jest? tyle krwawych zbrodni tyle morderstw popełnionych, a ty jeszcze tu pozostajesz!

— Osoba, która tak gorąco zajmuje się losem chrześcijan, odpowiedział kapłan, musi mieć sama ja-jakąś iskrę chrześcijańskiego ognia w sercu.

Kalista usiadła prawie nieprzytomna na ławce przy drzwiach, ale nagle zerwała się wołając: uciekaj, uciekaj, może oni już idą, gdzież on jest?

— Nie lękaj się, rzekł Cecyljus o Ageliusza, on już w bezpiecznem schronieniu, ja zaś potrafię się sam zasłonić, nie mamy potrzeby się spieszyć, usiądź — ale rzekł daléj — lękam się, żecby ci to nie zaszkodziło, gdy cię tu znajdą.

— Oni mnie znajdą, rzekła Kalista, jestem tu dobrze znaną, pracuję dla świątyń, czegóż więc mam się lękać? wszak nie jestem chrześcijanką — i jakby niepojętą siłą przyciągnięta, usiadła napowrót.

— Nie jesteś jeszcze chrześcijanką, chciałaś powiedzieć? rzekł Cecyljus.

— Panie, rzekła, aby przyjąć tę religię, trzeba się w niéj rodzić, jest to bardzo piękna nauka, o ile mogę sądzić z tego, co słyszałam, ale trzeba ją wyssać z mlekiem niejako.

— Gdyby tak było, rzekł Cecyljus, nie byłaby się nigdy przyjęła na świecie.

Kalista milczała na chwilę — to prawda odpowiedziała nakoniec, to też każda nowa religia przyswaja sobie bardzo małą liczbę umysłów, ogarnia je zwolna, podbija, i tak powoli łączą się one pod jéj wpływem, stając się silnemi przez współczucie wzajemne; następnie do ducha nauki zastósowywują formę, któréj znajomość upowszechniona tworzy religię. Potém dzieci wychowują się w wierze ojców i to co było wyznaniem małéj liczby, staje się wkrótce wyznaniem całego ladu, taki jest Judaizm, taką jest religia Zaroastra lub Egipcyan.

— Dowiedz się, rzekł ksiądz, iż w téj chwili właśnie największa liczba chrześcijan Afryki, (gdyż o tych mogę mówić z pewnością) stanowią osoby nawrócone w kwiecie wieku, a wcale nie dzieci chrześcijan; przeciwnie zaś, ci którzy opuścili wiarę i składają ofiary bogom — porodzili się chrześcijanami, to widziałem na moje własne oczy i tak zapewne musi być i gdzie indziéj.

Zdawało się że Kalista dla tego tylko robi zarzuty aby otrzymała odpowiedź — w milczeniu bowiem przyjęła słowa księdza namyślając się nad niemi długo, nakoniec rzekła: ród ludzki złożony jest z rozmaitych klas, z indywiduów rozmaicych usposobień, między któremi tak liczne zachodzą odcienia, jak między odcieniami kolorów dla oka; różowy i niebieski kolor niepodobne są do siebie — tak samo też Mag nie mo-

że się stać Grekiem, ani Grek Celikolą. [1]) Usiłując to uczynić staliby się tylko śmiesznymi.

— Chrześcijanie najsilniéj przekonani i ci właśnie których umysł jest dziś pełen głębokiego pokoju, odrzekł Cecylius, zaświadczyliby ci przeciwnie, iż był czas, w którym nienawidzili chrześcijaństwa i prześladowali jego wyznawców a przynajmniéj gardzili niemi.

— Ja nigdy nie miałam tego usposobienia, rzekła Kalista, od pierwszéj chwili w któréj usłyszałam o religii waszéj nie jestem jéj nieprzyjaciołką, ale nie mogę w nią wierzyć, i mam przekonanie, że nigdy nie byłabym do tego zdolną.

— Cóż widzisz w niéj, w cobyś nie mogła wierzyć, zapytał ksiądz.

— Religia ta zdaje mi się być zbyt piękną, aby mogła być czém innem jak marzeniem, jest to zachwycająca teorya, ale kiedy się zbliżyć do jéj wyznawców przekonywamy się, iż jéj zastósować nie można. — Szczytny pomysł i nic więcej, przepisy jéj są tak piękne, te przynajmniéj które poznałam, iż w zasadzie prawie żadna trudność się nie przedstawia, umysł sądzi, iż mógłby je spełnić bez żadnych usiłowań, ale w praktyce pokazuje się zupełnie inaczéj. Przytém dogmata téj religii są zbyt przerażające, zbyt straszne, ażeby można było w nie wierzyć. One mnie oburzają.

---

[1]) Celikol, nazwę tę dawali żydom w Rzymie przez alluzyą do ich zcci nieba czyli jak mówiono obłoków.

— Jakież to dogmata? zapytał Cecyljus.

— Oto ten naprzykład, odpowiedziała Kalista, o którym mnie nikt przekonać nie zdoła, że ród mój cały; wszyscy przodkowie moi skazani są na wieczne męki.

— Czy nie byłoby lepiéj, żebyśmy się zatrzymali nad czemś bardziéj szczegółowém, bardziéj dotykalném, zapytał poważnie Cecyljus. Jeśli kara taka mogłaby dotknąć jedno indywiduum, wówczas mogłaby dotknąć i kilka i wiele podobnych, czyż mogłabyś n. p. utrzymywać z pewnością, że nigdy nie zstąpisz do Tartaru wiecznego?

Kalista zadrżała mimowolnie z wyrazem smutku na twarzy.

— Wszak widocznie, mówił daléj, łatwiéj nam wyrokować o nas samych jak o innych, a skoro już będziemy mogli stanowczo coś o sobie wyrzec, wówczas pewniejsi daleko będziemy wyrokowania naszego o losie drugich.

— Mniemaszże więc, rzekła tonem spokojnym, że Tartar wieczny przeznaczony mi jest po tém życiu. Jestżeś szczęśliwą, zapytał on nawzajem? —

Kalista nic nie odpowiedziała zrazu, tylko spuściła oczy, a późniéj cichym lecz wyraźnym dodała głosem: Nie! — nastąpiło krótkie milczenie, które znów kapłan przerwał w ten sposób: „może już dawno jesteś nieszczęśliwą, wszak prawda? jakiś ciężar ciśnie twoje serce, a któż wie czy nie będziesz coraz nieszczęśliwszą, czy smutek twój nie powiększy się z la-

tami, a skoro dojdziesz do starości może życie stanie ci się nieznośnem.

Kalista jękła jakby jakiś cielesny ból uczuła.

— To wszystko prawda panie, rzekła, jakimbądź sposobem ty wiesz o tém, ale dla czegóż mi to wyrzucasz, dla czegóż szydzisz niejako ze mnie?

— Boże zachowaj mię od tego, zawołał Cecylius. Posłuchaj daléj dziecko moje, miéj odwagę i śmiéj uważać rzeczy w prawdziwém świetle; z każdym dniem zwiększa się twój ciężar, jest to prawo naszego doczesnego istnienia, jest to coś pewniejszego daleko — jak to twoje przeświadczenie, o którém mówiłaś dopiero, a które nie dozwala ci wierzyć w jeden z naszych dogmatów, téj prawdy nie możesz już tak łatwo odrzucić, bo to fakt widoczny. Tak, ten ciężar, który uciska naszą duszę, to fakt niezaprzeczony naszéj natury, nie możesz go zmienić podług swojéj chęci, i gdybyś mogła żyć dwieście lat na ziemi, prawo to spełniałoby się w tobie coraz ściśléj, aż nakoniec stałabyś się tak nędzną i nieszczęśliwą, że największy twój nieprzyjaciel musiałby się litować nad tobą.

Mówiąc to Cecyljus lubo spoglądał na Kalistę, zdawał się raczéj przemawiać sam do siebie, jakby pogrążony w rozmyślaniu. Dziwna téż między niemi zachodziła sprzeczność: on całkiem wzniesiony ponad to co go otaczało, ona w zupełném zapomnieniu siebie, zatopiona w jego słowach; jak o tém świadczyło badawcze spojrzenie i wstrzymany prawie oddech pełną niepokoju ciekawością.

— Ojcze! rzekła nakoniec niecierpliwie, mówisz sam do siebie jak gdybyś mną pogardzał.

Kapłan spojrzał na nią ze szczerością i słodyczą.

— Kalisto! biedne dziecko, nie wątpij o mojém przywiązaniu, jesteś zawsze obecną w tem sercu i właśnie modliłem się za ciebie, kiedyś tu przybyła. Nie, ja tobą nie gardzę; ale kiedy idzie o rzecz tak ważną jak zbawienie duszy, lubię o tém mówić w obec Boga mojego. Czyniąc tak, mówię razem do ciebie i wraz z tobą, bronię sprawy Jego przed Jego tronem.

Tu brakło mu prawie głosu z mocnego wzruszenia, pohamował się jednak siłą woli, i dodał: mówiłem ci, że gdybyś żyła wiele wieków na ziemi, ciężar który dziś ciśnie twoje serce, stawałby się coraz cięższym; ale tak nie będzie, umrzesz daleko prędzéj; może powiesz mi, iż wtedy wszystko się skończy. Nie myślę jednak żeby, takie było twoje przekonanie, ty wierzysz razem ze mną i ze wszystkiemi ludźmi, że poza grobem jest życie dla nas, i że tam będziemy jeszcze ze sobą, to jest temi samemi istotami chociaż pozbawieni tych pomocy zewnętrznych, tych pociech jakich dziś używamy — będziemy sami z sobą. Mówią że człowiek traci rozum w długiéj samotności; otóż jeżeli po śmierci zozdzieleni ze wszystkiem co nas dziś wspiera i rozrywa, zostaniemy sami, ciężar tłoczący nasze serce przyciśnie je stokroć więcéj; przypuśćmy n. p. że będziesz pragnąć napróżno miłéj rozmowy, że zatęsknisz za poezyą twego narodu, a nie zdołasz słów jéj przypomieć; że zapra-

gniesz muzyki a nie usłyszysz już jéj dźwięku, że trwać będzie ta sama żądza nauki, a nie zdołasz jéj niczém zadowolnić; taż sama potrzeba współczucia, a nikogo nie znajdziesz do kochania. Nie byłżeby to stan okropny?!

Dozwól mi rozwinąć myśl moją. Przypuśćmy jeszcze, iż znajdujesz się jedynie w pośród tych, do których tutaj czułaś wstręt i niechęć; w pośród tych, których zajęć i gustów nigdy podzielać nie mogłaś i przypuśćmy jeszcze jak mówią chrześcijanie, że jest Bóg jeden wszechmocny, którego nie kochałaś, któremu nie służyłaś i nagle ten Bóg ukazany ci jest jako Pan Najwyższy, wszędzie obecny i godny naszych uczuć — czyż wówczas nie byłby to stan jeszcze nieszczęśliwszy? a gdyby on miał trwać wiecznie, czyż i smutek twój niewypowiedziany, nie pozostałby ci na wieki? Uznając więc naprzód, że dusza potrzebuje zawsze przedmiotów zewnętrznych, na którychby się oprzeć mogła, uznając następnie, iż po opuszczeniu tego świata nie możemy mieć tych przedmiotów, a dalej, że w przyszłem życiu ten głód, to pragnienie, to rozdarcie serca, nietylko nie ustają, ale jeszcze rosną coraz bardziéj jakby płomień pożerający, czyż mówię uznając to wszystko, nie możemy sobie wystawić rozumowo nawet wiecznego Tartaru?

— Przyznaję panie, rzekła Kalista, że rozumowanie twoje jest przekonywające, nie niszczy ono jednak mojego wstrętu do dogmatu o którym mówimy; ja

myślę, że jest jeszcze jakaś inna droga rozwiązania naszych niepewności?

A jeżeli z drugiéj strony, mówił Cecyljus jakby nie uważając na jéj odpowiedź jeżeli wszystkie twoje myśli dążą zawsze ku jednemu celowi, jeżeli twoje pragnienia, zamiary, nadzieje, szukają jednego przedmiotu, i tém właśnie swojém szukaniem wskazują, że ten przedmiot istnieje rzeczywiście, a jeźli nieznajdując go nigdzie na ziemi, spotykasz kogoś, który ci mówi, iż jest posłany przez istotę, stanowiącą właśnie ten przedmiot, którego masz przeczucie, a posłany dla tego, ażeby ci dał go poznać, ażeby ci udzielił lekarstwa którego szukasz, i jeżeli jeszcze wszyscy ci, którzy użyli tego lekarstwa poświadczają ci jego skuteczność, czy nie jesteś obowiązaną Kalisto przynajmniéj spojrzeć w stronę, przynajmniéj rozważyć co on mówi i prosić, aby ci dopomógł do uwierzenia w ten najwyższy przedmiot?

— To właśnie mówiła mi często jedna z moich niewolnic, zawołała nagle Kalista i inny jeszcze chrześcijanin. Agelius dał mi to samo do zrozumienia. Jakież to jest to twoje lekarstwo, twój przedmiot i ta miłość twoja? O nauczyciele téj religii, czemuż wszyscy okrywacie się taką tajemnicą, tak jesteście trudni w powierzeniu waszych przekonań!

Cecyljus milczał chwil kilka, zdawało mu się, że szukał odpowiedzi; nakoniec rzekł: „Wszyscy ludzie znajdują się w tém samém usposobieniu jakie spostrzegasz w sobie; nie mamy miłości Tego, który sam tyl-

ko jest niezmienny, kochamy rzeczy, które nie trwają i przechodzą. Dla tego to powodu Ten, którego powinniśmy kochać, postanowił przyciągnąć nas na nowo do siebie, w tym celu przyszedł na ten świat, który jest Jego własnością, stając się jak my człowiekiem, i pod tym kształtem ludzkim wyciąga do nas ręce i wzywa, żebyśmy wrócili do Niego, naszego Twórcy. Oto treść naszéj wiary, oto przedmiot naszéj czci, oto nasza miłość Kalisto.

— Mówisz jak Chioni, odpowiedziała Kalista, z tą tylko różnicą, że ona czuła tylko, a ty jeszcze nauczasz; ona nie mogła mówić o swoim Panu bez słodkiego wzruszenia, Agelius także kiedy wyrzekł jedno słowo o Nim, zaczynał się rumienić.

Pojmuje czytelnik, iż kapłan również z trudnością mógł panować w téj chwili nad swemi uczuciami. Milczeli też oboje; nagle Kalista jak gdyby powtarzając sobie to co słyszała: Przedmiot kochany, rzekła, ale idealny; miłość tak potężna, tak słodka, tak niewinna, tak ogarniająca i wyłączająca wszelką inną, tak trwała, a to wszystko dla kogoś którego nie widzimy nigdy, jakże to dziwne i tajemnicze! rzekłbyś że to te same pojęcia, jakie my grecy robimy sobie o pierwszém i najwyższém pięknie, raz jako wcielone w jaką substancyę, to znów przybraniem w rozliczne formy wyobraźni. Otóż to właśnie czego ja pojąć nie umiem.

— Jeden jest tylko kochanek dusz, rzekł Cecyljus, on kocha każdego z nas jak gdyby nie było nikogo innego do kochania; umarł dla każdego z nas

jak gdyby nie było nikogo więcéj, komuby życie swoje mógł poświęcić; umarł na krzyżu hańbiącym; *Amor meus crucifixus est.* [1]) Miłość, którą On budzi, nie zmienia się, bo to miłość Niezmiennego; ona zaspakaja, bo on jest niewyczerpany, im bardziéj zbliżamy się do Niego tém silniéj ogarnia nas, im dłużéj pozostaje w sercu naszém, tém głębiéj i istotniéj posiadamy Go w sobie; są to zaręczyny trwające całą wieczność, i z tąd to nam przychodzi tak łatwo umrzeć dla naszéj wiary, czego świat pojąć nie może.

Po krótkiéj przerwie znów dodał: Czemu nie chcesz udać się do Niego, czemu nie chcesz opuścić stworzenia dla stwórcy?

Kalista zachowywała zwykle zimną krew, ale w téj chwili nie mogła wytrwać w tém usposobieniu, łzy popłynęły strumieniem.

Niepodobna! zawołała, niepodobna, nie znasz mię mój ojcze. Tu zatrzymała się, i wkrótce znów zaczęła mówić innym już tonem. Nie, nie, los mój niepodobny do twego losu; ja jestem dzieckiem Grecyi i nie mogę mieć innego szczęścia, jak to, które mi daje moja piękna ojczyzna, mój sławny naród, z tém uczuciem mogę być spokojną, dumną nawet; ja powinnam żyć i umierać tam, gdziem się urodziła; jestem drzewem, którego nie można przesadzać. Assy-

---

[1]) Miłość moja ukrzyżowana jest.

ryjczycy, Żydzi, Egipcyanie mają swoję własną tajemniczą doktrynę, rozumieją szczęście swoim sposobem; mój jest zupełnie inny; wzniesienie umysłu, współzawodnictwo intelligencyi, głos i spojrzenia geniuszu, serce bijące zapałem, oto moje istnienie, nie mogę żyć bez tego, co wy chrześcijanie nazywacie grzechem. Zostaw mię, chcę być tém, czém mnie natura uczyniła, nie mogę się zmienić.

Nagła ta zmiana w usposobieniu Kalisty zadziwiła Cecyljusza, ale pomimo przykrego wrażenia, czuł w sobie dziwne współczucie dla zbłąkanéj dziewicy, dla tego odpowiedź jego była pełną wzruszenia.

A ja — rzekł, czyż jestem Żydem, Egipcyaninem lub Assyryjczykiem? Czyż myślisz że od dzieciństwa wierzyłem w to, co teraz stanowi moje życie, moją nadzieję i moją miłość? O gdybyś znała moje postępowanie dawniejsze, czyż ja także nie jestem głownią wyciągniętą z ognia. Miałżebym jaką siłę sam przez się, wszakże to tylko władza, władza wszechmocna, jedynie Mocnego, jedynie miłosiernego, łaska Emanuela zmieniła mię i zwyciężyła: A jeźli to się stało ze mną starcem, czyż nie mogłoby się stać z tobą dzieckiem prawie. Ja dumny i twardy Rzymianin, lubownik rozkoszy, mówca mający pozycyę polityczną, przywyknienia ustalone, dawne przyjaźni i stosunki, które zerwać tak trudno, czyż myślisz, że mógłbym sam przez się zdziałać tę zmianę? Własnemiż to siłami zdołałem znienawidzić to, co kochałem dawniéj, oduczyć się tego, czegom się tak długo uczył, i więcéj jeszcze,

bo zapomnieć czém byłem kiedykolwiek? Ten, który nas stworzył tak różnymi, czyż nie potrafi kiedy zechce uczynić nas podobnymi? Jego to Wszechmocność zmieni cię Kalisto, skoro tylko zechcesz poddać się działaniom Jego potęgi.

Słowa te zrobiły zupełnie nieprzewidziany skutek na dumnym i dziwnie wrażliwym umyśle młodéj greczynki.

— A więc i ty kapłanie rzekła, jesteś tylko człowiekiem jak inni, ułomnym i występnym, jak ja! Podobnych zaprawdę do mnie mogę znaleźć wiele — ale ja chciałam właśnie zupełnie różnego, ja chciałam znaleźć człowieka, któregobym wielbić mogła; w tobie upatrywałam coś szczególnego i nadzwyczajnego, uderzało mnie to połączenie tkliwości, słodyczy i siły tak nowe dla mnie, mówiłam sobie: to przecież jest coś podobnego do bóstwa, coś wyższego od moich bogów ziemskich i zmysłowych, których ja nie szanuję, w których nie wierzę. Ale niestety! widzę, że niema nic lepszego na świecie.

Tu zerwała się nagle i dodała z gwałtownością: Ja myślałam, żeś ty bez grzechu, a ty przyznajesz się do zbrodni; któż mi powie, mówiła daléj drżąc cała od wzruszenia żeś ty wart więcéj jak te podłe hypokryty, ci kapłani Izydy i Mitry, których święcenia inicyacyjne, odrodzenia, białe suknie i wieńce laurowe są tylko narzędziami i osłoną najpotworniejszego zepsucia? Tu głos jéj przerwał krzyk dziki przy-

niesiony z wiatrem, który zdawał się być pomięszaniem wielu głosów w odległości; rozmawiający nie potrzebowali trudzić się na wytłomaczenie, zkąd on pochodzi.

— Ojcze drogi, rzekła Kalista, oto nieprzyjaciel.

XX.

Bóg z nami.

Niepodobna było powątpiewać, ani ociągać się dłużéj.

— Cóż będzie z tobą Kalisto? zapytał Cecyljus, oni są gotowi rozsiekać cię.

— Ojcze! bądź o mnie spokojny — odparła, wszak oni uważają mnie za swoją. Znają mnie dobrze. Niestety! ja nie jestem chrześcijanką, nie odrzekłam się ich obrzędów. Ale ty ojcze nie masz chwili do stracenia.

— Jeszcze oni daleko — rzekł Cecyljus, szczęściem tylko, że wiatr uwiadomił nas o ich przybyciu.

To mówiąc obejrzał się po izdebce i podjął z ławy księgi pisma świętego.

— Oprócz tych ksiąg — dodał — których Agelius zabrać nie mógł, wszystko zresztą nie ma wartości. Posłuchaj mię, dziecię moje. Dam ci dowód wielkiego zaufania, jakibym tylko mógł dać chrześcijance.

Zachowaj te święte pargamina, w nim zawarte są dzieje żywota na ziemi boskiego mistrza naszego. Poznasz z nich, kto jest Ten, którego my chrześcijanie kochamy. Przeczytaj to pismo, zachowaj starannie, a przy zdarzonéj sposobności oddaj je w ręce prawego chrześcijanina. Serce mówi mi, że nie napróżno powierzam ci ten skarb drogocenny.

I oddał jéj ewangelię św. Łukasza, a dwa inne zwoje pargaminowe ukrył w fałdach tuniki.

— Jeszcze słówko, rzekła Kalista — powiedz mi ojcze imię twoje, może kiedyś będę potrzebowała twéj pomocy lub rady.

— Wziął kredę i wyraźnym pismem nakreślił na murze: Thascius Cecyljus Cypryan, biskup Kartaginy.

Ledwie że Kalista odczytała napis, pomięszane głosy męzkie dały się słyszeć w bliskości.

Pragnąc ułatwić ucieczkę Cecyljuszowi, a nie widząc dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, wreszcie mało dbając o życie, wyszła sama na ich spotkanie. Cecyljus powinien był uciekać bez odwłoki, ale miał jeszcze ostatni a święty obowiązek do spełnienia. Ukląkł i dobył z zanadrza świętą puszkę, którą zawsze nosił przy sobie. W tym dniu nie przyjmował żadnego posiłku; ale i w przeciwnym razie przez wzgląd na ważność chwili mógł był przyjąć komunię, nie będąc nawet na czczo. I niebawem otworzył święte naczynie, uczcił Najświętszy Sakrament i spożył go, a oczyściwszy puszkę, ukrył ją jak poprzednio, powstał i opuścił chatę.

Obejrzał się w około, Kalista znikła mu z przed oczu; w mniemaniu, że nieprzyjaciele dostrzedz go już nie zdołają, postanowił odejść. Ale z pospiechu obrał przeciwną drogę, zamiast uciekać od miejsc zkąd przed chwilą dobiegały głośne okrzyki, puścił się przez ogród i dopadł parowu, w którym czatowały przednie straże napastników.

Grad obelg spadł na Cecyliusza. Czarownik, — wołano, rozsiekać go na części. Nauczymy go, co to rzucać czary na miasto.

— Oddaj nam nasze wino i zboże — powtarzały inne głosy.

— Strzeżmy się — mówili inni — on gotów nas zmienić w wieprze albo osły, dopóki w nim tli iskierka życia.

— Daléj więc — trzeba z nim raz skończyć, zawołał ktoś z boku i podniósł żelazny oszczep w górę.

— Zaczekajcie! przerwał wysoki młodzian ogorzałéj cery odtrącając morderczy cios, od głowy Cecyljusza.

Wstrzymajcie się chwilę! Niebaczni chcecie go zabić a któż odczyni urok? Niechajże wprzód naprawi złe i odwoła rzucone przekleństwo. Weźcie go — zaprowadźcie przed ołtarz Astarty, Herkulesa albo starego Saturna. Piec go będziemy, dopóki nie zamieni trzciny w winną latorośl, a szczerego piasku w białą mąkę, — dopóki z kamienia pożywnéj nie wyciśnie oliwy.

Gdy tego dokona niech wtedy pląsa wesoło z dzikim turem lub zasiędzie do wieczerzy z hieną.

Tłum pijany i dziwnym szałem ogarniony odpowiedział na to srogim okrzykiem radości.

— Daléj więc! dodał mówca szyderczo: posłuchajcie oto mojéj rady, trzeba go wsadzić na osła i związać mu z tyłu obie ręce. Niech powraca w tryumfie do miasta. Ale ostrzegam was zaniechajcie niewczesnéj zemsty. Gdyby poległ przypadkiem, klątwa jego wiecznieby na was ciężyła. Chodźcie tu — wy kapłani Cybeli — dodał oddaję go waszéj wyłącznéj straży.

To mówiąc nie spuszczał starca z oka, gotów bronić go od wszelkiéj obelgi i gwałtu.

Osioł spokojny z natury przez cały dzień najboleśniejszą przebył próbę. Wprawdzie przez urąganie nazwano go bogiem chrześcijan i hojnie dostarczano mu strawy, wszakże biedne bydlę nie rozumiało oklasków tłumu i za pierwszą sposobnością gotowe było okazać, o ile mu ten oklask obojętny. W téj chwili jednak biedny osioł ściśnięty w około ani się mógł poruszyć. Lud przybiegł zewsząd i wkrótce jakby ruchoma fala napełnił cały parów i zatamował przejście. Jakkolwiek znaczna część buntowników, wyczerpana z sił, musiała pozostać w mieście, choć wielu z nich rozpierzchło się po polu w około chaty Ageliusza; jednak przez długi czas biedny osioł nie mógł postąpić ani kroku, była to okropna chwila oczekiwania tak dla Cecyljusza, jak i dla młodziana, który go wziął w opiekę.

Nakoniec tłum postanowił wrócić do miasta i skierował pochód całkiem w przeciwną stronę. Z powodu zbyt wązkiéj przestrzeni, trzeba było zawrócić w miejscu, tym sposobem tylna straż znalazła się na przodzie, a osioł postępował za wszystkiemi. Podczas gdy ze wzgórza schodził na dolinę, Cecylius siedząc na jedwabnych makatach, które zdobiły boginię tyryjską, nim ją Tertuljanizm obalił, widział postępującą przed sobą tłuszczę. Na czele téj dziwacznéj armii powiewały pogańskie chorągwie chwiejące się w ręku pijanéj tłuszczy. Kobiety odurzone trunkiem, dzieci w łachmanach, skoczkowie i włóczęgi; Getulowie o dzikiém spojrzeniu, srogie potwory z Atlasu podobniejsze prawie do małpy niżeli do człowieka, maski, bachantki, Satyrowie i mimy tworzyli tę bezecną zgrajęę. W połowie drogi pomiędzy pagórkiem a miastem był właśnie wąwóz wspomniony kilkakrotnie prowadzący na dolinę zwaną polem marsowem, która się rozciągała do podnóża stromych skał północnych. Droga przecinała ten wąwóz w miejscu dość przystępném.

Młodzieniec, który umieścił Cecyljusza na ośle, szedł ciągle przy jego boku — śpiewając pełnym głosem.

Wśród nocnych cieniów pląsa jak szalony
Z pod kopyt iskry sypią się ogniste;
Wiatr bujną grzywę rozwiewa na strony
Parskając skłania szyję potoczystą.

— Starcze! rzekł półgłosem po łacinie, zwracając się do Cecyljusza — twoje czary dotąd mnie nie urzekły.

— Mój synu, odparł kapłan, Opatrzność daje ci czas jeszcze do upamiętania się.

— To bardzo szczęśliwie dla nas obu, odparł młdzieniec, i począł śpiewać daléj:

Gurta czarownica
Choć chromie na nogę
Przy świetle księżyca
Wybiera się w drogę
Z kulą na ramieniu.
Oj bieży wesoło
Gdzie w cisowym cieniu
Tańczą siostry w koło.
I pląsa i pieści
Daremnie a długo!
Przemocy niewieściéj
Nie będzie on sługą.

I znów obrócił się do Cecyljusza i wyrzekł po cichu:

— Widzisz ojcze że nie sami tylko chrześcijanie umieją przebaczać i zapominać, nazwij mnie odtąd wspaniałomyślnym Jubą. To mówiąc poruszył głową znacząco.

Tymczasem orszak zestąpił ze wzgórka na dolinę a nagły zmrok rozpościerający się w około świad-

czył, że słońce schodzi widnokręgu. W téj chwili gdy mijali wąwóz, Juba rozwiązał sznury, którymi skrępowane były ręce Cecyljusza i kopnął osła całą siłą; spłoszone bydlę ruszyło w cwał wąwozem między góry.

Osły afrykańskie żwawsze są nierównie od naszych, przeto Cecyljus chociaż stracił chwilowo równowagę, odzyskał ją niebawem. Głośne okrzyki tłuszczy przekleństwa kapłanów Cybelli, bardziéj jeszcze podniecały spłoszonego osła. Nakoniec zmrok wzrastający co chwila zasłonił go przed pogonią, która i wśród białego dnia byłaby niepodobną, zgraja bowiem pijana i głodna upadała od trudu. Cecyljus został ocalony i bezpieczny, nim zdołał skupić myśli i podziękować Bogu za pomyślną przemianę w swym losie. Nakoniec zwolnił biegu, powstrzymał osła i jechał małym truchcikiem, rad że nie potrzebuje piechotą odbywać uciążliwéj drogi.

Opisując przygody dnia tego nie możemy pominąć dziwnych następstw, jakie z nich wynikły tak dla prześladowców jak dla ściganéj ofiary. Mówią ludzie, że kara nie zawsze iść zwykła za występkiem, w tym jednak wypadku przeciwnie się stało. Podczas gdy wygnany biskup kartagiński uciekał przed pogonią, — zbuntowana tłuszcza złapała się z drugiéj strony w sieci umyślnie na nią zastawione. Mówiliśmy już że władze rządowe w Sicce postanowiły zdradą wyprowadzić buntowników, aby potém postąpić z niemi podług woli. Skoro raz zostaną poza obrębem murów

miejskich, można im będzie wzbronić powrotu i pokonać siłą. Załoga rzymska nie mogąc stłumić powstania wśród wązkich i krętych ulic, radziła sama użyć tego wybiegu i zobowiązała się doprowadzić rzeczy do pomyślnego końca.

Ktokolwiek wyszedł z miasta po południu nie mógł wrócić pod żadnym pozorem. Trudno przypuścić, aby żołnierze mieli jakiebądź współczucie dla chrześcijan, ale nie cierpieli zarówno całéj ludności miejskiéj. Oburzeni buntem, który uważali za osobistą zniewagę, postanowili stłumić go w samym zarodzie. Bramy miasta zostawały zwykle pod strażą obywateli, lecz bramę Septymiusza, przez którą wyszli powstańcy, zajęły natychmiast rzymskie straże. Ta brama położeniem swojém ułatwiała ich zamiar. Tuż za nią był wielki plac opasany z dwóch stron mocnym murem, który w dalszém przedłużeniu ciągnął się po obu stronach drogi aż do miejsca gdzie się skręcało na marsowe pole. Ztąd droga była otwarta do samego wąwozu. Żołnierze stanęli u bram i zbrojno oczekiwali na wracającą tłuszczę. Gdy motłoch pijany i znużony wdarł się między mury powyżéj opisane, ci którzy szli na ostatku naciskali pierwszych całą siłą i czynili im odwrót niepodobny. Wówczas to Rzymianie rozpoczęli walkę równie barbarzyńską jak nikczemną. Chwytali wszystko co im wpadło pod rękę, maczugi, włocznie, drągi, miecze i żelazne hełmy, i mordowali niemi ową bezbronną tłuszczę. Okropna rzeź powstała, niedobitków deptano nogami, rannych przerzucano za mury,

aby nie zawalali miejsca napróżno. Niektórzy przedzierając się gwałtem przez tłuszczę usiłowali otworzyć sobie drogę do odwrotu, a tém samém powiększali jeszcze popłoch i zamięszanie. Wielu z nich błąkając się po polu i lesie marło od głodu i strudzenia lub też stawało się pastwą dzikich zwierząt; innych zmiatała zaraza i coraz z większą siłą rozpościerała się w okolicy.

W kilka dni po téj okropnéj rzezi, pozwolono nakoniec wrócić do miasta pozostałéj garstce. Długie odtąd upłynęły czasy nim lud w Sicce odważył się okazać niechęć przeciw chrześcijanom, albo zaczepić jakąkolwiek opinię religijną lub polityczną.

XXI.

Knowania.

Gdy Jukundus wstał nazajutrz zrana i gdy się dowiedział co zaszło, ucieszył się szczerze. Był on gorliwym stronnikiem Cesarza, i przyjacielem spokojności, gardził krajowcami, a nienawidził chrześcian. Ci ostatni dosyć ucierpieli w tém zajściu, aby można tém dać jawne zadość uczynienie Rzymianom, odebrać nowym zwolennikom chęć do przyjęcia prześladowanéj wiary i dowieść, że lud w Sikka miał na nich oczy obrócone. Tłum miejski otrzymał także dobrą naukę; sprawa publicznego porządku zwyciężyła, a miasto odzyskało pokój. Z drugiéj strony znikła prawie zupełnie obawa jego o Ageliusza. Oskarżył go potajemnie przed urzędem, porozumiał się z władzą wojskową i wyjednał, iż mu dozwolono zatrzymać go pod strażą we własnym domu. Poszedł więc w towarzystwie dozorcy, do synowca zamkniętego w lochu, w którym był skład uszkodzonych posągów i innych sprzętów niepotrzebnych. Rad był iż może działając postrachem przygotować drogę Kaliście, która siłą uroku miała

dokonać zwycięztwa. Pamiętając na ostrzeżenie Juby nie chciał trwożyć Ageliusza kołem ani rozpaloną kratą, mniemał jednak, że gdy wystawi niebezpieczeństwa grożące chrześcijanom przygotuje serce jego do posłuchania głosu czarodziejskiéj greczynki. W każdym razie nie myślał trzymać go długo w ciemnym lochu, wśród starych i bezużytecznych gratów. Nazajutrz wieczorem rozeszła się wieść, któréj z razu Jukundus nie dał wiary, a która jednak odebrała mu wszelką chęć do wieczerzy. Mniemał, że go mylą własne uszy, gdy mu powiedziano, że Kalista obwiniona o chrześcijaństwo, zostaje pod strażą; wzrok Jukundusa spochmurniał jak u tych bożków egipskich, rozstawionych na pułkach w jego sklepie. W krótce jednak przyszedł do siebie i szydził nawet z doniesienia. Uwięzienie było wprawdzie rzeczą niewątpliwą, lecz ktoby zdołał odgadnąć jego powód? *Varium et mutabile* [1]), kto odpowie za wyskoki i fantazye płci niewieściéj? Gdyby się zakochała w sowie Minerwy, gdyby obcięła długie ciemne włosy lub przystała do skoczków na linie, każdy wzruszyłby ramionami, lecz nikt nie badałby o powody. Wszelako roztropny Jukundus przypuszczał, że jeżeli cokolwiekbądź może zrazić Ageliusza do chrześcijaństwa, to widok drogiéj osoby prześladowanéj za tę wiarę. Dość już było cierpieć za nią samemu, ale własne cierpienie choć dotkliwe mogło budzić opór i

[1]) Kobieta zmienną jest istotą.

zaciętość; lecz nie pojmował, aby młodzian zdołał patrzeć obojętném okiem na ukochaną Kalistę, wystawioną na ciężkie obelgi. W jego mniemaniu można było wyznawać chrześcijańską wiarę, i smakować w jéj tajemnicach; ale skoro to wyznanie miało narażać życie lub spokojność drogiéj istoty, w takim razie nie wątpił, że Agelius sam użyje wszelkich próżb i starań, aby przywieść Kalistę do czci dawnych bogów. I cieszył się na myśl, że miłość i małżeństwo zakończą niebawem dramat rozpoczęty w tak romansowy sposób.

Nazajutrz potem Aryston przyszedł sam do Jukundusa i opowiedział mu szczegółowo rzecz całą. Kalista już stawała w obec sędziów, ci jednak nie uwolnili jéj, ale nakazali nowe śledztwo. Powody ciemne były i niedocieczone. Aryston gubił się w domysłach i gotów był nawet uwierzyć w tajemne działanie złego ducha. Kto wie może siostra jego wyznawała jakie nieczyste obrzędy; może była pod zaklęciem czarodziejskiego uroku, może jaka ułuda opanowała chwilowo jéj umysł. Nikt dokładnie nie wiedział jakim sposobem wpadła w ręce władzy. Była jednak w niebezpieczeństwie, a więc bądź co bądź należało ją ratować.

Pomimo, że tajemnica otaczała rzecz całą, trzeba było uprzedzić niezwłocznie Ageliusza. Gdyby nie postawiono zaraz dwóch stron w obec siebie, Kalista mogłaby tém większą okazać zaciętość, a on naśladowałby jéj przykład. Ileż to, pomyślał Jukudus, młodzi ludzie sprawiają niepokoju starcom, którzy ich dobro

wyłącznie mają na celu. Ale teraz nie pora utyskiwać, oboje bowiem równie zagrożeni niebezpieczeństwem, skoro się ujrzą — głębokie wrażenie wstrząśnie ich dusze, a każde ze swéj strony szczerém powodowane uczuciem będzie tylko myślało jakby drugie ocalić i dać mu z siebie dobry przykład. Jukundus przyszedłszy do tego filozoficznego wniosku, począł działać stosownie.

XXII.

Walka z poganinem.

Agelius zamknięty był trzydzieści sześć godzin w swém podziemném więzieniu, pozbawiony zupełnie światła; za łóżko miał prostą drewnianą ławę, stary kobierzec za nakrycie a za pożywienie bułkę chleba, trochę wina i oliwek. Słyszał dokładnie okrzyki, pogróżki zbuntowanéj tłuszczy gdy przechodziła koło świątyni Astarty (w dzień kiedy go uwięziono), ale z téj wrzawy nie mógł żadnego wyprowadzić wniosku. Nie wiedział sam co się z nim stanie; sądząc jednak po dopełnionych formach, czuł, że jest w ręku sprawiedliwości, i że tylko przez szczególny wzgląd uwięziono go w domu krewnego. Drugiéj nocy, zaufany niewolnik przeprowadził go do małego pokoiku, oświeconego z góry a położonego w tyle domu. Tam nazajutrz z rana, to jest we dwa dni po powstaniu, Jukundus odwiedził go chcąc z nim naradzić się poufale. Oświadczył mu nasamprzód, że jest więźniem stanu, ale wkrót-

ce zapewne wyjedna mu wolność i ułatwi oddalenie się z miasta, dzięki przeważnym stosunkom swoim. Powiedział mu iż ułożył to wszystko potajemnie i jeżeli obchodził się z nim surowo, robił to tylko dla ocalenia pozorów w obec rządu. Oznajmił mu niemniej, że zbuntowany lud przetrząsnął dom jego i pojmał człowieka, którego uważano za jego wspólnika i przyjaciela. Już prowadzono go do miasta, ale więzień zdołał uratować się ucieczką; co się z nim stało niewiadomo. Wszystko jednak wzięło jak najlepszy obrót, w mieście bowiem rozeszła się pogłoska, że sam Agelius został schwytany i uciekł z pod straży przewodników. Ponieważ trudno było zaprzeczyć, iż był chrześcijaninem, (lubo Jukundus jak mówił nie daje temu wiary), potwierdził jednak tę pogłoskę; a gdy osoby dobrze świadome rzeczy utrzymywały, że zbieg był przynajmniéj dwa razy starszy od Ageliusza i wcale do niego niepodobny, że wyglądał raczéj na niewolnika, Jukundus oświadczył wyraźnie, iż synowiec użył w téj okoliczności sztuki czarnoksięzkiéj, właściwéj chrześcijanom, i zmienił umyślnie postać, aby tém lepiéj się ukryć. Słowem wmówił we wszystkich, że Agelius uciekł, a on bardzo ztąd zadowolony, iż go się wreszcie pozbył, i ma nadzieję, że go nigdy nie ujrzy już na oczy.

Ale widzisz sam moje dziecię, dodał nakoniec, że to wszystko były czcze słowa stósownie do potrzeby. Mam nadzieję że przeżyjesz tu długie lata we czci i poważaniu. Pragnę abyś mi zamknął oczy, gdy przyj-

dzie moja godzina, ty bowiem wszystko po mnie odziedziczysz; co się zaś tyczy Juby, w tym nie mam najmniejszego zaufania.

Agelius podziękował stryjowi z całego serca, za troskliwą i skuteczną opiekę, jaką nad nim okazał, pragnął aby poczciwe zamiary Jukundusa spełnić się mogły w przyszłości. Mniemał jednak, że stryj łudzi się daremnie, licząc na pomoc jego w stare lata; nie myślał bowiem, aby mu dozwolono powrócić kiedykolwiek do Sikki. Trzeba mu było raczéj szukać jakiéj cichéj i dalekiéj ustroni, a przynajmniéj osiąść w mieście, w któremby go nie znano. Wszyscy mieszkańcy w Sicce wskazywaliby go palcem jako chrześcijanina, a gdyby nawet lud nie powstał przeciw niemu, i w takim razie napotykałby trudności i zapory w każdym kroku życia, nie przyszedłby nigdy do znaczenia i wpływu. Przeciwnie zaś gdyby żył wśród potężnego społeczeństwa chrześcijan, mógłby na tém stanowisku pracować nad krzewieniem wiary, a pozostając sam w cieniu, wspierać się powagą braci w Chrystusie. Oświadczył więc stryjowi, że pragnie jak najprędzéj sprzedać wszystko co posiada, i ukryć się przed oczyma ludzkiemi przynajmniéj do czasu.

— Myślisz więc, że to prześladowanie skończy się niedługo — zagadnął Jukundus.

— Nie inaczéj sądzę o tém z przeszłości, odparł Agelius, bywały dotąd czasy próby i spoczynku, mniemam, że i teraz tak będzie. A potém są jeszcze miej-

sca wolne od gwałtów, gdy tymczasem inne doznały całéj okropności.

— Tak, ale dziś inne czasy, wierz mi, rzekł Jukundus poważnie. Wstrząśnienia ludowe zupełnie już minęły. To co zaszło parę dni temu, jest małą próbką tego, co je czeka w przyszłości. Już ich czas przeszedł bezpowrotnie. Państwo rzymskie, dzięki niech będą bogom, bierze odtąd na siebie całą sprawę; a to powaga nierównie potężniejsza, od téj nikczemnéj zgrai, któréj ledwie że nie padłeś ofiarą. Wielki Rzym poruszył się nakoniec mój chłopcze; zaczyna wreszcie działać tak jak powinien był działać gdy ciebie jeszcze na świecie nie było, w takim razie — dodał skłaniając głową — nie byłbyś się nigdy rzucił w to szaleństwo.

— A więc odparł Agelius, jeżeli rzeczywiście otwiera się nowa epoka, niebezpiecznie dla mnie tu pozostać.

— Teraz oto bądź rozsądnym młodzieńcem, jak umiesz nim być, gdy chcesz, rzekł Jukundus. Patrz dobrze na wypadki i działaj stósownie. Bezsilnym jesteś w obec niepodobieństwa, nie zmienisz rzeczy według swojéj woli. Są religie uprawnione, są inne wyłączone z pod prawa. Chrześcijańska należy do ostatnich, rząd jéj nie toleruje nie twoja w tém wina, nic na to nie poradzisz, daremne wszelkie w tym względzie zabiegi. Dałeś już powody, że umiesz działać jak przystoi na męża i cierpieć w razie potrzeby, ale Rzym jest nieugięty, trzeba się do niego stósować. Musisz

ustąpić, za nadto jesteś dobry i rozumny (mówię to z przekonania) abyś miał się wdawać w takie nikczemne zabobony.

— Jest potęga silniejsza nad Rzym! przerwał młodzieniec surowo.

— Ageliuszu! odparł Jukundus cierpkim głosem, nie powinieneś tak się odzywać w moim domu. Twe słowa są niewłaściwe. Dłużéj cierpieć ich nie chcę, mówię to raz na zawsze. — Możesz gdzie indziéj przechwalać się zdradą — przeklęty upór! a jednak — pomyślał w duchu: muszę się mieć na baczności.

— No! ale pocóż się mamy znieważać wzajemnie, rzekł po chwili namysłu, wszakże nam z tego nic nie przyjdzie, zniewagi nie zastąpią dowodów. Oto posłuchaj mnie raczéj: bądź rozsądny jeśli możesz. Rząd cesarski zaczyna działać stanowczo; lepiéj późno niż wcale! Otóż więc, zważ dobrze moje słowa, najdaléj za pięć lat, powtarzam ci od dziś za pięć lat, nie będzie już ani jednego chrześcijanina w całem państwie rzymskiem. Na te słowa wzrok Jukundusa zapłonął, jakby tysiące iskier wysypało się z jego oczu.

— O bogowie! zawołał, Rzym, Rzym potężnem tchnieniem swojem w proch zmiótł z oblicza ziemi wszelkie spiski i zmowy snute dawniéj przeciw niemu. — Rzym nigdy nie działał napróżno! tak będzie i teraz z owym nikczemnym wrogiem z żydowskiego plemienia.

— I w czemże my jesteśmy wrogami Rzymu Jukundusie, zagadnął młodzieniec — na czemże opierasz to twierdzenie?

— Na czém? zapytał Jukundus, alboż to ulega wątpliwości? Nazywam wrogami państwa tych, których państwo samo uważa za swych wrogów. Wreszcie próżno o tém rozprawiać? Widziałże cię kto, żebyś przysięgał na geniusz Cezara, wzywał boginię Romę [1]) lub składał ofiary Jowiszowi? Nigdy! ani jednem słówkiem, ani znakiem, ani drobném ziarnkiem kadzidła nie dowiódłeś im czci twojéj. Zamiast iść prostą drogą, zstępujesz z niéj i urągasz nam w oszy a potem utrzymujesz z powagą, że wierny jesteś rządowi. Znieważasz nas chytrze i zdradziecko a domagasz się w zamian względów naszych. O cóż nam idzie? o parę niewinnych obrzędów, nic więcéj od was nie żądamy nie łapiemy was w sidła, nie chwytamy za słowo; postępujemy z wami szczerze i bez ogródek. Wszakże wam nie narzucamy wiary, wszakże nie mówimy: Sko-

[1]) Starożytni nie dość że uosobiali miasta i nadawali im ludzką postać, przyznawali im nadto cześć boską. Między uczonymi w ten sposób pierwsze miejsce trzymała bogini Roma, dea Roma miała swoje ołtarze i świątynie nietylko w Rzymie, ale i w innych miastach cesarstwa, w stolicy było ich kilka, a bogini ta zarówno była czczoną z innemi bóstwami. Malowano ją podobnie do Minerwy, siedzącą na skale z trofeami u stóp, z hełmem na głowie a z włocznią w zwycięzkiéj prawicy. Przedstawiano także niekiedy Romę uwieńczoną jak malują Cybelę.

ro rzucicie szczyptę kadzidła, tém samém wyznacie jawnie, iż stary Jowisz drży od chłodu na wierzchołku Olimpu; wszakże nie mówimy skoro przysięgacie na geniusz Cezara: w tém dowód, że Cezar musi mieć koniecznie geniusz! — My tylko żądamy prostéj formy, jawnego dowodu przywiązania do państwa. Nie chcąc uczynić zadość woli naszéj, okazujecie się niechętnymi. To doprawdy rzecz niepojęta!

Biedny Jukundus zarumienił się od wzruszenia.

— Drogi stryju! rzekł Agelius, zaręczam honorem, że naród chrześcijański, którego ty tak nienawidzisz modli się za pomyślność cesarstwa, raz z obowiązku, a potém przez własny interes.

— Co mówisz? zawołał Jukundus z oburzeniem przedrzeźniając synowca, co mówisz — twój naród się modli? Szydzisz sobie ze mnie!... wy się modlicie! a któż dba o wasze modlitwy? Co z nich komu przyjdzie? Modlitwy no proszę! szczypta przywiązania do cesarstwa, cokolwiek więcéj warta niż wszystkie modlitwy na świecie. Ha! widzę dobrze co się dzieje Ageliuszu! zaprzedałeś się duszą i ciałem zdrajcom, którychby wykurzyć należało, jak rój szerszeniów z ula. Wy o niczém nie wiecie, nie macie żadnego udziału w ich tajemnicach, jak ten oto nikczemny niewolnik co go rozsiekano wczoraj... prawda — tyś o tém nie słyszał — co go mówię, rozsiekano przed domem Flaminy. Oj nie brak takich łatwowiernych jak ty, mój kochany!... Otóż widzisz, rzekł, kładąc znacząco palec na czole, są marjonetki, ale też są i sprężyny, co

je poruszają. Mało który z was zna ostateczne słowo zagadki, wasi przewodnicy tymczasem wiedzą gdzie idą, i żebyśmy nie starli ich na miazgę, gotowiby niechybnie obalić państwo do góry nogami. Ale Rzym ich przywali, upamiętaj się więc póki czas, posłuchaj słowa prawdy, a ja ci przedstawię wszystko dokładnie. O ja znam twoje dobre zamiary. Tak, drogi Ageliuszu! bodajbyś mógł patrzeć na świat mojém okiem! Jakże ty mię ciężko niepokoisz — patrz oto.

— Najdroższy stryju — o Jukundusie! żawołał Agelius, zapewniam cię — to mnie najdotkliwiéj boli.

— Dobrze, dobrze, mój kochany, przerwał z kolei Jukundus, wierzę ci — ale posłuchaj — zaklinam cię posłuchaj. Z każdą chwilą — ciągnął półgłosem i eobitnie, z każdą chwilą tajemnica na jaw wychodzi. Tak jest coraz się lepiéj rzecz rozjaśnia. Niejaki Tertulian z Kartaginy żył przed pięćdziesięciu laty pisał księgi (och księgi, ileż one złego na świecie zrobiły), ale czytaj księgi Tertuliana, czytaj je z uwagą rozmyślaj dobrze nad niemi. Ten człowiek wyrzekł zuchwale w obec prokonsula, że i on sam i rząd i miasto i prowincya i świat rzymski i cesarze i doddani, słowem wszyscy, wyjąwszy niegodnego plemienia, do którego on należał, skazani będą po śmierci na wiekuisty ogień. Otóżto taka wierność wasza względem rządu. Ale tu szaleństwo przechodzi jeszcze złośliwość. Słusznie też tych niegodziwców zowią odludkami i bezbożnikami. Nasi żołnierze, nasi ludzie stanu, nasi urzędnicy i sędziowie, nasi senatorowie,

słowem całe społeczeństwo, wszyscy czciciele bogów, każdy co podczas uczty kładzie wieniec z kwiatów na głowę, każdy co ceni życie; nakoniec wszystkie historyczne imiona bohaterów: Scypiony, Decjusze, Brutusy, Cezary, Katony, Tytusy, Trajany, Antoniny, wszystkie te wielkości świata mają kiedyś zaludniać (już nie pola Elizejskie) ale głębie Tartaru, zkąd nigdy nie wychylą głowy.

— Tertulian, drogi stryju, nie jest dla nas powagą, miał wprawdzie wielkie zdólności, ale się od nas odłączył.

— Nie umiem ja pojmować waszych subtelnych odcieni, rzekł Jukundus, wasi współwyznawcy toczyli między sobą spory o znaczenie wyrazów. Tak samo rzecz się ma z waszym dzisiejszym hierofantem w Kartaginie, Cypryanem. Powiadano mi z jak gwałtowną natarczywością powstaje przeciw bogom rzymskim, przeciw Romulusowi, Augurom, Ancyllom, konsulom, słowem przeciw wszystkiemu, czém się Rzymianin sprawiedliwie chlubi. Co się zaś tycze waszych wielkich kapłanów w Rzymie, wszyscy do jednego polegli z ręki kata jak winowajcy. Ci pyszni wodzowie dają sobie szumny tytuł *Pontifex maximus*. Jakaż to bezczelność! posłuchaj więc dziécię moje co ci powiem. Jeśli chcesz, odsuń na bok niewinne i pełne wdzięku obyczaje ucywilizowanego społeczeństwa, zgadzam się na to. Ale biada ci gdybyś miał naśladować Tytanów którzy wyzwali do walki Jowisza; idź wprzód wy-

próbuj swoje siły, zobacz czy potrafisz obalić górę Atlasu.

— Wszystko to istnieje tylko w wyobraźni twojéj Jukundusie, odpowiedział synowiec, myśl twoja krąży bez ustanku w jednem kole. Niepodobna cię przekonać, skoro kładziesz dowolne założenie i stosowne do niego wyprowadzasz wnioski.

— Mój drogi Ageliuszu, rzekł stryj skłaniając znacząco głowę, posłuchaj rady starca. — Jak przyjdziesz do późniejszego wieku, uznasz sam, kto z nas obu miał słuszność. Pożałujesz wtedy, żeś wzgardził mną, przyjacielem szczerym, rozważnym i doświadczonym. Zaprzyj się na chwilę własnego zdania, a polegaj na mojém. O tak, uczyń to błagam cię! I czemuż w poranku życia łączysz los twój z losem ludzi straconych, z tąd jedynie, że twój słaby ojciec dał się złapać w sidła przy końcu dni swoich. Doprawdy nie pojmuję, jak możesz odrzucać nadzieję całego życia dla względów tak godnych pogardy. I cóż ty na to? dajesz mi mówić a sam nie raczysz odpowiedzieć ani słowa. Także to mi chcesz okazać miłość swoją?

— Niestety! stryju drogi, odparł Agelius zagadniony w ten sposób, trudno będzie nam porozumieć się nawzajem, bo widzisz sam, że każdy z nas z innego wychodzi stanowiska, co do mnie mogę tylko wypowiedzieć moje zdanie. Nadzieja i życie mówisz: a więc moja jedyna nadzieja i życie, radość i pocie-

cha, moje wyłączne pragnienie, mój cały skarb polega w tém abym był chrześcijaninem.

— Nadzieja i życie! przerwał Jukundus, bogowie nieśmiertelni! pokładać życie i nadzieję w tém, aby być chrześcijaninem! Czy mnie mylą własne oczy? ale niebaczny młodzieńcze! więzienie przynosi rozpacz a nie nadzieję, a miecz daje śmierć a nie życie! Przez Eskulapa! życie i nadzieja! doprawdy braknie mi powietrza w piersiach Ageliuszu, życie i nadzieja! Tyś widzę szalony — ruszaj co żywo do Antycyry i przynieś sobie ciemiernika [1]). Życie i nadzieja! Gdybyś był stary i schorzały, gdyby cię lekarze skazali na pastwę śmierci, gdyby w tobie dogasało ostatnie tchnienie życia, wtedy nie troszczyłbym się o ciebie: ale masz włos czarny jak heban, lica pełne i gładkie, barki rozrosłe, głos silny: i to wszystko chcesz poświęcić Hekacie! Na toż twój dobry jeniusz utrzymywał ciało twoje w krzepkości, nadał oku twemu blask ognia siłę twojéj prawicy! na toż on ci dał moc, piękność i zdrowie, abyś te wszystkie dary uczynił pastwą kruków? czyż te członki na to się tylko mają przydać, aby je koła druzgotały, spalił ogień lub wyciągnęła szubienica? Takaż to wdzięczność twoja względem przyrody? Cóżeś dostał w zamian za ofiarę? Za ileżeś się sprzedał? Mów człowieku, mów. Czyś ty

[1]) W zatoce korynckiéj znajduje się obficie roślina zwana ciemiernikiem, którą uważano u starożytnych za skuteczny środek na szaleństwo.

i głuchy równie jak szalony? Czyś głuchy pytam ciebie?

— O Jukundusie, zawołał Agelius bolejąc, że nie zdoła lepiéj wyrazić swojéj myśli — gdybyś ty wiedział co to jest posiadać prawdę! Chrześcijanin znalazł prawdę, nieśmiertelną prawdę, w świecie, kędy błąd panuje od wieków; oto cała jego nagroda, cała zapłata; możesz być większa nad nią? Mogęż opuścić tę prawdę? Ależ to dla ciebie słowa kartagińskie, niezrozumiałe.

Odpowiedź Ageliusza zmięszała Jukundusa na chwilę; słyszał on wyrazy synowca, ale nie pojął ich ducha. Osłupiony zdziwieniem chciał mówić, ale nie mógł zrazu wyrzec i słowa.

Prawda! zawołał wreszcie, prawda więc jest twoją nagrodą. Ale cóż to jest prawda? I cóż ty na ziemi i na niebie rozumiesz przez prawdę? Gdzież się nauczyłeś takiéj mowy? Jakaż niedorzeczność wschodnia zawróciła ci głowę? Prawda, zawołał nań z wzrokiem tryumfu i niecierpliwości. Prawda! niech ci Jowisz dopomaga mój kochany. Czyż prawda napełni czarę moją sokiem Melilotu? Czyż prawda uwieńczy mnie kwiatem? czyż mnie ukołysze wdzięczną pieśnią? I jakież ona może mi dać uciechy? Czy trzos mój zdoła napełnić złotem? czy ochłodzi lica moje spalone gorączką? Czyż mi da piękną posiadłość z domem letnim i kilku setniami niewolników? Czyż mnie wyniesie na urząd duumwira. Niech mnie tak uposa-

ży a wielbić ją będę jak boginię! co mówię uczczę ją lepiéj niż Fortunę — niż przeznaczenie, niż Romę niż wszystkie razem bóstwa Panteonu! Ależ ja lubię zobaczyć, dotknąć, zważyć i przemierzyć przyrzeczone mi dary. Lubię najprzód otrzymać próbkę i zadatek. Zbyt stary jestem abym się miał uganiać za błędném ognikiem nadziei. Jeść, pić, bawić się, oto moja filozofia, oto moja religia, nie chcę i nie myślę znać innéj. Dzisiaj należy do nas, jutro do dzieci naszych.

— Gdyby prawda, dodał po chwili z goryczą, mogła otworzyć Kaliście drzwi więzienia, możebym ją cenił inaczéj.

— Kalista w więzieniu! zawołał Agelius z podziwieniem i smutkiem, co mówisz Jukundusie?

— Tak, nie inaczej odparł, Kalista w więzieniu jako obwiniona o chrześcijaństwo.

— O chrześcijaństwo! zawołał struchlały Agelius, co ja słyszę, ona chrześcijanką! O! to niepodobna mój stryju! Mów! mów, co znaczy ta niepojęta wiadomość?

— Powinienbyś lepiéj odemnie zrozumieć jéj znaczenie, odrzekł stryj. Ale jeśli chcesz wiedzieć moje zdanie, powiem ci je otwarcie; tego pewien jestem, że z Kalisty taka chrześcijanka jak ze mnie chrześcijanin, ale myślę, że przez zbytnią miłość ku tobie pragnie ci być miłą, okazując chęć podzielenia z tobą losu dla tego zdaje się tém, czém nie jest w rzeczywistości. Kto tam odgadnie serce kobiety! Może wreszcie zo-

stała chrześcijanką na złość, wiedziona duchem sprzeciwieństwa.

— Komu na złość? któżby się rozgniewał, zawołał Agelius z zapałem. Co słyszę! Kalista w więzieniu, obwiniona. O gdyby ona była chrześcijanką! Ale jeżeli nią nie jest, dodał z trwogą, jeżeli nią nie jest, a jednak cierpi jakby nią była. Jak ją oswobodzić mój stryju! Niepodobna! Nie, ona nie może być chrześcijanką. O jeszcze nie. Dziwna, dziwna wiadomość.

— A więc i ja jestem tego zdania, rzekł Jukundus, i gotówbym stawić w zakład najpiękniejszy posąg z mego sklepu, że Kalista nie jest chrześcijanką: a jednak co chcesz, jeśli przez upór powie że nią jest. I to się już nieraz zdarzało. W takim razie co czynić? Skoro tak wyzna uwierzą jéj na słowo. Co my na to poradzimy?

— Nie, to niepodobna! zawołał Agelius, to słodkie i tkliwe dziecię, nie może być uwięzione, niepodobna mówię! Biedny młodzian gwałtem powstrzymał w piersi krzyk zgrozy na tę myśl okropną. Ależ co to wszystko znaczy? dodał po chwili mów stryju! Czemużeś mi tego zaraz nie powiedział? Radź mi, błagam cię, co tu czynić?

Jukudus ucieszył się widząc przerażenie synowca, mniemał bowiem, że go już trzyma w ręku.

— Dobrze więc, sposób na to nie trudny. Ona nie jest chrześcijanką, zgadzamy się na to obadwa. I

to prawda nie mniéj, że się nią być wyznaje. Otóż ja znam osobę, która ma tyle wpływu nad nią, że potrafi przekonać się o prawdzie.

— Ach! zakrzyknął Agelius, i zerwał się z miejsca jakby go padalec ukąsił.

Jukundus milczał, chciał aby jad gadziny przeniknął na wskróś serce młodziana.

Agelius zacisnął oczy rękoma, łokcie oparł na kolanach, a każdy ruch jego świadczył o głębokiéj boleści.

— Powtarzam ci com mówił, zauważył Jukundus; Kalista mniema, że pewien młodzian skazany jest na męki.

— Ależ to nieprawda, zawołał Agelius niespokojnie, nie, to nieprawda.... Jeśli ona — ona nie jest chrześcijanką, o mój Boże! wszak jéj na śmierć nie skażą.

— Ale rzekł Jukundus, jeżeli postanowiła dzielić twój los, jeśli chce przyjąć twą wiarę skoro ty jesteś chrześcijaninem, cóż ty na to poradzisz? Od ciebie wszystko dziś zależy — chciej tylko a ocalisz ją niewątpliwie!

— Ona mnie nie kocha, zawołał Agelius, wiem o tém, wszakże mi nie dała żadnego dowodu miłości. Inny powód musiał działać na jej postępowanie. Ja żadnéj nie mam nad nią mocy, a więc przekonać jéj nie zdołam. Ale cóż to wszystko znaczy? A jam tu zamknięty jak więzień! i począł obiegać małą izdebkę do koła.

— A więc, odparł Jukundus, możesz się o tém przekonać. Sądzę, że ci nikt nie zabroni wyjść ztąd i odwiedzić ją w więzieniu.

Kusiciel spieszył się zbytecznie. — Agelius nie zważał na jego słowa.

— Biedna Kalista! — słodkie dziecię! zawołał— ona niewinna! Nie, ona nie jest chrześcijanką! Ach, dodał z wyrazem niepojętéj trwogi, całe bowiem następstwo téj okropnéj sprawy rozwinęło się nagle przed jego oczyma: ona umrze nie będąc chrześcijanką! ona umrze bez wiary, bez miłości, umrze w grzechu! Ona śmierć poniesie bezużytecznie, gdy w innym razie taż sama śmierć mogłaby ją doprowadzić do zbawienia. O Panie! zmiłuj się nademną! I upadł na ziemię, przywalony ciężarem boleści.

— Chodź chodź, rzekł Jukundus rozrzewniony, a bardziéj jeszcze zatrwożony. Wszystkich poruszysz w całym domu, przestań rozpaczać, bądź człowiekiem, uspokój się, to się jakoś ułoży. Jeśli nie jest chrześcijanką, (a nie jest nią, wiem o tém) nie będzie narażoną na prześladowanie. I teraz oto nie zamknęli jéj w więzieniu razem z drugimi, ale w osobnéj przyzwoitéj izdebce. Zobaczysz ją; pocieszysz—i wszystko będzie dobrze.

— O tak! zobaczę ją, rzekł Agelius rozpogodzony; jest chrześcijanką, albo nie jest nią wcale. Jeśli tak, tu zabrakło mu głosu w piersi i umilkł — jeśli zaś nie, dodał po chwili, żyć będzie dopóki nią nie zostanie.

— Tak nie inaczéj, odparł Jukundus, dopóki nią nie zostanie. Tak, mogę sprawić to, że ją zobaczysz; oswobodzisz ją z więzienia, jeden uśmiech, jedno tkliwe słówko z twojéj strony przełamie jéj upór — i wszystko złe pierzchnie jak mgła w obec słonecznych promieni. I będziemy tak szczęśliwi jak nieśmiertelni bogowie.

— O mój stryju! wyrzekł Agelius z powagą. Słowa Jukundusa raziły go dotkliwie i przywiodły do uczucia prawdy. Odwrócił się i przycisnął twarz do muru, a potém zwracając się napowrót dodał:

Jeżeli jest chrześcijanką powinienem się cieszyć i cieszę się tém rzeczywiście. Bogu niech będzie chwała! Jeżeli nią nie jest — powinienem całą siłą pracować nad jéj nawróceniem. Skoro już ponosi karę wymierzoną na chrześcijan, jest niewątpliwie powołaną do ich chwały. Mógłżebym ja iść wmawiać w nią, że chrześcijanką nie jest, prosić aby przysięgła na Jowisza jako boga swego, dla odzyskania wolności i życia. Mamże pełnić powinność kapłana pogańskiego, lub bezbożnego sofisty? O Cecyljuszu, jakże rychło zapominam twych nauk! Nie! ja się nie podejmę takich zleceń. Pójdę, jeśli można Jukundusie, pójdę ale nie pod tymi warunkami. Nie chcę, nie myślę oswobadzać ją w ten sposób, biedne dziecię! Nie powiem jéj, aby składała ofiarę bałwanom, przeciwnie skłonię, aby pozostała w więzach, aby umiała na nie zasłużyć. Może brak mi na to przekonywającéj siły, ale

wszakże idę z własnego natchnienia, pragnąc sam gorąco wylać krew za Chrystusa, szczęśliwy myślą, że na moje słowo i ona toż samo uczyni i umrze za Niego!

Agelius wyrzekł te słowa spokojnie, z głębokiem przejęciem; znać było, że zrozumiał dokładnie położenie swoje wśród trudnych okoliczności. Jukundus zdziwiony nie mógł zrazu pojąć synowca, ale gdy usłyszał ostatnie jego wyrazy, uniósł się gniewem i począł się miotać gwałtownie. Zwolna jednak ochłonął, a myśląc z zimniejszą krwią nad obecnym stanem rzeczy, przyszedł znów do wniosku, że najlepiéj zbliżyć Ageliusza do Kalisty. Pewien był, że miłość natchnie ich chęcią życia i swobody. Religijna egzaltacya młodziana nie mogła trwać długo, widok Kalisty w więzieniu, może w okowach, spragnionéj wolności, gotowéj odwołać w obec sędziów, iż nie jest chrześcijanką, zakończy wszystko pomyślnie. Młodzian w mniemaniu stryja nie mógł kochać swojéj fanatycznéj wiary bardziéj niż kochał Kalistę, wszak sam wahał się przed chwilą. W rzeczy saméj trudne to było zadanie dla młodziana, a przyznając mu nawet zupełną czystość zamiarów i wielką moc postanowienia, niemniéj moglibyśmy lękać się o niego, gdyby w istocie miał do spełnienia próbę wymagającą bohaterskiéj wiary i zupełnego zaparcia siebie, do jakich tylko święty wznieść się może. Radzi więc jesteśmy, że pozyskał zasługę tak chwalebnego posta-

nowienia a nie potrzebował go spełniać. W kilku bowiem godzinach zaszedł niespodziewany przypadek — odtąd dla tego musimy przerwać pasmo opowiadania, i zwrócić się do innéj z osób naszéj powieści.

XXIII.

Gurta czarownica.

W głębi lasów pokrywających kilkumilową przestrzeń w okolicy miasta Sikki, na piaszczystéj pochyłości wzgórza zasłanéj zwirem i kamykami blisko strumienia wijącego się w dolinie, stała buda afrykańska w jakiéj zwykle siedzą koczownicze plemiona mało dbałe o wewnętrzne życia wygody. Można ją było nazwać namiotem, gdyż pokryta była skórami kóz i owiec; lecz co do kształtu przypominała zupełnie przewróconą łódź lub dach oparty o ziemię; we wnętrzu ściany splecione z chrustu narzucone gliną, chroniły mieszkańców od gwałtownych deszczów właściwych tym okolicom. Szczyt dachu do dziesięciu stóp wysoki; wspierał się na czterech krokwiach, w pośrodku niego był otwór, który przepuszczał światło i wyprowadzał dym na zewnątrz. Utwierdzone w górze haki, służyły do

wieszania koszów, sukien, broni, słowem wszelkich potrzebnych narzędzi; mały loch wykopany w budzie był składem na zboże. Drzwi téj budy tak były niskie, że osoby średniego wzrostu musiały wchodząc dobrze nachylić głowy.

Tylko w zimowe miesiące, gdy słoty najbardziéj dokuczały, właścicielka téj budy raczyła w niéj mieszkać; podczas lata przesiadywała i sypiała nawet w wielkiéj sali utworzonéj ręką natury. Tuż za budą ciągła się przestrzeń zieloną zasłana murawą — otoczona w koło dębami i gęstwiną. W pośrodku téj murawy rósł ogromny cis który zapamiętał pierwotne jeszcze wieki. Cały ten las rzec można dawał wyobrażenie początku świata, gdy na rozkazujące słowo Stwórcy ziemia przyoblekła się w kwiaty i drzewa. Ale z tym głosem tajemniczym łączyły się jakby fałszywe dźwięki, godła i znamiona bałwochwalcze pozawieszane na drzwiach, i czarodziejskie koła i znaki w różnych kierunkach pokreślone na murawie. Na ziemi leżały pospołu kości ludzkie, rogi dzikich zwierząt, — figurki polepione z wosku, tran wielorybi i szpony drapieżnych ptaków, na których wisiały jeszcze poszarpane szczątki ciała. Tarzały się niemniéj bezładnie tablice metalowe nakreślone nieznanemi głoskami, flaszki napełnione krwią, włosy młodych dziewcząt i stosy starych gratów. Niechże czytelnik nie mniema że mu przed oczy stawimy jaką czarodziejską scenę, niech nie myśli, że to miejsce zajmie ważny ustęp w dal-

szém opowiadaniu. [1]) Zatrzymamy się tu na chwilę, aby podsłuchać rozmowy mającéj związek z wątkiem całéj powieści.

Stara niewiasta, która siedziała w téj ustroni, miała postać dziwnie odpowiednią, nie tak miejscu jak raczéj otaczającym ją przedmiotom, a rozrzucone w koło sprzęty świadczyły o jéj zwykłem zajęciu.

Nie umiemy powiedzieć czy gusła téj niewiasty, utrzymywały ją rzeczywiście w związku z mocą piekielną, ale to nie ulega wątpliwości że miała szczerą chęć otrzymać te stosunki, i że ta wola przyszła jéj z podszeptu natchnień nieczystych. Pragnąc zdobyć nadprzyrodzoną wiedzę przekonaną była sama, że nauka, którą nabyła doświadczeniem na naturalnéj drodze wpływu, pochodzi ze źrodeł szatańskich. Utrzymywała ciągle związki z miastem Sikka. Wiele osób zasięgało jéj rady, znała dokładnie bieżące wypadki, znała niemniéj tajemną kronikę miasta, niegdyś nawet mięszała się w sprawy polityczne, albowiem różne stronnictwa radziły jéj się na przemiany. Nie będziemy jednak śledzić wątku jéj tajemniczych działań, chcemy tylko przytoczyć rozmowę czarownicy z Jubą.

Nazajutrz po ucieczce Cecyliusza; było to wieczorem, słońce schylone ku ziemi rzucało z boku różowe promienie przez konary odwiecznych dębów.

— Dobrze moje dziecko, mówiła niewiasta, stary Ham zesłał ci niezłą gratkę, nie brakło ci wczoraj

---

[1]) Jest to tylko ustęp z opowiadania ówczesnego — który autor przytacza. —

uciechy, pewna jestem ci nikczemni chrześcijanie musieli podobno cienkim śpiewać głosem. I ty zapewne pastwiłeś się nad niemi, nieprawdaż? Ten niegodziwiec zakrystyanin pewno już sobie zapisał kwaterę na dnie piekła.

— Nieinaczéj, odparł Juba, szkaradna gadzina! radby był zrzucić skórę jak wąż i przedzierzgnąć się w poczciwego człowieka, ale już było nierychło.

Dobrze, dobrze odrzekła Gurta i cmoknęła ustami jakby przeczuwała smaczny kąsek, — w to mi graj kochanku — ależ się przecież nie wymknął. —

— Rozsiekali go na szczątki — wszyscy razem — rzekł Juba.

— Rozsiekali na szczątki! powtórzyła Gurta — próli żyłkę po żyłce, czy tak? Czy go odarli ze skóry, czy mu wyrwali język, wyłupili oczy, może się zbytnie pokwapili, mów Jubo, trzeba było działać pomaleńku. Tak jest, bo na godach tego rodzaju nie należy być zbyt łakomym. Trzeba oszczędzać ofiary aby dłużéj paść oczy widokiem jéj katuszy tzeba po długiéj igraszcze zadać dopiero cios ostatni, w tém leży cała rozkosz! ale powalić od razu, to nie sztuka.

— Niewolnik Cesona, trzymał się lepiéj rzekł Juba, nie zachwiał się do końca i umarł jak na dzielnego przystało.

— Niech go bogowie zgniotą! ależ on poszedł wysoko — wysoko! i rozśmiała się na głos. Tam wysoko ku temu, co oni nazywają błogosławieństwem i chwałą. Piękna mi chwała! no ale teraz nic go już nie dosięże.... A czy rychło skonał?

— Młodzi mordowali go długo odrzekł Juba, jednak to jakoś nie przypada mi do smaku, myślę że ty wypijasz chyba po kwarcie krwi co rano i co wieczór kobieto! skoro masz upodobanie w takich wrażeniach. Co ciebie rozwesela, to we mnie budzi wstręt niepojęty.

— Ha; ha mój chłopcze! zawołała Gurta i ty zasmakujesz w tém nie zadługo, teraz jeszcześ na to zamłody. No i cóż przyniosłeś mi — jakie wieści z Kapitolu? Komuż fortuna sprzyjała szczególnie a od kogo się odwróciła? Z któréj strony wiatr wieje? Czy zaszły jakie zmiany w obozie? Ten Decjus nie utrzyma się długo pewna jestem.

— Wszyscy zdają się okrótnie przerażeni odparł Juba, tem, że rząd nie dość silnie tępi chrześcijan. — Radziby z gruntu podciąć chrześcijaństwo i wykarczować go ze szczętem. Trzebaby im teraz złapać kilku chrześcijan i skazać ich na śmierć; ja zaś myślę że znaleźli już czego chcieli: dodał zamyślając się widocznie. Muszą okazać, że gorliwość ich odpowiada zapałowi ludu. Szkoda że tak mało jest chrześcijan, a co nie prawda matko?

— Tak, tak odparła, ale mało czy wiele musimy ich zgnieść zetrzeć na miazgę. O dokażemy swego dokażemy; A Kalistę nasamprzód.

— Nie wiem w czemby oni gorsi byli od wszystkich ludzi rzekł Juba, chyba w tém że tchórze. Jeśli Kalista zostanie chrześcijanką czemużbym i ja nie poszedł w jéj ślady? miałaby ze mnie towarzystwo a ty byś miała nową uciechę matko.

— Nie, nie mój chłopcze! przerwała czarownica, ty powinieneś służyć memu panu. Teraz idziesz za własną wolą — ale kiedyś ogorzeją ci piórka. Trzeba żebyś pracował w wesołém kole moich towarzyszów. — Choć tu moje dziecię dodała matka z przymileniem, chodź niech cię pocałuję.

— Schowaj lepiéj pocałunek dla swoich małp, kóz i kotów, odparł Juba, ja nie lubię pocałunków twoich kobieto! Mój pan powiedziałaś... co ty mnie gadasz o twoim panie? Ja nie chcę znać pana, nie chcę być sługą niczyim. Nie będę podłym najemnikiem, nie pochylę karku przed nikim, przed nikim nie zadrżę. Rób jak chcesz Gurto — jam człowiek wolny. Nazywam cię matką przez grzeczność, otóż i koniec na tem.

Gurta wlepiła w syna wźrok dziki. —

— I czemuż zapytała nie chcesz zostać pobożnym i cnotliwym Jubo? Pięknyby z ciebie był święty! mógłby posłużyć za wzór do obrazu.

— Ha i czemużbym nie został, gdyby mi przyszła wola, odrzekł Juba. Gdybym miał koniecznie służyć komu, wolałbym zawsze służyć chrześcijanom, niż przyjacielowi twemu. Nie potom porzucił pana — abym się oddał w ręce sługi.

— Nie bluźnij wielkim bogom! — zawołała, nie wywołuj ich pomsty.

— Powtarzam ci rzekł Juba, jeżeli mam całować ziemię nie wybiorę téj, po któréj stąpał twój przy-

jaciel. Prędzéj pójdę w ślady brata, niż w twoje ślady Gurto.

— Agelius! zawołała z niezrównanym wstrętem. Ha! nic mi jeszcze nie mówiłeś o bracie. No i gdzież on jest — czy pod ziemią czy też w brzuchu dzikiéj hieny?

— On żyje — odparł Juba, ale nie miał odwagi okazać się chrześcijaninem. Ukrywa się w domu stryja!

— Ha! Jukundus go zgubi, wtrąci w rozpustę, a potém zobaczymy jak radzić. Nie, nie nagle rzekła Garta — trzeba żebyśmy go mieli z duszą i z ciałem.

— Nikt go nie dotknie, choć on taki nikczemnik! zawołał Juba. Gardzę nim, ale mu nie dam żadnéj wyrządzić krzywdy.

— Zrobię, co zechcę przerwała Gurta zgniewana. Wiesz dobrze, iżbym mogła w proch zetrzeć was obu — gdyby taka była moja wola.

— Ale nie pytasz mię o Kalistę? odrzekł Juba. To w saméj rzeczy żart wyborny; a jednak niema wątpliwości że siedzi w więzieniu jako chrześcijanka. Wystaw sobie matko, że ją pojmali na ulicy, osadzili pod strażą i powoływali już do sądu. Widać ztąd że im koniecznie potrzeba chrześcijanina, aby się zasłonić przed zarzutem. Gotowi ją trzymać w więzieniu dopóki Decjus nie ustąpi z widowni!

— Niech ją furje porwą! zawołała Gurta, ona chrześcijanką mój synu, nie darmo to tyle razy mówiłam.

— Kalista chrześcijanką! odparł Juba, nie myślisz tego matko! Zobaczysz niech się tylko porozumiem z Ageliuszem, pewien jestem, że oboje o czem innem myślą nie raju.

— I stary ksiądz w więzieniu z nią razem rzekła Gurta, jeśli go jeszcze nie wrzucili do dołu.

— Twój pan oszukał cię na ten raz niewiasto odrzekł Juba.

— Gurta rzuciła nań dziki wzrok jakby czekała odpowiedzi. Juba tymczasem zanucił zwykłą piosnkę:

I błaga i pieści
Daremnie i długo,
Przemocy niewieściéj
Nie będzie on sługą. —

Gurta prawie dusiła się od gniewu. Przecież Cypryan nie wyratował się rzekła nakoniec.

— Ja sam uratowałem go, odpowiedział Juba odważnie. Cień czarny jak Erep zapadł na lica czarownicy, ale już nie rzekła ani słowa.

— Moja matko, mówił daléj, ja chcę być sam sobie panem, chcę zwyciężyć twoją chęć panowania nademną, już nie jestem dzieckiem, chociaż mię jeszcze tak nazywasz, chcę działać podług mojéj własnéj woli. Tak, ja zachowałem Cypryana a ty jesteś stara furya spragniona krwi, któréj znam sprawki tajemne, czyż nie widziałem niedawno jakeś męczyła to małe dziecko? Nie, ja nie lubię takiego postępowania, zabiłaś go, dla wyjęcia wątroby na jakieś tam czary,

lecz z jakąż rozkoszą wymyślałaś coraz nowe udręczenia, jak się karmiłaś widokiem jego cierpień.

Gurta milczała ciągle, w twarzy jéj molował się najstraszniejszy wyraz złości. Nagle zagwizdała ostro.

— O tak rzekł Juba, widziałem cię w téj ślicznéj sprawce, stara czarownico, nie, ja nie jestem z twojéj krwi, chociaż mię nazywają twoim synem, nie lękam się ciebie dodał, uważając wyraz jaki przybrały jéj rysy, nie, nie boję się czarta nieśmiertelnego. — I daléj znów kończył swoję piosneczkę.

Podczas kiedy mówił i śpiewał, zagwizdanie Gurty zrobiło skutek i widmo straszne ukazało się z pod ziemi, jakby oczekując na jéj rozkazy. Skinieniem swojém stara czarownica popchnęła je na syna, mówiąc, masz. A świech szatański towarzyszył tym słowom.

Juba uczuł jakby wstrząśnienie elektryczne i stał przez chwilę nieruchomy, ale wkrótce odwrócił się i zszedł ku dolinie pogrążony w wielkim niepokoju. Tu usiadł, ale nagle znów powstał wydając krzyk przeraźliwy i zaczął biedz z całéj siły, a wśród tego biegu głos jakiś wewnętrzny, który słyszał w sobie nie ustawał brzmieć ani na chwilę, dążył przez zarośla gniotąc nogami wijące się gałęzie i przestraszając krokami swojemi ukryte tam ptaki i zwierzęta. Nakoniec zatrzymał się znów dla uchwycenia tchu i wówczas zdawało mu się że słyszy wyraźnie wymawiane w sobie słowa: bezemnie nie uciekniesz! Wtedy ogarnęła go straszna trwoga i padł na ziemię zemdlony.

Kiedy wrócił do siebie uczuł w sobie jakby dwie osoby, jakby obcą sobie wolę, która kierowała jego krokami; ta to wola rzuciła go w wodę głęboką, którą ujrzał przed sobą, pomimo skał sterczących i ostrych kamieni. Wyszedłszy z téj kąpieli podarł w kawałki tunikę przylegającą do ciała i przymocowaną pasem. Chłód wody i wiatru nocnego uspokoił go cokolwiek dozwalając użyć chwilowéj przechadzki, władza jednak poruszająca go w sposób tajemniczy nie ustawała działać, przychodziły mu do głowy myśli, na usta wyrazy wbrew jego woli, które szczególnem zdarzeniem budziły w jego sercu uczucia dotąd mu nieznane: wstrętu i trwogi. Wgłębi duszy wierzył on zawsze w Boga, ale zdawało się że teraz wiara ta nabrała większéj mocy i przekonania, czuł on Boga jak gdyby go widział, czuł, że są duchy dobre i złe i o ile kochał pierwsze, o tyle nienawidził drugich a jednak widział się widocznie ofiarą jakiéjś strasznéj potęgi.

Tymczasem noc nadeszła, i miesiąc jaśniał na niebie, Juba zapuszczał się coraz bardziéj w głębie lasu, zdawało mu się, że drzewa same usuwają się przed nim i wydają jakieś jęki w miarę jak on przesuwa się koło nich, wkrótce biedny młodzieniec wmówił w siebie, iż one patrzą na niego i cieszą się z jego nędzy. Szczęśliwe twory, myślał, one nie otrzymały żadnego daru, któryby mogły stracić lub którego mogłyby nadużyć, zachowują téż zawsze godność i doskonałość swojéj istoty. Nocne ptastwo trzepotało się po gałęziach, gady uciekały na odgłos kroków czło-

wieka, sowy i niedoperze, kruki, wrony, koty dzikie i małpy otaczały go ciągle usuwając się przed nim zwolna, i jakby przypatrując mu się z ciekawością.

Już przebył krawędź lasu i zaczął wdzierać się na miejsca górzyste. Żadna wysokość go nie utrudzała, zdawało się, że mu nowa przybyła siła, biegł z szybkością nadludzką poruszając rękami jak człowiek upojony winem lub miotany gwałtowną namiętnością. Ryk dzikich zwierząt rozlegał sią w około odbijając się o wąwozy drzewami zarosłe, które przerzynały skaliste przestrzenie, ale to wszystko nie przejmowało go żadną trwogą, rzekłbyś, że czuje w sobie siłę do walczenia z temi olbrzymami pustyni i w istocie czy to skutkiem gwałtownego wzruszenia, które postać jego czyniła tak odmiennie nakaźną, czy też skutkiem jakiéjś niepojętéj mocy, lwy, lamparty, hyeny, szakale, dziki i wilki przechodziły około niego spokojnie lub też leżały nieruchomie w legowiskach, w których je zastał. Przeskakiwał skały i przepaście z zręcznością prawie bajeczną. Już przebył górę i stanął na drugiéj stronie, ani krzaki kolczaste, ani bagna, ani gwałtowne potoki, ani skały spadziste nie mogą go zatrzymać w biegu, stoi właśnie na wysokości pagórka, u stóp którego płynie spokojnie széroki strumień, a to właśnie w chwili, kiedy pierwszy brzask słońca niepewne rzuca światło. Przed nim rozwija się wspaniały krajobraz, który coraz więcéj nabiera wdzięku i rozmaitości w miarę jak rośnie światło promieni dziennych. — Mnóstwo drzew laurowych, ozdobnych w różne

kwiecie, otacza rzékę znacząc jéj bieg daleki, pochyłość pagórka pod jego stopami z obu stron zarosła jest drzewami owocowemi, które tworzą jakiś gęsty i nieprzebyty labirynt, jest to jakiś sad naturalny złożony z dzikich oliwek, granatów, drzewa cytrynowego, daktylowego, z morwy, brzoskwiń, jabłoni i nakoniec drzew orzechowych. Nad brzegiem wody gaje palmowe, kołyszą swoje długie gałęzie w pełnych gracyi splotach układających się pod ręką porannego zefiru, szerokie aleje wspaniałych ostrokrzewów prowadziły do rozruconych w około a pełnych wdzięku wiosek, lub wytwornych domów letnich, z murawy zielonéj rozciągającéj się w głębi wychodziły tu i owdzie trzody, owce ze swymi pasterzami uwydatniając się coraz bardziéj przy świetle jutrzenki, z innéj strony grunt wznosił się szybko w pagórki uwieńczone to kasztanami, to cedrem i drzewem akacyi, to dębiną, białemi topolami, drzewem terpentynowém i roszkowém wydającém chléb świętojański, nakoniec jałowcem fenickim na którego wierzchołkach wił się chmiel pasożytny, a latorośle mirtu okrywały pień i korzenie. Obfitość kwiatów dzikich zaścielała ziemię ze wszech stron. Juba patrzał na ten przecudny krajobraz przy wschodzącém słońcu z sercem pełném gniewu i nienawiślnych uczuć, jak kiedyś szatan patrzał na światło dzienne raju. Milsze mu były twarde skały i pola poniszczone przez szarańcze, jako będące w większym związku z dziwnym stanem jego umysłu; chciałby uciec od tego widoku i wrócić w stronę z któréj

wyszedł, ale to nie było w jego mocy, jakaś siła niepojęta pchała go ciągle naprzód, porwany był jakby gwałtem na łono téj natury jaśniejącéj pięknością i szczęściem, która mu lepiéj jeszcze dała uznać jego wewnętrzne wzburzenie. Chcąc czy nie chcąc musiał iść a cała moc jego woli ograniczała się tylko na wyrobieniu w sobie spokoju i rezygnacyi, z jakiémi stawiał się do tego niepojętego w sobie popędu, zagłębił się więc w gęstwinę, skąpał się tam w rzéce i znów rozpoczął drugi dzień trudu bez przerwy i celu. Psy najśmielsze z wiosek uciekały przed jego gwałtownym biegiem, zwierzęta domowe prowadzone na rzeź do miasta, stawały nagle zdziwione jego widokiem, ptaszki ze świetnemi barwami, niebieska sroka i złota wilga — kryły się w gałęzie lub zarośle, zlęknione bociany te wieszcze domowe ptaki, przerywały swój krzyk przenikający na szczytach drzew, lub na wieżach domów, gdzie zbudowały swoje gniazda, nawet płazy uciekały przed nim z przerażeniem, a robotnicy zatrzymywali się przy robocie w polu, aby się przypatrzyć nieszczęśliwemu, którego furje goniły.

Godziny upływały jedne po drugich. Słońce dosięgało swego zenitu i zaczęło się spuszczać, ale bieg przyspieszony Juby nigdy się nie kończył. O cóżby nie dał, żeby mógł mieć choć pięć minut snu i spoczynku! Cóżby nie dał żeby ugasić palące go pragnienie, ale jakaś siła nadludzka rządziła jego poruszeniami a chociaż członki dręczone były bólem i zmęczeniem moc ogólna nie upadała. Nagle jakby w sku-

tek téj wewnętrznéj walki objawiło się w nim jakieś dzikie obłąkanie, biegł tańcząc i śpiewając w cały głos towarzysząc pieśni swojéj najdziwaczniéjszemi gestami. — Wszedł do chatki stojącéj na drodze i takie straszne miny pokazywał dzieciom, że jedno z nich popadło w konwulsye, następnie porwał inne i uciekł, a widząc że go ścigają wieśniacy rzucił im dziecko mówiąc: *macie* — widocznie pod wrażeniem dziwnych słów Gurty... to mianował się Panteuszem królem Teb, zabierając się do obchodzenia bachanalij i zaczął deklamować chóry greckie z biegłością jakiéj dawniéj nie posiadał.

Znów zbliżał się dzień ku zachodowi, biedny młodzieniec stanął w gaju poświęconym, gdzie właśnie mieszkańcy wiejscy obchodzili święto na cześć bożka Pana. Brzydki ten bożek z ustami otwartemi z czołem rogatém i z nogami kozła, stał w altanie zielonéj na prędce zrobionéj a przed nim leżał baranek świeżo zabity a wieńce kwiatów pokrywały go w około, wieśniacy z żonami swemi i dziećmi tańczyli przed bałwanem, kiedy nagle wśród nich stanęła ta postać wychudła, obłąkana i prawie dzika mieszając się do ich tańca. Ruchy jego były tak szczególne a skoki tak gwałtowne, iż w krótce przerwali swoje igrzyska, aby mu się przypatrywać raczéj z trwogą niż z ciekawością. Potém zdawało się jak gdyby widocznie prowadził jaką walkę z samym sobą i w skutek téj walki drżąc od wstrętu położył się kornie przed bał-

wanem, ale zaledwie to uczynił szlachetna natura ludzka widocznie oburzyła się w nim na tę obrazę swéj godności i stanął śmiało, odskoczył daleko, a potem rzucił się na bożka połamał go w kawałki pierwéj jeszcze nim patrzący zdołali wyjść z podziwienia.

Jeszcze jedna noc straszna i bez spoczynku wśród obszarów pola... ale zdawało się że już kara wolniała obłęd coraz stawał się słabszym a czyny Juby nabierały coraz więcéj charakteru ludzkiéj i skutecznéj woli. Kiedy nadszedł dzień znalazł się na drodze do Sikki, piękny widok miasta przedstawiał się jego oczom. Stanął przed chatą i ogrodem brata, ale to już była rujna, drzewa wyrwane z korzeniem, płoty poniszczone, a mieszkanie ogołocone ze wszystkich sprzętów. Szedł więc daléj ku miastu wołając: Ageljuszu! Ageljuszu! Brama właśnie była otwarta, przeszedł Forum spiesząc do domu Jukundusa, mało jeszcze osób pokazywało się na ulicach dla zbyt rannéj pory, jedném spojrzeniem zmierzył wysokość muru, wdarł się nań dopomagając sobie gzymsami i innemi wypukłościami mularskiemi, stanął na szczycie zkąd zsunął się zwolna po dachówkach na podwórze znajdujące się pośrodku domu. Wtedy wszedł po cichu do pokoju gdzie spał Ageljus a obudziwszy go imieniem Kalisty, zarzucił tunikę na jego ramiona, dał mu bóty w ręce i kazał iść w milczeniu za sobą. Widząc iż się waha powtórzył znów łagodnie imie Kalisty a nareszcie pochwycił go za rękę i poprowadził. Tu otworzył drzwi

na ulicę i ruchem ręki które było raczej uderzeniem niż pożegnaniem wyprawił na miasto. Wtedy zaryglował na nowo drzwi za Agel juszem i położył się w łóżko, które tamten opuścił. Jego dobry Anioł widocznie wstawił się za nim do Boga, gdyż pokój powrócił zbłąkanemu i zasnął snem głębokim.

XXIV.

Młoda branka.

Nie wątpimy, że imię Kalisty i Ageliusza nie jest obojętnem czytelnikowi i że go dalsze koleje ich losu żywo obchodzą. — Opowiemy tu je obszernie po niepewnych i ogólnych wieściach jakich nam Juba i Jukundus udzielili.

Opuszczając tak śmiało chatkę Ageljusza i wychodząc naprzeciw napastnikom, Kalista zbyt rachowała na okoliczności przyjazne jéj bezpieczeństwu. Umiała ona wprawdzie język łaciński i mogła rozmówić się z ludem który w większéj swéj części mówił tym językiem, ale go nie umieli mieszkańcy wsi okolicznych, którzy tłumami zebrali się w mieście, w tym dniu zamięszania.

Dwaj ludzie, którzy ją naprzód spotkali nie rozumieli ani po łacinie, ani po grecku. Byli oni z rasy zwanéj Chananejską, pełni okrucieństwa i sił olbrzymich jak ci synowie Enaka o których mówi Pismo

święte. Nie troszcząc się ani o drogi ani o zagrodzenia, weszli na pagórek ścieszką najkrótszą a oddzieliwszy się od tłumu, który dążył główną drogą, dosięgli pierwéj nierównie chatki młodziana.

Kalista nie rozumiała ich, równie jak od nich nie była zrozumianą, chociaż postać jéj jednak mogła przemówić za nią. Porwali ją bez wahania jako zdobycz im należną i ponieśli do Sikki. Powrót ten ich odbył się tą samą ścieszką, którą szli pierwéj, nie przez bramę Septimiusza; ale przez inną bardziéj na południe prowadzącą; była to okoliczność prawdziwie opatrzna dla Kalisty; gdyż inaczéj rzucona w straszne zapasy walki i rzezi byłaby zginęła niezawodnie.

Olbrzymy te więc niosły Kalistę na ramionach skacząc i tańcząc ze swoim ciężarem jak gdyby nieśli koszyk kwiatów. Tu spotkała ich policya stojąca na czatach przy wejściu.

— Złożyć tę zdobycz hultaje, krzyczeli na nich swoim twardym językiem kartagińczycy; Na co ona wam może się przydać i jak się w ręce wasze dostała?

— Wasza wysokość wiedzieć raczy że nasz więzień wzięty jest w jednéj z tych jam — w których ukrywają się chrześcijanie — odpowiedział olbrzym, nie chcąc pomimo swéj atletycznéj siły walczyć przeciw dwunastu ludziom uzbrojonym. Niech żyje Cesarz! nauczymy my ją jeść głowy ośle i zadawać ludziom choroby. — Znalazłem ją w zgromadzeniu chrześcijan.

To z pewnością jest czarownica a skoro tak — wie ona co ją za to czeka.

— Puść ją pijane bydle rzekł naczelnik straży — stojąc zdala od olbrzyma, nigdy nie uwierzę, aby kobieta mogła zostać chrześcijanką, a tym mniéj jeszcze dziewica tak młoda, — a nawet teraz kiedy się jéj przypatruję przy świetle lampy, poznaję w niéj kapłankę jednéj świątyni. —

— Bo ona umie przybrać postać jaką chce, wydać się młodą lub starą — odrzekł tamten — widziałem ją jednéj nocy — miesiąc temu, niedaleko Madaury, błąkającą się wpośród grobów w postaci kotki białéj.

— Odstąpcie obadwa w imię Sufetów [1]) Sikki i magistratury miasta — a dozwólcie działać prawu.

Ale Chananejczycy nie spieszyli się ze spełnieniem rozkazu, obie więc strony nie chcąc rozpoczynać walki weszły w ugodę.

— Tak rzekł naczelnik straży — trzeba szanować prawo i utrzymywać pokój. Przyjaciele moi, musicie się poddać sędziom — ale ponieważ ją już niesiecie — więc nieście daléj, zgoda, będzie to nawet oszczędzeniem trudów dla nas. Pójdź dziecko z nami, jesteś naszym więźniem — będziesz się mogła bronić tam w karczmie. Niech żyje Decjus, niech ży-

[1]) Sufety byli urzędnicy obierani co rok lub dożywotnie we wszystkich miastach Fenicyi oraz w osadach fenickich i kartagińskich. Nazywano także Sufetami pierwszych urzędników rzeczypospolitéj Kartagińskiej — byli oni wybierani co rok jak w Rzymie.

je nasz pobożny Cesarz niech będzie szczęśliwy na wieki, niech żyje to miasto starożytne i municypalne [1]). Miéj odwagę córko moja! i śpiéwaj nam strofy pieśni w czasie naszego pochodu, — gdyż daję gardło, że umiesz wywodzić śpiewy słodkie jak smak manny. —

Kalista milczała zachowując jednak spokojność i pilnując bacznie okoliczności mogącéj jéj ucieczkę ułatwić. Zbliżali się do Forum gdzie było bióro policyi jakbyśmy dziś nazwali; ale tam nie doszli spokojnie. Siła zbrojna nie była liczną w Sicce, — większa jéj część stała przy bramach, reszta przebiegała miasto — w sposobie patrolu. Orszak nasz spotkał kilku — a między niemi znalazł się na szczęście jeden oficer wyższy, którego znała Kalista, gdyż był przyjacielem jéj brata. Poznawszy go nie omieszkała prosić o po-

---

[1]) Municypalny po łacinie municipium, był to tytuł nadawany miastom Cesarstwa, którego mieszkańcy brali udział w prawie mieszczan rzymskich, chociaż stanowili ludność miast osobnych, przez to różniły się te miasta od innych ściśle zależnych od stolicy. Długo rozróżniano dwa rodzaje miast municypalnych, tak jak które miały prawo głosowania i te które były pozbawione tego głosowania posiadały dwa zgromadzenia osobne, senat ufundowany przez Rzymian i Kurją, która odpowiada temu, co nazywamy dzisiaj radą municypalną czyli radą gminną. Naprzód były tylko miasta takie w Lacjum i we Włoszech później pomnożyły się i w innych prowincyach także.

moc. Panie rzekła — ratuj! ratuj! Kalfurniuszu — złoczyńcy ci unoszą mię z sobą.

Trybun poznał natychmiast jéj głos. Jakto — zawołał zdziwiony, to ty piękna greczynko! Stojcie podli zbrodniarze, złóżcie ją natychmiast jeżeli nie chcecie żebym wam strzaskał głowy tym mieczem. —

Nie można było walczyć z nakaźnym głosem Rzymianina, ale szybkie posłuszeństwo rzadką jest rzeczą, złożywszy więc dziewczę, znów zaczęli wchodzić w układy.

— Szanowny Panie, rzekł urzędnik, ona jest naszym więźniem. Niech was Jowisz zachowa Bachus i Cerera niech was błogosławią panie trybunie i niech żyje Cesarz Decjus w tych czasach nieszczęsnych. Ależ ona należała do buntu — ona była przewodniczką — to jest chrześcijanka a do tego czarownica.

— Wstrzymaj twój język — zwierze — zawołał oficer albo wpakuję ci pikę w gardło: Złóż tę dziewczynę powiadam ci — czyż mam ci jeszcze powtórzyć. Lucjuszu rzekł do swego żołnierza, kopnij go nogą i przyprowadź tu tę dziewczynę.

Puszczono nareszcie Kalistę, ale ajent policyi rozgniewany postępowaniem jakiego doznał i pełen żółci na Kalfurnjusza, który był sprawcą wszystkiego, rzekł złośliwie: — Pamiętaj co czynisz szlachetny panie, to na nas nie spada, ale sam możesz drogo za to przypłacić. Cesarz jest zawsze Cesarzem, edykt edyktem, a chrześcijanin chrześcijaninem. Nie wiem co o tém powiedzą w rządzie — ale to do nas nie należy. —

Oddaliwszy sie jeszcze nieco — tak daléj mowił śmiało żeby go żołnierze mogli dosłyszéć: Pamiętajcie że ta dziewczyna jest kapłanką chrześcijańską — zatrzymano ją w zgromadzeniu chrześcijańskiém, kiedy składali ofiary z osłów, i z dzieci, na zgubę Cesarza i wiernych jego poddanych z Sikki; a wy przeszkodziliście mi w spełnieniu mego obowiązku, mnie urzędnikowi policyi. — Zobaczycie czy nie wróci zaraza i wszystkie larwy [1]) i manje, — które nas dręczyły.

Mowa ta zatrwożyła nieco Kalfurnjusza jak właśnie tego pragnął policyant. — Nie mógł on uwolnić Kalisty w obec takiego zagrożenia — wiedział jaką zgrozę obudzało wówczas imię chrześcijanina — i jak silnie rząd postanowił dążyć do ich wytępienia. Był on dobrym żołnierzem: wiernym swym przełożonym i nie chciałby się narazić na ich niechęć a bardziéj jeszcze postawić świadków swego czynu w możności szkodzenia mu u władzy. —

---

[1]) Starożytni dawali nazwę larw duchom złośliwym, które podług nich lubią przestraszać i dręczyć ludzi; są to duchy ludzkie tych, którzy za życia byli złośliwemi na świecie, mniemali oni także, że każdy kto umierał śmiercią gwałtowną lub nie otrzymał pogrzebu, — stawał się po śmierci larwą. Manje u Greków były to bóstwa piekielne takie same jak furje. U Rzymian były to osoby bajeczne wyobrażone zawsze z maskami, któremi straszono dzieci, nazywano także często larwy manjami.

Zaklął więc tylko i rzekł do swoich: — Skoro tak, to zaprowadzimy ją przed tryumwirów. A ty gwiazdo Hellady [1]) nie lękaj się niczego, skoro cię zobaczą, uwolnią natychmiast. I po tych słowach rozpoczął pochód ku Officium. [2])

Ale duch przewodniczący temu trybunałowi nie był wcale tak łaskawym jak mniemał młody trybun. Czy to z powodu, że tam nie lubiono władzy wojskowéj, czy to że wzburzenie świeże obudziło ostrożność, czy nakoniec z nienawiści dla chrześcijan usposobienie okazało się tak nieprzyjaznem Kaliście, iż Kalifurniusz szczérze żałował, że jéj nie zaprowadził raczéj do obozu. Teraz zaś nie pozostawało mu już nic, jak żostawić dziewicę w rękach władzy, która postanowiła nazajutrz stawić ją przed sądem.

Nadszedł nakoniec dzień ten — nie dowiedziała się ona wyroku, gdyż odłożyli go do drugiego posłuchania — pozwolono jéj tylko oznajmić bratu o swém uwięzieniu.

Tenże przybiegł niebawem i po krótkiéj rozmowie wyszedł rozgniewany mówiąc, iż siostrę widocznie

---

[1]) Hellada był to mały kawałek ziemi w Tessalii na północ wyspy Othrys później rozciągnięto tę nazwę do całéj Grecyi.

[2]) Nazywano otficjum trybunał urzędników municypalnych miast zostających pod władzą Rzymu.

oczarowano, a lubo nie umiał nawet powiedzieć, co go najbardziéj w widzeniu tém przeraziło; fakta jednak mówiły wyraźnie, że musiała być bardzo skompromitowaną, kiedy nowe posłuchanie zostało rozkazane na dzień następny.

XXV.

Bolesne zwierzenie się.

Gdyby pióro mogło skreślić ulotnie obraz choroby umysłowéi Juby, znalazłoby istotnie pole do zabawnych opowiadań z powodu zadziwienia Jukundusa, kiedy tenże znalazł drugiego siostrzeńca swego na miejscu pierwszego, oraz z przerażenia w jakie go stan Juby wprowadził. — Wzywał on na świadków cudownego Jowisza, Junonę, Bachusa, Cererę, Neptuna, Merkurego, Minerwę i nakoniec wielką Romę, potem odwołał się do bogów piekieł Plutona i Prozerpiny, aż do Cerbera samego. Ale pomimo tych wszystkich potęg Olympu — cud istniał przecież, stał przed nim i takie zrobił wrażenie na systemacie nerwowym starego kupca, że po raz pierwszy położył się spać bez wieczerzy i bez wesołych libacyj.

Trudnoby nam było powiedzieć jaki powód sprowadził tam Jubę i zdziałał zamianę, która tak zaniepokoiła jego stryja i nie wiemy również dla czego wy-

mawiał imię Kalisty. Pragnąłże szczęścia dla niéj lub zguby Ageliusza? Jest to tajemnica którą zostawiamy domysłom czytelnika. To tylko jest pewne — co również nie rzuca wielkiego światła na całe to zdarzenie, że skoro wyszedł z domu Jukundusa widziano go tarzającego się i rzucającego przy więzieniu Kalisty, a to z taką gwałtownością że aż nakoniec zwrócił na siebie uwagę Apparitora, który przerażony jego dziwną postacią, posłał po kilku swych towarzyszy i wraz z niemi wypędził niepotrzebnego gościa, młodzian wyniósł się też bramą zachodnią i zniknął w pośród gór i wąwozów.

Wszystko to czynił ten nieszczęśliwy bez zamiaru zrobienia przykrości stryjowi a jednak ten ostatni cierpiał istotnie; Juba był dla niego jak stracony. Agelijus zostawał jeszcze w większém niebezpieczeństwie i wszystko zdawało się potwierdzać że złączywszy się z członkami swéj sekty — nie powróci już nigdy do swoich. Tém tylko pocieszał się biedny starzec iż może synowiec jego tym sposobem uchowa się od śmierci okropnéj, w przeciwnym zaś razie oprócz straty młodzieńca groziła i jemu smutna konieczność opuszczenia tego miéjsca i całego Prokonsulatu. A Kalista! jakaż jéj szkoda — gdzież znaleść artystkę, któraby, ją mogła zastąpić! Ona była duszą jego zakładu. Cały więc horyzont zaciemnił się około starego fabrykanta statuek. Śmieszną w istocie było rzeczą widzieć twarz jego zwykle pełną i wesołą dziś tak nagle zbladłą i posmutniałą.

W dzień zniknienia Ageljusza i w poprzedzającym dniu badania Kalisty Jukundus siedział w oknie, które zdawało się obejmować go jakby w ramki dla oka przechodniów, kiedy nagle Aryston przerwał jego zamyślenie wbiegając do sklepu pod wrażeniem niérównie cięższéj boleści. Był on już wczoraj, ale nieszczędził sobie pociechy w wylaniu poufném trosk swoich, dziś przybiegł i rzewnie wylewał łzy przed starcem. — Rozmowa jednak nie szła im wcale — „poruszała się wolno — jak mówi poeta angielski — spadając z ust ich jak ogień gasnący.“

— A cóż rzekł Jukundus?, pewno się u ciebie nie pokazał.

— Kto?

— Ageljus.

— Ageljus — nie, niema go u mnie: a potem po chwili milczenia dodał, a dla czegóż miałby tam być? —

— Nie wiem sam, myślałem tylko — że toby mogło być — ponieważ wyszedł dziś rano.

— Doprawdy? Nie wiem nic o nim, skądże on się znalazł u ciebie?

— Ach! mówiłem ci wczoraj — ale zapomniałeś — że go zamknąłem u siebie — ale on uciekł i pewnie już niepowrotnie.

— Jakto?

— A brat jego oszalał — zupełnie oszalał —

— Takim go zawsze znałem — odpowiedział Aryston.

— Tak, to prawda, ale teraz gorzéj jeszcze. Furje opanowały go przez zemstę, wściekły jest — mieć dwóch takich chłopców — obydwóch widzieć szalonych! — ach to wina ich ojca. —

— Myślałem, że zechcesz się co dowiedzieć o mojéj drogiéj i słodkiej Kaliście! rzekł jéj brat.

— Ach! tak chciałbym istotnie, na Eskulapa! oni wszyscy troje oszaleli.

— Tak! — to także szaleństwo — zawołał Aryston z uniesieniem.

— Świat cały dostaje obłędu — odrzekł Jukundus, który widocznie ożywiał się rozmową. —

— My wszyscy tracimy rozum — całe miasto także. Ach! czyż to nie szaleństwo, nie zwierzęcość to co oni wyprawiali przez te trzy dni; zamknąłem okiennice a ty czy widziałeś ich — czy zaszli od twojéj strony? a to wszystko o kilku nędznych chrześcijan i o mego biednego Ageljusza! Cóż może szkodzić dwóch lub trzech ludzi — chociażby najgorszych — wszakże ich łatwo zgnieść. Co innego w Kartaginie, — z resztą niech połapią przewódców — niech ich ukarzą dla przykładu, — ale winni właśnie zemknęli — a biedne nasze dzieci cierpią.

Ariston znękany swoją boleścią — nie miał nawet przytomności do rozważania poglądów pół politycznych Jukundusa, który téż tak daléj mówił. —

Nie, nie! powtarzam — wszystko się popsuło. Cesarstwo upadnie, zapisz sobie te moje słowa, jeżeli dozwolą żyć swobodnie tym zwierzętom, — potem już

będzie za późno. Decjus sam nie poradzi — nie ma już bezpieczeństwa dla nikogo. Bądźcie zdrowi, ja odchodzę, gdyż niebawem dostanę się do więzienia jak biédna Kalista — jak ona nie będę umiał nic powiedzieć na moją obronę. —

— O droga, nieszczęśliwa Kalista! zawołał jéj brat.

— Och! tak — mówił Jukundus jakby marząc, jestto słodkie, kochane i nieszczęśliwe dziecko — myślałem że on ją przynajmniéj uratuje — to była moja nadzieja, pragnął bowiem wiedzieć, gdzie ona jest i czy są jakie sposoby uwolnienia jéj. Przekonany byłem, że do niéj pośpieszy, ona zrobiłaby z niego coby chciała, ona go kochała — o tak, kochała jestem tego pewien; — niech staną w obec siebie a rzucą się sobie w objęcia. Ale oni są oczarowani — zanotuj moje słowa — wiem ja grunt tego wszystkiego.

— Och! rzekł Aryston — mnie nie obchodzi ani grunt ani wierzchołek, nie dbam ani o świat, ani o jego losy, — idzie mi tylko o Kalistę. Żebyś wiedział jak ona znosi swoje nieszczęścia cierpliwie — i potok łez polał się po twarzy młodziana.

— Uspokój się uspokój, mówił Jukundus, znacznie już ożywiony rozmową, to być musi, taka jest koléj rzeczy, pamiętasz co mówi grecki tragik, nie, nie mylę się, to komik — Menander.

— Bodaj przepadły w piekle wszystkie tragedje i komedje przerwał Aryston. — Czyż nic nie masz lepszego do powiedzenia, nie maszże słów pociechy

lub współczucia. Jestem obcy w tym kraju równie jak ona, ona zawsze tak dobra, słodka, uprzejma, spełniająca wszystkie moje życzenia z największą uległością! Od dziesięciu lat zostaliśmy sierotami i nie rozłączyliśmy się na chwilę — jestem dwa razy starszy od niéj. Chciała zostać w Grecyi, ale dla mnie porzuciła ojczyznę i przybyła do téj szkaradnéj Afryki. — Na moje rozkazy stawała się smutną lub wesołą, zaparła się woli swojéj, żeby mnie we wszystkiém dogodzić — Och! ona więcéj była warta, niż wszystkie bogi Olimpu, i trzebaż było żeby w Afryce duch złego ogarnął to doskonałe stworzenie i wmówił w nią, że jest chrześcijanką, co jest zupełnem a zupełnem złudzeniem! —

— Właśnie téż chciałem ci powiedzieć co jest tego przyczyną, czyli gruntem. Kalista oszalała. Agelijus także, — Juba także, — Strabon był równie szalony, — ale to mu zadała jego żona Gurta. — Wejdź, wejdź Korneljuszu! prosimy, zawołał, widząc że ten przechodzi ulicą, wejdź i pociesz nas jeżeli podobna.

Korneliusz odpowiedział że wyjeżdza za kilka dni i śpieszy oznajmić to przyjacielowi, zanim przyjdzie do niego na pożegnalną wieczerzę.

— Oto mi grzeczność — odpowiedział Jukundus, ale naprzód powiedz mi co wiesz o tém zamieszaniu? Co wiesz o tem wszystkiem co zaszło, gdyż nie wątpię, że w tajemniczony jesteś w zamiary rządu. Czy wiedzą gdzie się znajduje mój biedny Agelius?

Korneljusz nie wiedział nic o zniknieniu młodzieńca a wiadomość ta przejęła go przerażeniem.

— Jakto? byłżeby Agelijusz istotnie chrześcijaninem? rzekł, i to jeszcze w tak niebezpiecznym czasie. Zdaje się jednak, iż mi mówiłeś o jakiéjś młodéj osobie, która go miała zwrócić na dobrą drogę.

— I ona została także chrześcijanką! zawoł Jukundus a po chwili dodał. Ludzie są źli bardzo — o biedne dziéwcze zostało uwięzione przez Tryumwirów i nie wiedzieć jak się skończy ta sprawa!

Korneljusz pochylił głowę i przybrał wyraz tajemniczy.

— Dla czego nic nie odpowiadasz? to twoje milczenie mnie przestrasza, przecież nie myślisz, że spaloną zostanie na stosie? —

Rzymianin milczał ciągle z nadętą powagą.

— Czyżby mieli ją wziąść na tortury? rzekł znowu Jukundus, albo ją wpleść w koło? lub téż jéj słabe ciało żelaznemi szarpać hakami. —

— A jednak sam mówisz, że to zła sprawa; tak — to zła sprawa.

— A czyż nie mógłbyś sam co pomódz zawołał Aryston? — o Korneliuszu — masz tyle stosunków pomiędzy możnymi — ja zrobiłbym wszystko dla ciebie. — Gdyby nawet trzeba stać się twoim niewolnikiem. Alboż to prawda? ona jest taką chrześcijanką — jak Jowisz chrześcijaninem. — Przecież nie wygląda na to, żadnego podobieństwa ani w ubiorze ani w układzie — to Greczynka od stóp do głów, świetna

jak dzień. — Ach czemuż jesteśmy w obcym kraju, gdzie nam brakuje przyjaciół — zginiemy! i biedny młodzieniec rwał sobie włosy z boleści. —

„O Korneljuszu! mówił daléj, jeżeli możesz ją uratować, uczyń to — ona będzie ci śpiewać, tańczyć, — ucałuje twoje nogi jak ja teraz całuję“ i rzucił się do nóg Rzymianinowi.

Nigdy jeszcze Korneliusz nie odebrał takiego hołdu, zrazu zmięszał się cokolwiek, ale był widocznie zadowolniony. — Jeżeli twoja siostra rzekł poważnie oskarżoną jest o wyznawanie chrześcijańskiéj wiary, niech tylko przysięgnie na geniusz Romy i Cezara a będzie wolną, — jeżeli zaś nie zechce — przyznasz, iż nie wypada tamować biegu sprawiedliwości. — To mówiąc skłonił się lekko.

— Kiedy ją opanowało jakieś dziwne złudzenie, które niewątpliwie przejdzie, rzekł Aryston, mówi wyraźnie, że nie jest chrześcijanką, czyż to nie powinno być dostatecznem dla sędziów. Kadzideł palić nie chce, ani przysięgać na geniusz Romy, i wręcz wyznaje iż nie wierzy w Jowisza, napróżno jéj przekładam że jest szaloną, że chce zgubić siebie, umrzeć w mękach, ja z nią razem już tracę głowę. —

Gdzież się podziały te czasy, kiedy moja Kalista była tak miłą, wesołą, zajmującą, ona umiała wszystko — malować, grać na lirze, śpiewać, deklamować i zarazem szyć, haftować, jeszcze nie dawno wyhaftowała mi ten oto pas, — Ach! to ten Ageljus narobił

wszystkiego, — daruj Jukundusie ale tak jest i rzucił się na ziemię, załamując ręce. —

— Już mówiłem naszemu młodemu przyjacielowi, żeby starał się panować nad sobą rzekł Jukundus, smutek na nic się nie przyda, ale młodzi nie chcą słuchać rad starszych.

— Jakże więc Korneliuszu, czy nie możesz nic dla nas uczynić?

— Podczas mego tu pobytu poznałem męża głębokiego światła i bardzo zdrowych zasad politycznych, nazywa się Polemon, naucza w świątyni Merkurego. — Rozum jego istotnie sięga do głębi rzeczy, i we wszystkiem zgadzamy się z sobą. — Byłoby bardzo dobrze, żeby Aryston wezwał go do swojéj siostry, on jeden może ją wywieść z obłędu. —

Słusznie, słusznie mówisz! zawołał Aryston porywając się nagle. — Ale ty jeszcze oprócz tego możesz przemówić za nami do władzy, znasz prawie wszystkich wyższych urzędników. — Ci dygnitarze nie mogą chcieć śmierci Kalisty, ale oni są odurzeni, — tyle tu oszukaństwa, kłamstwa, potwarzy, wyświecając to wszystko zobowiążesz równie sędziów jak biedną ofiarę. — Na cóż im się przyda jéj zguba a potém to tylko o czas idzie, za miesiąc nie wątpię, że złudzenie ją opuści, niech nam zresztą pozwolą wyjść tajemnie z miasta, przecież to nikomu nie zaszkodzi. O dla czegóż tu przybyliśmy?

My w Rzymie — rzekł Korneljusz nie rozważamy ani uczuć, ani intencyj, ani pobudek, ani różnic i ża-

dne złagodzenia, obejścia i wyjaśnienia — nie mają u nas wagi. Nam o fakt tylko idzie — o to czy złożono ofiary, czy palono kadzidła — lub nie. Jednakże zobaczę czy nie będę mógł co uczynić i powtarzając to zapewnienie — opuścił stroskanych przyjaciół Kalisty i Ageljusza. —

XXVI.

Trybunał.

Nim słońce zapadnie, los Kalisty roztrzygnie się; ale jakież istotnie jest usposobienie umysłu osoby, która obudza tak żywe zajęcie w kółku jéj znajomych, i co się zmieniło w tém usposobieniu od czasu jak słyszeliśmy ją rozmawiającą z Ageliuszem? Ona sama nie umiałaby nam tego powiedzieć. Z królestwem boskiém dzieje się jak z człowiekiem, który rzucił ziarno w ziemię, czy śpi czy wstaje, noc i dzień ziarno kiełkuje i wzrasta chociaż on nie wie jakim sposobem [1]).

Wprawdzie gdyby rozważyła przeszłość Kalista, mogłaby pojąć wiele tajemnic w sobie. Uznałaby naprzód, iż ponieważ była coraz inszą, musiała się widocznie odbywać w niéj zmiana, jednakże zmiana ta nie objawiła się żadną sprzecznością, następowała zwol-

---

[1]) Św. Marek IV. 26, 27.

na, a zapowiednie jéj piérwsze ziszczały się stopniowo wpływem czasu. — Każdy dzień był niejako dla niéj dzieckiem ubiegłego i ojcem następnego a cel tego pochodu, nie mógł być inny jak ten, który objawił się, zarysował w jéj duszy od razu. Jednak gdyby jéj kto był wówczas zapytał na jakiéj opierała się zasadzie, jaka była jéj logika, w czém mianowicie chce być stałą, — gdyby jéj zapytano czy działa podług rozumu — czy podług popędu i fantazyi lub passyi? — nie umiałaby na to odpowiedzieć. Wiedziałaż bowiem więcéj nad to, że w miarę jak rozmyślała nad tém, co jéj powiedziano o chrześcijaństwie — skłonność ku niemu rosła w niéj widocznie — pojmowała go coraz wyraźniéj, a im więcéj odpowiadał jéj wewnętrznym usposobieniom, tém więcéj przenikała do głębi jego prawdy. Ile razy umysł jéj z całą bystrością przyrodzoną zatrzymywał się nad tym przedmiotem — zawsze widziała w religii chrześcijańskiéj odwrotnie od mitologii i filozofii swego kraju — lub religii politycznéj Rzymian — potęgę powszechną, rzeczywistość i siłę, która może łamać wszelkie przeszkody, odpowiedzieć na wszystkie zagadnienia. — Gdyby jednak potém zapytano jéj się co jest wiara Chrystusa, trudnoby jéj było odpowiedzieć, mogłaby wymienić kilka prawd szczególnych tego wyznania, ale nigdy wyłożyć je dokładnie w całości. Za całą odpowiedź! byłaby zapewne ograniczyła się na tych słowach: Wierzę jako w pochodzącego od Boga samego — w to wszystko, co mi powiedziała Chioni, Agelius i Cecyljus. Ale

właśnie ta jedność — ta zgoda jaka zachodziła między nauką trzech tych osób, tak różnych od siebie, przekonywała ją o jedności téjże nauki. Religia ojczysta oddawna była tylko dla niéj złudzeniem — w filozofii widziała opinie — czuła zaś że istotą religii powinno być wskazanie swego przedmiotu jasne i zupełne. — Religia nie może być bez nadziei — wielbić Istotę, która nas nie zna i nie kocha, to nie stanowi jeszcze religii.— To może być obowiązkiem — może być zasługą; ale Kalista czuła iż religia jest koniecznie odpowiedzią duszy daną Bogu, który się zajmuje tą duszą, który o niéj myśli, musi tam być zamiana miłości albo nie ma nic.

Otóż trzy te osoby, które ją wtajemniczyły w prawdy chrześcijańskie zasadzały właśnie religią na tém uobecnieniu Boga dla serca. — Religia ta jest więc przyjaźnią lub miłością wzajemną, i ona téż od dawna takiéj szukała, o tém jedynie myślała w swoich rozmyślaniach i to téż znalazła z piętnem jedności i niezmienności w zasadach owéj niewolnicy, owego młodzieńca wiejskiego i uczonego księdza. Potężne wrażenie uczynili na jéj umyśle. Rozważając bliżéj te nauki tak szczytne, pojmowała ona — co jéj powiedzieli — że Twórca nieba i ziemi Pan wszechmocny, Istota najwyższa posiadająca wszystkie przymioty jakie jéj przyznaje filozofia, słowem nieskończoność, nakoniec tak ukochała człowieka, w szczególności jéj duszę, duszę biednéj Kalisty, iż zstąpiła na ziemię, stała się człowiekiem podobnym do nas i zniosła wszel-

kie możliwe cierpienia aby połączyć wszystkie dusze z sobą. — Pojmowała iż ta Istota pragnie kochać i być kochaną, iż ten Bóg mógł to wypowiedzieć i wezwać człowieka do téj miłości utrzymując serdeczny stosunek poufności z duszami, które mu się oddadzą.— Oto były jéj myśli o religii chrześcijańskiéj — nie szła ona daléj, ale noc i dzień miała obecne te prawdy, one to popierały sprawę Boga przed Kalistą, poruczały ją nieustannie; napróżno usiłowała je usunąć to niechęcią, to złym humorem, to wątpliwością, one wracały zawsze, dościgły ją pomimo niebezpieczeństw, i hańby jakie z sobą przynosi, one uśmiechały się do niéj, czyniły słodkie obietnice, a stawiając przed okiem dziewicy coraz szérsze widoki, nabiérały jasności siły i dokładności niezmiernéj. Każde zatrzymanie myśli na wspomnienie Chioni lub Ageljusza, wskazywało jéj jakąś tajemną siłę w nich, której ona jeszcze nie posiadała — w ich postępowaniu była prostota prawda, stałość, wzniosłość charakteru, świętość i pokój zupełnie jéj obce. Cecylijusz szczególniéj pozostał w jéj pamięci, w postaci niezatartéj i wymownéj. Pomimo zarzutów jakiemi zakończyła swoją z nim rozmowę,— serce jéj niosło mu cześć głęboką jak gdyby był przybytkiem téj boskiéj obecności, — któréj składał świadectwo tak uroczyste.

O jakże wiele się w niéj zmieniło od czasu jak w padła niejako za karę swéj zuchwałości względem niego w ręce ludzi nieznających ani prawa,, ani wstydu, ludzi, którzy jéj się wydawali o tyle niżsi od niéj

o ile ona czuła się niższą od Cecyljusza. — Po strasznym gwarze ich przekleństw i obelg, jakież żywe uczucie wdzięczności budziło się w jéj duszy dla potęgi niewidzialnéj (lubo pojętéj przez nią jeszcze niewyraźnie) która ją z takiego niebezpieczeństwa wyrwała, dając spoczynek bez hańby przynajmniéj w zaciszy więzienia. — Więcéj jéj w téj chwili nie było potrzeba; świat stał się obojętnym dla dziewicy i pomimo swej młodości pragnęła tylko ciszy na rozważanie tych wielkich prawd, których jeszcze nie rozumiała.

Zbliża się nareszcie chwilą stawienia Kalisty przed sędziów. Lęka się biedna téj chwili, serce jéj jeszcze nie zna tego pokoju, który panuje nad wypadkami — wié ona iż znajdzie się znów w rękach bezbożnych w obec ludzi, dla których niema żadnego współczucia a nigdzie nie widzi oparcia dla siebie. Brat jéj nawiedza ją wprawdzie pełen czułości i słodyczy, ale ona instynktem nieskreślonym, odpycha jego starania jakby już nie była jego siostrą.

Dziś właśnie przez szczególne względy wyrobił sobie wejście i pozwolenie towarzyszenia jéj do sali sądowéj w nadziei, że ją obroni, wyzwoli, zaprowadzi do mieszkania z tryumfem.

— Co znaczy ta postać zmięszana — ta bladość na licach droga siostro?. mówi; czemu ta boleść w oczach? w tych ślicznych oczach, na tych jaśniejących licach, z których tak zawsze byłem dumny, — czy

nie widzisz że przyszedłem cię uwolnić, wyrwać z tych miejsc nieszczęścia, — gdzie nigdy znajdować się nie byłaś powinna i gdzie już nigdy nie wrócisz. O Kalisto co znaczy ta obojętna boleść? mów!

Tak mówił młodzieniec łudząc się dobrowolnie że jeszcze odzyska dawną wesołą Kalistę; ale jakież było jego zadziwienie, kiedy w zamian za te czułe wyrazy, za te ściśnienia ręki — ona wyraziła mu jasno tajemnicze znaczenie jéj niepokoju: „Czas mój już krótki potrzebuję chrześcijanina, księdza chrześcijańskiego“.

Aryston uderzony był jakby nowością wmówił bowiem w siebie, że Kalista nie miała żadnéj skłonności do religii prześladowanéj a teraz złożył ręce i oniemiał prawie. — Gdyby mu była wyznała zbrodnię jaką, nie byłby się równie przeraził, ale wyznanie, że siostra jego własna, ten przedmiot jego pieszczót i najczulszych starań była chrześcijanką — tego pojąć nie mógł, — pod tym ciosem upadły jego siły, — czemuż raczéj nie powiedziała mu że go opuszcza na zawsze aby służyć w świątyni, — że wypiła truciznę, lub dała się ukąsić żmii, — niż wybierać tak straszną śmierć jaka czekała ją, jako chrześcijankę — wyznawczynią téj religii niewolników.

Czas jednak biegnie nie zważając na nasze smutki. Zebrali się już sędziowie, posłuchanie Kalisty miało się odbyć w Bazylice blisko Forum, ale tu potrzeba nam dać niektóre objaśnienia czytelnikowi.

Sędziowie miejscowi mogli tylko wyrokować o pomniejszych przewinieniach, oskarżenia zaś o chrystjanizm pozostawione były władzom rzymskim. Często jednak zdarzało się iż początkowe badania odbywali duumwirowie miasta — a nawet tak zwane dziś trybunały policyjne, mianowicie tam gdzie rozciągała się władza Prokonsularna. Propretorowie [1]) i Prezesi mianowani byli wprost przez Cesarza i łączyli w osobie swojéj przywileje władzy cywilnéj i wojskowéj. Takie prowincye były rządzone sprężyściéj, ale też za to zdarzało się w nich więcéj nadużyć i samowolności, co nieraz wywoływało nieukontentowanie rządzących.

Prokonsulowie zaś byli tylko reprezentantami Senatu i nie mieli władzy wojskowéj w swych rękach.— Takie urządzenie usposobiało naturalnie do wzajemnéj zawiści i walki władz cywilnych z wojskowemi, a z drugiéj strony zbliżało Prokonsulat do Magistratury miejscowéj. — Czytamy np. o Prokonsulu Gordjanie, iż używał wielkiéj popularności w prowincyach Afrykańskich, tak, iż kiedy lud powstał przeciw nadużyciom Prokuratora cesarskiego (jak to wzmiankowaliśmy powyżéj) zwrócił się całkiem na stronę Gordyana i bro-

[1]) Byli to urzędnicy rzymscy, którzy rządzili prowincyą zastępując Pretorów, używali takiéj saméj władzy jak Prokonsulowie, których też spełniali zarazem obowiązki z tą tylko różnicą, że Prokonsulowie mieli po 12 Liktorów przy sobie a Propretorowie tylko sześciu.

nił go przeciwko Prokuratorowi. Jakkolwiek jednak działo się w ogóle, na ten czas wszakże panowała w Sicce zupełna zgoda między władzą Prokonsularną a urzędnikami cywilnemi; przeciwnie, ci ostatni byli nieco w rozdwojeniu z władzą wojskową. Okoliczność ta byłaby małéj wagi dla naszéj powieści, gdyby nie miała związku z badaniem Kalisty w Forum i kilku innemi wypadkami.

Ludność zgromadziła się u bram w obszernéj przestrzeni Bazyliki, ale nie brała wielkiego udziału w téj sprawie; głód, choroby a nadewszystko twarda nauka, jaką odebrała świeżo od wojska ochłódziła niejako umysły i przerzedziła szeregi ludu. W usposobieniu obecném milejby im było patrzeć na ścięcie jakiego urzędnika lub na spalenie jakiego trybuna niż przypatrywać się torturom lub śmierci kilkunastu biednych chrześcian. Nasyceni już byli krwią chrześcijańską, lekka reakcya objawiła się w wyobrażeniach na korzyść uciśnionych i pomimo posądzenia o czarodziejstwo, piękność i młodość Kalisty wzbudzały powszechne politowanie.

Sędziowie zasiedli na ławkach, jeden z duumwirów prezydował przybrany w togę białą obszytą purpurą, liktorowie ich niosąc pęki stali za nimi. We drzwiach trybunału dla przestraszenia uwięzionéj na samem wejściu, stały zwykle narzędzia turtury; oskarżenie jéj tak było ważném w oczach sądu i ludu, iż porównać go tylko można do oskarżenia o magią, o

otrucie, o ojcobójstwo lub podobne zbrodnie. — Były tam ciężkie jarzma żelazne lub drewniane, które kładziono na szyję skazanych nazwane *boiae*, łańcuchy, więzy do gwałtownego ściskania rąk i nóg, *nervi*, także wiązki rózg kolczastych zwanych *Wirgae*, *Flagrat* i *Plumbat*, nazywano bicze i postronki zaopatrzone w ostre żelazo lub ołów który ranił i wydzierał ciało, ciężkie maczugi i kołki, pazury żelazne w kształcie obcąg lub nożyczek nakoniec, *Skorpio i Pektin*, t. j. grzebienie czyli grabie żelazne do rozdzierania ciała, było także koło zaopatrzone ostremi kolcami na którém rozciągano obwinionych, w dali zaś palił się ogień, na którym stała woda w wielkich kotłach.

Kalista straciła już na zawsze tę szlachetną swobodę, o któréj nieraz mówiliśmy, zadrżała na widok tych strasznych narzędzi i zaledwie ją przytomność nie opuściła. Czekając na przywołanie musiała oprzéć się o woźnego czyli pisarza, który stał przy niéj, a który zwykle towarzyszył sędziemu dla pisania wyroku. — Nakoniec sędzia rozpoczął badanie w tych słowach: niech tu stanie sługa sądowy; powołany oznajmił natychmiast, iż przyprowadził uwięzioną, która jest posądzoną o chrystjanizm, i którą władza wojskowa podczas zaburzenia oddała w ręce magistratury téj nocy. Wówczas sekretarz odczytał zeznanie jednego z urzędników, poświadczające jako on i jego koledzy otrzymali od władzy cywilnéj téj nocy uwięzioną i zaprowadzili ją do urzędu duumwirów.

— Przyprowadźcie ją, rzekł sędzia. I zbliżono Kalistę.

— Oto jest rzekł sługa officyalny stosując się do wyrażeń przepisanych.

— Jak się nazywasz rzekł sędzia.

— Kalista, — odpowiedziała oskarżona.

— Sędzia zapytał się daléj czy jest wolną lub niewolnicą.

— Wolną jestem, odrzekła, jestem córką Orsiloka, jubilera z Prokonezy.

Tu zawiązała się krótka rozmowa między sędziami o wybór obrońcy dla niéj, Aryston przedstawił się właśnie, szło tylko o to czy ma togę rzymską, ale ponieważ miał przyjaciół między sędziami pozwolono mu bronić siostry. Wtedy sekretarz przeczytał akt oskarżenia, jako Kalista jest chrześcijanką i wzbrania się złożyć ofiary bogom. Było to proste tylko oznaczenie faktu, który nie wymagał ani świadków ani wyboru; na dany znak przez duumwira, weszło dwóch kapłanów niosących mały ołtarzyk Jowisza, węgle gorzały już a kadzidło leżało na stronie. Sędzia rozkazał uwięzionéj, aby posypała go na płomień za powodzenie Decjusza i jego synów. Wszystkich oczy zwróciły się na nią.

— Nie jestem chrześcijanką rzekła, już to wam powiedziałam, noga moja nie postała nigdy w świątyni chrześcijańskiéj i nie złożyłam żadnéj ich przysięgi, ani téż brałam udział w jakiéjkolwiek ich ofiarze, kła-

małabym więc mówiąc że jestem chrześcijanką z jakiegokolwiekbądź względu.

Wszyscy milczeli, nakoniec sędzia rzekł: dowiedź twoich słów, oto jest ołtarz, ogień i kadzidło, złóż ofiarę geniuszowi Cezara.

— Cóż mogę więcéj uczynić, powtarzam, nie jestem chrześcijanką.

Sędziowie spojrzeli po sobie jakby chcieli mówić. Zawsze to samo, ten niepojęty i szkaradny upór, który nigdy nie chce ulédz ani rozumowi, ani zdrowemu rozsądkowi, ani przyzwoitości, ani obawie. — Duumwir powtórzył te tylko słowa: złóż ofiarę. Młoda dziewczyna zatrzymała się przez chwilę, potem zbliżyła się spiesznie mówiąc: O jakież moje przeznaczenie, pocóż się urodziłam, pocóż się znajduję w téj trudności i czemuż bym tego uczynić nie miała? wszak ja nie mam mego Boga. Tu zamilkła i zbliżywszy się do ołtarza wzięła kadzidło, ale nagle zadrżała wznosząc oczy do nieba i odrzuciła daleko trzymane już kadzidło. Nie, nie mogę, nie śmiem, zawołała.

Słowa te zrobiły wielkie wrażenie w sądzie. Ona wyraźnie szalona! wyrzekło kilku dekuryonów litościwszych, biedne, biedne stworzenie; brat jéj pośpieszył ku niéj, przemawiał, błagał, rzucił się nawet na kolana przed nią, a biorąc jéj rękę gwałtownie, chciał ją zmusić koniecznie do złożenia ofiary, — ale napróżno. Kalista te tylko powtórzyła słowa: Nie,

ja nie jestem chrześcijanką, z pewnością nie, nie mam nic wspólnego z niemi, oh biada mi.

Ona jest szalona, rzekł Aryston, szanowni sędziowie posłuchajcie mnie. Podczas zamięszania, pochwyciła ją horda dzika, ztąd przerażenie, które ogarnęło jéj duszę i pomięszało umysł, oh dozwólcie jéj zwłoki, zostawcie jéj czas na wypoczynek, ona jest dobrą i pobożną dziewczyną, żadna dziewica z Sikki nie napracowała się tyle dla świątyń, połowa posążków tutejszych jest dziełem jéj ręki, wielu nawet z was panowie posiada jéj dzieła, ona pracuje ze mną. O! nie dodawajcie do boleści jaką mnie jéj obłąkanie przejmuje — karząc ją jak występną, jak chrześcijankę, nie wyrywajcie mi jéj, możecie ją skazać, ale dozwólcie tylko zwłoki, a ona powróci do naszych bogów i do mnie. Mogliżbyście ją poświęcić na śmierć dla tego że jest obłąkaną?

Cóż było czynić, trybunał lękał się Prokonsula, lękał się Rzymu i zazdrościł niejako ludowi, iż się okazał czynniejszym niż urząd, gdyby bowiem ten ostatni był rozpoczął wcześniéj swoje działanie, — zaraz po ogłoszeniu edyktu nie byłoby ani zamieszania, ani buntu, już nawet zażądano od sądu wiadomości szczegółowéj o tych wypadkach, trzeba było więc postępować ostrożniéj niż kiedy. — Z drugiéj zaś strony Kalista i Aryston mieli przyjaciół pomiędzy sędziami, obrona zaś była równie słuszną jak rozsądną, ci ostatni więc streszczali swoje uwagi w następujący sposób: „Jeżeli wytrwa, trzeba działać stósownie do tego,

my nie chcemy być nieposłusznemi Cesarzowi i jego rozkazom; skoro będzie się upierać, umrze, ale skutek jéj śmierci będzie ten sam i równie korzystny dla nas, chociaż nastąpi za miesiąc. Nie żądamy abyście oznaczali sami czas zwłoki, postąpcie tylko podług następujących wskazań: zażądajcie zdania od Kartaginy, rząd jeżeli zechce odpowie nam za godzinę, powiedźcie mu tylko, że tu jest młoda dziewczyna, która była zawsze wierną czci bogów, któréj postępowanie jest nienaganne, któréj talent, smak, i zręczność w rzeźbiarstwie znane są powszechnie, ale która od dnia zamięszania wzbrania się wyznać czy jest chrześcijanką, owszem zapewnia że nią nie jest, nie dodając jednak żadnych objaśnień; przyjaciele jéj zaś zapewniają, iż ona z przerażenia straciła zmysły i że skoro będzie zostawiona w pokoju wróci niezawodnie do rozumu i spełni czego oni żądają. Możesz być lepsza rada? Słowa te przyjaciół Kalisty odniosły zwycięztwo, zadecydowano, iż sędziowie uważać będą cały ten proces jako nieporządnie prowadzony w skutek stanu umysłu Kalisty, w przeciwnym bowiem razie musieliby wydać wyrok i wykonać go niezwłocznie. Decyzya ta z tego jeszcze względu była korzystną dla młodéj greczynki, iż nie zmieniono miejsca jéj pobytu, zamiast bowiem przenieść ją do więzienia miasta, pozostawiono ją w pierwszém mieszkaniu i dozwolono jéj widywać swoich przyjaciół, wszystko to równie sprzyjało jéj mniema-

nemu wyzdrowieniu jak czyniło większą nadzieję jéj uwolnienia, kiedy przeciwnie osadzenie między więźniami państwa byłoby uważane za najgorszą przepowiednię. Tymczasem sędziowie odwołali się po objaśnienia do Kartaginy.

XXVII.

Co może filozofia.

Aryston nie był zdolnym czuć głęboko i nigdy nie byłby umarł z miłości lub zazdrości, ani też nawet z utraty jakichkolwiek dóbr życia, — to jednak nieszczęście dotknęło go boleśnie. — Było ono najcięższym ciosem, jaki ugodził kiedykolwiek w jego serce. Przywiązanie Arystona do siostry nie zachwiało się, lubo i tego uczucia nie chcielibyśmy oddać pod ścisły rachunek. Gdyby Kalista straciła swoją piękność, gdyby nawet stała się mniéj przyjemną lub mniéj uległą jego życzeniom, kto wie coby się stało z jego uczuciem. Nie mówimy tego jednak dla oskarżenia młodzieńca mając wzgląd na zwykły tryb uczuć między siostrą a bratem, między mężem a żoną, gdzie często kochają się dla przywyknień przeszłości, — *auld long syne;* Aryston zaś kochał dla teraźniéjszości. —

Boleść wszakże szczera i głęboka cisnęła w téj chwili jego duszę i ona to właśnie zwróciła go do ra-

dy Kornela, któréj z razu zaniechał — co do wezwania Polemona. —

Ponieważ znał go cokolwiek, poszedł do niego do świątyni Merkurego i po lekcyi opowiedział swoją prośbę, wyrażając nieśmiało, iż ostatnią, nadzieją jego jest wpływ jakiby on, filozof i rodak mógł mieć na jego siostrę. — Nic nie zrówna zadziwieniu filozofa kiedy te słowa usłyszał i trzeba było całéj nieuwagi znękanego umysłu Arystona aby tego nie spostrzedz. Jakto — on — Polemon ulubieniec najuczeńszéj arystokracyi stolicy, — przyjaciel Plotina, Rogatiana i wielu innych którzy byli jego współuczniami w Rzymie, on, miałby poniżyć się aż do odwiedzenia jakiéjś uwięzionéj a tym bardziéj że ta uwięziona, ta zbrodniarka jest chrześcijanką, — zdawało mu się istotnie zrazu, iż Aryston chce tylko żartować z niego, zelżyć go tak niesłychaną propozycją. — Widząc jednak że ten nie cofa się w swojém naleganiu, widząc jego szczerą boleść zmiękczył się zwolna filozof. Kalista zresztą była ciekawą istotnie osobą, greczynka biegła w literaturze ojczystéj słowem kobiéta szczególna, — w prawdzie nie przybrała nigdy pallium filozofów jak to uczyniły późniéj św. Katarzyna, św. Eufemia męczenniczki chrześcijańskie, ale któż wié do czego jeszcze dojść może. Polemon przypomniał sobie iż na bankiecie u jednego z Dekurionów mówiono o niéj bardzo zaszczytnie głosząc jéj talent i przymioty, — ponieważ zaś świeżo utworzył na kursach swoich klasę osobną dla kobiét, —

pomyślał zatem iż nawrócenie Kalisty może być nową aureolą dla jego sławy. —

Jednego więc wieczora w towarzystwie młodego greka pojechał do niéj, — nie bez wstrętu wszakże i wstydu a zatem z widoczném zmięszaniem i twardością w obejściu, silne wonie któremi się uzbroił przeciw powietrzu więziennemu nie zdołały złagodzić jego wrażenia.

Pokój jednak, który zajmowała Kalista nie był wcale tak nieprzyjemnym, mieszkała ona na dole w domu bliskim sądu tryumwirów, — gdzie dozwolono jéj pozostać, jak powiedzieliśmy, chociaż już przestała zależeć bezpośrednio od ich władzy. Było to mieszkanie jednego sługi sądowego, którego żona udzielała jéj potrzebnych posług, uważając zatem okoliczności mogła nazwać się prawie szczęśliwą. Jednakże nie trzeba zapominać, iż wypadki te zaczęły się w miesiącu lipcu, kiedy ciężkie upały afrykańskie czyniły miasto gorącym piecem, można jedynie było uniknąć tego upału w rozległych apartamentach, — broniąc starannie przystępu powietrzu zewnętrznemu, biedna Kalista zaś nie mogła myśleć o takim środku, — a cóż dopiéro kiedy dodamy walki wewnętrzne, które razem z gorącem działały na zdrowie i siły uwięzionéj! — Piękność jéj tak droga bratu, ustąpiła cieniom a raczéj rysom pełnym wdzięku niebiańskiego, — który się cały zasadza na wyrazie nie na formie, który nie budzi ludzkich wzruszeń, ale budzi jakiś pociąg do czystych myśli i tęsknotę za pięknością wieczną. —

Aryston ze smutkiem dostrzegł téj zmiany, — w pokoju były tylko dwie ławki, dwa lub trzy krzesła i łóżko z trzciny. Od haka przytwierdzonego do muru, wychodził długi łańcuch żelazny — lekki stosunkowo do zwykłych, jeżeli ten przymiotnik może służyć kiedy kajdanom i obejmował wątłe ramiona uwięzionéj.

Polemon naprzód zdziwiony ciasnością miejsca ale pamiętny na cel, który go tu sprowadzał, przystąpił niezwłocznie do rzeczy. Dreszcz przebiegł Kalistę, obecność jego nie była jéj pożądaną, — smutnie podniosła głowę na widok tego gościa. — Ani siły, ani chęci do walki na słowa, a tymbardziéj do walki filozoficznéj. —

— Kalisto — życie moje, radości moja! rzekł jéj brat przyprowadziłem ci człowieka najsławniejszego w Sicce. Kalista spojrzała poważnie na Polemona, ale wkrótce powaga ta zmieniła się w obojętność. Trzymał on w ręku różę z Cyreny, która napełniała wonią cały pokój. Jestto Polemon dodał Aryston przyjaciel wielkiego Plotyna znający wszystkie systemata filozoficzne. Przyszedł tu powodowany życzliwością dla ciebie.

Polemon odpowiedział z grzecznością porównywając się z Sokratesem odwiedzającym Aspazyą. Po wszystkie wieki pojawiały się kobiety wyższe nad płeć swoją i utrzymywały zawsze stosunek umysłowy z uczonymi mężami, i taką on właśnie witał w niéj. Kalista uczuła iż na nicby się nieprzydało odpowiadać na te

grzeczności w usposobieniu pełném smutku — milczała więc.

— Siostra bardzo zamyślona rzekł Polemon obrażony cokolwiek zimném przyjęciem.

— O nie drogą ta istota tak pragnęła cię widzieć. —

— Dzieci Grecyi — rzekł nakoniec filozof powinny się znać wzajemnie — między niemi natura sama tworzy tajemne węzły współczucia, jak ten pociąg który łączy magnes z magnesem, jak echo, które wyraża dźwięk mimowolny, tak właśnie dzieje się z grekami, — czego w żadnym innym narodzie nie widzimy. Tu powąchał różę i skłonił się lekko.

Uśmiech przelotny zajaśniał na ustach Kalisty na to wspomnienie Grecyi. — Tak, rzekła, ja kocham Grecyą, daleko więcéj niż Afrykę.

— Obie mają swoje zalety odpowiedział Polemon — przyjemnie jest udzielać i rozszerzać płomień oświaty, który ogarnia własny nasz umysł. Byłoby to cynizmem nie chcieć porzucić Grecyi, kiedy możemy przynieść do tych krain skarby naszéj cywilizacyi. Ale póki tu zamknięta będziesz młoda dziewico, czyż możesz spełnić ten piękny zawód, a jednak mówią mi że dostałaś się tu w skutek twéj własnéj woli. Czyż to być może powiédz mi. —

— Pragnę wyjść z tąd jeżeli podobna, uczony Polemonie rzekła smutnie Kalista.

— Polemon z wyspy Rodus możeż mówić otwarcie do Kalisty z Prokonesu? zapytał filozof. — Tak

nie mówiłbym do wszystkich, a jeżeli przystajesz na to, pozwól naprzód zapytać się — co może cię tu zatrzymywać?

— Sędziowie Sikki i ten łańcuch żelazny — odpowiedziała Kalista. O jakże chciałabym tu nie być, jakże chciałabym nie być tém czém jestem! —

— Czémże chciałabyś zostać Kalisto, ty przewyższasz geniuszem, talentami i pięknością wszystkie dziewice Grecyi.

— Przystąp do rzeczy — rzekł Aryston z uszanowaniem, lecz zarazem z żywością; jéj potrzeba stanowczych wstrząśnień.

— Brat mój widzę żąda, żebym jasno powiedziała o ile to zależy odemnie żebym została uwolnioną. Otóż nie chcę spalić kadzidła na ołtarzu Jowisza. —

— Powód bardzo niedostateczny — odrzekł Polemon, Kalista milczała.

— Jakież jest znaczenie czynu żądanego? odrzekł filozof, wszak o nic więcéj nie idzie jak o dowiedzenie przez to wierności władzy rzymskiéj — nie należysz przecie do tych którzy marzą jakieś powstanie narodowe. — A więc pozostajesz wierną Rzymowi. — Gdybym wiedział że jest jeszcze jakiś Leonidas, Harmodius, Milciades, Temistokles, Perikles, Epaminondas gotowy podnieść chorągiew — nie wachałbym się ani chwili zaciągnąć pod jego sztandary, — ale to już tylko marzenie. Grecya więc nie potrzebuje nas w téj chwili. Nie uwierzę również chociażbyś mnie sama zapewniała, że należysz do jakiéj ciemnéj i po-

kątnéj sekty, pragnącéj upadku Rzymu. Uważ to tylko co to jest ten Rzym — tu Polemon zatonął w obrazie w którym się lubował.

— I ja jestem Grekiem rzekł, i ja kocham Grecyą ale więcéj jeszcze kocham prawdę — prawdę faktów — fakta u mnie wszystkiem; im tylko wierzę. Otóż widzę że ziemia cała po wiekach niezliczonych została nakoniec poddaną pod panowanie Rzymu. Stan więc w którym żyjemy, jako najpóźniejszy, jest najdoskonalszym, najwyższym stanem, do jakiego ludzkość wznieść się zdoła. Daléj już ani bieg rzeczy, ani siła potęg naturalnych prowadzić nie może, mamy jedność, a jedność to wieczność. Cesarstwo rzymskie będzie zawsze, bo jest jedném, pierwiastek rozprzężenia już zniszczony. Dosięgliśmy *apotelezmu* świata. Grecya, Egipt, Syrja, Libja Etrurja i Lydja, miały udział w tém wielkiém dziele. Każdy z tych krajów usiłował w swoim czasie, zatrzymać bieg przeznaczenia a każdy w końcu musiał uledz i połączyć swoje losy z losem Rzymu — stając się na przemiany jego ofiarą lub jego narzędziem. Miałażby Judea dokonać tego, na co napróżno pokuszał się mądry Egipt i subtelna Hellada. Jeżeli przepych i rozkosz wschodu niepodoła téj — czyż mistycyzm Syryjski może mieć więcéj powodzenia? —

— A cóż droga Kalisto czy słyszysz? zawołał Ariston, — który zdawał się wątpić o uwadze Kalisty, — chociaż Polemon spojrzał na niego zdziwiony. —

— Dziesięć wieków — mówił daléj — dziesięć wieków ubiegło od czasu jak Rzym rozpoczął swój zawód zwycięzki. — Przez dziesięć wieków spełniał swoje wysokie posłannictwo, zapisane w wyrokach przeznaczenia, nie przestając doskonalić swoich zasad politycznych i ustaw rządu. — Przez dziesięć wieków szedł zawsze jedną drogą a gorliwość jego coraz rosnącą uwieńczało ciągłe powiększanie się jego posiadłości. Jednéj rzeczy tylko nie zdołał dokonać, jednej — któréj nawet nie próbował, a to właśnie wy chcecie zdziałać. Rzym zachował swoją dawną religię, jak był powinien, ale nigdy nie gardził religiami innych narodów co wy właśnie czynicie. Uważ tylko Kalisto pomimo niezmierzonéj swéj potęgi Roma wieczna, Roma uległa tu konieczności niezwyciężonéj — ona nie tylko nie gardzi religiami, lecz nie tyka ich nawet — nie wypowiedziała wojny rozlicznym obrzędom. Na wschodzie szczególniéj zdobywcza jéj siła spotkała tradycję, zwyczaje, przesądy, zasady i zabobony w dziwném pomięszaniu i tak je przyjmuje, — biada jéj gdyby była niepojęła téj konieczności. — Ona mówi tylko do ludów: szanujcie moją władzę, a ja uszanuję wasze zwyczaje. Otóż to jest właśnie czego wy chrześcijanie nie mający ani ziemi, ani władzy nie chcecie zrozumieć — wy, którzy nawet najmniéjszym nie jesteście narodem, wy macie zuchwałość w fanatyźmie waszym, śmiecie potępiać wszystkie wyznania i obrządki wyjąwszy waszego; nawet religia Romy nie znalazła u was łaski a czémże wy jesteście, włóczęgami

i przybyszami. Nie takie religie jak wasza dawne, piękne, głęboko pomyślane, panujące ze znaczeniem historycznem i politycznem, musiały upaść, a ty nie kształtna masa szczątek wielkich ludów wschodu i zachodu, śmiesz obiecywać sobie przewagę? — Wstydź się, wstydź Kalisto, ty córo Grecyi, posiadająca świetną narodowość, chciałaś się połączyć z gronem wieśniaków i rybaków. Osoba wysokiego wykształcenia, świetna sławy, zjednoczyć losy swoje z losami wygnańców rodu ludzkiego. —

Zręczna mowa Polemona nie mogła obojętnie być przyjętą przez umysły tak usposobione jak nasi Grecy. Ariston porwał się nagle zaklął i spojrzał z tryumfem na Kalistę, która uczuła także potęgę rozumowań retora. A potém cóż ona wiedziała o chrystjaniźmie? wszak istotnie opuszcza znane dla nieznanego, któż jéj zaręczy że nie wybiera złego istotnego dla chwilowéj ułudy?

— Tak, mówiła do siebie: ja czuję że nie będę nigdy chrześcijanką — a daléj dodała głośno: Szanowny Panie, ja nie jestem chrześcijanką nigdy nie powiedziałam że nią jestem.

— Otóż to w tém właśnie leży jéj szaleństwo, ona nie jest ani tém, ani tamtem, niechce uznać się chrześcijanką a jednak wzbrania się złożyć ofiarę — rzekł Ariston.

— W tém istotnie moje nieszczęście! odrzekła — ja wiem o tém, tracę zarazem i to co znam i to cze-

go nie znam. Jest to najdziwniejsza niekonsekwentność ale cóż na to poradzić?

— Polemon dość już powiedział, on sprzedawał swoje słowa, znał więc ich wartość i postanowił nie rozrzucać więcéj tych skarbów. —

Po chwili milczenia Kalista zapytała: Polemonie czy wierzysz w jedynego Boga?

— Naturalnie! odrzekł tenże, wierzę w coś wiecznego co istnieje samo przez się.

— To właśnie, rzekła — jest Bóg — ja to czuję w mojem sercu; czuję się w jego obecności, on to mi mówi — czyń to a nie czyń tamtego. —

— Powiesz mi może że ten głos jest prostém prawem natury jak boleść jak radość — nie, to nie prawda, to oddźwięk tego głosu, który mówi do mnie, nigdy mi nie zdołają dowieść żeby ten głos nie pochodził ostatecznie od istoty, która nie jest mną; ja widzę w nim piętno boskiego pochodzenia; moja dusza garnie się do niego jak do osoby jakiéj; kiedy idę za jego wskazaniem, czuję zadowolenie, kiedy go nie słucham — smucę się — tak jakbym się smuciła obraziwszy drogiego i szanownego przyjaciela. A więc widzisz Polemonie że to jest coś więcéj jak prosty pojaw natury — jak coś nieznaczącego; to w co wierzę, jest rzeczywistém dla mnie jak słońce, miesiąc, gwiazdy, piękna kraina i słowa przyjaźni. Powiesz mi — któż to więc jest? — czyż ci powiedział co o sobie? Niestety! nic. Ale nie mniéj przeto powinnam trzymać się tego co już posiadam, echo, oddźwięk,

każe się domyślać głosu — głos mówiącego — a ten mówiący jest mi drogi, ja go kocham i lękam się go zarazem.

Wzruszenie coraz bardziéj ogarniało biedną dziewicę. O gdybym go znalazła! zawołała namiętnie. Szukam na lewo — na prawo — ale go nigdzie nie spotykam! Pocóż chcesz mię odwrócić, po co mnie przestraszasz, po co utrudniasz mi szukanie? O piękności moja pierwsza i jedyna nie mam cię a pragnę. Potém dodała: Widzisz że nie jestem chrześcijanką, bo gdybym nią była, tobym już znalazła moje dobro.

— Próżne usiłowania! rzekł Polemon, do Aristona z największym wstrętem i pychą — to już za daleko zaszło, niemiałeś mnie po co tu prowadzić!

Ariston westchnął.

— Mamże czcić kogo innego? — mówiła Kalista wmówić w siebie, że ten, którego szukam a nie znajduję jeszcze, jest Jowiszem, Cezarem, albo jaką boginią Rzymian. Żaden z nich nie uprzytomni mi przewodnika, którego czuję w sobie. — Jemu tylko złożę cześć.

Obadwaj obecni spojrzeli na siebie. To jakby duch Sokratesa — rzekł Ariston nieśmiało.

— Szanować zawsze będę Cezara w zakresie właściwym — ale czcić go nie mogę. Potém dodała: Polemonie czyż nie myślisz że ten Nauczyciel wewnętrzny będzie żądał kiedyś rachunku od nas, — od ciebie.

— Dosyć, dosyć Kalisto! rzekł Polemon z gwałtownością niewłaściwą jego pozycyi i powołaniu — nie obrażaj moich uszu niegodna, nigdy dotąd podobne słowa nie obiły się o nie. Czyż na to przyszedłem aby słuchać obelg? — Umyśle zbłąkany, nędzny, ślepy, odstępuję cię na zawsze, opuść jeżeli chcesz wspaniałe, świetne, dobroczynne tradycje naszych ojców i przyłącz się do téj religii zabobonu. —

Nawet Aryston nie zadawalniał go w téj chwili, — lubo okazywał się pełnym starań i grzeczności sprowadzając go do lektyki, i starając się uspokoić jego wzburzenie.

XXVIII.

Co może Ewanielia.

Szczególny to stan w istocie, w jakim zostawiliśmy naszą biédną uwięzioną, niepodobnaby powiedzieć czy była chrześcijanką lub nie! Krążyła w jakiejś pośredniéj sferze. Tak widząc osobę zbliżającą się do nas mówimy nieraz, czemu idzie tak wolno, czemu nie śpieszy? Bo więcéj śpieszyć nie może, bo trzeba czasu na to! —

Dojrzeć fałszu pogaństwa to dopiero jeden czyn, uznać prawdę chrystjanizmu to czyn drugi, wymagający zupełnie różnéj działalności, — jedna wywołuje drugą, ale nie zawsze i niekoniecznie. Kalista posłuszną była prawdzie o ile ją rozumiała, pogardziła bałwanami, daleko pierwéj niż powzięła wiarę do Tego, który przyszedł je zniszczyć. Mogła powiedzieć nie chcę Jowisza, ale nie mogła powiedzieć: jestem chrześcijanką. Cóż zresztą wiedziała o chrześcijanach. Zkądże mogła myśleć że ją przyjmą do swego grona jeżeli tego zażąda.—

Oni tworzą społeczeństwo ukryte, wyborowe, wtajemniczone, zawiązane przysięgą, nie zaś prostą szkołą filozoficzną lub doktryną przystępną wszystkim. Jeżeli są tak dobrzy jak mniemała nie przyjmą jéj, jeżeli przeciwnie ona ich nie zechce. Przytém chociaż my z wyższego stanowiska na nią patrzący, możemy pojąć jéj postępowanie; ona wcale go nie pojmowała i to jeszcze powiększało jéj udręczenie. — Nie miała nadziei ani na ten świat ani na przyszły, traciła z pod stóp swoich ziemię a nie widziała jeszcze nieba. — Zbawiciel powiedział: Umiejcie wyciągnąć korzyść z danych wam talentów! a biédna Kalista nie pojmowała jakby korzystać ze swoich usposobień. I to nie od dziś toczyła się w niéj ta walka; posiadała uczucia żywe, gorące, serdeczne — dążenia wzniosłe — ale nie umiała ich zastósować. Złożyła to wszystko w ręce brata jemu powierzyła kierunek swego życia, a kierunek ten nie mógł być różnym od dłuta świata w którym żyli. My chrześcijanie od dzieciństwa uzbrojeni jesteśmy przeciw téj zasadzie, że trzeba używać póki młodość służy; Arystón przeciwnie, chciał używać bez przeszkód i siostrę swoją do tego samego prowadził celu. Ale dziwném nieba zrządzeniem, piękna jéj dusza widziała tam tylko popiół i próchno gdzie on znajdował rozkosz a jednak szła wskazaną sobie drogą, lubo zawsze zmęczona, zawiedziona w swojém oczekiwaniu czująca głód i pragnienie bez nadziei ich ukojenia. Jak więc dotąd służyła światu nie znalazłszy w nim nagrody, tak dziś rzucała go nie mając nic jeszcze na jego miejscu.

Kiedy zwrócimy się teraz do jéj brata znajdziemy go coraz smutniejszym, niechętnym a najbardziéj rozdrażnionym na Kalistę. Przedstawiała się jeszcze jedna sposobność jéj ratunku, a ta była już ostatnią. Korneł pomimo swéj nadętości postąpił jak prawdziwy przyjaciel. Pisał właśnie z Rzymu iż mu się powiodło szczęśliwie otrzymać łaskę; jakkolwiek rzecz ta była trudną i nadzwyczajną. — Dołączył zarazem formalne dokumenta świadczące o tém uwolnieniu dla trybunału w Sicce, otrzymawszy wzajemne najczulsze dzięki od Arystona. Ten ostatni pobiegł zaraz do sądu, który znalazł jego papiery zaspakajającemi i dozwolił mu udać się do uwięzionéj. —

— Raduj się droga moja siostro! rzekł, jesteś wolną, opuścimy ten szkaradny kraj pierwszym okrętem, który odpłynie. Już byłem u sędziów.

Lekki rumieniec okrył blade lica Kalisty, złożyła ręce i spojrzała w oczy Arystonowi, który następnie opowiedział jéj jakim sposobem otrzymał uwolnienie. Już nie potrzebuje składać ofiary tylko powinna podpisać jak to uczyniła a rzecz cała będzie skończoną. Zrazu młoda dziewczyna nie dostrzegła żadnéj trudności w tém żądaniu i wstała z radością, ale wkrótce radość ta zniknęła — jakże mogła świadczyć iż uczyniła to, coby było zdradą przeciwko jéj wewnętrznemu przewodnikowi! — Jestże jaka różnica między popełnieniem bluźnierstwa przez złożenie ofiary lub przez podpis. — Smutnie więc uśmiechnęła się do brata i pochyliła głowę, wróciła na swoje posłanie ze trzciny. Ona poganka

uprzedziła kościół w sądzie o tém, co on później nazwał czynem Libellatyków.

Aryston nie wierzył oczom własnym widząc że siostra jego odrzuca ten ostatni środek ratunku, który mu się wydawał tak prostą tylko formalnością, oburzenie potłumiło w nim od razu całe przywiązanie. Dziewczyno zgubiona! zawołał, zaciskając pięści, oddaję cię furjom na potępienie i wyszedł obiecując nie widzieć jéj więcéj, co też wykonał. Świat i jego rozkosze miały odtąd zastąpić dla niego uczucia rodzinne, przyłączył się do igrzysk na polu marsowém, zapoznał się z rozpustnikami w Forum a wieczór zakończył w Termach.—

Niekiedy jednak przedstawiał się umysłowi jego obraz Kalisty, z tém pełném życia, dawniejszém jéj spojrzeniem, a wtenczas Aryston nie mógł pokonać boleści — i noce całe przepędzał na płaczu. Nakoniec zamierzył zakończyć swe życie jak to uczyniło wielu znakomitych mężów. Zaprosił przyjaciół na wspaniałą ucztę i powierzył im swoję tajemnicę. Wszystko odbyło się z największą uroczystością, pożegnano go i pozostał sam w ciemności. Później jednak dowiedziano się że żyje w Kartaginie i nie zapomniał nawet unieść z sobą swoich narzędzi, kilku najpiękniejszych utworów równie jak dzieł biednéj Kalisty. —

Któżby się spodziewał że Jukundus rubaszny i egoistyczny Jukundus okaże daleko więcéj serca dla nieszczęśliwéj dziewczyny. — Czuł on doświadczeniem swojém że sprawa Kalisty coraz się pogorszała i że teraz już niepodobna było się spodziewać łaskawéj od-

powiedzi z Kartaginy; o Agelijusza był zupełnie spokojny, mniemając że ukrył się bezpiecznie, a myśl ta pocieszała go zupełnie co do rozdziału z młodzieńcem. Gdyby nie ta okoliczność, czytelnik mógłby mniemać że w troskliwości Jukundusa o Kalistę jest jakieś odbicie obawy o jego synowca; powszechnie bowiem utrzymują iż litość nasza zawsze wypływa z egoistycznych pobudek, ale w tém razie posądzenie to byłoby zupełnie niesłusznem. Nie był on wcale okrutnym; w gruncie duszy nawet ten Fabian z siwą głową, ten Cypryan, których tak często z oburzeniem wspominał — byliby przy sposobności poznali, iż nienawiść starca ograniczała się tylko na wykrzyknikach. Dla Kalisty zaś miał szczere współczucie a szalony jéj upór głęboką przejmował go boleścią. — A jednak mógłże co uczynić dla niéj — raczéj zatrzymać słońce w biegu niż rozkazy potężnéj Romy. Ostateczna odpowiedź z Kartaginy już pewno jest w drodze, — nie wiedział kogo się spytać. Ludność Sikki nie sprzyjała wcale Kaliście, albowiem śmierć jéj mogła położyć koniec różnym powikłaniom które wynikły z ostatniego edyktu: będzie ona świadczyła o wierności miasta dla rządu. — Do tego jeszcze młoda rodzina grecka miała nieprzyjaciół i zawistnysh w klasie jubilerów, rzeźbiarzy i złotników, którzy zazdrosnym okiem patrzyli na tych przybyszów z obcego kraju, zabierających należny im zarobek. A ludzie ci mieli stosunek z klasą możną w Sicce. Ale pomiędzy temi możnemi czy nie znalazłby się jaki dobroczyńca! Jukundus pomyślał o Kalfurniuszu, — który jak mnie

mówiono w dzień zaburzenia stanął widocznie w obronie młodéj greczynki. W istocie Kalfurniusz równie jak jego żołnierze zachowali odrazę do ludu i urzędników miasta, a zarazem wielkie współczucie dla Kalisty. — Jukundus więc udał się do Trybuna i z nim razem poszedł do naczelnika wojskowego, któremu przedstawił w najżyczliwszém świetle sprawę Kalisty. Jukundus był tego zdania, iż prześladowanie powinno dosięgać jedynie tylko przewódzców chrześcijańskich, zacytował znaną przypowieść o Tarkwiniuszu i makówkach, i dowodził wymownie iż powinni przedewszystkiem szukać Cypryjana. —

Z drugiéj strony — czyż ciężkie brzemię prawa może spadać na dziewicę, która jak brat jéj zapewniał nie przeżyła jeszcze ośmnaście wiosen. Cóż mogło szkodzić stworzenie tak młode i tak słabe? Tak, dodawał, sama polityka nakazuje wam łagodne i uprzejme obejście z tym ludem szalonym, przypomnijcie sobie bajkę o słońcu i wietrze, któreż z nich pierwej zmusiło podróżnego do zdjęcia płaszcza? — Czy widziano kiedy czcicieli furyi z postacią ponurą i okrutną. Nalejcie raczéj puchary, uwieńczcie głowy kwiatami, niech zabrzmią dźwięki fletów a zobaczycie jak się twarze wypogodzą, jak będą wzięte na wętkę i oto spełni się libacya, a Jowisz otrzyma zwycięztwo, Rzym będzie miał sługę wiernego. — I czegóż więcéj potrzeba? Przeciwnie jeżeli będziecie bić, katować, głodem morzyć, zrobicie sobie nieprzyjaciela nieubłaganego.

Słowà te podbiły Kalfurniusza; gdyby to jeszcze jaki niewolnik afrykański rzekł, nie byłoby się o co troszczyć, ale ta śliczna dziewica, która śpiewa jak muza, tańczy jak gracya, a mówi wiersze jak Minerwa! Byłoby swiętokradztwem żeby spadł jeden włos z jéj głowy. Mieliżbyśmy dać się złapać podłym sędziom w taką łapkę zastawioną na nas z Kartaginy. Nie — na Herkulesa!

Septimus nie otworzył swego zdania jak przystało na zwierzchnika, ale okazywał wielką uprzejmość, i zgadzał się w tém ze swemi gośćmi, że straż Kalisty nie należała prawnie do Duumwirów. W przedmiocie bowiem tego rodzaju spadała ona wyłącznie na wojskową, — i Kalfurnius otrzymał pozwolenie odwołać się do swoich praw, resztę zaś zamiarów zachował dla siebie.

Myślą jego było wprowadzić na chwilę przed wyrokiem silną straż do więzienia a potem ogłosić że umarła, na dowód czego, zamierzył położyć trupa innéj jakiéj kobiety, — ją zaś uprowadzić do obozu.

Kiedy się to wszystko dzieje, jakież jest usposobienie naszéj uwięzionéj? Kalista nie korzystała dotąd z najważniejszego skarbu jaki posiadała przy sobie. Był to mały pargamin zapisany wyraźnym charakterem, ozdobny starannie, a który nosiła dotąd bezużytecznie na piersiach, mogąc w nim znaleść wielkie ukojenie i światło dla siebie. Trudnoby wytłumaczyć co ją wstrzymywało do téj chwili od poznania Ewangelii danéj jéj przez Cecyljusza. Byłoż to znękanie lub rozpacz —

lub też może lękała się mocniejszych przekonań, albo rachowała na czas swobodniejszy, (co znów było niepodobném), lub też co najpewniej, dusza jéj opierała się użyciu tego skarbu jak się opiera niekiedy chory użyciu skutecznych lekarstw. Któż zdoła pojąć wewnętrzne wzruszenie, to jeszcze pewna, iż sądząc po sobie, możemy uprzytomniać sobie stan wahania i opieszałości w jakim zostawała Kalista. Teraz jednak po odejściu Arystona, kiedy wyrok sądu jeszcze nie nadszedł, myśl jéj zwróciła się na pargamin i przypomniała sobie słowa Cecyljusza. „Znajdziesz tam tego, którego my kochamy.“ Zwitek leżał spokojnie na piersiach, gdzie przechowała go przed okiem strasznych jéj prześladowców w pamiętnym wieczorze zaburzenia, — teraz otworzyła go i czytała. Był to styl greka z prowincyi mającéj jednak w sobie prostotę i wytworność, cechy niezbędne podług Kalisty prawdziwego klasycyzmu. Książka pisana była do pewnego Teofila a pisarz wyrażał tam, iż powtarza opis wypadków gdzie indziéj już opisanych. Po przeczytaniu kilku ustępów zatopiła się z najwyższym zajęciem w tym opisie. Oderwać się od niego nie mogła do końca — w każdym innym czasie, sama piękność utworu byłaby ją zajęła, a cóż dopiero dziś, w jéj opuszczeniu i osamotnieniu? — Byłto prawdziwie dar z nieba. Tam ujrzała nowe istnienie, nowe społeczeństwo; jedyną wadą tego obrazu była zbyt wielka szczytność czyniąca ludzi raczéj tworami imaginacyi w jéj oczach, niż istotami prawdziwemi a po nad tem wszystkiem zajaśniała piękność i doskonałość różna i wyższa od

wszystkiego, co dotąd pięknem i idealnem jéj się wydawało. —

Tu znalazła przedmiot tak dawno szukany, a w obec niego wszystko stawało się jéj jasne, czego dotąd pojąć nie umiała. Był to ów przewodnik, który przemawiał do niéj w sumieniu, którego słyszała głos — i ścigała myślą istotę — na jego to wspomnienie okrywały się rumieńcem wzruszone lica Chioni i Ageljusza, obraz ten uprzytomnił się żywo w jéj duszy i uczuła że to była rzeczywistość najzupełniejsza. — Nie, mówiła, to już nie marzenie poezyi, to prawda, to wizerunek Istoty prawdziwej. Za nadto tu już prawdy, natury, życia i dokładności, aby można wątpić. A jednak obraz ten ją przerażał, jakże była różną od niego, uczucie upokorzenia, nieznane jéj dotąd napełniło jéj serce, zaczęła pogardzać sobą i znów niebawem w téj saméj książce, która ją takiem przejmowała uczuciem, — znalazła źródło otuchy i nadziei — mianowicie w opisie w dobroci Zbawiciela dla niewiasty, która przyszła namaszczać jego nogi na uczcie.... Tu oczy jéj zalały się łzami — to ona była tą grzesznicą— a on jéj nie odepchnął.

O jakiż nowy szereg myśli przedstawił się jéj rozumowi! — sama ich nowość już miała urok dla bystrego jéj umysłu, wszystko inne gasło i ciemniało w obec téj nauki. Ta naprzykład maxyma jéj brata żeby używać póki czas — okazała jéj się zupełnie fałszywą, tu wszystko mówiło owszem iż teraźniejszość poświę-

cona być powinna przyszłości, a rzeczy widzialne dla niewidzialnych, które wiara zapowiada. Więcéj jeszcze Kalista pojęła że nawet szczęście teraźniejsze zależy na tem właśnie poświęceniu rozkoszy chwilowych, które pozornie tylko obiecują, że prawdziwą rozkosz stanowi właśnie umartwienie, i zwycięztwo nad sobą, nie zaś zadowolenie, że głupstwo świata jest drogą mądrości, a pohańbienie ziemskie dla prawdy źródłem chwały. Już odtąd istnieje dla niéj piękność wyższa nad tę, którą wielbili w porządku i harmonii świata przyrodzonego, pokój pełniejszy i zupełniejszy, niż ten, jaki dać może użycie władz umysłu lub stosunki ludzkiéj przyjaźni. Teraz już zrozumiała ową rzewną i nadludzką spokojność jaką wielbiła w Chionie, Ageljuszu i Cecyljuszu; pojęła że oni nie dla tego oderwali się od ziemi, że nie znaleźli uczuć i szczęścia na niej, lub nie byli do nich zdolni, lub że posiadają skarb najwyższy, który im daje szczęście z niczem nieporównane. Taka to filozofia ogarnęła od razu duszę — uznała pojęcia, zasady, stosunki i cele, które dawniéj nigdy jéj się nie przedstawiały, pojęła siłę rozumowań i wywodów zupełnie jéj dotąd obcych. Życie i śmierć, praca, cierpienie, powodzenie i talenta wszystko innego nabrało dla niéj znaczenia, inne przedstawiało zastósowanie. Jak inaczéj spogląda na niebo filozof a inaczéj prostak— jak poemat inaczéj przedstawia się umysłowi czułemu na poetyczne wrażenia a inaczéj obojętnemu, — tak jéj życie, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w in-

nem od razu stanęło przed nią świetle. Ale głównym górującym nad wszystkiem dla niéj był obraz tego, który dał najdoskonalszy wzór téj doskonałości w swojéj własnéj osobie. —

XXIX.

Katakumby w Afryce.

Byli jednak ludzie, których Kalista mogła zrozumieć i którzy ją nawzajem rozumieli. Podczas gdy Aryston Kornelius, Jukundus i Polemon krzątali się w jéj sprawie i tamci działali niemniéj, ale w sposób daleko skuteczniejszy. Agelius złączył się z Cecyljuszem i uwiadomił go równie jak towarzyszów o uwięzieniu młodéj greczynki. — Tegoż poranku, gdy Ageljus odzyskał wolność za pośrednictwem brata, gdy się ujrzał na ulicy przed domem z tuniką na ramieniu, i parą butów obok siebie, naprzód starał się rozpoznać miejscowość i począł ubierać się coraz prędzéj; potem przemyślał co dalej uczynić z sobą. Gdyby pozostał dłużéj nie uniknąłby spotkania z mieszkańcami miasta, którego bramy już były otwarte. Gdyby zamierzył znaleść więzienie Kalisty, gdyby chciał widzieć ją lub uwolnić, wpadłby niewątpliwie w ręce straży. Na równe prawie narażałby się niebezpieczeń-

stwo, gdyby powrócił do swéj zagrody. Wreszcie Cecyljus powiedział że się niezadługo połączą, i wskazał mu drogę ku sobie. —

Poszedł więc w stronę bramy wschodniéj, która wiodła do Thibursicombry. W saméj rzeczy nie było czasu do stracenia, jak się o tém w krótce przekonał: spotkał bowiem kilka osób znanych mu z widzenia, a między innemi woźnego ze służby duumwira, który go na szczęście nie poznał. Daléj chrześcijanin jeden Apostata gorliwy sługa rządowy minął go nie oglądając się wcale, ufał jednak iż wkrótce potrafi ujść bezpiecznie ludzkiego wzroku, byle tylko dostać się w góry, nim słońce z poza wierzchołków wzbije się na widnokrąg.

Długo szedł przez skaliste i nagie pagórki aż w końcu dostał się na drogę, ubiegłszy parę mil od miasta. Potem wszedł w ciemny wąwóz, pomiędzy wysokie góry. Skały prostopadłe sterczały po obu stronach a przestrzeń pomiędzy niemi miała zaledwie trzydzieści stóp szerokości. Czuł, że gdyby go tam goniono nie byłby w stanie uciec. Gdy minął słup oznaczający trzecią milę, odliczył tysiąc kroków, stósownie do polecenia Cecyljusza; odtąd droga szła po nad przepaścią zarosłą karłowatą sośniną, cierniem i oliwnemi drzewami. Ageljus odmówił siedm Ojcze nasz i obejrzał się w koło. W téj właśnie chwili nadszedł pasterz z gromadką kóz i odadwaj spojrzeli bacznie po sobie, Agelius przywitał go pierwszy.

— Chcesz pan zapewne koźlęcia na ofiarę Bachusowi zagadnął pasterz, widząc że Ageljus rzucił okiem na kozy, a słysząc odmowną odpowiedź dodał ostro: „kto nie składa ofiary Bachusowi, ten nie daje kozy na ofiarę.

Ageljus przypomniawszy sobie Cecyljusza spostrzegł że w tych niezrozumiałych słowach była ukryta myśl tajemna, odrzekł więc obojętnie: Ten, kto nie składa ofiary nie złoży jéj Bachusowi.

— Prawda rzekł pasterz, ale może wolałbyś dać baranka na ofiarę?

— O tak jeśli prawdziwy — odrzekł Agelius, ale ten o którym mówię, umarł już od dawna.

Wtedy pasterz oznajmił mu bez obawy, że cokolwiek daléj na skale, znajdzie kogóś dobrze znanego, który objaśni go w tym względzie. Idź rzekł, tam wzdłuż tych drzew oliwnych, nie uważaj, niech cię to nie wstrzymuje, że się zdaje na oko, jakby się ścieszka już kończyła, a znajdziesz go za dziewietnastem drzewem.

Ageljusz poszedł daléj — nigdy nie widział ścieżki złudniejszéj dla oka. Co chwila przysłaniały ją strome skały, a jednak wiła się coraz wyżéj w cieniu drzew oliwnych. Przedarłszy się wreszcie przez długi rząd wschodów, które wody potoku wyżłobiły w skale, Ageljus naliczył ośmnaście drzew i pod ostatniem z nich ujrzał siedzącego człowieka. — Z jakąż radością poznał w nim Aspara starego sługę swego.

— Żyjesz więc Asparze — zawołał — znajduję cię przecię! O dzięki składam Opatrzności.

— Odkąd tu jestem odrzekł Aspar, siadam codzień pod tém drzewem, w nadziei, że cię powitam. Gdym nie mógł w onym nieszczęśliwym poranku złączyć się z tobą, powracając od Jukundusa, schroniłem się w to miejsce. Twój stryj posłał po ciebie w mojéj obecności — ale wówczas nie wiedziałem co to miało znaczyć. Myślałem więc, o własnem bezpieczeństwie.

— A gdzież Cecyljus? zapytał Ageljus niespokojnie.

Tuż po za drzewem oliwnem spuszczało się wązkie koryto potoku, osuszone w téj chwili. Poszli oba w tę stronę i niebawem Agelius ujrzał się na wierzchołku wzgórza przypartego jednym bokiem do wysokiéj góry, a z trzech stron otoczonego przepaścią. Powierzchnia jego w części była naga, w części zarośnięta krzakami. Miejsce to było z rodzaju tych, jakie pustelnicy średniowieczni zwykli byli obierać na samotną ustroń. Dwaj towarzysze przebyli je z pośpiechem i przez ciasny otwór weszli w głąb szerokiéj pieczary. Na dany znak drzwi zręcznie ukryte w skale otworzyły się i natychmiast zamknęły za nimi. Weszli w długi ciemny korytarz; Aspar oznajmił, że za chwilę ujrzą Cecyljusza.

Ageljus był w rzeczy saméj w przedsionku jednéj z tych sławnych grot, które służyły za świątynie, naprzód mieszkańcom pierwotnym téj okolicy, następ-

nie osadnikom fenickim, a które w ostatnich wiekach stanowiły bezpieczne kryjówki chrześcian. Ta grota składała się z kiku podziemnych pieczar połączonych z sobą, gdzie niegdzie przez otwory, od strony wąwozu wciskało się do nich światło i powietrze. Gdzie niegdzie znać było szczątki dawnych warowni. —

Było to miejsce bardzo suche, mimo że woda w dawnych czasach sączyła się górą przez sklepienia i potworzyła *Stalaktyty* na pół przeźroczyste, niezrównanéj piękności. Położenie miejsca inne jeszcze równie korzystne przedstawiało warunki. Z części pieczary, która dotykała do parowu słychać było każde słowo wyrzeczone na drodze, łatwo było zatem schronić się w razie nieprzyjacielskiego napadu. — Gdyby Agelius i Aspar mieli czas na badanie odległéj starożytności, byliby tam dostrzegli dawny ołtarz fenicki, a obok niego mogiłę ułożoną z kości szczurów; te bowiem zwierzęta Fenicyanie składali bogom na ofiarę. —

Ale dwaj chrześcijanie mijając korytarz nie myśleli wcale o historyi. Okolice miasta Sikki z położenia swego stanowiły bezpieczną ustroń dla misionarzów i wyborną kryjówkę dla prześladowanych, dla tego to wielu chrześcian zamieszkało w tych podziemnych pieczarach; niebezpieczeństwa i trudy ucieczki w tych czasach, tak były wielkie, że z widoków nawet czysto ziemskich, lepiéj było dać się pojmać we własnym domu, niżeli narażać się na niepewne losy tułactwa. Władze duchowne rozkazywały przeto wy-

raźnie, aby ci tylko uciekali od prześladowania, którzy niewątpliwie ulegliby śmierci, gdyby w domu pozostali. Rodziny więc prywatne zostały w miejscu równie jak i niższe duchowieństwo, lecz biskupi, dyakonowie, misyonarze, uczniowie i asceci, powinni byli uciekać w chwilach niebezpieczeństwa.

Aspar opowiedział Ageljuszowi, że gdy był jeszcze dzieckiem wprowadzono go po raz pierwszy do téj jaskini, i równie jak wszyscy świadomi tego miejsca zobowiązali się przysięgą, że go nie wydadzą przed nikiem.

Ludzie świątobliwi mieli od kilku lat przeczucia obecnéj próby, naczelnicy kościoła przekonani byli, że jeśli burza uspokoiła się chwilowo, wybuchnie znów gwałtownie i zakończy się okropnem, długiem prześladowaniem, jak gdyby to były czasy antychrysta. Wszelako wierzyli że nastąpi potem przeciąg lat tysiąca, w których urzeczywistni się panowanie świętych na ziemi. Ale ta epoka tak jeszcze oddaloną, że sam Ageljus lubo młody nie spodziewał się jéj doczekać, trudno było bowiem nie oczekiwać korony męczeńskiéj w przewidywanych walkach chrześcijaństwa. Aspar mówił także że kości męczenników pochowane były w podziemiach téj jaskini, i że wielu wyznawców zakończyło tam dni swoje. — W obecnéj chwili zebrani tam, byli przedstawicielami wielu kościołów w prokonsulacie. Co tydzień wysyłano z tąd posłańców do Kartaginy gdzie biskup tego miasta zajmował się wyłącznie korespondencyą. —

Ageljus dowiedział się także, iż mieli w okolicy wielu stronników w osobach wolnych od wszelkiego podejrzenia. Do tych należały rodziny chrześcijańskie połączone związkami krwi z poganami i odstępcami od kościoła. Aspar mówił o sobie, że jakkolwiek stary i ciemny prostaczek, w prześladowaniu jednak nabrał pewnéj nauki życia. Nieraz bowiem miał styczność z wielkimi ludźmi, którzy w danéj chwili osiągną palmę męczeńską niewątpliwie. Nauczył się pod względem religii wielu rzeczy, o których dawniéj nie miał wyobrażenia i napoił się duchem chrześcijańskim w takiéj obfitości, że ma nadzieję wyciągnąć ztąd zbawienny pożytek. Poznał także wielkość kościoła, dowiedział się o liczbie jego członków, o ich rozproszeniu, o uczynionych im obietnicach, o koniecznéj potrzebie prób i ucisków, o władzy biskupiéj, o niezłomnéj mocy katedry Piotrowéj w Rzymie, — te wszystkie wiadomości, w innego przeistoczyły go człowieka. — Wystawiliśmy tu może oględniejszemi słowy, we wszystkiem jednak oddaliśmy wiernie myśl poczciwego starca.

Zstępując do materyalnych przedmiotów, Aspar mówił następnie, że jaskinia obficie jest zaopatrzona w żywność, że ma dostatkiem chleba, oliwy, fig, suchych rodzynków i wina. Są w niéj także naczynia i ozdoby do spełnienia świętéj ofiary. Najtrudniéj było im o wodę, zwłaszcza w téj porze roku, ale spodziewali się, że Opatrzność dostarczy jéj cudowną

mocą. Podczas zimy, ostry chłód dokuczał w tych podziemiach.

Tak rozmawiając Agelius wraz z przewodnikiem doszli do końca długiej galeryi i przebyli już drugą pieczarę, gdy nagle dźwięki pobożnéj pieśni uderzyły ucho młodziana. O ileż ten śpiew miał dla niego uroku! Lubo był chrześcijaninem od dzieciństwa, mniemał iż dopiero po raz pierwszy, wchodzi do domu ojca swego; — to też postanowił go nigdy nie opuścić skoro go już wynalazł. Sam nie wiedział gdzie iść, jak się zachować. Aspar poprowadził go do ławek, przeznaczonych dla wiernych; upadł na kolana i rzewnie zalał się łzami. —

Była to godzina trzecia, ta godzina, w któréj Duch święty zstąpił niegdyś na Apostołów i gdy minęły czasy prześladowania, ową godzinę obrał zachód na uroczyste nabożeństwo. W pierwszych wiekach religijne obrzędy odbywały się zwykle o północy, dla uniknienia natrętnych oczu ludzkich, późniéj jednak zaprowadzono zmianę. Przypisują powszechnie św. Telesforowi, papieżowi z drugiego wieku, przeznaczenie téj godziny na nabożeństwo kościelne; w miejscu tak spokojném i ustronnem jak owa jaskinia, można było bez obawy trzymać się papiezkiego przepisu. W końcu kaplicy szeroka krata przecinała ją w poprzecz, a zakręcając się z obu stron wiodła prosto ku ołtarzowi. W obrębie po za kratą zbierali się wierni. Tam Aspar wprowadził Ageljusza było już z pięćdziesiąt zgromadzonych osób. W miejscu gdzie przypierały kraty

podłużne wiodące w głąb kaplicy, było wysokie podniesienie na którem stał pulpit. Daléj nowe podwyższenie zapełniało resztę miejsca. —

W pośrodku muru w saméj głębi kaplicy był grób w framudze, wyryty na nim napis oznajmiał imię wielkiego szermierza wiary, którego ciało tam spoczywało. Był to jeden z pierwszych biskupów miasta Sikki, który jak mówi napis, zasnął w Panu pod panowaniem cesarza Antonina. Na tych relikwiach wzniesiono stół kamienny, a ten stół miał służyć do spełnienia świętych tajemnic. Za tym ołtarzem widać było na murze malowanie podobne do tego, jakieśmy widzieli w domku Ageljusza. Przedstawiał Najświętszą i Niepokalaną Matkę Bożą, jako orędowniczkę grzeszników; stojącą przy ofiarnym ołtarzu niegdyś pod krzyżem i pośredniczącą między Bogiem a ludźmi. Układ tego rodzaju świątyń Pańskich tak był zgodnym z duchem chrześcijańskim, że nawet podczas walk i prześladowań trzymano się go w głębi podziemnych pieczar. Nie tylko łuki sklepień nad ołtarzem, ozdobione były w arabeski, ale i sam sufit pokryty malowaniami. Chrystus był w pośrodku a po dwóch bokach dwie postacie Mojżesza! po prawéj ręce święty prawodawca zdejmował sandały z nóg, po lewéj uderzał laską o skałę. Pomiędzy obrazem środkowym a ołtarzem widać było wskrzeszenie Łazarza, z przeciwnéj strony uzdrowienie paralityka, a w czterech rogach pomalowane były klęczące postacie mężczyzn i niewiast. —

Na ołtarzu leżała makata jedwabna amarantowa, haftowana złotem, na której jaśniały wizerunki Piotra i Pawła apostołów. Był to pobożny dar bogatéj matrony z Kartaginy. Nad ołtarzem wznosił się krzyż Zbawiciela, po jednym boku wykuta była w skale mała sadzawka przy któréj wisiała sztuka płótna białego. Nie było gromnic na ołtarzu, tylko pochodnie woskowe utwierdzone w srebrnych podstawach stały w niejakiéj od siebie odległości na przepierzeniu dzielącem *sanctuarium* od kaplicy.

Miała się odbyć msza ofiarna za wyznawców wiary uwięzionych świeżo w Kartaginie. W kilka minut po wnijściu Ageljusza ukazali się kapłani. Ich szaty ofiarne różniły się już od zwykłéj odzieży i przypominały odległą starożytność; lubo nie miały wyłącznego kroju jak dzisiejsze, odznaczały się jednak odrębną cechą zapowiadającą ich przeznaczenie. Kapłani mieli szyje odkryte: zamiast stuły chustka zwana *orarium* przytwierdzona do ramion, spuszczała się z obu stron. Albę stanowił ubiór spodni zwany *comisium*, którego używano zwykle na noc po zdjęciu szat zwierzchnich. W pasie związywano ją sznurem, jak to widziemy dotąd. Manipularz był podobny do serwety lub chustki płóciennéj, a ornat miał kształt szerokiéj togi, jakiéj używali sędziowie; był to okrągły płaszcz z wyciętym na głowę otworem. Dalmatyka djakona dłuższa była nierównie od dzisiejszéj a tunika poddjakona podobną do alby. Cała odzież kapłańska jaśniała nadzwyczajną białością. —

Msza święta rozpoczęła się błogosławieństwem biskupiem, następnie lektor, człowiek podeszły w latach brał w rękę pargamin, przystępował do pulpitu, i czytał ludowi ustępy z proroków, jak czynią dotąd kapłani w wielką sobotę i wigilię zielonych świątek. Po skończonem czytaniu lud odśpiewał pierwszy wiersz *Gloria Patri*, poczem duchowieństwo śpiewało z nim na przemian *Kyrie Eleison*, w sposób po dziś dzień przechowany. —

Następnie podano lektorowi nowy pargamin, zwany *Apostolus* z którego odczytał jedan z listów kanonicznych, poczem lud śpiewał chórem słowa psalmu; później lektor odczytał znów ustęp z Ewangelii z rękopisu zwanego *Ewangeliarium*; przez ten czas trzymano w ręku zapalone świece a lud powstał wszystek, po skończonéj Ewangelii lektor otworzył wielką księgę, podał ją naprzód do pocałowania biskupowi, a następnie duchowieństwu i wszytkim wiernym po kolei. —

Wówczas dyakon zawołał: *Ite in pace catechumeni*: Idźcie w pokoju Katechumeni, po czem wszyscy otrzymali pocałunek pokoju, a lud począł śpiewać psalmy i hymny pobożne. Gdy wierni zajęci byli w ten sposób, dyakon odebrał z rąk Akolity *Sindon* czyli korporał długi jak ołtarz, ale daleko szerszy i rozciągnął go na stole ofiarnym. Na tym korporale położono *oblaty* to jest maleńkie sztuczki chleba, stósownie do liczby komunikujących, oraz wielką patynę i szczerozłoty kielich. Wówczas podniesiono w górę spuszczoną część korporału i pokryto nią ołtarz. —

Następnie celebrant przybliżył się a stanąwszy z boku ołtarza, zwrócony obliczem do ludu począł spełniać świętą ofiarę. Naprzód okadził *oblaty* to jest chleb i kielich na znak wszech potęgi Bożéj; tudzież na znak modlitwy wznoszącéj się ku Panu. Przyniesiono mu potem księgę, a dyakon począł tymczasem czytać modlitwę błagalną, w któréj wyszczególnione były rozmaite prośby: o nawrócenie świata, o podwyższenie kościoła świętego, o pomyślność rzymskiego państwa, o zachowanie plonów ziemi, słowem o wszelkie błogosławieństwa tak duchowne jak i doczesne. Te przedmioty ścisły miały związek z tym co dziś zowią intencyami Ojca św. Modlitwy zakończyły się polecaniem Bogu wszystkich obecnych, aby im pozwolił wytrwać aż do końca. Po czem kapłan rozpoczął *Sursum corda* prefacyą i wyrzekł: *Sanctus.*

Kanon zwany inaczéj *Action* podobny był do dzisiejszego; słowa poświęcające, tajemnice były wyrzeczone. Przywiązywano zwłaszcza wielką wagę do modlitwy Pańskiéj, która zakończała niejako ceremonią. Wszyscy obecni powtarzali ją na głos, a wymawiając słowa: *I odpuść nam nasze winy* uderzali się w piersi.

Nic dziwnego, że Ageljus, uczestniczący w téj cudownéj uroczystości przyglądał się z niezrównanem zajęciem, temu wszystkiemu, cośmy tu szczegółowo opisali. Radośnem było po mszy świętéj powitanie Cecyljusza z młodym penitentem. „O mój ojcze, zawołał Ageljus, przychodzę do ciebie, aby cię już nigdy nie opuścić, chcę być pokornym sługą twoim i

pragnę, abyś mnie wykształcił na wzór tego, który cię uczynił tem czem jesteś. Niepojęte rzeczy zaszły w tych czasach: Kalista jest w więzieniu, obwiniona o chrześcijaństwo i ja sam byłem także w niewoli, a co gorsza w wielkiem dla duszy mojéj niebezpieczeństwie: ale mój brat Juba oswobodził mnie dziś rano w najdziwniejszy sposób. Czyżby jéj nie można ocalić ojcze, zgodnie z wolą Bożą, rownie jak innych ocalono? Prawda możemy wszyscy modlić się za nią, ale możemy także i coś więcéj uczynić. Tak pięknéj duszy nie należy porzucać na pastwę saméj siebie i światu. Jeżeli ponosi ciężkie próby ma niemniéj prawo dostąpić chrześcijańskiego błogosławieństwa. Czyżby miała na nowo wpaść w pogańskie błędy? Miałażby niestety cierpieć bez chrztu świętego. Czyliż nam nie należy narazić się na śmierć, aby jéj zapewnić tę łaskę?

XXX.

Chrzest.

Nadmieniliśmy już nieraz, że wszędzie w owych czasach a szczególnie w mieście Sikka było wiele osób życzliwych w duszy chrześcijanom lub przynajmniéj gotowych nieść im pomoc. Wiele z tych osób doznało ich miłosierdzia i przekonało się własnem doświadczeniem, jak fałszywe były krążące przeciwko nim zarzuty. Inni mieli wspaniałomyślne uczucia dla ludzi tak okrutnie prześladowanych. Jedni zupełnie obojętni względem religii, w mniemaniu, że każda wiara jest poprostu oszustwem, nie pojmowali czemu jedna tylko religia ściągała taką nienawiść na wyznawców swoich.

Inni cenili to co widzieli w religii chrześcijańskiéj i mniemali, że ma w sobie część prawdy ale nie chcieli przyznać jéj prawa do wyłączności w prawdzie. Jedni czuli że jest prawdziwą, ale drżeli w obec skutków, jakie pociągało za sobą jawne jéj wyznanie. Inni, którzy zaparli się wiary przez bojaźń kata, mieli zamiar powrócić do niéj znowu. Musimy dodać, że w kościele Afrykańskim pojmani wyznawcy mieli ten

wielki przywilej iż otrzymywali dla odstępców publiczne przebaczenie kościoła. Co więc wszyscy, którzy byli w tym nieszczęśliwym stanie, a pragnęli kiedyś powrócić do łaski, usiłowali zapewnić sobie ich dobrą wolę i pomoc. Do tych wszystkich powodów łączyło się w sprawie Kalisty mimowolne współczucie dla kobiety młodéj i bezbronnéj.

Słońce afrykańskie paliło z całą mocą. Ludność miejska znużona upałem, głodem, morową zarazą, rzezią któréj po buncie dopuściło się rzymskie żołdactwo, ludność miejska nie myślała w téj chwili ani o chrześcijaństwie, ani o niczem innem. Tłumy ludu leżały pod portykami w pieczarach podziemnych i w łaźniach; nocą tylko miasto okazywało nieco życia. Woźny uniwersytetu, u którego mieszkała Kalista, a który był niegdyś chreścijaninem spał w wielkiéj sieni prowadzącéj do mieszkania. Na parę godzin przed zachodem dwaj ludzie pojawili się u drzwi i pytali o Kalistę. Stróż wziąwszy ich za dwóch Greków (brata i retora) którzy ją już odwiedzali, zachęcony wreszcie datkiem pieniężnym młodszego przybysza, puścił ich bez trudności. Gdy umysł ściga wielkie cele, lub ważne snuje zamiary, wówczas ani chłód, ani upał, głód ani pragnienie nie zdołają go osłabić. W ten sposób może potrafimy wytłumaczyć sobie siłę moralną dwóch kapłanow i Kalisty. —

Ona także mniemała, że nieznośny retor powraca, ale poznawszy Cecyljusza zadrżała i krzyknęła z radości.

— Ojcze mój! zzwołała, ja pragnę być chrześcijanką jeśli to być może On przyszedł aby ocalić owieczkę zbłąkaną. Pięknych rzeczy nauczyłam się w téj księdze: — niech ci ją oddam gdy mam sposobność ku temu. Mnie już nie długo żyć na świecie Daj mi Tego, który mówił z taką dobrocią do téj niewiasty. Rozwiąż mnie z ciężaru grzechów moich a opuszczę ziemię szczęśliwa! i upadła do nóg jego i oddała drogocenny pargamin.

— Wstań i usiądź, odrzekł Cycyljus, weźmy rzeczy pod spokojną rozwagę.

— Jam gotowa — odrzekła. Nie odmawiaj mi ojcze celu pragnień moich, gdy czas tak nagli, niechby przynajmniéj stać się mogło zadość mym chęciom

— Słuchaj spokojnie powtórzył Cecyljus, ja ci nic nie odmawiam, ale pragnę poznać wszystko, co się ciebie dotyczy. Zaledwie zdołał powstrzymać łzy żalu, czy radości, gdy ujrzał wielką zmianę, jaką cierpienia w niéj zrządziły. Najwięcéj ujęło go zniknienie téj szlachetnéj piękności, (daru wzniosłego zapewne, nie niebezpiecznego dla człowieka w upadku) jaką w niéj dawniéj spostrzegał. Dziś wszystkie jéj powaby ustąpiły głębokiéj pokorze, niezmyślonéj prostocie, słodyczy tąk pełnéj poddania, że gdyby ją nawet ludzie zdeptali, gdyby marny proch, jeszczeby gotowa z uśmiechem ucałować stopę która ją znieważyła. Straciła wszelki odcień tego, co świat wielbi pod

imieniem godności i szacunku siebie. Kalista nie żyła już w własnéj swojéj woli ale w myśli Innego. — [1])

— Bóg bardzo był miłosiernym dla ciebie rzekł kapłan lecz w księdze, którą mi oddajesz, rozkazuje nam, aby liczyć wypadki, na jakie nas staje. Czy możesz spełnić ten kielich? Wyobraź sobie wszystko co cię czeka.

Ona klęczała w poważnéj i kornéj postawie z rękoma złożonemi na piersi.

— Skończyłam już rachunek odrzekła; porównałam niebo z piekłem i przekładam niebo.

— Jesteś na ziemi — rzekł Cecyljus, a nie w niebie ani w piekle. Musisz przetrwać cierpienia ziemskie nim zdołasz osiągnąć błogosławieństwo niebios. —

— On mi natchnął silną wolę pozyskania nieba i da mi do tego moc potrzebną.

— O Kalisto! odrzekł Cecyljus głosem złamanym boleścią, nie wiesz sama co będziesz musiała wytrwać jeżeli się z Nim chcesz połączyć.

— On już uczynił dla mnie wielkie rzeczy, odrzekła zmienił do niepoznania, nie jestem już tem, czem byłam. On więcéj uczyni.

---

[1]) Nie trzeba zapomnieć że w tém przedstawia tu skruchę poprzedzającą męczeństwo — nie zaś zwyczajny stan — pobożnego chrześcijana, który bynajmniéj nie wyłącza uczucia godności. — *Przypisek tłumacza.*

— Niestety dziecię moje — rzekł Cecyljus, to słabe ciało, czyż zdoła wytrzymać ostrze stali, płomień, lub pazury dzikiego zwierza. O! ty nie wiesz co ja czuję, ja który jestem wolny, oddając cię w ręce prześladowców, może na pastwę szatana.

— Mój ojcze odrzekła, jam uczyniła wybór, bez pośpiechu, po dojrzałym namyśle. — Wierzę w Niego najzupełniéj. Nie oddalaj mię więc od Niego, daj mi go, jeślim godna — daj mi jedyną miłość moję.

Umilkła a po chwili dodała. Nigdym nie zapomniała tych słów, którem słyszała z ust twoich *Amor meus crucifixus est,* miłość moja jest ukrzyżowaną. Pragnę być chrześcijanką — rzekła nakoniec, chciéj mię pomieścić w gronie wiernych. Daj mi miejsce u stóp Jezusa Syna Maryi, Boga mojego! Pragnę go ukochać; mniemam żem zdolna go ukochać! Spraw niech do Niego należę.

— On cię umiłował od wieków rzekł Cecyljus, dla tego to zaczynasz miłować go w téj chwili.

Przysłoniła oczy rękoma, i została czas jakiś w głębokim pogrążona milczeniu. Ja nic nie wiem, jam wielka grzesznica — rzekła wreszcie. Wiem tylko to, iż jest na świecie jedyna istność godna wyłącznéj miłości i téj pragnę poświęcić miłość moją. Oddaję się w jego ręce, jeśli mną nie wzgardzi, a sam oświeci i objawi czem jest. —

— Zapamiętały lud, wściekła wrzawa, kat nieludzki, tortury, więzienie, śmierć powolna i sroga! — Tak mówił do siebie szlachetny wyznawca Pański.

Kalista była spokojna, lecz on nie mógł być pewnym siebie. Serce jego cierpiało boleść podobną do téj, jaką czuł Abraham, gdy podnosił rękę na rodzonego syna.

— Czas mija rzekła — nie wiemy co nastąpi. Mogą cię odkryć ojcze. Ależ to zapewne dodała z obawą, wymaga długiego czasu próby. O jakżem ja nieszczęśliwa.

Cecyljus zamiast odpowiedzi rzekł do towarzyszącego mu dyakona: Przygotuj wszystko co potrzeba. Potem usunął się na bok a dyakon imieniem Wiktor wystąpił naprzód i dał Kaliście (o ile czas i okoliczności dozwalały) stósowne objaśnienia, nie tylko co do chrztu, lecz niemniéj i co do bierzmowania i świętéj Eucharystyi; Cecyljus bowiem postanowił udzielić jéj trzech Sakramentów równocześnie. Był to widok godzien nieba, na który aniołowie patrzą z upodobaniem, gdy ta młoda niewolnica, bogata w dary świata, ale uboga w dary wieczne ukłękła i przyjęła na czoło święty strumień, który popłynął po niéj zwolna i nagle duszę jéj napełnił pokojem, o jakim dotąd nie miała wyobrażenia.

Biskup udzielił jéj bierzmowanie a potém świętéj Eucharystyi. Pierwszy to raz i ostatni przystąpiła do stołu Pańskiego; — w kilka dni potém miała odnowić a dopełnić tę świętą komunię przed obliczem Tego, w którego uwierzyła bez widzenia.

— Żegnam cię o najdroższa z córek moich, rzekł Cecyljus, żegnam cię aż do chwili, w któréj spotkamy

się przed tronem Przedwiecznego. Kilka jeszcze bolesnych policzysz cierpień a potém wszystko minie. Zniesiesz je radośnie i w chwale tryumfu, wiem o tém. Już zanim byłaś chrześcijanką, patrzałaś na mękę bez trwogi, a teraz gdy nią jesteś, przetrwasz łatwo tę próbę.

— Nie lękaj się mój Ojcze rzekła cichym lecz pewnym głosem. Natychmiast potem biskup i dyakon opuścili więzienie.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Cecyljus i Wiktor wychodzili z miasta a ostatnie promienie zorzy, gasło na niebie, gdy przechodzili stronę wzgórza prowadzącą do podziemnéj pieczary. W czynie miłosierdzia, który spełnili przed chwilą, nie lękali się samych tylko złych ludzi: nie mniéj groziła im napaść drapieżnych zwierząt, a wedlug mniemania pogan, wystawili się i na działanie złych duchów. Cecyljus wierzył także w złe duchy, ale nie widział niebezpieczeństwa w ich spotkaniu. Dwaj towarzysze postępowali więc śmiało drogą, powtarzając i śpiewając półgłosem modlitwy i psalmy, gdy nagle usłyszeli okrzyk a człowiek wysokiego wzrostu przyskoczył ku nim. Mógł to być rozbójnik lub zagorzały poganin nienawistny ich wierze; ale podczas gdy się zatrzymali w miejscu zbliżył się nieco a potem zniknął. Powrócił jednak wolnym krokiem a Cecyljus poznał w nim po wysokim wzroście Jubę brata Ageljusza.

„Juba“ zawołał biskup.

Juba odskoczył z trwogą; Cecyljus wyciągnął ku niemu rękę i powtórnie zawołał go po imieniu. Biedny młodzieniec zbliżył się: Cecyljus miał jeszcze w dniu tym wielkie do spełnienia dzieło.

Od chwili gdyśmy po raz ostatni mówili o nim, Juba tułał się wśród parowów, przez które przechodzili dwaj chrześcijanie: błąkał się tu i owdzie rozbijając o skały i walcząc z siłą zozhukanych żywiołów. Trudno pojąć jakim sposobem wytrwał, chyba że popęd jaki okazywał w początku swéj strasznéj choroby — do walk z dzikiemi zwierzętami posłużyły mu w tych miejscach. Owoce i korzonki rosły w pustym miejscu obficie; zwłaszcza nie brakło ich w parowach, gdzie ziemia pokrywała nagie skały. Niestety! przy świetle dziennem Cecyljus dostrzegłby był w młodzianie równą zmianę, jaką był dostrzegł w Kaliście; mimo że zmiana ta innego była rodzaju: wszelako i w nim nawet, ujrzałby z pociechą, że straszny wyraz, pychy i podejrzliwości, który niegdyś piętnował jego rysy, znikł już dziś zupełnie. I miałżeby jeszcze biedny Juba przechwalać uporem, gdy za każdym krokiem czuł złamaną wolę własną? Nie był to słodki wpływ, który pociąga i przekonywa zarazem, nie była to moc, którą można zmiękczyć prośbą, była to raczéj nieprzebłagana władza, działająca bez ustanku, potężna i niedościgła. —

Juba — powtórzył Cecyljus po raz trzeci.

Szaleniec przystąpił ku niemu, potém odskoczył nagle. Chwilkę jednak stał niedaleko Cecyljusza, jakby się lękał zbliżyć i zawołał poruszając dziko rękoma: Precz z tąd, czarny obłudniku — nie przystępuj do mnie. — precz obrzydły psie, nie stawaj mi na drodze, jeźli nie chcesz abym cię poszarpał na sztuki.

Takie spotkanie wcale nie było nowością dla Cecyljusza; podniósł rękę, nakreślił krzyż święty i rzekł: chodź tu.

Juba zbliżył się i krzyknął na całe gardło; wyrzekł kilka okropnych bluźnierstw i rzucił się na Cecyljusza: rzekłby kto że chciał z nim postąpić, jak niedawno postąpił sobie z dzikim wilkiem.

Jakto? chodź tu powtórzył — dobrze, więc idę. Wiktor przybiegł do biskupa w obawie, żeby szaleniec nie rozszarpał go zębami. Cecyljus nie ustąpił ani kroku, nie zadrżał, nie okazał trwogi na obliczu, skreślił powtórnie znak krzyża: wtedy pomimo widocznéj walki, pokonany młodzian poszedł za nim pląsając i wydając krzyk przeraźliwy. —

Szli razem dalszą drogą, od czasu do czasu Juba chciał się wyłamać z pod powagi Cecyljusza lecz ten umiał go powściągnąć. Gdy przybyli do skalistéj ścieszki ukrytéj w cieniu drzew, gdzie trzeba było iść ostrożnie, — biskup zwrócił się do Juby i zawołał go — Juba przy stąpił w tejże chwili.

Uklęknij! rzekł wtedy św. kapłan. Młodzian posłuchał bez oporu, Cecyljus położył mu rękę na gło-

wie mówiąc: Idź tuż przy mnie i nie bój się niczego, poczem szli daléj drogą i przybyli do pieczary gdzie Cecyljus powierzył Jubę opiece rzymianina, który zajmował się exorcyzmowaniem w Kartaginie.

XXXI.

Niebieska Jeruzalem.

Gdyby urzędnicy w mieście Sikka spełnili edykt cesarski, bez odwoływania się do Kartaginy, może być, że Kalista nie byłaby wytrwała w oporze, i złożyła w końcu ofiarę bogom, o którą tak nalegano. Ale wachanie sędziów przyczyniło się do jéj zbawienia. Gdy przyjęła chrzest św., dalsza zwłoka nie była jéj potrzebną. Godzina walki miała niebawem nadejść i nadeszła. Podczas gdy Cecyljus zajmował się uwolnieniem jéj od niebezpieczeństwa, odpowiedź Prokonsula nadeszła do Duumwirów. Nieobecność prokonsula w Kartaginie spowodowała zwłokę; potrzeba było przytem ścisłych badań, aby zrozumieć związek jaki zachodził między uwięzieniem Kalisty, a powsta-

niem w mieście, oraz, aby wytłumaczyć sobie dzielne wystąpienie wojska, w powstrzymaniu rozruchów. Mniemano powszechnie, że były jakieś ukryte powody, które wpłynęły na postanowienie greczynki. Rząd cesarski sądził teraz, że jasno pojmuje sprawę swoją i wydał stósowne rozkazy. Trzeba było wykorzenić do gruntu chrześcijaństwo. Był to chytry nieprzyjaciel, który podkopywał podwaliny państwa. Albo Rzym musi upaść, albo to nieprawe stowarzyszenie musi koniecznie ustąpić. Wybiegi, jakich używała Kalista, były nowym dowodem przewrotności téj religii; zdrada objawiała się nie tylko w zasadach, jak raczéj w oporze, przeciw hołdowaniu rzymskim bogom. Kalista pobudziła ich do krwawéj zemsty. Oddawna już nie prześladowano chrześcijan w środkowych prowincyach Afryki, kobiety najsilniejszy zwykle okazywały opór. Jako cudzoziemka tém prędzéj mogła brać udział w potajemnych spiskach, a skazanie jéj na śmierć tém mniejsze pociąga za sobą następstwa. Cokolwiek wypadnie trzeba jéj się pozbyć, ale naprzód należy przykładem drugich przełamywać jéj postanowienie. „Niech ją więc naprzód stawią przed trybunałem, niech jéj zagrożą mękami, a potem wtrącą do *Tullianum*, [1])

---

[1]) Więzienie podziemne w którem zamykano skazanych na śmierć winowajców.

wezmą na koło i znów odprowadzą do więzienia, potem ma być pieczoną na wolnym ogniu, nakoniec ścięta, a członki jéj porozrzucane na łup dzikim zwierzętom. Odda cześć bogom niewątpliwie, nim przyjdzie do ostatniéj próby. Gdy ulegnie niech ją powierzą w ręce gladyjatorów.“ List kończył się oznajmieniem, że prokurator prokonsularny, przybędzie natychmiast i sam ma przewodniczyć sądowi.

O mądrości świata! o potęgo ziemi! czemże wy jesteście w porównaniu z szaleństwem i słabością chrześcijanina? Wy tak przemyślne, tak zasobne w środki, tak pełne nadziei w zamiarach, lecz jednéj tylko niedostaje wam rzeczy, oto brak wam spokoju. Trwogą miota wami bezustannie. Nie macie na czem spocząć, ziemia usuwa się wam pod stopami. Ale chrześcijanin najuboższy i najpokorniejszy posiada w pełni to, czego wy osiągnąć nie możecie. Kalista czuła niegdyś choroby, jakie was dręczą, przeszła przez zwątpienie, trwogę, rozpacz i namiętności, ale dziś spoczywa bezpiecznie. Dziś ją nie trwożą tortury, ani płomienie, jak jéj nie trwoży poświst wiatru nocnego, ani krzyk polnych koników w dzień biały; powiedzmy raczéj, że nie myśl o torturach, ani o smierci, lecz w pełni używa pokoju, który ją unosi w górę siłą potężnych skrzydeł. — Przez kilka godzin klęczała z pokorą po odejściu Cecyljusza, potem rzuciła się na posłanie z trzciny i zasnęła ostatnim snem ziemskim. —

Spała twardo i widziała we śnie dziwny obraz: zdało jéj się, że nie jest w Afryce, ale w ukochanéj Grecyi, która wydała jéj się stokroć piękniejszą i świetniejszą, jak dawniéj, tylko że z niéj wszyscy ustąpili mieszkańcy. Wspaniałe jéj góry, bujne doliny, piękne morza, głuche zaległo milczenie; nie było do kogo przemówić, nie było kogo ukochać. Gdy zdumiona błąkała się tu i owdzie, kraj nagle się przemienił. Barwy jego zajaśniały blaskiem niebieskiéj chwały. Każdy przedmiot niezwykłą zaświecił pięknością, cudownie poił zmysły; wszystko było światłem, dźwiękiem i wonią. Z głębi grot, dolin, gajów i morza, występowały roje postaci promienistych i ulotnych i wszystkie zbliżyły się, okrążyły ją w około i utworzyły czarowny obraz, żadnemi niewypowiedziany słowy; był niby świat duchów bezcielesnych. Kiedy patrzała coraz bardziéj zdumiona, zdało jéj się że widzi postać znaną, ale niepojętym otoczoną blaskiem. Ta która była jéj niewolnicą, dziś wspanialéj przyodzianą, niż wszystkie królowe wschodu, spojrzała na Kalistę z uśmiechem dziwnie słodkim; a ona pobiegła ku niéj w pląsach odpowiadając na wezwanie. —

Gdy się przyglądała coraz bardziéj, postać zmieniła się jeszcze i nową cudowniejszą zajaśniała pięknością. W jéj spojrzeniu była niewinność i słodycz, zapowiadająca matkę i dziewicę zarazem. Kalista uczuła taki zachwyt, że mimo woli zbliżyła się ku niéj wiedziona siłą niepojętéj czci i miłości. Święta Pani ze swéj

strony ośmieliła ją skinieniem; po czem nowa chrześcijanka rozpoczęła uroczyste pląsy, niepodobne do żadnych pląsów ziemskich, — tak zbliżyła się z cicha ku téj, którą jeden z duchów nazwał niepokalaną i pełną chwały. — Kalista nie pojęła tych słów; zmuszona potem wyższą wolą do śpiewania, odezwała się w te słowa: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego,“ a głos inny odpowiedział jéj: „dobry początek ofiary.“ —

Ledwie że przystąpiła do téj postaci pełnéj wdzięku, dostrzegła w niéj nową przemianę. Oblicze jéj i rysy były takież same jak przed chwilą, lecz światłość niebieska rozpromieniła je nowym blaskiem. Włosy rozdzielone na czole spływały z obu stron na ramiona. — W około głowy miała wieniec odmienny całkiem od dawnego, niby spleciony z cierni. Obie ręce wyciągnięte ku niéj nosiły piętna blizn, a szata spływająca do stóp i rozwarta na piersi odkrywała szeroką ranę w boku. Gdy stała zachwycona i niby skamieniała przed cudownem zjawiskiem, uczuła że i własne jéj ręce i nogi były przebite; — rzuciła okiem w około i spostrzegła dziwne podobieństwo wszystkich zgromadzonych do téj niebieskiéj postaci, i równe blizny wypiętnowane na członkach obecnych osób. Wtedy roje duchów poruszyły się wnosząc do nieba postać nową, poczęły śpiewać, a pieśń ich była tylko bezustannem powtarzaniem téj zwrotki: „Weselcie się ze mną, albowiem znalazłem moją owieczkę.“ I zbli-

żyły się długim sklepieniem, trzymając w ręku pochodnię z dyamentów, ametystów i szafirów, które światłem różnobarwném rozjaśniły całą przestrzeń. Chciała zobaczyć kogo nieśli, ale napróżno; w tem nagle usłyszała głośny krzyk i zbudziła się ze snu. —

XXXII.

Wyrok.

Był to krzyk kobiety, żony stróża, która jak wiemy wiele przychylności okazywała Kaliście. Ta kobieta nazwiskiem Liby, rodem fenicyanka mówiła zepsutą łaciną, ale mowa współczucia pozostała językiem powszechnym między ludźmi, mimo pomięszania babilońskiego. —

Kalisto zawoła: „moje dziécie, już przychodzą po ciebie — ty musisz umierać.“ O! jakaż to śmierć okropna! tortury! O! to stokroć sroższa męka nad katusze, jakie zadają zbiegłym niewolnikom. Ustąp im moje dziecię. I cóż ci to szkodzi? Tyś taka młoda, a ci ludzie tacy straszni z temi obcęgami i sztabami rozpalonego żelaza. Kalista powstała i przeszła nagle z pięknego widzenia do smutnéj rzeczywistości. Uśmiechnęłą się i rzekła: „Jam gotowa, idę do ciebie.“ Kobieta patrzała na nią z przestrachem i wstrętem. Mniemała wraz z drugiemi, że niepodobna było aby Kalista

mogła się opierać gdy chwila śmierci nadejdzie. „Ona szalona“ rzekła w duchu. —

„Jam gotowa matko,“ — rzekła Kalista powstając. Byłaś dla mnie tak dobra mówiła daléj. Modliłam się szczerze za ciebie wówczas, gdy modlitwy moje nie miały żadnéj wagi, bo On nie był jeszcze moim. — Teraz On moim oblubieńcem, poślubię Go dziś jeszcze i wiem, że mnie wysłucha. —

Kobieta patrzała na nią osłupiona. Widoczna rzecz, że jeżeli późniéj w niéj nastąpiła równa zmiana jak w Kaliscie, zmiana ta musiała nastąpić z nadprzyrodzonych pobudek. Trzymała w ręku jakiś przedmiot. Daremnie rzekła powierzać w ręce szalonéj, to co mój mąż przesyła jéj przezemnie. —

Kalista wzięła paczkę, rozłamała pieczęć. Była to przesyłka od brata. Gdy otworzyła zwój pargaminowy, sztylet wypadł z brzękiem na podłogę. Kilka słów skreślonych na pargaminie, datowanych z Kartaginy zawierały co następuje:

Aryston do swojéj ukochanéj Kalisty. — Piszę do ciebie za pośrednictwem Korneljusza. Nie było w twojéj mocy odebrać mi życie, ale odjęłaś mi połowę dni moich. Co do mnie zachowam jednak drugą połowę, wolę bowiem życie od śmierci. Lecz ty przekładasz nicestwo, — jeśli tak jest, nie umieraj przynajmniéj jak niewolnica. Umrzéj szlachetnie pomnąc na twoją ziemię rodzinną, posyłam ci środek ku temu. —

Kalista nie myślała o tem, co ją otaczało; patrzała na świat niby przez mgłę senną. Była już tak obojętną dla ziemi jak większa część ludzi jest dla nieba. Widziała tylko Boga swego. Od niego rzekła pragnę śmierci, a nie od saméj siebie. Jam iego ofiara. — Brat mój?... Ależ ja nie mam brata oprócz niego, który mię woła. —

Zaprowadzono ją przed trybunał i śledztwo rozpoczęło się natychmiast. Dalismy już próbę podobnego procesu, wspomnimy tu tylko dwa starożytne dokumenta odmiennego rodzaju, które przeszły do naszych czasów: pierwszy z nich jest to wypukła rzeźba, niegdyś kolorowana, nie osobliwa pod względem sztuki, która sięga czasów Konstantyna, jest więc o sto lat późniejszą od wypadków naszéj powieści. Znaleziono ją niedawno odgrzebując stare zabytki w El-Kaf, nowoczesnéj Sikki pod gruzami kościoła czyli bazyliki rzymskiéj. Gmach ten albowiem miał kolejno te dwa przeznaczenia. Rzeźba przedstawia pretorjum (izbę sądową) z trybunałem prezydenta. Trybunał był to tron wysoki półokrągły z dwoma skrzydłami po bokach; wstępowało się nań po wschodach umieszczonych między skrzydłami. Krzesło kuralne stało na najwyższem podniesieniu. Ze środka baldachinu, przytwierdzonego w górze spadały aż do ziemi purpurowe firanki, pościągane po obu stronach. Gdy je rozpuszczono w tyle za krzesłem, w ówczas miejsce oddzielone niemi od widzów zwało się

secretarium.[1]) Po jednéj stronie trybunału widać stół pokryty kobiercem, podobny do dzisiejszego, tylko wyższy i cokolwiek pochyły. Na tym stole leży księga mandatów znak prawodawstwa. Jest także miecz, na dowód, że sądzą kryminalną sprawę. Prokurator siedźi w krześle odziany purpurą, z łańcuchem złotym, okręconym po trzykroć w koło szyi. Obok niego widać prawników i sędziów, równie jak lektorów i żołnierzy. Poniżej siedzieli rzędem sekretarze a zapisujący pytania sędziego i odpowiedzi obwinionéj ; jeden z nich obraca się ku niéj jakby ją wzywał, aby głośniéj mówiła. Obwiniona siedzi na wyniesieniu, w rodzaju rusztowania, zwanem *Cataste*, na jakim zwykle sprzedawano niewolników. — Obok niéj stoją dwaj żołnierze, którzy ją zapewne przyprowadzili. Widać także katów, obnażonych po pas; trzymają w ręku różne narzędzia męki.

Drugi pomnik składa się z ułomka aktów prokonsularnych z czasów męczeństwa Kalisty. Gdyby można wiedzieć, że text dokumentu zawiera słowo w słowo jéj odpowiedzi, miałby dla nas prawdziwie święte znaczenie, skutkiem tych słów Chrystusa Pana: „Będzie wam dane w téj chwili to co odpowiadać macie.“[2]) Wszakże nie przyznajemy mu tak wielkiéj wagi,

---

[1]) Tak zwano miejsce gdzie sędziowie roztrząsali sprawy i wydawali wyroki. Często miejsce to oddzielone było tylko firanką od trybunału, na którym prezydent oznajmił wyrok, według postanowienia, jak zapadło w głębi.

[2]) Matheusz X. 19.

otrzymaliśmy go bowiem przez pośrednictwo sekretarzy pogańskich, niedosyć wiarogodnych świadków; taki jakim jest zasługuje niemniéj na uwagę. Obejmuje te słowa:

Za konsulatu Knejusza, Messjusza, Decjusza, Augusta II. i Gratusa, dnia siódmego przed kalendami sierpniowemi w Sikka Veneria kolonii, w *secretarium* trybunału, w obec zasiadającego Martiniana prokuratora, Kalista rzeźbiarka, obwiniona o chrześćijaństwo przyprowadzoną była przez kommentarystę[1]) a gdy ją umieszczono, Martynian prokurator rzekł: To głupstwo za długo już trwało; wyrabiałaś sama posążki a teraz nie chcesz im oddać hołdu. Kalista odrzekła „Bo znalazłam prawdziwą miłość moją, któréj dawniéj nie znano.“

Martinian: „Twoją prawdziwą miłością jest zapewne ostatnia; każda bowiem prawdziwą jest w swoim czasie.“ —

Kalista: Wielbię prawdziwą miłość moją, która sama tylko jest prawdą. On synem bożym, nie znam innéj prawdy oprócz niego.

Martinian: Nie chcesz oddać czci bogom, a chcesz kochać ich synów. —

Kalista: On jest prawdziwym synem prawdziwego Boga, jestem jego wyłącznie i On jest także moim. —

Martinian: Porzuć twoje miłości i przysięgnij na jeniusz cesarza.

---

[1]) Stróż w milicyi rzymskiéj.

Kalista: Mam tylko jednego pana, króla królów, pana wszech rzeczy.

Martinian zwrócił się do lektora i rzekł: To prawdziwe szaleństwo, weź jéj rękę, posyp na nią kadzidła i trzymaj ją nad płomieniem.

Kalista: — Możecie mnie zmusić mocą ramienia waszego, lecz prawdziwy Bóg moja Miłość jest potężniejszym jeszcze. —

Martinian: Tyś oczarowana, lecz my zniszczymy urok. Prowadźcie ją do Lignum (więzienie zbrodniarzy.)

Kalista: On tam był przedemną, On tam przyjdzie mnie odwiedzić.

Martinian: Stróż będzie czuwał u drzwi. Niech ją tu jutro przyprowadzą.

Nazajutrz Martinian, Prokurator siedząc na trybunale przywołał znów Kalistę: Oddaj hołd césarzowi rzekł i złóż ofiarę bogom.

Kalista: Dajcie mi pokój, ja pragnę znać tylko jedynego Pana mego.

Martynian: I cóż! czyż przyszedł odwiedzić cię w więzieniu, jak się tego spodziewałaś?

Kalista: Przyszedł do mnie w chwili najsroższéj boleści, a obecnością swoją i wsparciem zamienił ją w wielką radość. —

Martinian: Jak zobaczy twą skórę pomarszczoną i twą wyżółkłą cerę opuści cię niedługo.

Kalista: Tym więcéj mnie umiłuje gdyż piękną będę, jak poczernieje skóra moja. —

Martinian: Wrzucić ją do Tallianum, może tam znajdzie także swego Boga. Wówczas prokurator wszedł do sekretarium, zasunął firanki i podyktował wyrok, potem wyszedł a herold odczytał te słowa:

Kalista kobieta szalona i potępiona skazaną jest niniejszem na wtrącenie do Tullianum, potym ma być wziętą na tortury, potym pieczona na wolnym ogniu, nakoniec ścięta i porzucona na pastwę psom i drapieżnym ptakom.

— Kalista: Bądź pochwalny Boże mój i Królu mój!

Tu się kończą akta męczeńskie a lubo brak w nich ostatecznego zakończenia, dość nas jednakże objaśniają. Potrzeba tu tylko wytłumaczyć, co to było więzienie stanu; — powiemy więc o nim słów kilka:

W tych czasach na więzienie stanu był jednostajny plan, w całym państwie Rzymskim, a nawet można powiedzieć w całym starożytnym świecie. Więzienie łączyło się zazwyczaj z gmachami sądowemi, dzieliło się na dwie części; pierwszą stanowiła sień czyli więzienie zewnętrzne, była to sala zbliżona do pretorium i otoczona w koło małemi celami, do któréj się przez nią wchodziło. Więźniowie zamknięci w tych celach mieli przynajmniéj światło i powietrze dochodzące z sali. Takie więzienie przeznaczono Pawłowi święte-

mu w mieście Cezarei, akta męczeńskie zowią je pretorium Heroda (Art. XXIII. 35). Ztąd zapewne pochodzi to, co czytamy w tkliwem opisie męczeństwa SS. Perpetui i Felicyty. Swięta Perpetua opowiada nam, że gdy jéj pozwolono mieć przy sobie dziecię, choć była w części wewnętrznéj (którą natychmiast opiszemy) więzienie wydało jéj się nagle podobnem do Pretorium.

Z sieni przyjście prowadziło do więzienia wewnętrznego, zwanego *Robur*[1]) albo *Lignum*[2]) od kłod drewnianych do których przywięzywano więźniów[3]) lub też do drewnianéj podłogi. Ta ciemnica nie miała okna, ani żadnego otworu oprócz drzwi. Gdy te były zamknięte, żaden promień światła z nikąd do niéj nie dochodził. Wprawdzie wpuszczono powietrze przez Barathrum o którem zaraz powiemy; ale zobaczymy jakiego rodzaju było to powietrze. Do Lignum wtrącono świętego Pawła, świętego Sylasa w mieście Philipon, nim się przekonano, że byli obywatelami rzymskiemi. Po dopełnionéj na nich chłoście, urzędnicy magistratu którzy iako podrzędna władza miejscowa nie miała

---

[1]) Rodzaj dębu zwanego *roure* albo *rouvre*.

[2]) Drzewo.

[3]) Były to dyby, machina drewniana, podziurawiona w pewnych odstępach. Przywięzywano do niéj nogi więźniów, i kaleczono je okrótnie.

prawa sądzić spraw kryminalnych, wtrącili ich do więzienia, rozkazując stróżowi, aby czuwał pilnie nad nimi. Ten otrzymawszy taki rozkaz, zamknął ich w więzieniu wewnętrznem, a nogi ich okuł w dyby. (Art. XVI, 24, 23). I w aktach męczenników Scylitańskich[4]) czytamy, że prokonsul taki wydał wyrok: „Niech będą wrzuceni do więzienia do jutra, umieszczeni w Lignum. Męczennicy i ich biografowie wspominają często o wielkiéj ciemności, o gorącu i złych wyziewach, jakie napełniały te nędzne kryjówki, w których więźniowie pozostawali dniem i nocą. —

„W kilka dni potem mówi ś. Perpetua przeprowadzono nas do więzienia, którego ciemność okropna przeraziła mnie zrazu, gdyż nie wiedziałam czem były takie miejsca. Wiele cierpieliśmy w tym dniu z powodu gorąca i zaduchu od wielkiego tłumu ludzi, jak niemniéj z przyczyny zuchwalstwa strzegących nas żołnierzy.“ —

W aktach św. Pionjusza i innych męczenników ze Smyrny, czytamy, że stróże pozamykali ich w części wewnętrznéj więzienia, gdzie pozbawieni światła i wszelkich potrzeb, znosili niesłychany zaduch. Mamy podobne świadectwa o innych męczennikach afrykańskich męczonych wraz ze Swiętym Cypryjanem, to

---

[4]) Swięty Sperat z towarzyszami, o których mowiliśmy, w początkach powieści naszéj. Kościół obchodzi ich pamiątkę 17 Lipca.

jest w dziesięć lat po czasach objętych powieścią naszą. Nie trwożyła nas mówią oni głęboka ciemność tego miejsca, gdy w krótce czarne więzienie rozpromieniło się nam światłością Ducha świętego. Lecz żadne słowo nie wypowie dostatecznie, jakie dnie i noce przepędziliśmy tam, nic nie wyrówna okropności tego więzienia.

Była jednak kryjówka nierównie okropniejsza od tych wszystkich. W głębi więzienia wewnętrznego była studnia z otworem w górze, zwana Barathrum, a którą wzorem rzymskich więzień zwano także Tullianum. Niekiedy siedzieli tam zamknięci więźniowie, częściéj jednak padali trupem, rozbici o kamienne płyty; gdy ich strącano z gory przez otwór. Do takiego to lochu wrzucono w Rzymie świętego Chryzantego. Tak w stolicy jak i w innych miastach był to po prostu kanał podziemny, którym spływały wszelkie nieczystości. —

Rzecz godna uwagi że prorok Jeremiasz miał dokładną znajomość tych trzech rodzajów więzień, któreśmy wyżéj opisali. — Czytamy w księdze jego proroctw że był zamknięty w Atrium to iest w przedsionku więzienia, będacego w królewskim domu. — Innego razu znajdował się w *Ergastulum* to jest w więzieniu wewnętrznem. Nakoniec nieprzyjaciele spuścili go na linach do Lacus czyli studni gdzie nie było wody tylko błoto. —

Co do Kalisty po skończonem śledztwie piérwszego dnia zamknięto ją na dwadzieścia cztery godzin w dusznym *Robur*, czyli więzieniu wewnętrznem. Gdy

nazajutrz odczytano wyrok, spuszczono ją na początek męczeństwa do okropnego *Barathrum, Lacus* czyli kanału zwanego także Tullianum, gdzie miała znów przetrwać dwadzieścia cztery godzin po czem miano ją wziąść na tortury lub koło. —

XXXIII.

Męczeństwo.

Kalista marzyła we śnie o słodkiéj, promienistéj atmosferze Grecyi a wtrącono ją do *Robur*, zanurzono w ohydnem *Barathrum*.

Przecież mimo, że nazwała tę ojczyznę imieniem Grecyi, w rzeczywistości jednak tęskniła ona za lepszą krainą, za bezpieczniejszym domem, a tę krainę, ten dom, znalazła nakoniec. Teraz właśnie podążała tam ciężką drogą. Rzecz niepojęta, że dotąd nie stanęła u celu. — Spuszczono ją w głąb téj śmiertelnéj studni, w drugim dniu śledztwa po południu, a oprócz kawałka spleśniałego chleba i trochy wody, jak zazwyczaj w więzieniach, nie wzięła do ust żadnego pożywienia; odkąd ja oddano pod straż *Kommentarysty*. Urzędnicy magistratu rozkazali wyprowadzić ją z więzienia

wcześniéj niż zamierzono; inaczéj więzienie byłoby mogło urzeczywistnić, co Kalfurnius postanowił udać, stósowie do planu wyżéj wspomnionego. Gdy sądowi oprawcy przyszli po nią, nie była w stanie poruszyć się, ani wyrzec słowa; nie mogli nawet znaleść jéj odrazu. Tu ciemno jak w Tartarze rzekł jeden z nich, dajcie no tu drugą pochodnię! nie wiem gdzie się podziała! „Otóż ją masz“ — rzekł drugi wygląda zupełnie jak tłomok! — „Pani dziś późno wstaje.“ odezwał się trzeci. — „Przywykła pewnie do miększéj pościeli,“ dodał czwarty. — „Ta jaskinia wcale nie sprzyja piękności,“ dorzucił piąty. — „To wcielony szatan uporu, rzekł stróż, trzeba ją w proch zetrzeć; taka widać jéj wola, inaczéj obrałaby inną drogę.“ Niech mór porwie czarownice, dodał inny, mniéj złego będzie na świecie, gdy ubędzie choć kilka jéj podobnych. —

Wywlekli ją jak trupa i złożyli na ziemi przed więzieniem. Gdy żadnym ruchem nie dawała znaku życia, dwaj oprawcy wzięli ją na ręce i ponieśli na miejsce męki, inni poprzedzili ich niosąc narzędzia tortur. Świeży powiew poranku, ożywił ją, podniosła głowę, chcąc zaczerpnąć w piersi nowego tchnienia i przyszła zwolna do siebie. —

O cudowne światło! wyszeptała. — O słodkie światło, życie moje i światło moje! Przyjmij mnie! — i pomału zaczęła pojmować wszystko, co się w około niéj dzieje. Szła na śmierć, przekładając męki nad zaparcie się Tego który ją odkupił własną śmiercią.

On cierpiał dla niéj i ona była gotowa cierpieć dla niego, On był rozpięty na krzyżu i jéj członki miały być wnet rozciągniete na torturach. Tak lekko spoczywała na ramionach oprawców, iż ci zaklinali się późniéj, że byli w obawie, czy im obrzydła czarownica nie uleciała z wiatrem. —

„Czarownica! czarownica!“ wołały tłumy, gdy przyprowadzono ofiarę na miejsce walki ostatecznéj. Niech nam zapłaci głód i morową zarazę! Gdzie nasz chleb, gdzie nasz jęczmień i kukurydza, gdzie nasze winne jagody?“ Zewsząd dawały się słyszeć dzikie okrzyki wstrętu a wściekły tłum usiłował przedrzeć się przez szereg oprawców i tam rozsiekać ją na miazgę. A jednak był to zgiełk sztuczny i chwilowy. Pospólstwo bowiem zdziesiątkowane straciło siłę żywotną w czasie rozruchów w których ujęto Kalistę. Ale kapłani i kapłanki świątyni hojnie zapłacili pieniądzmi poklaski nikczemnego motłochu. —

Plac egzekucyi leżał w północno - wschodniéj stronie miasta po za murami u podnóża góry. Była to ustroń w któréj składano ciała niewolników, ohydna, jak wszystkie podobne miejsca. — W koło rozciągała się głucha pustynia, zbiegowisko drapieżnych zwierząt, gdzie w nocy krążyły ich gromady, znęcone wonią ludzkich trupów. —

Gdy Kalista zbliżała się na miejsce męczarni, tak się zmienił wyraz jéj oblicza, że najbliższy przyjaciel

zaledwieby ją poznał. Malowała się w jéj rysach taka skromność i słodycz, jakiéj nigdy w nich dotąd nie dostrzegano. Jéj lica oblewał słaby rumieniec, podobny do blasku rannéj zorzy, mimo to blade były i przezroczyste, oczy jéj powiększone nad miarę ścigały w górze przedmiot, niedostępny widzom. Usta jéj okazywały cichy spokój i głęboką ufność. Skoro się zbliżała do tłumów, które przed chwilą dzikie wydawały okrzyki; mężczyzni, niewiasty i dzieci, słowem, wszyscy umilkli nagle, jakby cudowną powstrzymani siłą. Było to zrazu milczenie ciekawości, potem milczenie podziwu, a następnie postanowienia; nakoniec ogarnęła ich trwoga, złączona ze czcią i głębokiem współczuciem. Gotowi byli prawie ukorzyć się przed tą, która wzruszyła ich tak silnie; nie wiedzieli sami jakim cudem nowa myśl nawiedziła ich biedne dusze, tak wprzód ciemne i obłąkane. —

W kilka chwil potem oprawcy poruszyli tortury, złożyli Kalistę na desce, odzianą była w nową tunikę, dziś zużytą i powalaną błotem, która niegdyś tak jaśniała na słońcu i tak wdzięcznie odznaczała jéj kibić. Ujęli jéj ręce i nogi, przywiązali ją do ruchomych kloców utwierdzonych po obu stronach deski. Wyrzekła wtedy cichym głosem ostatnie słowa na ziemi: „Dla Ciebie o mój Panie, o miłości moja dla Ciebie!... Przyjmij mnie Panie na tem łożu cierpienia!... i zstąp ku mnie o miłości moja, zstąp ku mnie co rychléj! — Kaci z pośpiechem obrócili koła, wszystkie członki

nieszczęśliwéj wyszły ze stawów, a za powrotnym ruchem powróciły na miejsce. Zemdlała natychmiast, długo czekali aby odzyskała zmysły, czekali na próżno, w końcu poczęli się niecierpliwić. —

„Wylejcie jéj wiadro wody na głowę — rzekł jeden z katów. — Pluńmy jéj lepiej na twarz i po wszystkiem rzek drugi. —

„Ukłuć ją włocznią“ — zawoła trzeci. —

„Trzymalibyście język za zębami, — przerwał czwarty, — już ona w kraju wiecznych cieniów.

Otoczyli ją w koło i oglądali bacznie; lecz nie mogli przywrócić już do życia. Poszła tam gdzie ją czekał Pan i oblubieniec. —

Rzucić ją na pastwę wilkom i sępom — rzekł dowódzca straży, gdy Kalfurnius zapyrzony od gniewu nadbiegł z żołnierzami. —

„Obrzydłe psy — zowołał — tak to szydzicie sobie z rzymskich żołnierzy.“ —

Ale skargi i wyrzuty były już nadaremne: nie myślimy też opisywać sprzeczki jaka powstała w obumarłych zwłokach męczenniczki. Sędziowie magistratu zwietrzywszy zamiar Kalfurniuszu uprzedzili, przyspieszając chwilę egzekucyi. Niepodobna było wrócić życia Kaliście, a żołnierze nie śmiejąc działać wbrew rozkazowi prokunsula musieli pozostawić jéj ciało w miejscu męki. Starali się przynajmniéj uczynić to w naj-

przyzwoitszy sposób. Zdjęli ją z tortur z wielkim poszanowaniem złożyli ją na piasku, rozpędzili tłum i rozstawili w około zbrojne straże, chcąc przynajmniéj korzystać z ostatniéj sposobności i okazać należne względy nieszczęśliwéj ofierze. —

XXXIV.

Ageliusz występuje na widownię.

Słońce afrykańskie obiegło widnokrąg, lecz ani jednym promieniem nie śmiało dotknąć świętych relikwij, pozostawionych na piasku. Mgła wieczorna podniosła się w górę i ciężkiemi kroplami rosy znów na ziemię opadła, lecz nie przyniosła zarodu zgnilizny tym nieskażonym członkom. Dzikie zwierzęta błąkały się, rycząc po pustyni, lecz żaden zwierz nie śmiał bliżéj przystąpić; sępy jak zwykle czatowały nocą na wierzchołku skał, lecz nie ważyły się dotknąć świętego ciała. Wszystkie gwiazdy zajaśniały w górze i milcząc poglądały na Kalistę, jakby pochodnie pogrzebowe, zapalone ręką tajemniczą, na cześć błogosławionéj. I niebawem księżyc wzbił się wysoko i srebrnym promieniem rozproszył nocne ciemności. Nie ma żałoby, nie ma rozkładu dla wielkomyślnego chrześcijanina, który skonał walcząc dla chwały Bożéj. Ani świat duchów, ani prawo natury nie mają władzy nad ziem-

ską jego powłoką. Żaden duch nieczysty nie zbliży się do téj, która w białéj sukience chrztu uniosła się do podnóża tronu przedwiecznego. Ogień czyścowy nie dotknie téj, która płonąc świętym ogniem miłości, podążyła na gody z barankiem. Woń boska ulała się z tego ciała martwego, złamanego boleścią i napełniła powietrze uroczem tchnieniem świętości. Po nad jéj czołem świeci promienista aureola, któréj nie rozprószy blask wschodzącéj jutrzenki. Rysy jéj przybrały dawną powagę a do tego ozdobiły się wdziękiem dziecięcéj niewinności i niebieskiego pokoju. Rzemień poprzegryzał jéj dłonie i stopy, krew popłynęła po piasku, który wypił ją do kropli; lecz aniołowie z rąk żołnierzy odebrali jéj ciało zdjęli z tortur i złożyli je na ziemi w skromnéj i pełnéj wdzięku postawie. —

Przechodnie zatrzymują się nad niem i patrzą ze zdumieniem, bezczynne tłumy otoczyły ją w koło. Pogłoska obiegła całe miasto że ani słońce we dnie, ani nocą promień miesięczny, ani wilgotna rosa, ani dziki zwierz, ani drapieżne ptastwo nie mają mocy nad temi świętemi zwłokami. Dodają przytem, że ktokolwiek zbliży się do nich, niepojętego doznaje wpływu; że ten wpływ cudowny wraca spokój i ciszę sercu, tłumi złe namiętności, koi wszelkie burze umysłu. Niektórzy odwiedzają je kilkakrotnie, aby doznać błogiego a tajemnego wrażenia; nie mogą rozmawiać o tem spokojnie, święta bojaźń ogarnia ich za pierwszem wyrzeczonem słowem. Ci, którzy zasłyszeli o cudzie, nie przekonawszy się o nim na własne oczy, utrzymują,

że wielbiciele zmarłéj musieli być w zaklętym gaju Eumenidów, lub też spotkali się z wilkiem oko w oko. Coraz dziwniejsze wieści poczynają krążyć między ludem, wrażenie wzrasta z niepokonaną siłą; niektórzy widzą w tem czary, inni działanie wielkich Bogów. Mija dzień drugi, — mija noc, po nocy następuje poranek. —

Zaczyna świtać; słaby brzask rozchodzi się naprzód po niebie złączony z nocną ciemnością i pomału zamienia się coraz w świetniéjszą zorzę. Przy złotym jéj promieniu występuje ziemia, przedzierając mglistą powłokę nocy; pomału święte ciało coraz wydatniéj się odznacza, a w bliskości niego widać pięciu ludzi: — Jeden z nich stoi na czele, za nim czterej unoszą na barkach lektykę czy trumnę; stoją pomiędzy ciałem a górą, znać że przybyli od téj strony. Było to nadzwyczaj śmiałe przedsięwzięcie: narażali się bowiem na kły i pazury dzikich zwierząt, a do tego na zniewagi pospólstwa i żołnierzy. Straże czuwały niedaleko milczące i baczne, a do te nie mało ludzi przepędziło noc blisko ciała w celu zabobonnym. Czatowali oni czy im się nie uda zdobyć jaki łup do czarnoksięzkich doświadczeń: czy to mały palec, czy ząb, czy uplot z włosów czy wreszcie szmatę sukni, lub kawałek skrwawionego powrozu.

Wreszcie blask dzienny dokładnie uwydatnił postać Kalisty w oczach młodziana, który stał przy niéj zagłębiony w dumaniu, z rękoma złożonemi do modlitwy i łzami zalanem obliczem. Zadrżał na jéj wi-

dok. Zwrócił się do towarzyszów, którzy nieśli wielkie śmiertelne prześcieradło, czyli całun i z pomocą jednego z nich pokrył nim całe ciało; potem zatrzymał się chwilę, jakby modlitwą i łzami chciał ukrzepić ducha.

O! biedny Ageljuszu — tyś nie doszedł najwyższego tryumfu! — inne uczucia mają jeszcze krzewić się w sercu twojem, inne wrażenia wstrząsać niem zaczem będziesz usposobiony do weselenia się i tryumfowania z Bogiem w téj umarłéj, którą widzisz przed sobą. Z odwagą przedsiębierzesz wielkie dzieło, ale serce twoje rozdarte, ręka nieśmiała, wachasz się i sam nie wiesz jak zacząć.

Kalista była w całym blasku ziemskiéj piękności, w pełnéj sile umysłu gdy ją Ageljus widział po raz ostatni. Zdawało się jakby wiek cały upłynął od tego poranku, jakby przepaść niezgłębiona dzieliła obecną chwilę od téj, w któréj oczarowała go pięknością swoją i wyrzucała mu dumnie, że uległ przed potęgą jéj uroku. A jednak każdy najdrobniejszy szczegół tego spotkania wyrył się w jego pamięci niezatartemi zgłoski. O! i czemuż Stwórca wszechmocny zniszczył najpiękniéjsze dzieło swoje? Jeśli bieg słońca i gwiazd budzi w nas takie uwielbienie, jeśli prawa utrzymujące ziemię i morza w granicach swoich wskazują wymownie rękę najwyższéj mądrości i potęgi — o ileż więcéj doskonałość i piękność Stwórcy odbija w człowieku. Otóż w Kaliście był najszczytniejszy i najdoskonalszy typ natury ludzkiéj, dusza wzniosła, ozdobio-

na w wszelkie dary, obdarzona niepospolitą zdolnością; zawarta w formie zewnętrznéj, równie doskonałéj w swoim rodzaju, ale tem wyższéj przez ścisłe jéj połączenie z duszą, któréj była prostym i wiernym wyrazem. A jednak ten drogocenny utwór Wszechmocnego sam Wszechmocny skruszył bez litości, aby mu nadać wyższą i trwalszą doskonałość. Dziwnaż w tem jednak tajemnica, że chcąc osiągnąć Niebo, trzeba koniecznie złamać i zetrzeć w proch naszą pierwotną przyrodę. O bo tajemniczy pierwiastek istnieje w nas! czemkolwiek on jest, z kądkolwiek pochodzi, dość że przeciwnym jest Bogu, że ogołocił przyrodę naszą z tego, co się zdaje tak dobrem i pięknem i to aż do takiego stopnia, że wszystko w nas musi uledz zniszczeniu i narodzić się na nowo. Nieprzyjaciel to sprawił — [1]) tyle jedynie wiemy, i trzeba nam pozostawić wyjaśnienie strasznéj tajemnicy, aż do dnia w którym wszelkie rzeczy w jasném ujrzemy świetle.

Ageljus lubo tak ważnemi zajęty myślami, niepozostał jednak bezczynnym. Pochylił się ku ziemi i zbierał piasek, zwilżony krwią męczenniczki w szklane naczynie, które przyniósł z sobą; poczem bez namysłu dał znak towarzyszom, wziąwszy z sobą dwóch przeszedł śmiało na drugą stronę i stanął z niemi w odwodzie, w czasie gdy dwaj inni przystąpili z przeciwnéj strony i podjęli zwłoki z pośpiechem. W mgnie-

[1]) Inimicus homo hoc fecit (Mth. XIII. 28).

niu oka umieścili je w trumnie i unieśli niedostępną ścieszką przez pustynię. Ageljus tymczasem, Aspar i trzeci towarzysz musieli stoczyć walkę z kilku rozbójnikami, którzy się na nich rzucili. Wprawdzie nie wielka była liczba napastników, lecz ci głośnym okrzykiem przywołali nowych; chrześcijanie w wielkim byli niebezpieczeństwie, już mieli uledz przemocy, gdy nagle przybiegł oddział wojska, pod pozorem utrzymania porządku, żołnierze wywijali na wszystkie strony ciężkiemi maczugami; Ageljus jednak i towarzysze jego wyszli obronną ręką, a korzystając z powszechnego popłochu uciekli w ślad za towarzyszami znaną sobie drożyną. Jeśli daléj udało im się przejść bezpiecznie pod okiem pasterzy musimy przypuścić, że Aniołowie zamknęli oczy poganom, aby ich nie poznali. —

XXXV.

Zakończenie.

Przewodnicy wraz z trumną doszli bezpiecznie do jaskini i spuścili się długim krużgankiem. Chrześcijanie miejscowi szli naprzód z zapalonemi pochodniami w ręku, śpiewając pobożne psalmy. Umieścili przed ołtarzem święte ciało i msza rozpoczeła siłę natychmiast. Święty Cyprjan celebrował a po ewangelii miał krótką odezwę do obecnych. Wzywał ich aby chwalili, błogosławili i wielbili łaskę Boga, która tak cudownie wyrwała głownię z płomieni. —

„Benedicamus Patrem et Filium, cum Sancto Spiritu, Benedictus et laudabilis, et gloriosus et superexaltatus in soecula.“ [1])

Ta łaska sprawiała codziennie nowe cuda i przechodziła wszelkie prawdopodobieństwo, coraz to nowe-

---

[1]) Błogosławmy Ojca, Syna i Ducha św. Błogosławionym jesteś Panie, godnym jesteś wszelkiego uwielbienia, pełnym jesteś chwały i wyniesiony nad wszystko po nieskończone wieki.

mi objawami potęgi i miłości. Greczynka przybyła do Afryki, aby zdobić świątynie pogan, aby wspierać dzieło zepsucia, aby utwierdzić węzły, przykuwające niekiedy jeszcze do grzechu i nagle znalazła zbawienie. Wczoraj jeszcze była biedną dziewczyną ziemi, dziś jest mieszkanką nieba. Wczoraj jeszcze żyła bez Boga, bez nadziei i oto dziś jako męczenniczka Pańska, z zieloną palmą w ręku, odziana w złoto korzy się w uwielbieniu przed tronem Przedwiecznego. Wczoraj jeszcze niewolnica szatana, grzęzła w próżnościach tego świata, a dziś napawa pierś w niewyczerpanem zdroju wiecznéj szczęśliwości. Wczoraj jeszcze drobny kłosek ze snopu nieczystego zboża, skazanego na mściwy płomień, a dziś jedna z tych dusz wybranych, których imie zapisane będzie w wiecznéj księdze żywota i przeznaczone do niebieskiéj chwały. Wczoraj jeszcze w głodzie i pragnieniu szukała niespokojnie przedmiotu godnego nieśmiertelnego jéj ducha, a dziś używa w pełni niewymownego zachwytu przy godnéj uczcie z Barankiem bez skazy. Wczoraj jeszcze miotana po morzu zwątpienia, a dziś przypuszczona przed oblicze niewysłowionéj prawdy, i niewzruszonéj świętości. I czemże ona była? — oto jednym z tysiąca dowodów, wszech potężnéj i nieskończonéj łaski Odkupiciela. I któż z pomiędzy wszystkich tu zebranych od bohaterskiego chrześcijanina, do najpokorniejszego neofity, od mowcy pełnego powagi do kmiotka i niewolnika, nie stał się każdy w swój sposób, przez cud miłosierdzia z przedmiotu gniewu Bo-

żego naczyniem wybranem? I święty Biskup zakończył mowę życzeniem, aby tak on, jak i wierni słuchacze wytrwali na rozpoczętéj drodze, aby w drodze podobnéj próby, jaką przeszła Kalista, wyszli z niéj tak jak ona zwycięzko.

Święty Cyprjan skończył mówić, a podczas gdy djakon rozciągał na ołtarzu korporał do ofiary, wierni spiewali na przemiany strofy hymnu, który tu zamieszczony w przekładzie.

HYMN.

Policz twe dzieci na zasługi polu,
Z nocy wywiedź światło czyste
Ziarno pszeniczne odłącz od kąkolu,
Potem zstąp z niebios o Chryste!

Zstąp i obliczem jaśniejszym od słońca
Rozświeć toń życia tę ciemną,
Gdzie *zło* i *dobro* w zapasach bez końca,
Wciąż walczą siłą wzajemną.

Podwójnym prądem z wspólnego łożyska
Potok żywota się toczy,

Blask dobra, w złego otchłaniach połyska
Zło jest zdrój *dobra* uroczy.

W obec aniołów w wielkim dniu nagrody
Ostatni staną po przedzie,
Gdy pierwszych pasterz odtrąci od trzody,
Tych w blasku chwały powiedzie.

Wszak jéj nie wiodła słów kapłańskich siła
Wzór ojców nie lśnił jéj z góry,
Z kąd w męczenniczce ta moc, że zwalczyła
Koło, więzienie, tortury?

Z kąd jéj pogance siąść z palmą na tronie
Którym w obłędzie wzgardziły
Zastępy w Bożym zrodzone zakonie
Bez serc, bez ducha, bez siły.

Łaska ją Boża z przepaści wyrwała
Uklękła w grzesznym lgnąc świecie,
Lecz wstała wiarą spromieniona cała
Ufna i słodka jak dziecię.

I w skarb miłości dusza jéj bogata
Z nieba niezłomną moc bierze,
Przejrzawszy tajnie nadzmysłowe świata
Chrztem krwawym świadczy swéj wierze.

Krótkich dni życia już zbiegła kres cały,
I dążąc w ślady przeczyste,
Stanęła w blasku nieśmiertelnéj chwały
Pod krzyżem twoim o Chryste.

Tam duch, tu ciało, dwa sprzeczne bieguny,
Ziemi to z niebem ogniwa!
Módlmy się bracia! dotknijmy jéj trumny
Bo łaska nad nią spoczywa!... [1])

Na ostatnią myśl tego hymnu, niedośpiewanego jeszcze, odpowiedział wymownie zaszły w téj chwili wypadek. Juba wszedł do kaplicy, wprowadzony przez brata i exorcystów. Odkąd był pod ich opieką, okazywał w ogóle, słodycz i uległość, oprócz kilkakrotnych napadów dzikiego szału. Mówił niekiedy, że pierś jego straszna gniotła zmora, któréj się pozbyć nie mógł; nie wszystkie zatem bluźniercze słowa, które wyrzekł, wypłynęły z własnéj jego woli. W téj chwili opierał się gwałtownie i drżał cały z trwogi. Gdy go przyprowadzono przed święte relikwie pot obfity i zimny wystąpił mu na czoło, a rysy jego skurczyły się konwulsyjnie. Odskoczyl w tył i wszelkiemi siłami chciał uciec; piana toczyła się z ust jego, od czasu do czasu dziwne wydawał okrzyki i okropne

[1]) Przekład — P. Seweryny Pruszak. —

miotał bluźnierstwa, głusząc niemi poważne słowa hymnu. Dozorcy gwałtem przyprowadzili go do ciała Kalisty i zmusili dotknąć jéj stóp błogosławionych; w téjże chwili krzyknął przeraźliwie, siła nadprzyrodzona uniosła go w powietrze a potem upadł na ziemię bez zmysłów.

Skończyła się długa modlitwa. Odśpiewano *sursum corda*. Juba powstał z ziemi. Gdy słowa poświęcające wymienione zostały i on wziął udział w powszechnem nabożeństwie. Po mszy dozorcy zbliżyli się do niego i zupełną spostrzegli w nim przemianę: był spokojny, łagodny i cichy. Gwałtowność opuściła go zupełnie, — ale widocznie stał się niedołężnym.

To cudowne uwolnienie rozpoczęło długi szereg cudów, po męczeństwie świętéj Kalisty, którą uważać można za główną przyczynę zmartwychwstania kościoła chrześcijańskiego w Sicce. W kilka miesięcy potem Decjus padł pod ciosem morderczym, a prześladowanie ustało w tem mieście. — Castus mianowany został biskupem i wielka liczba osób poczęła wchodzić do Pańskiéj owczarni. Odstępcy zapragnęli pojednać się z kościołem, lub przynajmniéj otrzymać dostępne im łaski. Poganie tłumem przyjmowali chrzest święty. Gdy ich pytano o powód nawrócenia odpowiadali że ostatnie chwile Kalisty i jéj śmierć wywarły na nich niepojęty wpływ i że zapragnęli iść jéj śladem. Wzrastając w liczbę i moc chrześcijanie zjednali sobie powagę w obec nędzników i ludu. Burzliwy lud dość już był uskromniony, a nieustanna zmiana stanów, oraz

środki, jakie rząd cesarski przedsięwziął w obec chrześcian, odebrały na czas niejaki śmiałość sądowym władzom. Wkrótce zbudowano piękny kościół i umieszczono w nim ciało Kalisty. Kościół ten istniał do czasów prześladowania za Dyoklecyana.

Juba służył przy kościele a lubo nie umiał nawet zamieść go jak się należy, nikomu jednak nie zawadzał, ani szkodził, przeżył w tym stanie około lat dziesięć. Nakoniec jednego poranku po mszy, któréj słuchał zawsze w przedsionku kościelnym pobiegł nagle do biskupa i prosił o chrzest święty. Mówił że Kalista objawiła mu się i przywróciła mu rozum. Święty Castus po rozmowie z nim przekonał się, że zupełnie uleczony, a nie wiedząc jak długo potrwa taki stan, oświecił go w wierze i bez wachania udzielił mu Sakramentu, którego tak pragnął. Odrodzony chrztem Juba poszedł na grób Kalisty i cały dzień przetrwał na modlitwie u stóp świętéj opiekunki swojéj. Na usilne prośby pozwolono mu pozostać przez noc w kościele. Nazajutrz rano znaleziono go na kolanach, z rękoma złożonemi do modlitwy, ale biedny Juba już nie żył. Zszedł ze świata w sukni białéj, którą go do chrztu obleczono.

Co do Ageljusza, jeśli jest tym samym, co biskup tegoż imienia, który otrzymał męczęńską palmę w późnéj starości pod prześladowaniem „Dyoklecyana“ w mieście Sikka, — byłby to dla nas wielce pożądany wypadek, możnaby nim pięknie uwieńczyć powieść naszą. Przypuszczenie to ma tém więcéj prawdopo-

dobieństwa, że jak mówi podanie, ten biskup, rozkazał przenieść relikwie Kalisty pod wielki ołtarz, przy którym codziennie odprawiał mszę św. Po spełnieniu męczeństwa złożono tam zarówno ciało świętego Ageljusza. —

KONIEC.

PRZYPISEK WYDAWCY

Obszerny żywot i męczeństwo Perpetui pod tytułem „Wiwia Perpetua“ czyli Zastęp Bochaterów Chrześciańskich III. wieku wydałem przed dwoma laty i jest do nabycia we wszystkich księgarniach po cenie Zł. 2. w. a.

Również moim nakładem wyszły następujące powieści religijne:

Fabiola	*Złr.*	*1*	*c.*	*— w. a.*
Emilia Paula II. tomy .	„	*1*	„	*50 „*
Irena.	„	*1*	„	*25 „*

Na składzie.

Eudoxya	„	*1*	*—*	„

60

80/1214/25375

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
80918

Biblioteka WSP Kielce
0174184